

Pasjonująca, mrożąca krew w żyłach opowieść o skandalu
i wstydzie autorstwa jednego z najlepszych powieściopisarzy.

Chris Bohjalian Pokój gościnny



Tytuł oryginału:
THE GUEST ROOM

Copyright © 2016 by Chris Bohjalian Copyright © 2018 for the Polish edition by Wydawnictwo Sonia Draga Copyright © 2018 for the Polish translation by Wydawnictwo Sonia Draga Projekt graficzny okładki: Mariusz Banachowicz Redakcja: Agnieszka Radtke Korekta: Emilia Grzeszczak, Magdalena Bargłowska ISBN: 978-83-8110-546-0

Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci jest zabronione i wiąże się z sankcjami karnymi.

Książka, którą nabyłeś, jest dziełem twórcy i wydawcy. Prosimy, abyś przestrzegał praw, jakie im przysługują. Jej zawartość możesz udostępnić nieodpłatnie osobom bliskim lub osobiście znanym. Ale nie publikuj jej w internecie. Jeśli cytujesz jej fragmenty, nie zmieniaj ich treści i koniecznie zaznacz, czyje to dzieło. A kopiując ją, rób to jedynie na użytek osobisty.

Szanujmy cudzą własność i prawo!

Polska Izba Książki Więcej o prawie autorskim na www.legalnakultura.pl

WYDAWNICTWO SONIA DRAGA Sp. z o.o.

ul. Fitelberga 1, 40-588 Katowice tel. 32 782 64 77, fax 32 253 77 28

e-mail: info@soniadraga.pl

www.soniadraga.pl

www.facebook.com/wydawnictwoSoniaDraga

E-wydanie 2018

Skład wersji elektronicznej: **virtualo**

konwersja.virtualo.pl

Spis treści

Część pierwsza

Rozdział 1

Alexandra

Rozdział 2

Alexandra

Rozdział 3

Alexandra

Rozdział 4

Alexandra

Rozdział 5

Alexandra

Rozdział 6

Alexandra

Rozdział 7

Alexandra

Rozdział 8

Alexandra

Część druga

Rozdział 9

Alexandra

Rozdział 10

Alexandra

Rozdział 11

Część trzecia

Alexandra

Rozdział 12

Alexandra

Rozdział 13

Alexandra

Rozdział 14

Alexandra

Rozdział 15

Alexandra

Podziękowania

Dla Victorii

Dla Grace

Dla dziewczyny z hotelu, która o trzeciej w nocy płaciła gońcowi

Nie wiem, czy kochałbym cię tak samo, gdybyś nie miała czego
żałować i na co się skarżyć.

Borys Pasternak, *Doktor Żywago*

CZEŚĆ
PIERWSZA

Rozdział 1

Richard Chapman spodziewał się, że na wieczorze kawalerskim jego brata Philipa będzie striptizerka, a może nawet dwie, jeśli naprawdę się nad tym zastanowić. Oczywiście w serialach dziewczyna zawsze przyjeżdża sama, ale w prawdziwym życiu często chadzą one parami. W przeciwnym wypadku nie byłoby przecież mowy o udawanych (albo i nie) lesbijskich pieśczościach na dywanie w salonie. Poza tym Richard pracował w dziale fuzji i przejęć, więc doskonale rozumiał mechanizmy rynkowe: dwie striptizerki mogły doprowadzać do szaleństwa dwóch dżentelmenów jednocześnie, kołysząc się nad ich udami albo – jeżeli w oczach mężczyzn pożądanie mieszałoby się we właściwych proporcjach z rozrzutnością – wolno siadając im na kolanach. Richardowi niezbyt uśmiechała się wizja egzotycznej tancerki prężącej się w jego rodzinnym salonie. Wszystko był w stanie zaakceptować, nawet akrobacje zawodowej striptizerki, ale dom to nie miejsce na takie rzeczy. Nie chciał jednak wyjść na sztywniaka, który sabotuje wieczór kawalerski swojego młodszego brata. Dlatego tłumaczył sobie, że tancerką okaże się pewnie jakaś studentka z Sarah Lawrence College, Fordham albo Uniwersytetu Nowojorskiego, ukrywająca się pod głupawym pseudonimem, która po prostu dorabia, żeby opłacić czesne. Nadal nie był w stu procentach przekonany do tego pomysłu, ale w jakiś przewrotny sposób czuł, że byłoby to odrobinę mniej naganne, odrobinę mniej nieprzyzwoite, gdyby za jego podniecenie odpowiadały dwudziestojednoletnia studentka socjologii z płaskim brzuchem oraz brazylijska intelektualistka, która przejrzała cały kulturowy kontekst striptizu i uważała się za feministkę i kapitalistkę zarazem.

Żona Richarda – rzecz jasna – nie uczestniczyła w zabawie. Na ten wieczór Kristin zapewniła sobie i ich córce azyl w mieszkaniu swojej matki na Manhattanie. We trzy – trzy pokolenia kobiet, jedna siwa, druga miodowa i trzecia, najmłodsza, z jedwabście miękkimi blond włosami do ramion –

zjadły kolację we włoskiej restauracji, którą upodobała sobie wnuczka. Lokal znajdował się blisko Carnegie Hall, a jego ściany zdobiły wielkie gipsowe rzeźby w kształcie części ciała. Nosy. Piersi. Oko. Następnego dnia, w sobotę, kobiety zamierzały wybrać się razem na popołudniowy spektakl na Broadwayu, na który zawczasu kupiły bilety. Kristin z córką planowały wrócić do domu dopiero w niedzielę.

Po wieczorze kawalerskim miało nie pozostać żadne nagranie. Jeden z rosyjskich ochroniarzy striptizerek ostrzegł wszystkich obecnych, żeby trzymali telefony w kieszeniach. Powiedział, że jeżeli zobaczy jakiś telefon, to go rozwali. A także połamie palce temu, w których rękach go znajdzie. (Rosjanin mówił to wszystko z uśmiechem na twarzy, ale nikt nie wątpił w szczerść jego intencji).

Tak więc z tego, co zaszło, istnieją tylko ustne relacje. W jaki sposób striptiz przerodził się w orgię. Jak to się stało, że wszystko poszło nie tak. Wiadomo tylko tyle, ile mężczyźni – w tym Richard Chapman – zeznali policji. A wersja tancerki? Tancerki zniknęły. A ochroniarze? Obaj nie żyją.

*

Dom w stylu Tudorów, który – prawdopodobnie wbrew pierwotnym założeniom – stał się częścią osiedla domów w stylu Tudorów, mieścił się na działce o powierzchni jednej trzeciej hektara, na zalesionym wzgórzu nieopodal Pondfield Road. Ze względu na górzysty teren podjazd był bardzo stromy. Któregoś ranka Richard odpalił swoje cynowoszare audi, którym dojeżdżał na stację kolei podmiejskiej, skąd odjeżdżał pociąg dowożący go do pracy w banku inwestycyjnym na dolnym Manhattanie. Już miał ruszać, kiedy zorientował się, że zapomniał z domu iPada. Wysiadł więc z samochodu, tyle tylko, że zanim to zrobił, nie zaciągnął hamulca ręcznego. Przerażony, a jednocześnie dziwnie zafascynowany, patrzył, jak pojazd zaczął zjeżdżać tyłem z podjazdu, najpierw w zwolnionym tempie, a potem coraz bardziej przyspieszał, niczym lawina staczająca się po zboczu góry, aż wypadł na wąską drogę prowadzącą do Pondfield, przeciął główną arterię Bronxville i w końcu wbił się z trzaskiem w małe skupisko klonów (niemal ogołoconych z liści, ponieważ była końcówka października). Jakimś cudem, zupełnie jakby całe zdarzenie zostało misternie zaaranżowane przez ekipę filmową, audi przejechało idealnie pomiędzy śmieciarką telepiącą się wolno

po Pondfield Road a pędzącym subaru kombi kierowanym przez jednego z nauczycieli, który pracował w tej samej szkole co Kristin. Nikomu nic się nie stało. Rachunek za naprawy wyniósł prawie osiem tysięcy dolarów, ale jednak co audi, to audi – konstrukcja pojazdu zadziwiająco dobrze zniosła kraksę. Właściwie bardziej niż samochód ucierpiało na tym incydencie ego Richarda – ale i ono bez większego trudu dało się wyklepać.

Dom stał praktycznie w połowie drogi pomiędzy stacją kolejową Bronxville, z której Richard korzystał każdego dnia, a Siwanoy Country Club, gdzie czasem w weekendy zdarzało mu się grać w golfa. Jego ulubionym pomieszczeniem w domu była wyłożona mahoniową boazerią biblioteka. Na jednej ze ścian Richard zlikwidował półki i zastąpił je kinem domowym, dzięki czemu mógł tam w samotności przeżywać mecze swoich ukochanych New York Giants, razem z Kristin nadrabiać odcinki seriali nagrane na TiVo w ciągu całego tygodnia albo całą rodziną oglądać filmy wybrane osobiście przez dziewięcioletnią Melissę. Czasem te wieczorki filmowe dawały mu dobitny dowód na to, jak szybko i łatwo regularne obcowanie z hałasem niszczy człowiekowi słuch – Melissie wystarczała głośność telewizora na poziomie pięć lub sześć, ale jej rodzice, weterani niezliczonych koncertów, którzy jeszcze za młodu chadzali na występy Nirvany, Pearl Jam i Alice in Chains, mieli problemy z dosłyszeniem czegokolwiek cichszego niż silnik odrzutowy. Czasami Richard odnosił wrażenie, że w filmach Disneya wszyscy bez wyjątku mówią do siebie wyłącznie szeptem.

W tym pokoju mieściła się także kolekcja winyli zgromadzonych przez Richarda i Kristin – długie rzędy albumów ustawionych alfabetycznie, jak w bibliotece – oraz wieża stereo, o którą oboje dbali jak o zabytkowy samochód.

Ale Richard uwielbiał także ich wspólną sypialnię, zwłaszcza łóżko, które było idealnej wysokości, żeby mógł się kochać z żoną na stojąco – to znaczy ona leżała na materacu, a on stał, trzymając ją za kostki. Z kolei największą dumą napawał go pokój córki, szczególnie tapeta – dżungla z lwami i tygrysami (zero niedźwiedzi) – którą w pocie czoła własnoręcznie przykleił, a także biała szafa i komoda z lustrem, gdzie jego czwartoklasistka trzymała stale powiększającą się kolekcję ciuchów. Ostatnimi czasy Melissa z każdym

dniem stawała się coraz bardziej świadoma w kwestii mody, dlatego pokój zawsze wyglądał na lekko splądrowany: sweterki, spódniczki i rajstopy wysypywały się z szuflad i wylewały kaskadami na podłogę, jak bańki mydlane, które pewnego razu wypełniły całą kuchnię, ponieważ Richard nalał do zmywarki zwykłego płynu do naczyń zamiast specjalnego żelu.

Przynajmniej sypialnia dziewczynki nie była już zavalona lalkami Barbie. I mebelkami, i ubrankami dla Barbie. I bucikami dla Barbie – w opinii Richarda te ostatnie powinny zostać wpisane przez Agencję Bezpieczeństwa Transportu na listę niebezpiecznych przedmiotów, których pasażerom nie wolno wносить na pokład samolotu. Nie raz i nie dwa stanął na nich po ciemku bosą stopą, niemalże wbijając sobie w skórę maleńki plastikowy obcasik, kiedy chciał tylko zajrzeć do córki przed snem i sprawdzić, czy temperatura jest odpowiednia, okno zamknięte (albo otwarte), a ona dokładnie opatulona kołdrą. Ale w wieku dziewięciu lat Melissa miała już etap Barbie dawno za sobą. Miejsce tych anorektycznych amazonek zajęły pulchne lalki z serii American Girl, o takich imionach jak Molly (ale nie Miley), Felicity czy Samantha, one zaś i tak przez większość czasu siedziały pod ścianą, a ich konserwatywne kapelusiki pokrywała cienka warstwa kurzu. Cała kolekcja lalek Barbie, imponujący zbiór lekarek, ratowniczek i opiekunek zwierząt, została zapakowana do plastikowego pojemnika wielkości małego kufra podróżnego, który stał teraz w rogu pokoju. Pudło było przezroczyste, z wyjątkiem niebieskiej pokrywy. Richard planował pewnego dnia wynieść je na strych, na który wchodziło się po schodach wyciąganych z sufitu na piętrze.

Pozostałe części domu były mu w zasadzie obojętne. Spędzał zbyt mało czasu w kuchni, żeby wyrobić sobie na jej temat konkretne zdanie, nie widział też większej różnicy między poszczególnymi urządzeniami. Rano przywlekał się tam jak lunatyk, żeby nalać sobie kawy, a po kolacji przynosił z powrotem naczynia z jadalni – raz na jakiś czas rozbijał przy tym jakiś talerz albo po drodze upuszczał nóż i zostawiał na drewnianej podłodze jadalni plamę z musztardy. Ale kuchnia nie była sercem tego domu, w przeciwieństwie do wielu innych domów na przedmieściach. Kristin nigdy nie sprawdzała wypracowań uczniów przy kuchennym stole, a Richard nie przeprowadzał tam analiz finansowych firm będących potencjalnymi klientami jego banku.

W podobnym tonie można by podsumować jego stosunek do przedsionka, toalety czy spiżarni, której przeszklone szafki pamiętały lata trzydzieste.

Dlatego też, chociaż dobrze wiedział, że mężczyźni zaproszeni na wieczór kawalerski będą swobodnie krążyć po jego kuchni, jadalni i spiżarni, tak naprawdę nie robiło mu to żadnej różnicy. Najważniejsze, żeby nie zbliżali się do sanktuarium, jakim była sypialnia na piętrze. Zakładał, że przez większość czasu będą się bawić w czterech ścianach salonu, wśród efektownych drewnianych belek, oraz w przylegającym do niego mniejszym pokoju. Ściany w tych pomieszczeniach były pomalowane farbą w kolorze hiacynta, kabaczka, miedzi i jasnego brązu, a tapeta przedstawiała starannie odwzorowane kwiaty ogrodowe. (Ją także przykleił własnoręcznie. Wiedział, że potrafi być niezdamy, ale miał także zaskakującą smykałkę do wybranych prac remontowych. Okazał się na przykład wirtuozem tapetowania i urządzenie pomieszczeń, które były ważne dla jego żony i córki, sprawiło mu niewymowną przyjemność. Tylko ściany korytarza na parterze nadal pokrywała oryginalna tapeta). Ogólnie dom reprezentował bardzo skonwencjonalizowany świat tradycyjnego życia rodzinnego. A jeśli nawet pojawiłaby się w nim striptizerka? Jeśli przyjaciel Philipa rzeczywiście zamówił tego rodzaju atrakcje? To przecież nic takiego. Kiedy dziewczyna stąd zniknie, kiedy wszystkie meble wrócą na swoje miejsca, a zmywarka zostanie wypełniona szklankami i kieliszkami, dom ponownie stanie się bezpiecznym, zacisznym schronieniem dla Richarda, jego żony i ich córki.

*

Jesienny deszcz bębnił o dach, ale mężczyźni nie zwracali na to najmniejszej uwagi, chociaż niższa warstwa chmur powoli zmieniała się w zupe, nad którą formowało się grzmiące groźnie czoło burzowe, niespotykane o tej porze roku. Kilku z nich, w tym Richard, słyszało jak przez ścianę, że gdzieś w pokoju z głośników Bose sączy się stara jak świat piosenka Madonny, ale większość przestała zwracać uwagę na playlistę przyniesioną przez striptizerki gdzieś na wysokości Nelly'ego, ponieważ właśnie wtedy dziewczyny zaczęły zmysłowo ocierać się o siebie.

Brandon Fisher, siedzący obok Richarda na kanapie w salonie, nachylił się do niego, mamrocząc:

– Jak myślisz, skąd one są? To na pewno nie Amerykanki.

Kilka minut wcześniej jedna z nich stała w szerokim rozkroku nad Brandonem, przyciskając mu piersi do twarzy. I chyba wcale nie miała mu za złe, kiedy wsunął jej palec pod stringi. Nawet udawała, że jej się to podoba. Ponadto, ku wielkiemu zaskoczeniu Richarda, ochroniarze też się zanadto nie przejęli. Kiedy zobaczył, co robi Brandon, spodziewał się, że miśki – dwaj potężni, groźnie wyglądający Rosjanie z ogolonymi na zero głowami – rzucą się na niego i złamią biedakowi rękę. Ale nic takiego się nie stało. Brandon po prostu dał dziewczynie pięćdziesiątkę, którą ona po chwili dyskretnie wsunęła jednemu ze swoich opiekunów do kieszonki marynarki. Następnie oblizał palce i lubieżnie unióśł brwi, a kilku facetów zawyło z uciechy.

Zaraz po przyjeździe tancerki Richard przeniósł do kuchni dwa niskie stoliki, stojak na wino i ręcznie dmuchaną szklaną kulę, którą kupili w Vermont. Chciał zapewnić dziewczynom odpowiednio dużo miejsca w salonie, żeby mogły swobodnie się rozbierać i robić wszystkie inne rzeczy, za które im płacili. Teraz zrozumiał bowiem, że nie były zwykłymi striptizerkami. To ktoś więcej. Znacznie więcej. Jeszcze raz zerknął na rękę Brandona. Richard spodziewał się zupełnie czegoś innego i czuł się odrobinę... nieczysty. Ale nie wyobrażał sobie też, że miałyby w tej chwili być gdziekolwiek indziej i przegapić to, co się działo na jego oczach – chociaż wciąż nie był pewny, co to dokładnie było i czym się może skończyć. Powtarzał sobie, że jest pijany i że powinien się cieszyć z darmowego pokazu erotycznego we własnym salonie. Mimo to martwił się trochę o swój cenny orientalny dywan. Czy na pewno chciał, żeby na zawsze zostały na nim ślady seksualnych ekscesów kumpli jego brata z jakimiś obcymi kobietami?

– Z Rosji? Może z Ukrainy? Nie wiem – odpowiedział w końcu na pytanie Brandona. – W każdym razie ci dwaj mówią z rosyjskim akcentem.

Jedna z dziewczyn była krótko obcięta blondynką, druga miała kruczoczarne włosy kaskadami opadające na plecy i ramiona. Ciągle miała na sobie stringi, ale blondynka – która właśnie z rozcapierzonymi palcami ugniatała pośladki koleżanki, tak mocno, że Richardowi na moment zabrakło tchu – zdążyła się już rozebrać do naga i ciało jej pokrywał jedynie brokat, skrzący się w świetle lampy z kutego żelaza.

- Może z Bliskiego Wschodu – zastanawiał się dalej Brandon.
- Na pewno nie blondynka.
- Jest tleniona.
- Myślę, że raczej Europa Wschodnia. A może Niemcy? Albo... nie wiem, Estonia?

Nagle młodszy brat pacnął go żartobliwie w ramię, przez co Richard oblał się piwem.

– Stary! – zawołał Philip, podekscytowany jak dziecko i mocno już wstawiony. – Poważnie? Dwie laski zaraz będą sobie robić dobrze dwa metry od ciebie, a ty się zastanawiasz, skąd przyjechały? – Ze śmiechem zmierzwił Richardowi włosy i dodał: – Za długo jesteś żonaty, braciszku! O wiele, kurwa, za długo!

*

Tamtego jesiennego wieczoru Philip miał dokładnie trzydzieści pięć lat i jeden miesiąc. Żenił się z kobietą pięć lat młodszą od siebie, a więc o całą dekadę młodszą od Richarda i Kristin. Dziesięć lat to naprawdę dużo. Wystarczy spojrzeć na historię i wyobrazić sobie na przykład różnicę między 1953 a 1963 rokiem. Albo między 1992 a 2002. Narzeczona Philipa, uroczą dziewczyną imieniem Nicole, z zawodu graficzka, miała w Fort Greene własne studio ze świetlikiem w suficie, ale większość nocy spędzała w większym mieszkaniu swojego chłopaka niedaleko promenady w Brooklyn Heights. Philip ukończył zarządzanie turystyką na Uniwersytecie Cornella i kierował recepcją w modnym hotelu butikowym w Chelsea. Żeby móc stanąć u niego za czarnym, marmurowym kontuarem i przyjmować gości, trzeba było wyglądać jak supermodelka z Pragi – być wysoką blondynką z boskimi kośćmi policzkowymi. Sam siebie określał mianem hotelarza (i zawsze wypowiadał to słowo z ironią, która tak naprawdę miała maskować autentyczne poczucie dumy).

*

Kristin stała w oknie pokoju gościnnego w mieszkaniu swojej matki na Osiemdziesiątej Dziewiątej ulicy i patrzyła na światła centralnego Manhattanu. Miała na sobie granatową koszulę nocną, która kleiła się jej do

ramion i pleców, bo dosłownie przed chwilą kobieta wyszła spod prysznica. Mieszkanie mieściło się na czternastym piętrze.

Miała nadzieję, że impreza się udała i Richard dobrze się bawi. W końcu stwierdzili zgodnie, że pewnie będzie striptizerka – wiedzieli, że Philip by sobie tego życzył, a jego przyjaciele z radością sprawią mu ten prezent – ale Kristin uznała, że kobieta rozbierająca się w rytm muzyki w domu w Bronxville to właściwie nic groźnego. Dobry Boże, kiedy przypominała sobie, jak ona i Richard bawili się, gdy mieli po dwadzieścia kilka lat – jeszcze na długo przed ślubem – to wizja kilku facetów dobijających do wieku średniego, którzy popijając piwo, gapią się na taniec erotyczny w salonie, wydawała się niemalże niewinna. Nie było to może zbyt poprawne politycznie, ale w ostatecznym rozrachunku całkiem nieszkodliwe. A Richard pracował tak ciężko i miał tak niewielu przyjaciół. Owszem, w jego życiu było kilku kolegów, z którymi od czasu do czasu grał w golfa, czy też paru znajomych z banku, ale prawda jest taka, że jej mąż należał do mężczyzn, którzy godzinami siedzieli w biurze albo podróżowali, a wolny czas prawie wyłącznie spędzali z żoną i z dzieckiem. Martwiła się niekiedy, że pod tą jego dobroduszną, nieco niezdarną fasadą kryje się po prostu samotność. Była w nim jakaś rzewność, jakiś podskórny smutek. Zastanawiała się, czy pozna na imprezie kogoś, z kim uda mu się zaprzyjaźnić.

Postanowiła napisać do niego SMS-a, żeby zapytać, jak się bawią, ale nie wiedziała, czy Richard odpisze za pięć minut, za dziesięć czy dopiero rano. Poza tym nie miała pojęcia, czy zamówiona dziewczyna jest już na miejscu – niewykluczone, że zdążyła zrobić swoje i poszła do domu – i po raz pierwszy Kristin mimowolnie zaczęła się zastanawiać, co takiego może robić striptizerka w salonie domu w Westchester z gromadą trzydziesto- i czterdziestoletnich facetów, z których część już jest po ślubie. Pewnie siadała im na kolanach i rozbierała się, tańcząc, chociaż Kristin tak naprawdę nie była pewna, jak taki taniec dokładnie wygląda. Nigdy nie była w klubie ze striptizem. Zapytała Richarda – i było to pytanie natury czysto intelektualnej, bez cienia moralnego osądu – czy jego zdaniem ta kobieta rozbierze się w ich domu do naga, czy zostanie w jakichś specjalnych striptizerskich stringach.

– A jest coś takiego jak striptizerskie stringi? – odparł żartobliwie, choć odczuwał pewną chłopcę ciekawość. – Wydaje mi się, że stringi to stringi.

– Stringi są stringami, są stringami – stwierdziła Kristin, parafrazując Gertrude Stein. Ale myśl o zawodowym ubiorze tancerki erotycznej nadal nie dawała jej spokoju. – Wiesz, o co mi chodzi – dodała, odruchowo podnosząc brew.

– Stringi – odpowiedział Richard, ale widziała, że mówi to bez przekonania. A może po prostu miał nadzieję, że się myli. Nie umiała tego wywnioskować z jego tonu. Nie da się ukryć, że przepadał za widokiem kobiet w stringach; sam przez te wszystkie lata kupił ich dla niej całe mnóstwo. Ale ona oczywiście zawsze uważała je przede wszystkim za gadżet erotyczny. Element gry wstępnej. Coś, co się zakłada na randkę. Jasne, dziewczyny w liceum nosiły takie majtki przez cały dzień, ale to było, zanim zmadrzały i przestały przedkładać modę nad własny komfort. Albowiem w historii świata nie wymyślono majtek, które byłyby mniej wygodne niż stringi. Jak zażartował kiedyś Richard, „prawdziwy sekret Victorii polega na tym, że lubi nosić naprawdę niewygodną bieliznę”.

Za jej plecami, w dużym podwójnym łóżku z mahoniowym wezglowiem w stylu georgiańskim, Melissa oglądała na laptopie babci stary odcinek *Kronik Seinfelda*. Kristin położyła się obok córki i zaczęła rozwiązywać krzyżówkę, która leżała na stoliku nocnym. Po niecałych piętnastu minutach telefon zawibrował na znak, że Richard odpisał na SMS-a. „Istne bachanalia”, przeczytała. „Nie jestem dumny. Ale mam nadzieję, że wszyscy wyjdą o 12 albo 12.30. Dla co najmniej dwóch kumpli Philipa będę musiał wezwać taksówkę”.

Uśmiechnęła się. Wyglądało na to, że dobrze się bawi. Była pod wrażeniem, że każde słowo napisał bezbłędnie, chociaż podejrzewała, że telefon poprawił za niego wyraz „bachanalia”. Wyłączyła komórkę na noc.

Niedługo potem, podczas gdy jej córka nadal z zadowoleniem oglądała sitcom sprzed niemal dwudziestu lat, Kristin zasnęła. Kilka minut przed trzecią nad ranem miał ją obudzić staroświecki telefon stacjonarny, który jej matka wciąż trzymała w swoim mieszkaniu.

*

Kristin wiedziała z pierwszej ręki, że nawet w dzisiejszych czasach – a może szczególnie w dzisiejszych czasach – w cyfrowym świecie Twittera,

SMS-ów i spersonalizowanych dzwonek na każdą okazję, świdrujące staccato telefonu starego typu to wyjątkowo nieprzyjemny dźwięk. Zwłaszcza we wczesnych godzinach porannych, kiedy wszystko jest jeszcze pogrążone w mroku. W okolicach trzeciej nad ranem szanse na to, że ktoś dzwoni po to, by przekazać dobre wieści, są bardzo nikłe. Nie zerowe, bo w końcu kobiety rodzą przez całą dobę. Rodzice adopcyjni mogą dowiedzieć się, że wyczekiwane przez nich dziecko właśnie się pojawiło. Żołnierze dzwonią wtedy do domu, ponieważ są od niego oddaleni o dziewięć albo dziesięć stref czasowych i to akurat jedyna okazja, żeby przez chwilę porozmawiać z rodziną. Niewątpliwie jest jednak znacznie bardziej prawdopodobne, że o trzeciej w nocy dzwonek telefonu stacjonarnego – a właściwie każdego – sygnalizuje katastrofę. Często taką, która zmienia życie na zawsze. Ten sygnał jest jak zły omen. Właśnie w taki sposób dowiedziały się o śmierci swojego ojca.

Tak czy inaczej w pokoju gościnnym nie było telefonu. I dlatego, chociaż Kristin usłyszała dzwonek przez półprzymknięte drzwi, to jej matka musiała obudzić się w środku nocy, sięgnąć przez całą szerokość materaca – ponad stroną łóżka, po której spał jej mąż aż do chwili (dosłownie), gdy umarł – i po ciemku namacać ręką aparat. Zdjęła słuchawkę z widełek i przyłożyła sobie do ucha. Jeszcze się nie podniosła. Jeszcze nie. Matka Kristin, przemiła i pełna życia sześćdziesięcioośmiolatka, od trzech lat była wdową, ale nigdy nie brakowało jej towarzystwa, kiedy zapragnęła zjeść lunch na mieście czy wybrać się do muzeum albo na jakąś sztukę w teatrze Barrow Street. Miała osobistego trenera, trzy razy młodszego od siebie, o imieniu Sting – zbieżność ze znanym muzykiem przypadkowa – z którym ćwiczyła dwa dni w tygodniu w siłowni w swoim apartamentowcu. Często widywano ją, jak idzie spacerkiem do Nederlander czy Eugene O'Neill, a po spektaklu wraca metrem do swojego mieszkania na Upper East Side. Bez skrępowania rozpuszczała długie i całkiem siwe włosy, a bluzki zawsze rozpiniała, odsłaniając część obojczyka.

Tak więc, chociaż to jej matka musiała wyrwać się z objęć Morfeusza i spróbować zrozumieć to, co mówił przez telefon zięć, Kristin również od razu się obudziła. Otworzyła oczy i przez chwilę wsłuchiwała się w spokojny oddech swojej córki, poczuła nawet lekko owocowy zapach – chyba truskawkowy – używanego przez Melissę szamponu. I czekała. Wpatrywała

się w światło księżycy przenikające przez żaluzje. Z jakiegoś powodu wiedziała, że lada moment usłyszy skrzypnięcie drzwi i kroki matki szurającej kapciami po korytarzu jak mała dziewczynka. Chwilę potem przez szparę w częściowo uchylonych drzwiach usłyszy szept matki, która w akcie werbalnej ekwilibrystyki będzie starała się z całych sił opanować przebijającą z głosu nerwowość, żeby nie obudzić swojej wnuczki.

Na zewnątrz, czternaście pięter niżej, słychać było warkot silnika jakiegoś dużego pojazdu, prawdopodobnie śmieciarki, która po zmianie światła na zielone głośno zaczynała nabierać prędkości. Nieco dalej rozległ się dźwięk syreny, Kristin nie potrafiła jednak rozpoznać, czy to radiowóz, czy karetka pogotowia.

I wtedy, zgodnie z przewidywaniami, jej uszu dobiegł odgłos otwieranych drzwi na końcu korytarza. Matka szła do ich pokoju, a każdy kolejny krok był jak przestroga, jak wstrząs stanowiący zapowiedź trzęsienia ziemi, na które nie sposób się przygotować.

Alexandra

Naprawdę się cieszyłam, że wreszcie mogłam zobaczyć Nowy Jork. Byłam strasznie podekscytowana. W tłumach na ulicy, drapaczach chmur, nawet w twarzach mężczyzn widziałam swoją wolność. Tutaj była moja przyszłość.

Przywieźli nas z Moskwy: Sonię, Crystal i mnie. Zasady były jasne, a pieniądze sensowne. Wiedziałam, że mogą zmienić reguły, bo robili to już wcześniej, ale człowiek zawsze ma nadzieję. W każdym razie ja mam. Nadzieję, że tym razem warunki umowy się nie zmienią. Tym razem nie będzie żadnych niespodzianek.

Może to naiwność. Oni przecież zawsze zmieniają zasady. Zawsze w końcu rzuca cię na kolana.

To tylko takie wyrażenie, którego się nauczyłam. Często wcale nie byłam na kolanach. Ale nie musicie znać szczegółów technicznych. Nikt nie musi.

W każdym razie im uwierzyłam. Naprawdę. Potrwa to ze dwa lata, mówili, może trzy. Tak czy inaczej, zanim skończę dwadzieścia dwa lata, będę wolna. I będę w Ameryce. W Nowym Jorku. W centrum wszechświata.

Znałam Nowy Jork z filmów, tak samo jak Sonia i Crystal. Oglądałyśmy dużo filmów. W ten sposób zabijałyśmy czas, kiedy mieszkaliśmy w Moskwie. Moskwićanie (to słowo brzmi okropnie, jakby to byli jacyś jaskiniowcy) uwielbiali filmy natrzęsające się z komunizmu. Albo pokazujące, jak Zachód wygrywa zimną wojnę (to było przed moim urodzeniem). Albo takie, które pochwalały dążenie do szybkiego wzbogacenia się (to już były jak najbardziej moje czasy). Akcja wielu z nich rozgrywała się na Manhattanie. Pamiętam, jak razem z Sonią oglądałyśmy na DVD stare filmy w rodzaju *Północ, północny zachód*, *Trzy dni Kondora* czy *Wall Street*. O promie kursującym na Staten Island usłyszałyśmy pierwszy raz w filmie *Pracująca dziewczyna*, który nie miał nic wspólnego z tym,

czym my się zajmowałyśmy, choć sam tytuł mógłby sugerować co innego (oczywiście wtedy nie znałyśmy jeszcze tego sformułowania używanego w tym kontekście). Dzięki *Manhattanowi* i *Annie Hall* zaczęłyśmy rozumieć, na czym polegają różnice pomiędzy Nowym Jorkiem a Los Angeles.

Czasami filmy były po angielsku z rosyjskimi napisami, a to pomagało Sonii i innym dziewczynom w nauce języka w równym stopniu co moje lekcje. I zawsze oglądałyśmy *Kawalera do wzięcia* w oryginale. Jeden kanał pokazywał amerykańską wersję, inny brytyjską. Na obie gapiliśmy się godzinami. Każdy kawaler zawsze miał czyste paznokcie i był bardzo grzeczny. Kobiety miały proste, białe zęby i potrafiły robić sobie idealny makijaż. Nosiły przepiękne suknie. Tak samo kolczyki, naszyjniki i stroje kąpielowe. Wszystkie uwielbiałyśmy ten moment z różą. Nasi mężczyźni nigdy nie dawali nam kwiatów. Bo i dlaczego mieliby to robić?

Przez chwilę mieszkaliśmy w domku letniskowym, który był równie elegancki jak te wszystkie miejsca, gdzie przebywały dziewczyny próbujące uwieść kawalera. Ale nam w przeciwieństwie do nich nie było wolno wychodzić z domu. Mogłyśmy spędzić na słońcu jedną godzinę dziennie.

Tak więc czułam się trochę, jakbym znała Nowy Jork, jeszcze zanim tam trafiłam. Wszystkie trzy tak się czułyśmy. Niektóre budynki znałyśmy tak dobrze z filmów i seriali oglądanych w hotelach, że kiedy zobaczyłyśmy je na żywo, wyglądały nieciekawie. Wiecie, byłam trochę zawiedziona. Nie żartuję ani nie próbuję silić się na oryginalność. Empire State Building, kiedy staje się pod nim po raz pierwszy, jest równie ogromny jak w telewizji, ale na chodniku walają się śmieci, a przechodzący obok faceci w niczym nie przypominają tych z *Kawalera*. Z okolicznych fast foodów dobiega smród frytek i tłuszczu. Po drugiej stronie ulicy, przecnicę dalej, jest klub ze striptizem. (Sonia na pewno by go pamiętała, pracowała tam przez kilka dni). Kiedy będąc w Central Parku, po raz pierwszy zobaczyłam hotel Plaza – wtedy lepiej znałam ten budynek z filmów niż gmach opery w Erywaniu, który w dzieciństwie widywałam na własne oczy – wdepnęłam w końskie odchody. A Times Square? W Erywaniu czy Moskwie nie ma niczego, co mogłoby się równać z tym miejscem, ale filmy przygotowały mnie na niesamowity pokaz świateł składający się z reklam telewizorów plazmowych, gier na Xboksa i drogich staników. Nie byłam jednak gotowa na to, że będzie

mnie tam próbował podrywać półtorametrowej wysokości Elmo z *Ulicy Sezamkowej*, który następnie zostanie znokautowany przez Pawła. Ten biedak w czerwonym futrzanym kostiumie nawet nie widział, z której strony nadszedł cios.

Kiedy już oprowadzili nas po mieście, dużo rozmyślałam o dwóch ważnych budowlach na dwóch mniejszych wyspach. Na południu, pośrodku zatoki, z pochodnią wzniesioną nad głową stała Statua Wolności. Patrząc na nią z Battery Park, zdałam sobie sprawę, że chyba więcej się po niej spodziewałam. Śmiałyśmy się z Sonią, że Matka Armenia, która stoi na wzgórzu w Erywaniu, skopałaby jej tyłek. Z kolei na północy znajdowało się więzienie. Rikers Island. To też nam pokazali, dając bardzo wyraźnie do zrozumienia, że z równą łatwością mogą nas zabić – można by pomyśleć, że akurat o tym nie trzeba nam było przypominać, ale biedna Crystal najwyraźniej zapomniała – albo po prostu wsadzić do tego więzienia. „Szambo”, tak na nie mówili. Cały czas tłumaczyli nam, jak bardzo amerykańskie więzienie różni się od domu, w którym miałyśmy zamieszkać, od hotelu w Moskwie czy od domku na wsi. Powtarzali do znudzenia, że w porównaniu z więźniami w betonowych celach wiemy luksusowe życie i że nasz świat jest tak naprawdę bardzo bezpieczny.

Jeśli mam być szczerą, zwykle czułam się bezpieczniejsza z mężczyznami, którzy za mnie płacili, niż z którymkolwiek z naszych opiekunów albo z Białym Ruskiem, albo z facetami, którzy nas „ochraniali”, jak Paweł. Nawet nasze „opiekunki” napełniały mnie grozą.

*

Wszystko się zaważyło dwudziestego pierwszego dnia naszego pobytu w Ameryce. Naprawdę runęło. Najpierw Sonia i ja dowiedziałyśmy się, że Crystal nie żyje. Zabili ją nasi rosyjscy strażnicy. A potem Sonia do reszty zwariowała. Przeczuwałam, że tak się to może skończyć – że w końcu całkiem jej odbije – ale myślałam, że da radę przebrnąć przez tamten wieczór kawalerski. Nic z tego. Nie wiem, może obie już lata temu postradałyśmy zmysły. Pewnie tak. Ale to właśnie tamtego wieczora Sonia dostała szału. Dostała szału i pchnęła nożem Pawła, ponieważ to on i Kirył zastrzelili małą Crystal i sprawili, że jej drobne ciało zniknęło bez śladu. Bóg jeden wie, co

się z nią stało.

W głowie zostało mi dziwne wspomnienie: w domu, do którego nas zawieźli tamtego wieczora, w pokoju małej dziewczynki widziałam całą masę lalek Barbie. Siedziały w dużym plastikowym pudle. Na ich widok przypomniała mi się moja własna kolekcja, którą miałam w dzieciństwie. Ciągle zdarza mi się wracać myślami do lalek tej dziewczynki. Na pokrywie skrzyni leżała prezerwatywa. To było kilka minut po tym, jak świadek pana młodego postanowił, że jednak mnie nie przeleci (zdarzyło mi się to pierwszy raz), a potem wróciliśmy na dół. Pudełko z lalkami było pewnie ostatnią rzeczą, na jaką spojrzałam, zanim zobaczyłam Sonię, w samych stringach, uczepioną pleców tego sukinsyna Pawła. Nogami ścisnęła go w pasie, a lewą ręką obejmowała jego klatkę piersiową. Jej prawa ręka poruszała się w górę i w dół jak tłok w silniku, kiedy wbijała mu raz po raz nóż kuchenny w szyję.

To także widok, którego się nie zapomina. Później zauważyłam, że miała jego krew na rękach i włosach. Jego krew była wszędzie.

Nie wiem, jak mi się to udało, ale aż do tego momentu trzymałam się dzielnie. Za bardzo się bałam, żeby mogło być inaczej. Wykonywałam swoją pracę. Powiedzieli nam, co zrobili Crystal, a potem wpakowali nas do samochodu i zawieźli na prywatne przyjęcie w Westchester. (To był wieczór kawalerski, ale mężczyzna, który się żenił, nie miał nic wspólnego z kawalerami znanymi nam z telewizji. Nie żeby nie był przystojny. Miał ładne oczy i przez cały czas się śmiał – przynajmniej dopóki Paweł nie zginął na jego oczach. Ale to nie ten typ faceta, który uklęknął przed dziewczyną, żeby wręczyć jej różę. Miałam do czynienia z wieloma mężczyznami i umiem to dość szybko ocenić. Może prędzej świadek, jego brat, ale on z kolei był dwa razy starszy ode mnie. A pozostali faceci? W większości wyglądali na takich, którzy miewali styczność z takimi dziewczynami jak my tylko wtedy, kiedy za to płacili). Robiłam wszystko, co chcieli – nawet się uśmiechałam i udawałam, że się wczuwam, jakby to była po prostu kolejna noc na kolejnej imprezie – ponieważ wiedziałam, że Paweł i Kirył bacznie nas obserwują.

Ale Sonia? Ona przez większość wieczoru tylko czekała na właściwy moment. Była przekonana, że ją też planują zabić i że zrobią to zaraz po przyjęciu.

Sama mi to później powiedziała. Ale do tego czasu zdążyłyśmy się już ulotnić. Uciekłyśmy, żeby ratować życie.

Rozdział 2

– Kristin?

– Nie śpię – odpowiedziała, na tyle głośno, żeby jej matka dosłyszała. Jednocześnie w myślach układała już cały katalog powodów wyjaśniających, dlaczego ktoś mógłby dzwonić o tej porze. Obecność Melissy leżącej tuż obok zapewniała pewien psychiczny komfort, ale geograficzna odległość dzieląca Kristin od męża – jak bardzo tak naprawdę byli od siebie oddaleni? o jakieś dwadzieścia pięć kilometrów? – wystarczała, żeby napełnić ją lękiem, przed którym nie była w stanie się obronić. Wygrzebała się spod kołdry, starając się nie odkryć przy tym córki, i postawiła bose stopy na podłodze. W drzwiach zobaczyła ciemną sylwetkę swojej matki, której twarz skrywał cień. Mały żyrandol w korytarzu był wyłączony, ale matka musiała widocznie zapalić lampkę przy swoim łóżku. W półmroku niepokojąco przypominała kościotrupa.

– To Richard – szepnęła, kiedy Kristin przechodziła obok niej, od razu kierując kroki do sypialni matki.

– Tak podejrzewałam – mruknęła. – Wszystko w porządku?

– Nie wiem.

Kristin zamrugła, czekając, aż jej oczy przyzwyczają się do światła lampy – które w środku nocy wydawało się oślepiająco jasne – podeszła do łóżka matki i podniosła różową słuchawkę ze stolika nocnego. Aparat był tak stary, że miał nawet spiralny kabel w tym samym odcieniu różu. Jak za każdym razem, gdy trzymała go w ręku, zaskoczył ją ciężar staroświeckiego telefonu. Współczesne komórki wydawały się przy nim tak kruche i delikatne.

– Richard? – odezwała się do słuchawki. Cyfrowy zegar przy łóżku wskazywał godzinę 2.58 nad ranem.

– Przepraszam, że cię obudziłem – usłyszała w odpowiedzi. Spojrzała na

matkę, obserwującą ją z rękami skrzyżowanymi na piersi. Jej twarz, tłusta od kremu, który nakładała na noc, wyrażała głębokie zaniepokojenie, a siwe włosy, zazwyczaj nienagannie uczesane, sterczały na wszystkie strony (Kristin przypuszczała, że jej fryzura wcale nie prezentuje się w tej chwili lepiej). – Ale coś się stało – kontynuował Richard drżącym głosem balansującym na granicy rozpacz. Zdała sobie sprawę, że w dalszym ciągu jest lekko pijany. – Coś strasznego. Nikt się tego nie spodziewał. Nikt się tego...

– Jesteś cały, kochanie? – weszła mu w słowo.

– Tak, nic mi nie jest. Z nami wszystko w porządku.

– To dobrze. – Odetchnęła z ulgą, wiedząc, że jej mąż jest bezpieczny i nikomu nie stała się krzywda. Pewnie ktoś coś potłukł albo zniszczył u nich w domu. To wszystko. A on jeszcze do końca nie wytrzeźwiał i sytuacja wydawała mu się o wiele poważniejsza, niż była w rzeczywistości. Ale nic mu nie groziło, a już niedługo wstanie nowy dzień.

– Skoro wszyscy jesteście cali i zdrowi, to nic innego się nie liczy. A jeżeli coś się stało z...

Tym razem to on jej przerwał.

– Chodziło mi o to, że mnie i Philipowi nic nie jest. Ani chłopakom z przyjęcia. W każdym razie tak mi się wydaje. Ale dziewczyny...

– Dziewczyny? W sensie striptizerki? To znaczy, że była więcej niż jedna?

– Tak. I to nie były striptizerki. A może i były. Nie wiem. Ale sprawy wymknęły się spod kontroli i część chłopaków zaczęła...

– Co zaczęła?

– Nie wiem, jak do tego doszło, ale niektórym trochę odbiło i zaczęli uprawiać z nimi seks.

– Chyba żartujesz. Uprawiali seks w naszym domu? Co tam się, do cholery, wydarzyło? Kochanie, gdzie jesteś? – Złapała się na tym, że zasypuje go pytaniami, więc wzięła głęboki oddech i próbowała się uspokoić.

– Słuchaj, nie chodzi o to, że kilku chłopaków uprawiało seks –

powiedział. – Chociaż na pewno nie powinni tego robić. To było złe. Chodzi o to...

– Ty też? – przerwała mu. W jego głosie było coś, co sprawiło, że zadrżała może to przez ton, jakim wypowiedział słowa „to było złe” i zadała to pytanie całkowicie odruchowo.

– Co ja też?

Tym razem pytanie na moment uwięzło jej w gardle.

– Czy ty też uprawiałeś z nimi seks? – W jej głosie kryło się więcej niedowierzania i strachu niż gniewu i wyrzutu. Proszę, pomyślała. Po prostu powiedz, że nie. Powiedz, żebym się nie wygłupiała.

– Nie. Właściwie nie...

– „Właściwie”? Co to znaczy „właściwie nie”?!

– Chodzi o to – zaczął znowu, ignorując jej pytanie – że te dziewczyny...

Kristin, która w międzyczasie usiadła na łóżku, chciała wyprosić matkę z pokoju, ale w tym momencie całe ciało odmawiało jej posłuszeństwa. Jej mąż właśnie pieprzył się w ich domu z jakąś striptizerką. Być może w ich salonie. Była tego pewna. Żołądek podszedł jej do gardła, jak gdyby siedziała w samolocie, którym rzucają gwałtowne turbulencje.

– Co dziewczyny? – zapytała, a jej głos zabrzmiał głucho i obco nawet dla niej samej. To trochę tak, jak wtedy, gdy człowiek słucha nagrania swojego głosu: tembr i intonacja zawsze okazują się inne, niż nam się wydaje. Zerknęła na matkę, która słyszała każde wypowiedziane przez nią słowo i stała przy drzwiach ze zszokowanym wyrazem twarzy.

– Dziewczyny zabiły tych facetów, tych, którzy je tutaj przywieźli. Zabiły ich. Było ich dwóch, dwóch facetów, i teraz nie żyją. Obaj nie żyją, Kris. Jednego zabiły naszym nożem, tym, który trzymamy w stojaku przy desce do krojenia. Potem wzięły jego pistolet i zastrzeliły tego drugiego. I teraz ci dwaj wielcy Rosjanie nie żyją.

Przez chwilę Kristin nic nie mówiła. W głowie bezskutecznie próbowała przetworzyć przerażające wieści, które przekazał jej Richard. W ich domu zginęli ludzie. Mężczyźni – w tym jej mąż – pieprzyli się w ich domu ze

striptizerkami. Wspólnym mianownikiem dla obu tych koszmarów był wieczór kawalerski jej szwagra, człowieka, którego nigdy nie darzyła specjalną sympatią. Dlatego wśród całej gamy emocji, które teraz odczuwała, na pierwszy plan wysuwała się wściekłość na niedojrzałego młodszego brata Richarda, przyćmiewająca nawet smutek i wstyd wywołany faktem, że jej mąż uprawiał seks ze striptizerką.

– Gdzie jesteś? – odezwała się w końcu. Chciała mu zadać masę pytań. Nie wiedziała jeszcze tak wielu rzeczy.

– Na komisariacie. Wszyscy tu jesteśmy.

– O Boże. W Bronxville?

– Tak. Składamy zeznania. Mówimy im, co się stało.

– A dziewczyny? – To słowo odbijało się echem w jej głowie. Nagle wydawało się zupełnie nieodpowiednie. Ale tak się określa striptizerki. Kiedy mija się takie miejsca jak Hustler Club na West Side Highway, szylidy nigdy nie głoszą, że wewnątrz można znaleźć „setki kobiet”, tylko właśnie „setki dziewczyn”.

– Uciekły. Zniknęły. Zabiły tych dwóch osiłków, goryli, strażników, zbirów, nie wiem, jak ich nazwać, zabrały ich portfele i zwitki pieniędzy z kieszeni i odjechały tym samym samochodem, którym przyjechały. Nie ma ich.

W drzwiach sypialni, za plecami matki, Kristin ujrzała swoją córkę. Tarła rękami zaspane oczy. Miała na sobie flanelową piżamę ze Snoopym: różowo-białe spodnie w kratkę i górę z obrazkiem słynnego psa na desce surfingowej, mówiącego: „Cowabunga!”. Pytała babcię, co się dzieje, czy coś się stało, kto dzwoni.

To dziecko, pomyślała Kristin, na moment przestając zwracać uwagę na to, co mówi w słuchawce jej mąż, to jest właśnie „dziewczyna”. Dziewczyna nie pieprzy się z cudzymi mężami na wieczorze kawalerskim i nie rzuca się z nożem na swoich ochroniarzy. Dziewczyna...

Ta dziewczyna ma dziewięć lat.

Ale ta myśl zniknęła równie szybko, jak się pojawiła, porwana przez

rwący, nieustępliwy strumień obrazów, którego Kristin nie umiała w żaden sposób zatamować. Oczami wyobraźni widziała swojego męża na kanapie z jakąś striptizerką, która opiera nogi na jego ramionach; swojego szwagra leżącego pod inną striptizerką na podłodze w salonie; dwóch obcych mężczyzn, ubranych w czarne T-shirty i ciasne jeansy, z bicepsami, jakie na ogół można zobaczyć tylko na siłowni, wykrwawiających się na śmierć. Ale gdzie mogli się wykrwawiać? Automatycznie wyobraziła sobie dwa trupy w kuchni, na włoskich kafelkach, tylko dlatego, że według Richarda dziewczyny złapały za jeden z noży, którymi ona od lat przygotowywała posiłki dla niego i ich córki. Kuchnia. To słowo z jakiegoś powodu utkwilo jej w głowie, kiedy wysłuchiwała skróconej relacji męża. Ale tak naprawdę dwaj ochroniarze przecież mogli zginąć gdziekolwiek. W salonie. W jadalni. W salonie.

– Kris? – Dotarł do niej głos męża. – Kris, jesteś tam jeszcze?

– Mhm. Jestem – odpowiedziała, po czym dodała: – Jednym z moich noży?

Cztery słowa. Jedno krótkie pytanie. Więcej nie była w stanie z siebie wykrzesać.

– Tak – potwierdził. – Jednym z naszych noży. Dziewczyna z blond włosami. Tak mi się wydaje. Pamiętam to jak przez mgłę. To wszystko stało się tak szybko.

– Rozumiem...

– I jest jeszcze coś.

– Naprawdę? Serio, Richard, jakim cudem to jeszcze nie koniec?

Zaczął jej opowiadać, w jakim stanie jest dom, wspomniał o krwi na obrazie, ale w którymś momencie nie była już w stanie przyswoić sobie kolejnych rewelacji. Było tego za dużo, i to wszystko było zbyt okropne. Okropne dla niego, dla niej, dla nich. Popatrzyła na swoją matkę i swoją córkę. Nagle uświadomiła sobie, że cała się trzęsie.

*

Kristin nie była pewna, skąd wzięło się to wspomnienie ani co oznaczało:

siedziała sama na schodkach przed drzwiami swojego rodzinnego domu w Stamford w stanie Connecticut, z dachem pokrytym gontem z beżowego cedru. Chodziła wtedy do czwartej klasy, czyli miała tyle samo lat co jej córka teraz. Było późne letnie popołudnie w środku tygodnia, a jej matka rozpakowywała zakupy w kuchni i zabierała się do gotowania obiadu. Od zachodu nadciągała burza, szare chmury sunęły żwawo po niebie, jakby stanowiły część scenografii w teatrze. Ale nie zaczęło jeszcze padać, a naelektryzowane powietrze było nadal rześkie. Wcześniej matka kupiła jej w supermarkecie pojemnik na drugie śniadanie i karty z postaciami i scenami z *Powrotu do przyszłości*. Kristin uwielbiała ten film. Jak wiele innych dziewięciolatek podkochiwała się w Michaelu J. Foksie. Zaraz po powrocie do domu posortowała karty; te przedstawiające Marty'ego McFlya i Lorraine Baines były dla niej dużo cenniejsze od tych z latającym deloreanem. Dzisiaj, kilkadziesiąt lat później, ta chwila kojarzyła się jej nie tylko ze szczęściem, lecz także z bezpieczeństwem. Na tamtej werandzie, tamtego sierpniowego popołudnia czuła się naprawdę bezpiecznie. Jej ojciec miał niedługo wrócić do domu, podobnie jak starszy brat, który włóczył się nie wiadomo gdzie. Tymczasem z kuchni znajdującej się na końcu korytarza, za toaletą – którą jej matka eufemistycznie nazywała „pudrownią” – dobiegały odgłosy składania papierowych toreb i ustawiania puszek na półkach w spiżarni. Gdy matka skończyła rozpakowywać zakupy, rozległo się głośne stuknięcie, po którym nastąpiła seria szybkich uderzeń: drewniana deska do krojenia z hukiem opadła na blat i matka zabrała się za siekanie cebuli. Kristin od razu rozpoznała zapach sosu barbecue.

Gdy tylko zrozumiała, skąd się wzięło to wspomnienie – dlaczego jej umysł wygrzebał z zakamarków pamięci tamtą odległą chwilę – natychmiast przyszły jej na myśl jej własne noże. Noże, którymi przez lata kroїła marchewki, wołowinę i cielęcinę. Przed oczyma stanął obraz tasaka, którego ani razu nie zdarzyło jej się użyć, ząbkowanego noża do chleba, po który sięgała każdego dnia, noża Nakiri, nieodzownego przy przygotowywaniu sałatek. Obraz drewnianych rękojeści z trzema metalowymi nitami. To były ręcznej roboty noże prosto z Japonii. Dostali je z Richardem w prezencie ślubnym.

Spojrzała na swoje nogi, gołe od połowy uda. Zastanawiała się, którego noża użyły striptizerki.

– Kristin? – Z zamyślenia wyrwał ją głos matki. Zdała sobie sprawę, że po odłożeniu telefonu siedziała na łóżku nieruchoma i milcząca, szukając pocieszenia we wspomnieniach z dzieciństwa, jak najdalej od krwawej łaźni, w którą pewnie zmienił się jej salon. Jak marmurowa rzeźba. Można by ją zatytułować *Zdruzgotana kobieta w koszuli nocnej*.

– Kristin?

Przeniosła wzrok na matkę. Próbowała otrząsnąć się z osłupienia, skoncentrować, zmusić do działania. Wymagało to niemałego wysiłku. Musiała powiedzieć Richardowi, że rano wsiądzie w pierwszy pociąg do Bronxville. Najchętniej natychmiast wróciłyby do domu, ale jej matka od dwóch lat nie miała samochodu; sprzedała swoje volvo niedługo po śmierci męża, bo odkąd zamieszkała na Manhattanie, używała go tak rzadko, że nie było sensu wydawać co miesiąc pieniędzy na miejsce parkingowe w pobliskim garażu. Tak więc w głowie Kristin powoli zaczął układać się plan. Najpierw musi się ubrać – od tego trzeba zacząć. Równie dobrze mogła to zrobić od razu. Za kilka godzin złapie pociąg do Westchester. Melissa zostanie u babci przez cały weekend i dzisiaj zgodnie z planem pójdą razem do teatru. Kristin tymczasem prosto z dworca w Bronxville pojedzie swoim samochodem do domu, ponieważ Richard mówił, że do tego czasu powinien już wrócić. Wrócić z komisariatu.

Kristin bała się, że chwyta się strzępów normalności jak tonący brzytwy, chociaż to tylko kwestia czasu, kiedy pójdzie na dno. W jej domu zamordowano dwóch ludzi po tym, jak jej mąż i szwagier razem z grupą przyjaciół gapili się na dwie striptizerki.

Nie. Po tym jak pieprzyli się z dwiema dziwkami.

Westchnęła. Cały czas próbowała się wygrzebać z ruchomych piasków beznadziei i rozgoryczenia, ale pod ręką nie było żadnych pnączy czy korzeni, które mogłyby jej pomóc wydostać się na powierzchnię. Dziwki. W jej własnym domu. Z jej własnym mężem. Dom, w którym razem z Richardem budowali wspólne życie, gdzie wychowywali córkę, stał się miejscem zbrodni. Wydarzyło się to pośród ścian, które do tej pory stanowiły bastion ich bezpieczeństwa i rodzinnego szczęścia.

– Mamo?

Zarówno matka, jak i córka czekały, aż się odezwie. A może chciały się jedynie upewnić, że nie obróciła się w kamień na ich oczach. Kristin przeczesała palcami włosy i poklepała ręką materac.

– Chodź, moja śliczna – powiedziała do córki. – Usiądź tu koło mnie.

– Kristin, co się dzieje? – zapytała matka. – Czy coś się stało Brzmiał jakoś dziwnie.

– Richardowi nic nie jest – odpowiedziała Kristin. – Tatusiowi nic nie jest – dodała, zwracając się bezpośrednio do Melissy. Próbowała sobie przypomnieć, co mówiła pod koniec rozmowy z mężem, a tym samym, co mogły usłyszeć. Czy użyła słowa „seks”? Albo „striptizerki”? Tak. Pamięta dokładnie.

Melissa usiadła obok niej na łóżku. Trzęsa się tak samo jak ona zaledwie kilka minut wcześniej. Kristin objęła dziewczynkę i przytuliła ją do siebie.

– Wszystko w porządku, słoneczko – powiedziała miękko.

Wiedziała, że przez wzgląd na córkę musi przedstawić ocenzurowaną, maksymalnie uładzoną wersję wydarzeń. Brakujące szczegóły – Boże, te szczegóły! – mogła dopowiedzieć matce później, kiedy już się ubierze, a Melissa – oby! – pójdzie z powrotem spać.

– W domu zdarzył się mały wypadek. Podczas wiecz... podczas przyjęcia wujka Philipa.

– Nie przyjęcia, tylko wieczoru kawalerskiego – poprawiła Melissa, która rzecz jasna wiedziała, co to była za impreza. W końcu za dwa tygodnie miała rzucać płatki kwiatów na jego ślubie.

– Tak.

– Jaki wypadek?

– Dwaj panowie, którzy tam byli... zmarli. Na przyjęcie przyszło kilka osób, które nie zostały zaproszone. Nie powinno ich tam być. I wygląda na to, że... doszło do bójki. – Kristin czuła na sobie wzrok swojej matki, która uważnie się przysłuchiwała, próbując wyłuskać prawdę z jej starannie zawoalowanych słów.

– No to była bójka czy wypadek? – zapytała Melissa.

– Och, sama do końca nie wiem – skłamała Kristin. – Ale najważniejsze, że ani tatusiowi, ani wujkowi Philipowi nic się nie stało.

– Czyli to ich koledzy się zabili? Znałam ich?

– Nie. Posłuchaj, wszystko będzie dobrze – obiecała, sama próbując uwierzyć w to krótkie zdanie. Ale nie była w stanie. Nie potrafiła. Dlatego po prostu mocniej przytuliła córkę i zaczęła się z nią delikatnie kołysać. Starła się zatracić w tym kojącym, jednostajnym ruchu, żeby uciszyć rozpacz, która rozdzierała jej duszę. Za kilka minut odprowadzi dziecko z powrotem do sypialni i ponownie zapakuje do łóżka. Okryje ją aż po same ramiona. Pocałuje w czoło i oba policzki, jak zawsze, gdy układa ją do snu. Tak samo robił Richard, kiedy wypadała jego kolej, żeby poczytać córce przed snem i dać całusa na dobranoc. Potem Kristin ubierze się szybko w świetle wpadającym z korytarza. Uczesze włosy w sypialni matki, może nawet zrobi lekki makijaż. Napije się kawy i powie matce prawdę. Całą wstydliwą, wstrętną, odpychającą prawdę.

A potem zamówi taksówkę na dworzec Grand Central i pojedzie do domu.

Alexandra

Moja matka pracowała jako sekretarka w wytwórni brandy w Erywaniu, a jej bezpośrednim przełożonym był sam prezes. Moja babcia – od strony matki – była pielęgniarką. Po śmierci ojca mieszkaliśmy we trzy. Zginął wiele lat temu, byłam wtedy bardzo mała, w wypadku w elektrowni wodnej, gdzie pracował. Poraził go prąd. Tamtego ranka życie straciło sześciu pracowników, ale tylko on nie umierał w męczarniach. Pozostałych pięciu utonęło. Ludzie mówią, że to dużo gorsza śmierć, i myślę, że mają rację. Pamiętam, jak strażnik w domku na wsi zanurzał mi głowę w wannie pełnej wody. Podtapianie było jednym ze sposobów dyscyplinowania naszej trójki. Nie zostawia siniaków. Ani blizn. Towar wciąż prezentuje się dobrze. Francuzi mają nawet na to osobne słowo: *noyade*. Oznacza egzekucję przez utopienie. Termin pochodzi z czasów rewolucji francuskiej. Sprawdziłam w słowniku.

Szef mojej matki był jednym z tych postsowieckich spryciarzy. Niczym kameleon z komunisty bez problemu przeistoczył się w kapitalistę. Nazywał się Wasilij. Był cholernie cwany. I zawsze umiał się dobrze ustawić. Był rosyjskim oligarchą, który przyjechał do Armenii z Wołgogradu i za bezcen kupił wytwórnię brandy na obrzeżach miasta. Ten skandal jednak przeszedł bez echa. W końcu to przecież tylko jeszcze jedna fabryka przejęta przez rosyjskiego oligarchę.

Kiedy matka zmarła, Wasilij się mną zaopiekował. Oczywiście na dłuższą metę jego opieka okazała się katastrofalna w skutkach. Wywróciła do góry nogami całe moje życie.

Jednak w tych pierwszych tygodniach po śmierci matki czułam się bezpiecznie. Czułam się jak księżniczka. Czułam, że jakkolwiek by było, w końcu wszystko jakoś się ułoży.

W dzieciństwie mówiłam po ormiańsku i rosyjsku, ale kiedy miałam siedem lat, zaczęłam się uczyć w szkole angielskiego. W wieku piętnastu lat biegle posługiwałam się tym językiem. W oczach Wasilija ten fakt podnosił moją wartość. Byłam egzotyczną piękną o wciąż drobnej i szczupłej sylwetce. Wystarczyło tylko posadzić mnie przed telewizorem, żebym nauczyła się mówić jak kurtyzana. Tę umiejętność miałam wykorzystywać podczas schadzki z amerykańskimi bankierami, którzy przyjeżdżali do Moskwy w interesach. Taki był plan.

Moje nauczycielki, Inga i Catherine, naprawdę używały określenia „kurtyzana”. Myślę, że wołały je od słowa „dziwka”.

*

Matka mówiła, że przed moim urodzeniem ludzie w Erywaniu mieli prąd tylko przez kilka godzin dziennie. Nigdy przez całą dobę. Po trzęsieniu ziemi i upadku Związku Radzieckiego Ormianie zamknęli elektrownię jądrową znajdującą się na linii uskoku. To była dobra decyzja dla tych, którzy nie chcieli drugiego Czarnobyla w tej samej dekadzie, ale niekoniecznie dla tych, którzy próbowali budować demokrację. Przerwy w dostawach prądu sprawiły, że ludzie zaczęli tęsknić za Związkiem Radzieckim. Sąsiedzi moich rodziców żalowali, że mieszkają w mieście, a nie na wsi, bo chłopcy mieli przynajmniej krowie gówno, które mogli palić, żeby się ogrzać.

Niektórzy twierdzili też, że na wsi było więcej jedzenia, ale ja sobie nie przypominam, żebym kiedykolwiek chodziła głodna.

Urodziłam się w 1996 roku, do tego czasu problemy z elektrycznością już dawno zniknęły. Mogłam się bawić po zmroku tak długo, jak tylko chciałam.

*

Erywań był wspaniałym miastem, nawet po trzęsieniu ziemi i po upadku Związku Radzieckiego. Kiedy byłam małą dziewczynką, wyobrażałam sobie, że to musi być jedno z najpiękniejszych miejsc na świecie. Budynki ze skały wulkanicznej. Gmach opery przypominający pałac. W naszej dzielnicy gdzie się obrócić, wszędzie stały rzeźby i pomniki.

I to właśnie w Erywaniu zaczęłam chodzić na balet. Jak wiele małych dziewczynek, tańczyłam od rana do wieczora. W przeciwieństwie do innych

dziewczynek jednak byłam w tym naprawdę dobra. Miałam być następną Victorią Ananyan – następnym Aksamitnym Ptakiem. Tak przynajmniej uważała moja nauczycielka. Każdą chwilę wolną od nauki i zabawy wypełniałam tańcem. A potem przestałam się bawić i tańczyłam jeszcze więcej. Chodziłam na lekcje sześć razy w tygodniu.

Wierzyłam, że kiedyś będę wiodła luksusowe życie w Rosji, a potem w Ameryce. Ale najpierw zamierzałam zatańczyć w *Jeziorze łabędzim* i w *Gajane*, a przedtem skończyć Akademię Baletu Bolszoi.

Sęk w tym, że wizja wyjazdu do Ameryki była równie kusząca. Już jako mała, mniej więcej dziesięcioletnia dziewczynka spotykałam w Erywaniu Amerykanów. Przyjeżdżali do nas na okrągło. I to nie tylko nastolatki czy młodzi wariaci, którym się wydawało, że odbudują ten kraj. Nie, Erywań odwiedzało mnóstwo zwykłych turystów. Widywałam ich na alei Północnej, na Kaskadach czy na placu Republiki. Godzinami oglądali fontanny na skwerze nieopodal budynków rządowych. Robili sobie zdjęcia pod operą albo przy pomnikach Komitasa, Chaczaturiana i Saroyana. Przyjeżdżali z Los Angeles, które zawsze kojarzyło mi się z filmami. Z Nowego Jorku, który został zaatakowany przez terrorystów, kiedy miałam pięć lat, ale gdy kończyłam dziesięć, był dla mnie po prostu miastem pełnym drapaczy chmur i ze stojącą w porcie Statuą Wolności. Z Massachusetts, które kojarzyło mi się jedynie z nazwą Red Sox – dopiero później dowiedziałam się, że chodzi o drużynę bejsbolową. Wszystkich tych Amerykanów otaczała aura luksusu. Byli tacy sami jak ci bogaci Ormianie, którzy przyjeżdżali z Libanu, Syrii i Dubaju. Może tylko jeszcze bardziej eleganccy.

Wracając do Wasilija. Kilka lat po tym, jak zostałam uprowadzona, jedna ze starszych dziewczyn powiedziała mi, że to on prawdopodobnie zabił moją matkę. A ściślej mówiąc, zlecił jej zabójstwo. Wasilij nie mordował własnymi rękami. Miał od tego ludzi. Miał goryli. I to oni wykonywali za niego brudną robotę.

Pamiętam, jak próbowałam wyprowadzić ją z błędu. Tłumaczyłam, że moja matka zmarła w szpitalu. Opowiedziałam o tym, jak wyglądała jej agonia. To nie był przyjemny widok. Ani trochę. Razem z babcią siedziałyśmy przy jej łóżku. Moja matka chorowała na raka. Ale tamta dziewczyna stwierdziła, że to pewnie Wasilij zatrzał jej organizm. Wstrzyknął

jej raka do krwi.

Ona naprawdę w to wierzyła, co tylko pokazuje, jakie byliśmy głupie i naiwne.

Powiedziała, że powinnam pójść na policję, żeby wszczęto śledztwo w sprawie śmierci mojej matki. Ale już wtedy byłam w Moskwie. I już nie tańczyłam. W każdym razie nie w balecie. Od czasu do czasu zdarzało mi się jeszcze tańczyć nago, głównie dla spoconych facetów, ale do tego nie potrzebowałam ani sceny, ani nawet rury. Wystarczały hotelowe otomany i kanapy, kolana mężczyzn, a potem sypialnie, gdzie robiłam wszystko, czego chcieli. Do kogo miałam się zwrócić w Moskwie? I niby co ktoś mógłby zrobić w tej sprawie? Odpowiedź jest oczywista: nic. Nikt nic nie mógł zrobić. I nic by nie zrobił. Poza tym, kto chciałby mi pomóc? Dlaczego jakiś obcy człowiek miałby się w to angażować? Jaki jest sens ratować bezwartościową, osieroconą dziewczynę?

Tak przynajmniej wtedy myślałam.

W każdym razie Wasilij nie zabił mojej matki. To rak płuc spowodował, że nie mogła oddychać i żyła w nieustannym bólu.

Za to w pełni wykorzystał sytuację po jej śmierci.

I od tej chwili miałam już naprawdę przesrane. Wiem, że zwykle tak się tylko mówi, ale to słowo idealnie opisuje moje życie.

*

Dlaczego tamta dziewczyna myślała, że Wasilij kazał zabić moją matkę? Podczas jednej z jego wizyt w Moskwie usłyszała, jak o nas rozmawiał ze swoim ochroniarzem. Matka nie dała się nabrać na jego historyjkę o tym, że chciałby zrobić ze mnie pierwszorzędną tancerkę. Tak naprawdę chciał ze mnie zrobić pierwszorzędną prostytutkę, co mu się zresztą udało.

Prawdę mówiąc, nawet nie wiem, czy moja matka w ogóle chciała, żebym została baletnicą. Nie odstępowała mnie na krok, i to nie tylko dlatego, że próbowała mnie chronić. Ona po prostu mnie potrzebowała. Wiele osób to zauważyło. Ludzie mówili mi, że to przez trzęsienie ziemi i śmierć męża. Pragnęła zatrzymać mnie przy sobie w Erywaniu, gdzie byłabym bezpieczna. Nie chciała, żebym wyjechała tańczyć do Rosji, Europy

czy Ameryki. Miałam studiować medycynę na uniwersytecie, który znajdował się nieopodal naszego mieszkania. Miałam zostać pediatrą. I miałam pomagać Ormianom. Taki był plan. Przynajmniej jej plan. Bo skoro jej matka pracowała jako pielęgniarka, to dlaczego córka nie mogłaby zostać lekarką?

Moja babcia była innego zdania. Nie miała nic przeciwko szkole baletowej. Chyba wychodziła z założenia, że zawód lekarza (czy pielęgniarki) jest mocno przereklamowany. Bardzo podobał jej się pomysł, żebym została tancerką, i gorąco mi kibicowała. Próbowałam jakoś między nimi lawirować, ale każda mówiła co innego, co wywoływało mętlik w mojej głowie. Matka uważała, że świetnie piszę. Poradziła się w tej sprawie jednej ze swoich koleżanek, a ta stwierdziła, że skoro tak bardzo chcę być artystką, to może mogłabym zostać poetką. Właściwie mogłabym być poetką i lekarką jednocześnie. Kiedy ma się dwanaście lat, możliwości wydają się nieograniczone.

Ale dla mnie to była tylko czcza gadanina. Obwiązywałam taśmą palce, masowałam stopy, rozciągałam się, wrzucałam do torby baletki – które napawały mnie ogromną dumą – i pędziłam na lekcje. Zdarzały się takie dni, że biegłam w podskokach dosłownie przez całą drogę. Tyle radości sprawiało mi taniec, kiedy byłam małą dziewczynką.

*

W Erywaniu było mnóstwo sierocińców, ale nie trafiłam do żadnego z nich. Nie musiałam, bo mieszkalam z babcią. Zmieniło się jedynie to, że teraz całą sypialnię, którą wcześniej dzieliłam z mamą, miałam tylko dla siebie. Dopiero po śmierci matki ogarnął mnie głęboki smutek, który już od wielu tygodni towarzyszył mojej babci. Kiedy ma się kilkanaście lat, trudno uwierzyć w to, że matka naprawdę umiera. Nastoletni umysł chyba nie przyjmuje do wiadomości faktu, że chemioterapia może nie przynieść żadnego skutku, albo że naświetlania tylko odraczają wyrok. Nastoletni umysł po prostu nie akceptuje tego, co nieuniknione. Skupiałam się tylko na małych krokach naprzód, zupełnie nie zauważając większych kroków wstecz. U mojej matki nigdy nie doszło do remisji. Lekarze nigdy nie powiedzieli, że pokonała raka. A mimo to każdy jej pobyt w szpitalu, każdy okres, gdy jej stan się pogarszał, traktowałam jako fazę przejściową.

Oczywiście zdawałam sobie sprawę ze wszystkich komplikacji, ale wierzyłam, że mama w końcu wyzdrowieje. Przecież nie było innej możliwości, prawda? Przecież to niemożliwe, żeby dziewczynka, która straciła ojca we wczesnym dzieciństwie, teraz została pozbawiona także matki.

Kiedy mama leżała w szpitalu, razem z babcią chodziłam do kościoła. Kapłani okazywali nam wielką życzliwość. Gdy patrzę na tamtą sytuację z dzisiejszej perspektywy, wydaje mi się, że błędnie interpretowali moje zachowanie: spokój i wyciszenie milczącej nastolatki postrzegali jako dowód pełnego zrozumienia powagi sytuacji. Nic bardziej mylnego. To było raczej całkowite wyparcie.

Przez ostatnie dwa tygodnie siedziałam przy jej łóżku, kiedy tylko mogłam, i trzymałam ją za rękę. A raczej za kości obciążone skórą. Wpadałam do szpitala po szkole, spędzałam tam chwilę, biegłam na balet i po zajęciach znów wracałam. Zadziwiające, w jak szybkim tempie jej stan się pogarszał. Kiedy szła do szpitala, jeszcze mogła ze mną rozmawiać, choć wypowiedane przez nią zdania były krótkie i często przerywane atakami kaszlu. Pod sam koniec jednak już nie rozmawiałyśmy. Trzymałam tylko jej dłoń. Kiedy umysł mamy zasnuła mgła morfiny – gdy ustał wreszcie kaszel, a ciałem przestały wstrząsać spazmy bólu – a potem osunęła się w otchłań śmierci, byłam w szoku.

Po pogrzebie czułyśmy się z babcią bardzo samotne, pomimo tego, że miałyśmy siebie. Ona straciła córkę, a ja matkę. Babcia z pewnością w życiu wiele razy widziała śmierć, ale teraz musiała patrzeć, jak umierało jej własne dziecko, i to na oczach wnuczki.

Obie dużo milczałyśmy. Bo co można było powiedzieć?

*

Towarzyszył nam wtedy Wasilij. Jeśli on sam nie mógł się zjawić, w pobliżu zawsze kręcili się jego ludzie. Odwiedzał nas i w mieszkaniu, i w szpitalu – jego przybycie za każdym razem zwiastowała intensywna woń wody kolońskiej. Tulił nas, opowiadał zabawne historie i śmiał się jak wariat z własnych dowcipów. Jego śmiech był tak donośny i zaraźliwy, że czasami my też się śmiałyśmy.

Przynajmniej przez chwilę.

Rozdział 3

Richard stał na podjeździe z założonymi rękami i wpatrywał się w policyjne radiowozy oraz mobilne laboratorium kryminalistyczne. Był cały zmarznięty – do wschodu słońca została jeszcze jakaś godzina, a on nie pomyślał o tym, żeby zabrać kurtkę, kiedy jechali na posterunek policji. W tej chwili jego młodszy brat wracał już na Brooklyn, reszta gości też rozeszła się do domów.

Nie mógł się zmusić, żeby wejść do środka. W każdym razie nie od razu. Potrzebował jeszcze paru chwil. Z drugiej strony, był bardzo ciekaw, co tam zastanie, dlatego podszedł do okna, torując sobie drogę pomiędzy karłowatymi hortensjami. Jego krokom towarzyszył chrzęst kory sosnowej pod podszewkami. Zakładał, że zwłoki już dawno zniknęły z salonu i kiedy zajrzał do środka, rzeczywiście nie zauważył tam martwego ochroniarza. Za to jego krew była wszędzie. Kanapa obita beżowym materiałem w ciemnogrnatowe kwiaty wyglądała, jakby stała w rzeźni. W grobowym mroku swojego skacowanego umysłu Richard wyobraził sobie krowę wiszącą na przenośniku taśmowym, która wykrwawia się prosto na tę kanapę. Przez chwilę zastanawiał się, gdzie widział podobną scenę. W końcu oświeciło: w filmie dokumentalnym w telewizji PBS. Przed oczami stanął mu obraz ochroniarza w chwili śmierci. I od razu przypomniał sobie, dlaczego tyle krwi wylądowało na jego kanapie: mężczyzna, Rosjanin, którego niemalże komiczny akcent przywodził na myśl Borisa Badenova z *Rocky'ego* i *Łosia Superktosia*, przechylił się nad oparciem w poszukiwaniu czegoś, co upadło na siedzenie. Chyba chodziło o zapalniczkę, bo pomiędzy poduszkami połyskiwało coś srebrnego. Chwilę później Richard dostrzegł kolejny błysk – tym razem stalowego ostrza. Wszyscy czworo, ochroniarze i dziewczyny, szykowali się do wyjścia. Richard dopiero co sprowadził na dół... jak jej tam... Alexandrę. I nagle tamta blondynka – tak drobna i lekka, że kiedy wcześniej siedziała na nim okrakiem na tej samej kanapie,

przyciskając do jego twarzy piersi ze sterczącymi sutkami, prawie nie czuł jej ciężaru, jakby oplotło go babie lato – wyrosła jak spod ziemi, rzuciła się na Rosjanina od tyłu i wbiła mu w szyję nóż, niemal po rękojeść. Facet stanął dęba i usiłował ją z siebie zrzucić, ale oczy wyszły mu już z orbit i zaczął się dławić krwią. Richard gapił się (wszyscy gapili się beczynn timer, dając popis typowej impotencji męskich przedstawicieli klasy średniej) na krew tryskającą z jego szyi niczym z fontanny na dzielnicowym festynie. Chlusnęła przede wszystkim na kanapę, ale ochlapała też grzbiety książek stojących na białych regałach, a także – tuż przed tym, jak ochroniarz runął na dywan – pejzaż spod znaku Hudson River School, pędzla mało znanego, lecz wyjątkowo utalentowanego dziewiętnastowiecznego malarza, wiernego naśladowcy Bierstadta.

Dziewczyna zaczęła przeszukiwać kurtkę zabitego. Zabrała mu portfel, z kabury wyciągnęła pistolet – dobry Boże, pomyślał wtedy Richard, ten facet naprawdę nosił pistolet w kaburze! Z kieszeni wyjęła zwitki dwudziesto-, pięćdziesięcio-i (tak, tak) studolarowych banknotów, na które obie ciężko zapracowały. Obrzuciła pozostałych facetów przelotnym spojrzeniem (Richard nie potrafił stwierdzić, czy jej wzrok wyrażał smutek, czy pogardę), po czym wybiegła na korytarz i skierowała się do wyjścia. Całe ramiona miała obryzgane krwią. Twarz i policzki też były usiane czerwonymi plamami. Wyglądała jak przedszkolak, który umazał się farbą, używając palców zamiast pędzla. Chwilę później uczestnicy imprezy, głęboko zszokowani tym atakiem furii i sparaliżowani strachem o własne życie, usłyszeli dwa strzały, które padły w odstępie kilku sekund. Huk nie był ogłuszająco głośny, ale i tak mrozący krew z żyłach, ponieważ – po pierwsze – działo się to w środku nocy, a po drugie – wszyscy doskonale wiedzieli, co to za dźwięk i co on oznacza. Właśnie wtedy Richard zobaczył tę drugą dziewczynę, z czarnymi włosami (równie filigranową jak jej koleżanka). W jednej ręce trzymała pistolet, w drugiej kluczyki. Nie miał pojęcia, czy to ta sama broń, którą blondynka zabrała zadżganemu ochroniarzowi. Ona także rozejrzała się po salonie, po czym pospiesznie narzuciła na siebie ubranie – teraz, zaglądając do środka przez okno, Richard zauważył, że najwyraźniej nie zdążyła założyć wszystkich części garderoby, ponieważ na oparciu jednego z krzeseł nadal wisiała biała bluzka, którą dziewczyna miała na sobie w chwili przyjazdu – wybiegła z salonu i razem z blondynką zniknęły w

mroku nocy. Żadnemu z mężczyzn nie przyszło do głowy, żeby próbować je zatrzymać. Richard uznał, że wszyscy, łącznie z nim samym, byli po prostu zbyt oszołomieni i przerażeni tym, co się stało. Dopiero gdy usłyszeli warkot zapalnego silnika, przestali trząść się ze strachu. Bo prawda jest taka, że wszyscy się trzęśli. Bez wyjątku.

Pierwszy odezwał się brat Richarda, Philip.

– Co to, kurwa, było? – wymamrotał pod nosem. – Serio, co tu się, kurwa, wydarzyło?

Ale doskonale znał odpowiedź na to pytanie. Wszyscy znali.

Przecież jeszcze niecałą godzinę wcześniej Philip przechylał się przez oparcie tej samej kanapy i pożądlivym wzrokiem śledził ruchy dziewczyn, które klęcząc na tych poduszkach, zabawiały się ze sobą. Richard pamiętał, że miały na sobie marynarki, które chwilę wcześniej zarekwirowały facetom – jedna z nich należała chyba do jego brata – i fakt ten wzbudzał w nim więcej irytacji niż pożądania. Nie chodziło tylko o to, że po powrocie do domu marynarki tych nieszczęśników będą przesiąknięte zapachem striptizerek. Bardziej denerwował go fakt, że ubrania zbyt wiele zakrywały i nie mógł do woli napatrzeć się na ich ciała. Na biodra i piersi. Na tę część kobiecego obojczyka, która zawsze wydawała mu się niezwykle podniecająca.

Oczywiście już chwilę później widział wszystko, co chciał, przynajmniej jeśli chodzi o ciało brunetki. Przedstawiła się jako Alexandra, ale na pewno nie było to jej prawdziwe imię – w każdym razie od razu tak założył. Spencer Doherty, kumpel Philipa z hotelu, zapłacił dziewczynom za seks: jedna miała się pieprzyć z przyszłym panem młodym, a druga – z Richardem, gospodarzem imprezy i świadkiem ślubu (już w trakcie imprezy Spencer poprosił pozostałych gości, żeby zrzucili się po sto albo dwieście dolarów, żeby pokryć koszty tego prezentu; większość się zgodziła). Ale za dodatkową opłatą inni również mogli skorzystać z usług prostytutek, nawet obu naraz, i spędzić z nimi chwilę na osobności. Boris Badenov wyraźnie dał to do zrozumienia, podobnie jak same tancerki. Philipowi tymczasem w ogóle nie zależało na jakichkolwiek pozorach intymności. Był tak pijany, że nawet nie chciało mu się przenieść do jednej z sypialni na górze. Bez skrupowania, na

oczach dopingujących go kumpli zaczął się pieprzyć z blondynką na podłodze w salonie. Richard przysłuchiwał się ich okrzykom, prowadząc brunetkę do pokoju gościnnego na piętrze (nie wchodziło w grę, żeby zabrał ją do sypialni, którą dzielił z Kristin, ani do pokoju Melissy, ani nawet do pokoju z kinem domowym i kolekcją płyt, w którym stały dwie wygodne kanapy). Zaczął z nią rozmawiać jeszcze na schodach, głównie po to, żeby zagłuszyć okrzyki facetów kibicujących jego bratu oraz donośne jęki blondynki, godne zawodowej gwiazdy porno.

– Skąd jesteś? – zapytał, a ona oparła mu głowę na ramieniu, jakby byli parą kochanków na randce, i zaczęła opowiadać o Armenii i Rosji, i o tym, że w innym życiu mogłaby pokazać mu najpiękniejsze rzeźby i parki w Erywaniu i Moskwie.

– U podnóża Kaskad w Erywaniu stoi kot Botero – powiedziała.

– Botero? – powtórzył. – To jakaś rasa kota? Jak syjamski albo abisyński?

Podniosła na niego wzrok i uśmiechnęła się.

– Nie, głuptasie. Botero to nazwisko rzeźbiarza. Z Kolumbii. Ten kot to naprawdę wielka rzeźba. Jest czarny i gruby, puszysty jak poduszka. Ale ma twarz króla. Królewskie rysy.

– Dostojne?

– Można tak powiedzieć.

– A te Kaskady to jakiś wodospad w środku miasta?

– Kaskady to jakby schody. Kompleks tarasów. Na każdym poziomie są rzeźby.

Wyjaśniając, zaczęła rozpinąć jego koszulę. Nie stawiał oporu. Wyprostował ręce, żeby pomóc w ściągnięciu rękawów.

– Lubię patrzeć na męski tors – powiedziała i złożyła pocałunek na wysokości jego mostka.

– Ile mają poziomów?

Spojrzała na niego.

– Kaskady?

Pokiwał głową.

– Tak dawno mnie tam nie było. Nie wiem. Nie pamiętam. Siedem? Może osiem?

– Dorastałaś w pobliżu? – Zwrócił uwagę na rzewny ton, jakim to powiedziała.

– Tak, niedaleko. W tym mieście są naprawdę piękne miejsca. Na przykład gmach opery. Nic nie może się z nim równać. Przynajmniej dla mnie.

Uporała się z kłamrą paska i rozpięła rozporek. Na to również jej pozwolił. Jeszcze nigdy nie był z tak hipnotycznie seksowną kobietą. I wiedział, że nigdy więcej to się nie powtórzy. Starał się zapamiętać każdy szczegół: jej uśmiech, piersi, nawet palce. Kiedy już zsunęła mu spodnie i bieliznę, uklękła, żeby ściągnąć skarpetki, ale powstrzymał ją i zrobił to własnoręcznie. Po chwili oboje byli całkiem nadzy.

– Od jak dawna tu mieszkasz? – zapytał. – W Ameryce?

– Ćśśś... – szepnęła, a w jej ciemnych oczach zatańczyły iskierki. – Ćśśś...

Zrobiła krok w tył, w kierunku łóżka, ciągnąc go obiema rękami za sobą.

*

W końcu nie uprawiali seksu w pokoju gościnnym. Richard przez dłuższą chwilę stał nad nią, gdy siedziała na łóżku, a jej stopy – drobne i erotycznie wygięte, z paznokciami pomalowanymi na dzieciennie różowy kolor – dyndały kilka centymetrów nad podłogą. Kiedy wyciągnęła ku niemu dłoń, zobaczył, że u rąk ma ten sam lakier co u stóp.

Przesunął rękami po jej udach i poczuł pod palcami gęsią skórę. Miała gładkie, jędrne ciało, ale on mógł myśleć tylko o tym, że tej biednej dziewczynie musi być zimno. Natychmiast się od niej odsunął.

Choć był mocno wstawiony, jakiś pomniejszy ośrodek jego mózgu nadal pamiętał, że ma żonę. Że jest mężem i ojcem.

Choć wypił naprawdę dużo, zrozumiał, że sprawy zaszły za daleko. Absurdalnie daleko. Jak to się, na Boga, stało, że wylądował w łóżku ze striptizerką – nie, nie była striptizerką, tylko prostytutką, dziewczyną do towarzystwa, dziwką – podczas wieczoru kawalerskiego swojego brata? To przecież jakiś obłąd.

Poza tym ta wiotka istota siedząca przed nim musiała być wiekiem bardziej zbliżona do jego córki niż do niego. Ta niezwykle piękna dziewczyna, która w tej chwili była całkowicie do jego dyspozycji, mogła mieć od osiemnastu (proszę, pomyślał, proszę, niech ma przynajmniej osiemnaście) do dwudziestu dwóch czy trzech lat. Najwyżej. Ale pewnie miała mniej. Ta świadomość napełniła go odrazą do samego siebie.

– Nie – powiedział, a ta pojedyncza sylaba zabrzmiała niemalże jak zduszony krzyk. – Nie.

Dziewczyna pochyliła się do przodu i przez chwilę myślał, że zrozumiała. Ale ona tylko popatrzyła na niego z uśmiechem i idealnie odegranym wyuzdanym wyrazem twarzy i porozumiewawczo uniosła jedną brew. Przysunęła się do niego, otwierając usta. Richard położył palce na jej skroniach i łagodnie ją odepchnął.

– Dziękuję – powiedział, zdając sobie sprawę, jak niezręcznie i żałośnie to brzmi – ale nie.

Obawiał się, że już i tak bezpowrotnie utracił znaczną część poczucia własnej wartości, które wiązało się z tym, że był mężem i ojcem. Czy nie skompromitował się dostatecznie, obserwując na dole tańce erotyczne, te zmysłowe, niewiarygodnie podniecające akrobacje? Oczywiście, że tak! A to? To rzecz jasna było coś o wiele gorszego. Głęboko w trzewiach czuł ciężar wyrzutów sumienia, duszący żal wywołany tym, na co już sobie pozwolił, a także z powodu tego, z czego właśnie rezygnował.

– Jestem żonaty.

Wzruszyła ramionami.

– Domyśliłam się.

– Nie, chodzi mi o to... – Głos uwiązł mu w gardle. Po chwili spróbował jeszcze raz. – Nie wiedziałem, że to wszystko zmierza... w tym kierunku –

powiedział po prostu.

Wyglądała, jakby zastanawiała się nad jego słowami. Przyszło mu do głowy, że być może za słabo zna angielski, żeby pojąć, co miał na myśli, mówiąc „w tym kierunku”. Ale zanim zdążył powiedzieć coś więcej, zapytała: – Może chcesz po prostu porozmawiać? – Poklepała materac, zachęcając, żeby usiał obok niej.

– Możemy porozmawiać na dole – wymamrotała. – To znaczy... chyba powinniśmy wracać na przyjęcie.

– Uroczy z ciebie facet – powiedziała, a on w końcu się poddał. Zbliżył się na chwiejnych nogach i usiadł koło niej. Objął ją ramieniem, żeby ją trochę ogrzać. I zaczęli rozmawiać. Pytał o jej rodzinę, zasmucił się na wieść, że nie ma nikogo. Opowiadał, że jego żona uczy w szkole i oboje uwielbiają patrzeć, jak ich córka tańczy. Że dwa lata temu Melissa miała obsesję na punkcie odznak harcerskich. I lalek Barbie, z których zdążyła już wyrosnąć.

– Och, ja też uwielbiałam Barbie.

– Jeszcze w Armenii?

– Tak. Miałam ich całe stosy.

– Naprawdę? Skąd?

– To długa historia.

– Opowiedz mi.

Ale ostatecznie Richard nie dowiedział się, skąd miała tyle lalek, ponieważ z tego co słyszał, zabawa na dole robiła się coraz bardziej dzika, i uznał, że naprawdę powinien już wrócić. Zresztą każde z nich czuło, że wewnętrzny budzik, który oboje nastavili w głowach, gdy ruszyli na górę, zaraz zacznie dzwonić. Ona pierwsza zeskoczyła z łóżka, po czym schyliła się, oparła mu ręce na udach i cmoknęła go w policzek.

– Twoja żona to szczęściara.

Zobaczył, że na jej nogach znów pojawiła się gęsia skórka.

– Dam ci jakiś koc, co? Możesz się nim owinąć jak szalem. Nadal jesteś zziębnięta.

– Nie trzeba, naprawdę.

Potem obserwowała, jak się ubiera. Wydawała się całkiem spokojna i zupełnie niespeszona własną nagością. Cały czas powtarzała, że jest cudownym (użyła dokładnie tego słowa) i wyjątkowo łagodnym mężczyzną. Mówiła, że lubi słuchać jego kojącego głosu i opowieści. Że ma miły uśmiech. Kiedy skończył, stanęła na palcach – jak baletnica – i pocałowała go w usta, ale ten pocałunek miał w sobie coś czystego i niewinnego. Wyobrażał sobie, że właśnie w taki sposób kobieta mogłaby pocałować swojego byłego kochanka, żegnając się z nim po raz ostatni. Było w tym gościu coś nieodpartego i Richard pomyślał z pewnym smutkiem, że oto właśnie dlatego faceci zakochują się w striptizerkach: nie chodziło wcale o rozwiązłość, perfekcyjne odgrywanie roli kochanki czy uległą gotowość do spełnienia wszelkich zachcianek. One po prostu posiadały tę niezwykłą zdolność odgadywania potrzeb w najbardziej nieoczekiwanych momentach. Richard sięgnął do tylnej kieszeni spodni po portfel, dzisiejszego wieczora wyjątkowo wypchany banknotami, wyjął kilka pięćdziesiątek i setek, które pobrał wcześniej z banku, żeby mieć na... na wszystko, co trzeba, i wręczył je dziewczynie. W sumie jakieś dziewięćset dolarów. Podziękowała mu, żartując, że nie ma gdzie schować pieniędzy.

– Będiesz miała, kiedy się ubierzesz – powiedział.

Schodząc z nią po schodach, wziął ją pod ramię, jakby to był dziewiętnasty wiek, a oni właśnie wybrali się na spacer po drewnianej nadmorskiej promenadzie.

– Możesz powiedzieć kumplom, że mnie przeleciałeś. Zresztą i tak będą myśleć, że to zrobiliśmy.

Zatrzymał się na półpiętrze i spojrzał na nią. Jak mógł nie zauważyć, że jej aksamitnie brązowe oczy mają idealny kształt migdałów, a drobny zadarty nos przypomina małą skocznę narciarską? Patrząc na nią, doszedł do wniosku, że ma przed sobą dziewczynę o najbardziej symetrycznych rysach twarzy na świecie, dziewczynę o anielskiej twarzy, pomimo wykonywanej przez nią profesji, i że nawet na trzeźwo nie zmieniliby w tej kwestii zdania. Próbował zagłuszyć poczucie winy, powtarzając sobie, że ostatecznie oparł się jej urokowi. Oparł się tej stojącej obok niego nagiej istocie, choć tak

ochoczo chciała mu się oddać.

Potrząsnął głową. Ochoczo? Przecież była prostytutką, tłumaczył sobie w duchu, bezskutecznie próbując nabrać do niej bardziej obojętnego stosunku. Dostawała pieniądze za to, żeby on czuł się dokładnie w ten sposób. Właśnie wręczył jej prawie tysiąc dolarów, choć Spencer już wcześniej jej za niego zapłacił. A jednak, niezależnie od wszystkiego, ta dziewczyna go oczarowała. Była miła, łagodna i inteligentna. Przypomniawszy sobie moment, w którym razem z blondynką wdrapała mu się na kolana i zaczęła się o niego ocierać. Przysunęła twarz do jego twarzy i niemal musnęła ustami jego wargi. Miał ochotę ją pocałować, ale jeszcze wtedy był przekonany, że tej granicy nie wolno mu przekroczyć i jeśli to zrobi, ochroniarz błyskawicznie ją od niego odciągnie. Przypomniawszy sobie, jak starał się nie odrywać rąk od poduszek, żeby nie ulec pokusie i nie dotknąć jej ramion, nie przebiec palcami po gładkiej skórze w kolorze pszenicy.

Ile dał jej wtedy pieniędzy? Pięćdziesiąt dolarów? Sto? Naprawdę nie pamiętał.

W tym momencie dotarło do niego, że dziewczyna coś mówi. Z trudem zmusił swój umysł do wydźwignięcia się na powierzchnię bagna złożonego z alkoholu, pożądania i nienawiści do samego siebie, którego odmęty tłumili wszystkie odgłosy zewnętrznego świata. Okazało się, że powtarzała to, co mówiła już wcześniej: śmiało może puścić wodze fantazji, relacjonując to, co zaszło w pokoju gościnnym na piętrze.

„Zresztą i tak będą myśleć, że to zrobiliśmy”.

Przez ułamek sekundy wydawało mu się, że zaraz zwymiotuje.

*

W chwili gdy Richard przeszedł przez drzwi frontowe swojego domu, jeden z policyjnych techników kryminalistyki z wielkim nabożeństwem pobierał próbki krwi z kafelka w korytarzu, a drugi metodycznie zdejmował odciski palców i zabezpieczał ślady DNA. Obaj mieli naciągnięte na buty jasnoniebieskie ochraniacze. Richard zobaczył, jak trzeci z techników do przezroczystej plastikowej torebki wrzucił łuskę po jednym z dwóch wystrzelonych naboju. Znalazł ją w pobliżu wieszaka.

– Pewnie z makarowa – mruknął pod nosem mężczyzna, zanim poczuł na sobie wzrok właściciela domu. – Dziewięć milimetrów.

Richard wkroczył do salonu. Ich pięcioletnia szylkretowa kotka, którą wzięli ze schroniska jako młode kociątko i nazwali Cassandra, siedziała na szczycie regału z książkami, obserwując krzątanicę. Wydawała się zadowolona, że wreszcie widzi kogoś znajomego. Kolejny z techników, poważny, niski mężczyzna o wychudzonej twarzy i z przeredzonymi żółtawymi włosami, na widok Richarda odłożył nożyczki. Właśnie miał odciąć mały kawałek poplamionego krwią pokrowca na bocznym oparciu kanapy oraz fragment materiału z pleców mebla.

– Kim pan jest? – zapytał.

– Ja tu mieszkam. Jestem Richard Chapman. – Wyciągnął rękę na powitanie, ale technik najwyraźniej nie był zainteresowany uprzejmościami.

– Jak się pan tutaj dostał?

– Przez drzwi frontowe – odparł Richard, starając się panować nad swoim tonem.

– Świetnie – powiedział technik, z powrotem podnosząc nożyczki. – Pewnie, czemu nie? Niech sobie ludzie chodzą po miejscu zbrodni i zdeptują ślady. Przecież to nie moja sprawa. To pewnie nowa polityka firmy. Mam nadzieję, że panu nie przeszkadza, że zbieram sobie tutaj dowody – powiedział sarkastycznie i wręczył mu parę ochraniaczy na obuwie.

– Nie, skądże – zapewnił Richard. Jak mógłby mieć coś przeciwko? Zresztą na tym etapie naprawdę już się nie przejmował kanapą. Dobry Boże, i tak będą musieli ją dać do ponownego obicia. Nie. Będą musieli w ogóle się jej pozbyć i kupić nową. Dlatego jeszcze raz potwierdził, że technicy mogą śmiało rozcinać materiał. Jak dla niego mogli ją nawet rozedrzeć na strzępy.

Policjantka z wydziału śledczego, wysoka kobieta o wyglądzie naukowca, która najwyraźniej nadzorowała prace na miejscu zbrodni, zobaczyła, że Richard rozmawia z technikiem, i zaraz do niego podeszła.

– Nie taką imprezę sobie zaplanowaliście – odezwała się, a w jej głosie pobrzmiwało więcej współczucia niż dezaprobaty. Miała krótko przycięte

afro, nosiła okulary w czarno-brązowych oprawkach. Richard stwierdził, że z ubioru przypomina kasjerkę w banku, a nie detektywa. Chociaż z drugiej strony tak naprawdę nie wiedział przecież, jak ubierają się policyjni detektywi; jego wiedza na ten temat nie wykraczała poza to, co widział w serialach kryminalnych. W każdym razie kobieta miała na sobie ciemne spodnie garniturowe, golf i rozpinany granatowy sweter. Oprócz Richarda była jedyną osobą w domu, której dłoni nie skrywały cienkie gumowe rękawiczki koloru prezerwatywy. Zauważył, że miała długie i szczupłe palce. Jak u pianistki.

– To prawda – przyznał. Rozglądając się po zdemolowanym pokoju, pomyślał, że z pewnością mogła potraktować go znacznie surowiej. Powinna była to zrobić. Salon przypominał pobojuwisko. Podłoga była zavalona butelkami po piwie, którego resztki wsiąkały w orientalny dywan i długie panele z ciemnego klonu. Z miejsca, gdzie stał, widział trzy rozbite kieliszki do wina, dwa z odłamanymi nóżkami – wyglądały, jakby kat ściął im głowy – a jeden roztrzaskany w drobny mak. Na komodzie stały ciasno ściśnięte butelki, jedne opróżnione w całości, inne tylko do połowy: czerwone i białe wino, wódka, tequila i whisky. Skojarzyły mu się z fabrycznymi kominami górującymi nad industrialnym pustkowiem. Był tam też plastikowy dzbanek z sokiem pomarańczowym, ponieważ Chuck Alcott na imprezie pił jednego screwdrivera za drugim. Boczny stolik był cały poznaczony okrągłymi śladami po kieliszkach i puszkach. Trzeba będzie go oddać do renowacji, pomyślał Richard. A może od razu wziąć siekierę i porąbać go na kawałki, a zimą spalić je w kominku.

– Mogę wiedzieć, jak się pani nazywa? – zapytał.

– Oczywiście. Jestem Patricia Bryant.

– Richard.

– Wiem – odparła. – Mogę panu w czymś pomóc?

– Nie. Raczej nie.

– W takim razie chyba powinien pan stąd wyjść.

– Ja tu mieszkam.

Kobieta pokiwała lekko głową.

– Nikt panu nie powiedział? Ktoś powinien był to zrobić. Przykro mi, ale ten dom to miejsce zbrodni. Nie może pan tu przebywać. Mogę panu pokazać nakaz przeszukania, jeśli pan chce. Nie mam pojęcia, jak pan w ogóle wszedł do środka i dlaczego nikt pana nie zatrzymał.

W pierwszym odruchu chciał protestować, ale wiedział, że to nic nie da. Dlatego opanował się i zapytał: – Mogę zabrać trochę rzeczy? Dla rodziny. Może jakieś ubrania?

– Nie. Przykro mi, ale jeszcze raz powtarzam, prowadzimy tu śledztwo. Na pewno ma pan znajomych, u których możecie się zatrzymać. Najwyżej na kilka dni.

– Moja żona dzisiaj wraca z miasta.

– Radzę więc, żeby ją pan zatrzymał – powiedziała, po czym posłała mu przyjazny, niemal konspiracyjny uśmiech. – Podejrzewam, że i tak jest już na pana wystarczająco zła.

Spojrzał na zegarek. Kristin wyjedzie od matki najwcześniej za pół godziny. Z lękiem oczekiwał ich kolejnej rozmowy.

Patricia wskazała na półki i zniszczone grzbiety książek. Na jaśniejszych okładkach smugi i plamy krwi tworzyły efektowny wzór.

– Moi ludzie mogą zabrać niektóre obwoluty?

– Boże, tak. Książki też weźcie, proszę.

– Dobrze.

Niemal jednocześnie oboje przenieśli wzrok na obraz, na podrabianego Bierstadta, który także był obryzgany krwią. Szeroka czerwona wstęga biegła przez drzewa, błękitne niebo i niski klif, z gracją opadający ku ciemnogrnatowym wodom rzeki Hudson. Richardowi coś przyszło do głowy.

– Na komisariacie dostałem wizytówkę firmy sprzątającej. Może zna pani kogoś, kto zajmuje się renowacją obrazów?

– Zawodowo? Nie. Ale moja kuzynka wykłada na wydziale historii sztuki na Uniwersytecie Nowojorskim. Ona na pewno może kogoś polecić.

- Myśl pani, że da się go jeszcze uratować?
- Nie wiem. Moja kuzynka by wiedziała. Może tak.
- Dzięki.

Spojrzał na dywan, na którym poprzedniego wieczora jego brat – jego zaręczony brat – uprawiał seks z blondwłosą dziwką. Sonią? Tak, chyba właśnie tak się przedstawiła. Nie mógł się zdecydować, czy powiedzieć policjantce, że powinni szukać na dywanie jej włosów albo śladów naskórka. Znaleźliby też DNA jego brata. Boże, znaleźliby jego cholerną spermę. Ale w końcu jego brat nie był podejrzanym w sprawie o podwójne morderstwo. Kiedy pojechali na policję, detektywi przede wszystkim dopytywali o nazwę agencji towarzyskiej na Manhattanie, z której usług skorzystał kumpel Philipa, Spencer. Właściwie tylko Spencera mocniej przycisnęli podczas przesłuchania. Niemniej to Philip będzie musiał się gęsto tłumaczyć swojej narzeczonej, Nicole. (Oczywiście brat Nicole, Eric, też nie mógł zgrywać niewiniątka. Był w grupie facetów, którzy po kolei zaszywali się z blondynką w jakimś ciemnym kącie domu, aby zażyć Bóg wie jakich rozkoszy cielesnych). Richard zastanawiał się, czy ich związek to przetrwa. I co ważniejsze, czy przetrwa to jego własne małżeństwo. Powtarzał sobie, że tak, ponieważ Kristin miała dobre, litościwe serce, że przecież spędzili razem ponad piętnaście lat – i najzwyczajniej w świecie bardzo się kochali – ale nie da się ukryć, że nawalił. On i cała reszta. I choć cały czas próbował odgadnąć, jaka będzie reakcja Kristin i Nicole, jego myśli uparcie dryfowały w kierunku Melissy. Jak ona to przyjmie? Jak, na miłość boską, ma to wszystko wytłumaczyć swojej dziewięcioletniej córce? Razem z Kristin żartowali czasem z polityków, którzy muszą opisywać własnym dzieciom swoje erotyczne wybryki. Gdybyś był Billem Clintonem, jak usprawiedliwiłbyś się przed Chelsea z incydentu z Monicą Lewinsky? Co byś powiedział o cygarze, berecie i o niebieskiej sukience? Gdybyś był Anthonym Weinerem, jak byś wyjaśnił swojej córce, że odczuwasz nieodpartą potrzebę wysyłania obcym kobietom zdjęć swoich genitaliów?

– Nie ma za co – powiedziała Patricia. – Czym się pan zajmuje? Ktoś wspominał, że jest pan bankierem.

- Pracuję w banku inwestycyjnym. We Franklin McCoy.

– A pański brat?

– Jest hotelarzem.

Pretensjonalność tego określenia sprawiła, że aż uniosła brew z rozbawienia.

– Jest menedżerem w hotelu Cravat. Odpowiada za pokoje.

– To ten modny hotel w Chelsea?

– Zgadza się.

Skrzyżowała ręce na piersi i westchnęła.

– Wygląda pan na miłego faceta – zaczęła. – Na pewno nie spodziewał się pan, że w pańskim salonie rozegrają się takie dantejskie sceny.

– Nie. Nigdy.

– Proszę wybaczyć szczerść, ale naprawdę wdepnął pan w niezłe gównno. Mogę pana o coś spytać?

– Oczywiście.

– Czy kiedyś już miał pan do czynienia z dziewczynami tego typu?

Z dziewczynami tego typu. Richard nie był pewny, co dokładnie miała na myśli, więc powiedział po prostu: – Nie.

– Nie chodzi pan do klubów ze striptizem po pracy?

– Nie.

– To dobrze.

– Eee... dzięki.

– Wielu facetów chodzi.

Pokiwał głową. Wiedział, że jednym z nich jest jego brat.

– I nie ma pan w telefonie zapisanego numeru do agencji towarzyskiej, ukrytego pod jakimś niewinnym kryptonimem? Nie oceniam, tylko pytam.

– Również nie.

Zerknęła na podłogę, na miejsce, gdzie kilka godzin wcześniej

napakowany rosyjski alfons wykrwawił się na śmierć.

– Gdzie pan był, kiedy pierwszy z mężczyzn dostał nożem?

Pokazał palcem błyszczącą mahoniową komodę, na której Kristin często stawiała wazon z kwiatami. Teraz zalegały tam otwarte butelki z alkoholem, brudne kieliszki oraz miska wczorajszego guacamole, przypominającego kupę niemowlęcia. Ktoś zgasił w nim papierosa. Pewnie Spencer. Gdy Richard przyjrzał się bliżej, okazało się, że w misce jest nawet kilka niedopałków.

– Co pan zrobił, kiedy zobaczył pan, że dziewczyna ma nóż?

– To wszystko działo się tak szybko, że naprawdę nie dało się nic zrobić. Wbiła mu nóż w szyję i sekundę później była już na korytarzu.

– Mówi pan o blondynce?

– Tak.

– I co dalej?

– Jak już mówiłem na komisariacie, usłyszeliśmy strzały.

– Dwa?

– Zgadza się. Przecież odpowiedziałem już na te wszystkie pytania.

– Doceniam to – odparła. – Wszyscy doceniamy. Dziękuję.

– Nie ma za co.

– Wyświadczy mi pan przysługę, jeśli odpowie pan jeszcze na kilka. Ułatwi mi pan trochę życie – powiedziała z uśmiechem. – No więc jedna z dziewczyn pchnęła nożem pierwszego alfonsa, a ta druga zastrzeliła drugiego.

– Nie wiem tego na pewno. Blondynka wybiegła z salonu i kiedy usłyszeliśmy strzały, była na korytarzu razem ze swoją... koleżanką. Więc chyba mogła to zrobić którakolwiek z nich. Ale myślę, że jednak blondynka.

– Dlaczego?

– Wydawała się trochę bardziej... dzika.

– Aha.

– To znaczy, w sumie obie mogły to zrobić.

– Jasne. Panie Chapman, nie jestem prokuratorem, ale w pańskim domu zamordowano dwóch ludzi. Pan, pański brat oraz wasi znajomi uprawialiście seks z dziewczynami, które...

– Ja nie – wtrącił odruchowo.

– Powiedziano mi, że poszedł pan na górę z jedną z nich.

– Ale nie uprawialiśmy seksu.

– Niech będzie. Ale to... – wskazała ręką na ślady masakry, jakby była prowadzącym w jakimś teleturnieju – rozniesie się po całym internecie. Będą o tym trąbić w gazetach i w telewizji. Pracuje pan we Franklin McCoy. Na pewno nie chciałby pan, żeby to się odbiło na pańskiej reputacji. A biorąc pod uwagę zeznania niektórych uczestników imprezy i to, czyje ciała leżą w tej chwili w kostnicy, jest całkiem możliwe, że ślicznotki, które tańczyły w pańskim salonie, nie były prostytutkami, tylko nieletnimi niewolnicami seksualnymi. A to duża różnica.

Richard nie był pewny, czy większe wrażenie zrobiło na nim słowo „nieletnie” czy określenie „niewolnice seksualne”, ale nagle nogi się pod nim ugięły i upadł na pseudozabytkowy dywan. Miał się kojarzyć ze stylem francuskim, z Ludwikiem którymś tam. Kupili go z Kristin w salonie Ethan Allen w Hartsdale. Pamiętał dokładnie ten dzień. To była niedziela, może tydzień po przeprowadzce do Bronxville. Najpierw zawieźli malutką Melisę na zabawę do koleżanki, a potem zjedli miły, kameralny lunch tylko we dwoje. Z nadzieją patrzyli w przyszłość. Richard zamknął oczy i wspomnienie tamtego dnia powróciło z całą wyrazistością, łącznie ze słońcem, które oślepiło go, gdy wsiadał do samochodu i ruszyli z powrotem do swojego nowego domu. Byli młodzi, a on czuł się niewiarygodnie bogaty jak na faceta zaraz po trzydziestce. Wkrótce miał awansować na stanowisko kierownicze, a pewnego dnia, jeżeli będzie się trzymał obranej ścieżki, pewnie stanie na czele działu fuzji i przejęć. Miał poczucie – choć to sformułowanie zawsze wydawało mu się nieznośnie przesłodzone – że cały świat mu sprzyja.

Kiedy wreszcie otworzył oczy i spojrzał w górę, ujrzał Patricię, która podała mu szklankę wody.

– Przez chwilę myślałam, że pana straciliśmy – powiedziała.

Richard wziął łyk wody.

– Obie miały po dwadzieścia kilka lat – stwierdził stanowczo, chociaż doprawdy nie był tego pewny. Ta na górze? Alexandra? Równie dobrze mogła mieć szesnaście albo siedemnaście. Nie da się tego wykluczyć. Była przecież taka... maleńka. Przypomniawszy sobie gęsią skórkę na jej udach. Różowy lakier do paznokci.

– Może dwadzieścia jeden albo dwadzieścia dwa – dodał. – Ale na pewno nie były dziećmi.

– Cóż, dowiemy się, jak je złapiemy.

Wiedział już mniej więcej, jak wyglądała ich ucieczka. Dziewczyny zabrały czarnego cadillaca, który należał do jednego z Rosjan, i pojechały na dworzec kolejowy w Bronxville. Tam porzuciły samochód – tak przynajmniej wszyscy zakładali – i wsiadły do ostatniego pociągu jadącego na Manhattan. Póki co można było tylko zgadywać, czy wysiadły na Grand Central czy na Sto Dwudziestej Piątej ulicy albo na którymkolwiek z przystanków leżących po drodze, ale z jakiegoś powodu przyjęto teorię, że dojechały aż na Czterdziestą Drugą ulicę. A potem? Zniknęły bez śladu. Mogły wskoczyć do metra na Grand Central i udać się w którymkolwiek kierunku albo złapać taksówkę i kazać się zawieźć do którejkolwiek części miasta – czy nawet na jedno z lotnisk – i jeśli ktoś im pomógł, mogły już być na pokładzie samolotu. Policja zakłada, że miały przy sobie dwa pistolety, ponieważ kabury obu zabitych Rosjan były puste, a zatem powinno się je uważać za wysoce niebezpieczne. Nóż kuchenny Kristin również zniknął, ale ponieważ trudno ukryć coś tak dużego, jeden z policjantów na komisariacie uznał, że prawdopodobnie pozbyły się go podczas ucieczki.

– To pewnie naiwne pytanie... – zaczął Richard.

– Proszę pytać.

– Jeśli były niewolnicami seksualnymi... a my o tym nie wiedzieliśmy... czy możemy mieć kłopoty?

– To pytanie do prawnika. Ale fakt, że o czymś nie wiedzieliście, nie usprawiedliwia was z prawnego punktu widzenia.

– I nie zapłaciliśmy za seks. Zapłaciliśmy za „taniec egzotyczny”, tak się chyba na to mówi. Przynajmniej z tego, co wiem.

– Więc postanowiły uprawiać z wami seks, ponieważ zwyczajnie nie mogły się wam wszystkim oprzeć.

– Mówię tylko, że to nie była prostytutka. W każdym razie nie takie było założenie.

– Powtarzam: nie do mnie to pytanie.

– Mogę jeszcze o coś zapytać?

– Wydaje mi się, że dotąd okazałam się wyjątkowo mało pomocna, ale proszę bardzo.

– Jeżeli Rosjanie przetrzymywali te dziewczyny jako...

– Niewolnice seksualne – dokończyła za niego policjantka. – Dwa słowa. Nie są trudne do wymówienia. Chyba że ktoś taki akurat znajduje się w naszym domu. Albo kiedy chodzi o naszą córkę.

– Niewolnice, rozumiem. Więc skoro one były ich więźniami, czy nie miały prawa zabić swoich porywaczy?

– Naprawdę pan myśli, że tak właśnie działa wymiar sprawiedliwości? Taki inteligentny bankier jak pan?

Richard przeczesał włosy palcami.

– Rozumiem.

– Życie to nie gra wideo.

– Nie – przyznał. – To fakt.

– Poza tym będzie dla nich o wiele lepiej, jeżeli to my znajdziemy je jako pierwsi.

– Pierwsi?

– Zanim zrobią to, proszę mi wybaczyć sarkazm, ich menedżerowie. Ich

szefowie. Nie wiem, kim są ci dwaj, co leżą w kostnicy. Ich portfele zniknęły. Zresztą jestem pewna, że i tak mieli fałszywe dokumenty. Wszystkie dane kompletnie zmyślane.

– Nie możecie ich zidentyfikować na podstawie DNA?

– Naoglądał się pan za dużo seriali. System CODIS przydaje się tylko pod warunkiem, że czyjeś DNA znajduje się w kartotece. A nie ma co na to liczyć, o ile tamci dwaj nie mają przeszłości kryminalnej.

– To samo dotyczy dziewczyn?

– Zgadza się. A dla nich to niedobrze. Bo ci dwaj goście, których sekcja zwłok odbędzie się dziś rano, nie działali sami. I nawet jeśli znajdowali się dość nisko w hierarchii, to i tak gdzieś tam są teraz naprawdę wkurzeni ludzie, którzy będą chcieli te dziewczyny odnaleźć, albo po to, żeby zagonić je z powrotem do roboty, bo ich praca jest wyjątkowo lukratywna, albo po to, żeby je zabić. I gdybym miała skłonności do hazardu, postawiłabym raczej na to drugie. Dołożą wszelkich starań, żeby ich pozostałe niewolnice broń Boże nie pomyślały sobie, że takie nieposłuszeństwo może im ujsć na sucho. Nie oszukujmy się. Nawet jeśli te dziewczyny są dla kogoś bardzo cenne, to nadal są tylko towarem. Wcale nie tak trudno zastąpić je kimś innym.

Richard dopił wodę i podniósł się z podłogi. Postąpił krok naprzód i zachwiał się, niemal wpadając na komodę. Natychmiast spojrzał na Patricię i podniósł obie ręce.

– Nie jestem pijany. Przynajmniej już nie.

– Po prostu niezdarny?

– Naprawdę jestem niezdarny. Nie uwierzyłaby pani, jakie idiotyczne akcje przydarzały mi się w życiu – powiedział, przypominając sobie swoje audi staczające się tyłem z podjazdu. – Ale teraz po prostu jestem tym wszystkim trochę...

– Wstrząśnięty?

– Tak. Wstrząśnięty.

Wiedział, że musi zadzwonić do Kristin i powiedzieć jej, żeby została u matki. On sam tam do niej pojedzie. Musiał jej powiedzieć, że nie może

wrócić do domu. A za kilka godzin – przez grzeczność zamierzał zaczekać do wpół do dziewiątej, ale ani chwili dłużej – zadzwoni do swojego prawnika, Billa O’Connella. Na samą myśl, że będzie musiał wciągnąć Billa w coś takiego, zrobiło mu się słabo. Postanowił, że musi sobie przypomnieć absolutnie każde słowo, jakie powiedział na komisariacie. Musiał być naprawdę pijany, skoro nie przyszło mu do głowy, żeby od razu wykonać telefon do Billa.

– Jeszcze jedno – powiedziała policjantka.

– Tak?

Skinęła głową w kierunku regału.

– Będzie pan musiał wziąć ze sobą kota.

Richard popatrzył na Cassandrę. Zwierzę przez cały czas czujnie ich obserwowało.

– Jasne. Oczywiście.

– Ale proszę nic więcej nie zabierać. Cała reszta pańskiego życia musi zostać na swoim miejscu.

Za oknem od wschodu niebo zaczynało się rozjaśniać, poczynając od cienkiej bladej smugi wznoszącej się nad horyzontem. Zdał sobie sprawę, że wschód słońca napawa go lękiem. W świetle dnia jeszcze wyraźniej będzie widać, jak bardzo świat zmienił się od wczoraj. Jak sfatygowana jest ta niepozorna łódź, która wiezie jego duszę, jak daleko odpłynęła od brzegu i jak groźne fale kłębiły się pomiędzy nią a bezpieczną przystanią. Richard dobrze wiedział, że już nikt nigdy nie spojrzy na niego tak samo jak dawniej.

Alexandra

Dzień po śmierci matki Wasilij zjawiał się u nas w mieszkaniu, tym razem z bukietami kwiatów. I z kilkoma słoikami miodu dla mojej babci. I z tradycyjnym ormiańskim winem z granatów. I z drugim ormiańskim, mniej tradycyjnym czerwonym winem. I z naszyjnikiem dla mnie. I z Biblią. Wszystkie te prezenty przytaszczyli dwaj rośli, ogoleni na łyso faceci w czarnych garniturach. Znacie ten styl. Typowi rosyjscy gangsterzy. Gdy stali obok swojego szefa, wyglądali jak dwie marmurowe kolumny. Wasilij nazywał ich ochroną osobistą. Zresztą nie pierwszy raz widziałam go w towarzystwie podobnych facetów. Wszędzie chodził z obstawą. Oprócz wytwórni brandy w Erywaniu miał jeszcze jedną, w Wołgogradzie. Był naprawdę grubą rybą. A przynajmniej sam się za taką uważał. Dziś, kiedy o tym myślę, zastanawiam się, po co dyrektorowi wytwórni brandy ochroniarze. Wtedy wydawało mi się, że to kwestia próżności. Że chciał się dzięki temu poczuć jeszcze ważniejszy. Nic z tych rzeczy. Otaczał się bandziorami ze względu na swoje ciemne interesy, głównie te związane z dziewczynami takimi jak ja. Bo przecież ktoś, kto zajmuje się wyłącznie produkcją brandy, nie potrzebuje zbirów do ochrony.

Przez pierwsze dni, tygodnie, a nawet miesiące babcia i ja nie mogliśmy wyjść z szoku. Żadna z nas nie była w stanie trzeźwo myśleć. Może gdyby to wszystko nie działo się tuż po śmierci matki, nigdy nie uwierzyłybyśmy w te wszystkie bajeczki Wasilija.

Twierdził, że zna ludzi z moskiewskiego baletu, prawdziwe szychy w tej branży. Powiedział o tym babci przyciszonym głosem, jakby o czymś takim można było rozmawiać jedynie szeptem. Dodał, że przekaże tę informację mojej nauczycielce tańca.

A może jednak wcale bym go nie przejrzała? W końcu nie zapominajcie o tym, że byłam tylko małą dziewczynką, która kochała balet. I która jeszcze

nie tak dawno bawiła się lalkami.

*

Moja nauczycielka tańca nazywała się Seta Nazarian i miała najpiękniejsze na świecie kręcone włosy, wiecznie roześmiane oczy i wielkie serce. Ale dla swoich uczennic była surowa i myślę, że tęskniła za porządkiem, jaki panował za komuny. Obawiam się, że gdyby Wasilij rzeczywiście odbył z nią rozmowę, znalazłaby się w niezręcznej sytuacji. Dziś mam poważne wątpliwości co do tego, czy uważała mnie za dostatecznie zdolną baletnicę, żeby wysłać mnie do Moskwy na przesłuchania. Może sama doszłaby do wniosku, że się nadaję, a może wcale nie? Ciekawe, czy domyśliłaby się, jakie w rzeczywistości Wasilij miał wobec mnie plany? I czy starałaby się mnie przed nim obronić? Oczywiście tego już nigdy się nie dowiem. Ale nie sądzę, że odgadłaby jego zamiary. Prawdopodobnie nie pokładała we mnie wielkich nadziei, ale wzorowo się uczyłam i naprawdę dobrze tańczyłam. Byłam jej najlepszą baletnicą. Gdyby udało mi się dostać do zespołu baletowego w Moskwie, na pewno byłaby z siebie zadowolona. Stara komunistka, za którą w głębi duszy nadal się uważała, byłaby dumna. Dlatego musiałam spróbować. I myślę, że ona by mi na to pozwoliła.

Ale tego też nigdy się nie dowiem. Zresztą może tylko sobie to wszystko wmawiam.

Wasilij przedstawił nam swój plan: przez trzy miesiące miałam przygotowywać się do przesłuchania pod okiem jego znajomego, świetnego moskiewskiego trenera. Obiecał też mojej babci, że pośle mnie do dobrej szkoły i że będę się uczyć, tak samo jak reszta kandydatów. Zapewnił ją, że wszyscy młodzi tancerze mają świetne wyniki w nauce. Większość dostaje się do zespołu, a ci, którym nie udaje się zrobić kariery (co, jak przekonywał, dotyczy nielicznych przypadków), przynajmniej wracają do domu z porządnym wykształceniem. Wiedział, że moja matka zwróciłaby szczególną uwagę na kwestię edukacji i dlatego o tym wspomniał, choć jego zdaniem w ogóle nie musiałam się o to martwić. Miał absolutną pewność, że zostanę tancerką. Widziałam to w jego oczach. Było późne popołudnie. Słońce chyliło się ku zachodowi i salon powoli pogrążał się w mroku. Dokładnie pamiętam, jak w tamtej chwili ogarnęła mnie tęsknota za mamą. Gdy po raz

ostatni trafiła do szpitala, zostałyśmy w tym trzypokojowym mieszkaniu tylko we dwie. Babcia miała sześćdziesiąt dwa lata, ale wyglądała, jakby przez tych ostatnich kilka miesięcy bardzo się postarzała. I nie chodzi tylko o posiwiałe włosy w kolorze popiołu z papierosa. Miała wiecznie zaczerwienione oczy, jakby każdy dzień zaczynała i kończyła łzami. Dokuczały jej obolałe ramiona, a do tego zawsze wyglądała na podziębioną. Martwiłam się, że jestem dla niej ciężarem. W końcu zarobki pielęgniarki z pewnością nie przypominają dochodów oligarchy. Poza tym dobiegała już do wieku emerytalnego.

W tej sytuacji nie było się nad czym zastanawiać. Wyjazd z Wasilijem i jego kłocowatymi ochroniarzami do Rosji, gdzie miałam rozpocząć karierę baletnicy, wydawał się idealnym rozwiązaniem. Naprawdę. Więc pojechałam.

*

Kiedy miałam dwanaście lat, sprzedałam swoją kolekcję lalek Barbie. Wyrosłam z nich i już się nimi nie bawiłam. Wzięłam składany stolik i rozstawiłam kram na ulicy w Erywaniu. Zrobiłam na tym naprawdę niezły interes. Wszystkie lalki sprzedałam zagranicznym turystom, co brzmi dość nieprawdopodobnie, bo przecież przyjeżdżali z krajów, gdzie sklepowe półki wręcz uginają się od lalek Barbie. Ale gdybym sprzedała je młodszym dziewczynkom z sąsiedztwa, na pewno aż tyle bym nie zarobiła. Rodzice dzieciaków z mojej dzielnicy mieli niewiele pieniędzy. Taki interes w ogóle by mi się nie opłacił. Ale turyści z Kalifornii i New Jersey płacili sporo za moje lalki, ponieważ ubrałam je w tradycyjne ormiańskie stroje, które uszyłyśmy razem z mamą. Jedną z nich wystroiłyśmy na przykład w długą do kostek czerwoną suknię ślubną ze złotym koronkowym fartuszkim. Dla innych wyhaftowałyśmy piękne białe szale i chusty. Pocięłyśmy eleganckie błękitne kamizelki z aksamitu i z uzyskanego w ten sposób materiału zrobiłyśmy maleńkie paski.

Mama pozwoliła mi zachować całą zarobioną sumę, bo nie potrzebowałyśmy pieniędzy ani na jedzenie, ani na czynsz. Obie z babcią pracowały. Nie byłyśmy bogate, ale jednak co dwie pensje, to nie jedna. Radziłyśmy sobie całkiem nieźle. Na straganie z biżuterią kupiłam mamie kolczyki i naszyjnik. Chciałam jej w ten sposób podziękować za to, że

pomogła mi uszyć te wszystkie ubranka dla lalek, i pokazać, jak bardzo ją kocham. Babci kupiłam sukienkę, a sobie parę niebieskich jeansów, torebkę, nowy trykot i baletki.

Co prawda miałam sporą kolekcję lalek, ale nigdy nie zaliczałam się do grona najbardziej zwariowanych fanatek Barbie. Zarówno w Rosji, jak i w Armenii zdarzały się znacznie gorsze przypadki ode mnie. Czytałam kiedyś o jednej dziewczynie z Ukrainy, która już jako dorosła kobieta głodziła się i regularnie ćwiczyła na siłowni, a potem powiększyła sobie cycki, żeby wyglądać jak wierna kopia Barbie. Gdyby Wasilij wiedział, jak bardzo uwielbiałam Barbie, pewnie zapłaciłby każde pieniądze za to, żeby i ze mnie zrobić żywą lalkę. Wciąż pamiętam, kiedy pierwszy raz usłyszałam określenie „operacja plastyczna” w odniesieniu do powiększania piersi. Od razu skojarzyło mi się z plastikowymi lalkami, które tak bardzo kochałam, kiedy byłam małą dziewczynką.

Kilka dni po tym, jak sprzedałam swoją kolekcję, w przerwie między szkołą a zajęciami z baletu wpadłam na chwilę do mamy do wytwórni. Akurat stałam przy jej biurku, kiedy zobaczył mnie Wasilij. Powiedział, że dobrze wyglądam w tych nowych jeansach. Matka strasznie się wtedy wściekła. I na niego, i na mnie. Spodnie były obcisłe, właśnie dlatego tak bardzo mi się podobały.

Nie wiem, być może to był właśnie początek mojego końca. W chwili gdy Wasilij po raz pierwszy zobaczył we mnie seksowną laskę, mimo że miałam dopiero dwanaście lat.

Może powinnam była rozdać wszystkie swoje lalki Barbie koleżankom z niższych klas. Możliwe wtedy moje życie potoczyłoby się zupełnie inaczej.

A może wcale nie. Możliwe ten parszywy los był mi po prostu pisany.

Sami zobaczycie.

*

Oto jak szybko moje życie całkowicie stanęło na głowie: jednego popołudnia, jak co dzień, szłam ze szkoły na lekcje baletu z przewieszoną przez ramię płócienną torbą, w której miałam baletki i pointy, a następnego po raz pierwszy w życiu siedziałam na pokładzie samolotu. Leciłam do

Moskwy, a moje buty do tańca leżały w eleganckiej czarnej walizce, którą dostałam od Wasilija. Nazwał ją wózcikiem, bo miała kółka. Pamiętam, jak oboje się z tego śmialiśmy.

Długo stałam przed ogromnym oknem przy bramce na lotnisku w Erywaniu i wpatrywałam się w górę Ararat, myśląc, że może kiedy zobaczę ją następnym razem, będę na najlepszej drodze do zostania baleriną w naszej operze. A może już będę tam pracowała. Wyobrażałam sobie siebie tańczącą w światłach rampy jak prawdziwa gwiazda.

I chyba właśnie wtedy słowo „gwiazda” skojarzyło mi się ze słońcem, które przecież też jest gwiazdą. Od razu przypomniał mi się Ikar i aż przeszedł mnie dreszcz. Może byłam bardziej jak ten Ikar, a nie Aksamitny Ptak. Może moje skrzydła były z wosku, który roztopiłby się w gorącym świetle jupiterów, a ja runęłabym prosto na ziemię.

*

Na pokład samolotu wsiadłam razem z asystentem Wasilija. Nosił popularne rosyjskie imię Andriej i nie odstępował mnie na krok od chwili, gdy podjechał pod mój dom długą czarną limuzyną. (Nazywał ją swoim „autkiem”. Jakże niewinny wydaje się świat, kiedy dorośli faceci używają takich zdrobnień, jak „wózczek” czy „autko”). W samochodzie zajęliśmy tylne siedzenia, ale w samolocie usiedliśmy z samego przodu. Twarz kierowcy limuzyny widziałam tylko w chwili, gdy wkładał nasze „wózciki” do bagażnika i kiedy otwierał nam tylne drzwi. Podczas podróży na lotnisko z zafascynowaniem przyglądałam się lodówce wbudowanej w fotel; zupełnie nie przeszkadzało mi, że była pusta. Wpatrywałam się też w potężny kark i szyję Andrieja, gdy z odwróconą głową spoglądał przez okno na mijane po drodze kasyna i kluby ze striptizem, nad których wejściami wisiały neony przedstawiające nagie kobiety.

Andriej nie był zbyt rozmowny, za to palił jak smok. Zarówno na lotnisku, jak i na pokładzie samolotu linii Aeroflot obowiązuje zakaz palenia i Andriej doskonale o tym wiedział, co jednak nie zmieniało faktu, że był z tego powodu bardzo nieszczęśliwy. Co rusz wyciągał z kieszeni marynarki swojego czarnego garnituru paczkę papierosów Jackpot Gold i obracał ją w palcach, jakby trzymał w rękach prawdziwą sztabkę złota, nerwowo

otwierając i zamykając kartonowe wieczko. Miał trzydzieści lat, był ogolony na łyso i nie nosił ani wąsów, ani brody. Jego szerokie bary rozmiarem przypominały małą kanapę, a szyja mogłaby posłużyć za jedną z kolumn w świątyni w Garni. Ledwo mieścił się na siedzeniu i ciągle narzekał, że jest mu za ciasno. Za to ja byłam zachwycona swoim miejscem przy oknie. Od razu odchyliłam sobie oparcie, zupełnie tak samo jak na fotelu u dentysty. Wolałam nie zadawać Andriejowi zbyt wielu pytań; w końcu dostałam to wszystko w prezencie, a jak wiadomo: darowanemu koniowi nie zagłąda się w zęby. (Po raz pierwszy usłyszałam to powiedzenie w Moskwie z ust dyrektora firmy telekomunikacyjnej, zanim zaczęłam robić mu loda. Spodziewał się blondynki, którą przecież nie jestem, więc gdy w pokoju hotelowym pojawiła się brunetka, był rozczarowany. Ale postarałam się, żeby szybko o tym zapomniał. Przez jakiś czas jednak błędnie rozumiałam to przysłowie. Wydawało mi się, że to swego rodzaju przestroga: nie zagłądaj koniowi do pyska, bo cię ugryzie. Myślałam, że chodzi o jakiś stary przesąd dotyczący otrzymywania podarunków: jeśli nie jesteś z nich zadowolony, może cię za to spotkać kara. Jeszcze przez wiele miesięcy myślałam, że taki właśnie jest sens tych słów). Poza tym pracował dla bogatego szefa wytwórni brandy, a skoro tak, to musiał być dość ważną osobistością. Wreszcie zasnął, ale ja przez cały lot do Moskwy ani na chwilę nie zmrzyłam oka. Wsłuchiwałam się w warkot silników i ochoczo wychylałam kolejne, donoszone przez obsługę szklanki coli i soków owocowych. Czytałam książki i magazyny, które zabrałam z domu. Obserwowałam innych pasażerów oglądających filmy na swoich laptopach i tabletach. Wszystko to wydawało mi się szalenie wytworne. Nigdy wcześniej nie doświadczyłam czegoś równie przyjemnego, no może z wyjątkiem tańca (mam na myśli ten prawdziwy taniec, na scenie, a nie wyginanie ciała w samej bieliźnie przed śliniącymi się na mój widok facetami; nigdy nic nie przebije dla mnie prawdziwego tańca). Czułam się jak księżniczka.

Potem niektóre dziewczyny pytały mnie, jak to możliwe, że niczego się nie domyśliłam. Czy naprawdę nie przyszło mi do głowy, z jakiego powodu Wasilij postanowił wydać na mnie tyle pieniędzy – dlaczego zafundował mi bilet lotniczy i obiecał opłacić szkołę baletową, a także mieszkanie w Moskwie? Jedna z nich stwierdziła, że musiałam być ostatnią kretynką, skoro nie zorientowałam się, co jest grane. Może i tak. Ale ja naprawdę myślałam,

że Wasilij robił to wszystko ze względu na moją matkę. Tyle lat była jego sekretarką, więc wydawało mi się, że mu na niej zależało. A skoro tak, to zależało mu również na mnie. Myślałam, że to jest właśnie moja szansa na lepszą przyszłość.

Szczerze w to wierzyłam. Naprawdę.

*

Co o tym wszystkim myślała moja nauczycielka tańca? Nigdy się tego nie dowiem, ponieważ nie było jej w studiu, kiedy przyszłam, żeby podzielić się dobrą nowiną i się pożegnać. Jakiś urzędnik poinformował ją, że jest problem z pozwoleniem na wynajem sali – co było równoznaczne z próbą wyłudzenia łapówki – i właśnie tego dnia wybrała się do jego biura, żeby tę sprawę wyjaśnić. Przyjechałam w towarzystwie Andrieja i jeszcze jednego ochroniarza ze świty Wasilija. Jednak zamiast Madame – tak nazywały ją wszystkie uczennice, choć na imię miała Seta – zastaliśmy jej asystentkę Marię, która prowadziła zajęcia w jednej z młodszych grup. Maria nie była może najbystrzejsza, ale bardzo się ucieszyła z mojego sukcesu. Widziałam, że jest podekscytowana. Nie omieszkała jednak zaznaczyć – pewnie dlatego, że często zdarzało jej się coś palnąć bez zastanowienia – jak bardzo ją ta wiadomość zaskoczyła. Myślała, że taka szansa trafi się raczej Najiri, którą najwyraźniej uważała za lepszą tancerkę. (Fakt, Najiri miała wielki talent, ale to ja byłam najlepszą baletnicą w grupie). Ochroniarze wyjaśnili, że Wasilij robił to dla mojej matki, choć wolałabym, żeby powiedzieli, że zachwycił się moim tańcem i uznał, że zasłużyłam na ten zaszczyt. Ale prawda jest taka, że Wasilij nigdy nie widział, jak tańczę. Zrobiło mi się dość nieswojo. Chciałam powiedzieć coś na swoją obronę, ale jakoś nic nie przychodziło mi do głowy. Spojrzałam na swoje odbicie w lustrze pokrywającym całą ścianę sali. Na pierwszy rzut oka było widać, że jestem zdenerwowana. W dodatku czułam się dziwnie, mając na sobie zwykłe spodnie zamiast trykotu. Mimo to Maria życzyła mi szczęścia i powiedziała, że pewnego dnia będzie mnie okłaskiwać na deskach opery.

Ja jednak byłam bardzo zawiedziona nieobecnością Madame. Pamiętam, jak rozmawiałam o tym z babcią. Kiedy powiedziałam jej, że nie zastałam mojej nauczycielki, nagle – czego się zupełnie nie spodziewałam – głos mi się załamał.

Dopiero później skojarzyłam fakty. Madame nie pojawiła się w pracy tego dnia, ponieważ jej obecność była Wasilijowi nie na rękę. Ten facet we wszystkim maczał swoje brudne paluchy. Dosłownie we wszystkim! Postarał się o to, by dokładnie w tym samym czasie, gdy przyjechałam się pożegnać, musiała się stawić w urzędzie. Madame wiedziała o balecie o wiele więcej niż Maria i doskonale znała moje możliwości. Być może spróbowałyby mnie odwieść od wyjazdu do Moskwy, nawet jeśli musiałaby w tym celu zafundować mi zimny prysznic i oznajmić, że żaden ze mnie Aksamitny Ptak.

A może wcale nie? Bo jak tu odebrać drugiemu człowiekowi promyk nadziei? Jak można obudzić kogoś z tak pięknego snu? Jak złamać serce nastoletniej dziewczynie?

*

Oto jak się to robi: należy ją zabrać z moskiewskiego lotniska prosto do specjalnie wybranego hotelu – najlepiej własnego albo takiego, w którym się wynajęło wszystkie pokoje na piętrze – a następnie ją zgwałcić, tak brutalnie, że po wszystkim będzie musiała zapakować zakrwawione prześcieradło do szarego worka z kosza na śmieci, żeby później gdzieś je ukradkiem wyrzucić.

Tak właśnie postąpił ze mną Andriej.

Później trzeba zabrać jej bagaż, paszport oraz telefon komórkowy i postawić kogoś na straży pod jej drzwiami, by pilnował jej przez całą noc, żeby nie mogła uciec.

Ona ani żadna z dziewczyn zamkniętych w pozostałych pokojach.

Następnego ranka, po tym jak grubo po północy wykończona płaczem zdołała wreszcie usnąć, należy wrócić do jej pokoju z drugim oprychem i powiedzieć: „Zdejmuj ciuchy i zrób mu loda, a potem zabierzemy cię do domu. Obiecuję. To był błąd. Nie jesteś gotowa na takie życie”. Dziewczyna będzie się opierać, ale kiedy zrozumie, że to jej ostatnia deska ratunku, posłusznie wykona polecenie. Jakoś uda jej się stłumić odruch wymiotny. Zrobi wszystko, co każą. Uklęknie i obciągnie najpierw jednemu, potem drugiemu. A potem trzeciemu. Będzie robić jeszcze inne rzeczy – takie, o których wcześniej nawet jej się nie śniło – ponieważ tego właśnie od niej żądają, ponieważ to jej jedyna szansa na powrót do domu.

A kiedy skończy, trzeba pokazać jej film, który nakręciło się w trakcie. Film, na którym uwieczniło się ją i siebie. Na którym wyraźnie widać jej twarz. Każdy ją rozpozna. A twoja twarz? Nie, ona ani razu nie pojawia się w kadrze. Sprytnie, co? Następnie należy zagrozić, że jeśli nie będzie posłusznie wypełniać poleceń i robić wszystkiego, co jej się każe, to nagranie obejrzy cały świat, w tym także jej babcia, duchowny z jej kościoła, instruktorka tańca, nauczyciel w szkole oraz wszyscy koledzy i koleżanki.

Tego samego wieczora do pokoju dziewczyny trzeba przyprowadzić starszą kobietę, która będzie miała za zadanie przekonać ją, żeby coś zjadła, i wyjaśnić, jak bardzo od tej chwili ma przesrane.

Rozdział 4

Kiedy Melissa się obudziła, usłyszała dobiegającą z kuchni rozmowę. Mama i babcia mówiły ściszymi głosami, więc spośród szumu przytłumionych dźwięków była w stanie wyłowić tylko pojedyncze słowa. Zdziwiło ją, że mama wciąż jest w mieszkaniu. Zgodnie z pierwotnym planem miała wrócić do domu w Bronxville najbliższym pociągiem, ale najwyraźniej coś się zmieniło. Spojrzała na zabytkowy zegar stojący na stoliku nocnym – był tak stary, że przestawał chodzić, jeśli się go nie nakręciło, a szczyt tarczy wieńczyły dwa zmatowiałe dzwonki, które z biegiem lat całkowicie straciły połysk. Dochodziła siódma trzydzieści. Melissa wygrzebała się spod kołdry, odsłoniła zasłonę i wyjrzała przez okno. Tego ranka chmury wisiały nad miastem tak nisko, że w spowijającej wszystko mgłę świat wydawał się lekko przybrudzony. Szybko wskoczyła z powrotem do łóżka i zwinęła się w kłębek, obejmując rękoma kostki i z całych sił przyciskając czoło do kolan. Lubiła leżeć w tej pozycji z zamkniętymi oczami. Po kilku chwilach, gdy czoło i szyję zaczynał przeszywać palący ból, udawała, że jest mitycznym ptakiem, który właśnie wykluwa się z jajka i pomału – tak wolno, jak to tylko możliwe – rozpościerała ramiona, rozprostowywała nogi i tułów. Otwierała oczy i zaczynała mrugać, trzepocząc rzęsami jak stworzenie, które po raz pierwszy widzi świat. Czasami przed szkołą, tuż po przebudzeniu, lubiła sobie w ten sposób poleżeć, ale zdarzało jej się to również wieczorami, zanim zdjęła ubranie i założyła piżamę. Ta zabawa najwięcej frajdy sprawiała wtedy, gdy miała na sobie wzorzyste rajstopy, szczególnie te, których deseń przypominał nocne niebo albo sklepienie planetarium. Siadała wówczas na łóżku i z niekłamaną przyjemnością zaczynała się wpatrywać w kosmiczny wzór. Kiedy już otworzyła oczy, rozciągnęła ciało i wydostała się ze swojego wyimaginowanego jajka czy też kokonu, z zafascynowaniem przyglądała się gwiazdnym konstelacjom i znakom zodiaku. Porównywała wszechświat na swoich nogach z tym, który namalował dla niej tata na suficie w jej pokoju –

z kosmosem pełnym świecących w ciemności gwiazd (również spadających) i planet (był tam i figlarnie puszczający do niej oko Jowisz, i wiśniowoczerwony Mars, i Uran ze swoimi przedziwnymi pierścieniami).

Lubiła obserwować w ten sposób także rajstopy z nadrukiem przypominającym kolorowe komiksy publikowane w niedzielnych wydaniach gazet. Rodzice kupili jej tę parę w sklepie z pamiątkami w muzeum przy Piątej Alei, zaledwie kilka przecznic stąd. W rzeczywistości kadry przedstawiały obrazy jednego ze znanych, współczesnych artystów. Najwięcej jednak radości, gdy leżała na łóżku i wpatrywała się w swoje nogi, sprawiały jej rajstopy z okładkami starych książek dla dzieci. Tata przywiózł je dla niej z podróży służbowej do Londynu. Rozpoznawała większość okładek, choć niektóre były z wydań brytyjskich. Znała każdą z tych książek albo przynajmniej o niej słyszała, ale wyglądało na to, że Anglicy umieszczali zupełnie inne ilustracje na swoich okładkach. Mieli inną Alicję. Innego Harry'ego. Innego Kreta, Borsuka i Wydrę. Niektóre obrazki były wydrukowane do góry nogami, ale jej to zupełnie nie przeszkadzało. Przyglądała się tym wszystkim postaciom i przypominała sobie ich historie. Szkoda, że nadruk kończył się nagle w połowie ud.

W tej chwili oczywiście nie miała na sobie rajstop, tylko piżamę – różowo-białe flanelowe spodnie w kratę i górę ze Snoopym – którą trzymała u babci specjalnie na takie okazje.

Patrząc na swoje nogi, doszła do wniosku, że powinna pomalować sobie paznokcie u stóp. Któregoś dnia mama zabierze ją do centrum i pójdą zrobić jej pedicure, taki z prawdziwego zdarzenia. Co prawda Melissa już od dawna malowała paznokcie – najpierw robiła to za nią mama, potem sama się nauczyła – ale nigdy jeszcze nie była u kosmetyczki. W tej chwili różowy lakier złuszczył się z kilku palców. Może kiedy wybierze się do salonu, zrobią jej i pedicure, i manicure, jak tym wszystkim dziewczynom w telewizji. Pełna elegancja.

Asystentki w jej szkole tańca, dziewczyny z najstarszych klas liceum, zawsze miały pomalowane paznokcie u stóp. Zauważyła to, kiedy zakładały i zdejmowały baletki albo buty do tańca jazzowego.

Próbowała przysłuchiwać się dobiegającej z kuchni rozmowie, lecz mimo

wzmoczonej koncentracji była w stanie rozszyfrować tylko pojedyncze słowa. Babcia i mama mówiły przyciszonymi głosami, bo nie chciały jej obudzić. A może raczej zależało im na tym, żeby nie usłyszała, o czym rozmawiają? Gdyby miała zgadywać, obstawiałaby to drugie. Mama w bardzo ogólnikowy sposób opowiedziała jej, co zaszło w ich domu, ale Melissa wiedziała już dwie rzeczy na pewno: po pierwsze, podczas wieczoru kawalerskiego wujka Philipa wydarzyło się coś strasznego i ktoś zmarł; po drugie, jej ojciec zrobił coś bardzo, bardzo złego. W dodatku ta straszna rzecz w połączeniu z okropnym zachowaniem taty sprawiły, że relacje pomiędzy jej rodzicami nagle się zmieniły i ta zmiana – co do tego miała absolutną pewność – była niebezpieczna. Niebezpieczna dla ich małżeństwa, choć nie do końca rozumiała dlaczego, oraz dla niej samej. Groziła bowiem zburzeniem całego ich rodzinnego życia, którego stabilność dotychczas uważała za coś absolutnie oczywistego.

Co takiego zrobił tata? Miała pewne podejrzenia. Co prawda były one równie mgliste co wyjaśnienia usłyszane od mamy, ale przecież coś już tam wiedziała na temat seksu. Chodziła do czwartej klasy. I nie była głupia. A zeszłej nocy w ich domu pojawiła się naga kobieta. I pewnie ci wszyscy panowie się o nią pobili. Ale dlaczego mama gniewała się na tatę? Bo patrzył na tamtą kobietę? A może jednak zrobił coś więcej? Czy to oznacza, że uprawiał z nią seks? A może jednak nie tata, tylko wujek Philip?

Melissa zauważyła, że na ścianie, tuż pod sufitem, jakiś metr od okna, zaczynała odłazić tapeta, a nad drugim oknem, kilka centymetrów ponad framugą, widniał brązowy zaciek. Kiedy patrzyło się na pokój z perspektywy łóżka, wewnątrz wydawało się nieco podniszczone. Dawno nieodnawiany strop zupełnie nie przypominał sufitu w sypialni Melissy.

Po raz kolejny rozciągnęła ręce i nogi, rozprostowując przy tym palce u rąk i stóp. (Kiedy chodziła do zerówki, śpiewali taką piosenkę o ramionach, kolanach i piętach. A może poznała ją jeszcze w przedszkolu? Nie mogła sobie jednak przypomnieć słów, które utkwily gdzieś w podświadomości, poza zasięgiem pamięci). W końcu stwierdziła, że pora udać się do kuchni, żeby wspólnie z mamą i babcią zjeść śniadanie. A przy okazji jak najwięcej się dowiedzieć. Mogłaby nawet na chwilę zatrzymać się w korytarzu tuż pod kuchennymi drzwiami i spróbować podsłuchać rozmowę.

Ale po drodze do kuchni, kiedy mijala drzwi wejsciowe, do jej uszu dobiegl dzwiek zatrzymujacej sie na pietrze windy, a nastepnie w korytarzu rozlegl sie brzek kluczy. Sekunde pozniej ojciec stal juz w progu. Przez dluzsza chwile patrzyli na siebie w milczeniu. Melissa zauwazyła, ze przyniosl ze soba Cassandre w specjalnym transporterze dla kotow. W koncu uklakl, postawil kota na podlodze i wzial ja w ramiona. Od razu wyczul zapach obcych perfum, ktore na pewno nie nalezaly do jej mamy. Miała wrazenie, ze jeszcze nigdy tak zle nie wygladal.

*

Kristin poprosila matke, zeby zrobila Melisie sniadanie, a sama zabrala meza z powrotem do pokoju gozcinnego, gdzie jeszcze kilka minut wczesniej smacznie spala ich corka. Stalo tam tylko jedno, nad wyraz niewygodne krzeslo – potworny mebel w ksztalcie skrzypiec, zaprojektowany chyba przez samego Torquemade. Zazwyczaj Kristin wieszala na nim swoje ubrania, czasem plecak Melissy, ale tego ranka Richard opadl na nie ciiezko, jakby z pokora akceptowal to jako czesc zasluzonej kary. Kristin pomyslala jednak, ze byc moze przesadnie wczytuje sie w jego mowe ciała i przenosi na niego to, co wedlug jej wlasnej oceny powinien teraz czuc. Moze po prostu mial kaca. Albo zwyczajnie byl zmeczony. Zauwazyła, ze ma worki pod oczami, a szczecina na jego brodzie jest upstrzona pojedynczymi siwymi wloskami. Jej serce nieco zmieklo. Boze. Co on przeszedl. Juz nic nie bedzie w stanie wymazac mu tego z pamieci.

– Spałś? – zapytal słabym głosem.

– Od naszej rozmowy telefonicznej już nie. Ty pewnie tak samo.

Pokręcił głową.

– Prawie przysnąłem w pociągu. Ale tak naprawdę nie spałem.

– No więc opowiedz mi wszystko od początku – poprosila. – Wcale nie chcę tego słuchać, ale myślę, że nie mam wyboru. A może tobie też pomoże, jak to z siebie wyrzucisz.

– Może usiądziesz. Wyglądasz trochę...

– No jak?

– Jakbyś prowadziła przesłuchanie.

Zaskoczył ją ton jego głosu. Zapewne wcale nie chciał, żeby zabrzmiało to nieprzyjaźnie, ale niestety taki właśnie był efekt.

– Cóż, w końcu wiesz najlepiej, jak to jest na przesłuchaniu, prawda? – odparowała.

– Kris, proszę cię.

Usiadła na łóżku, a on w świadomie pojednawczym geście położył jej ręce na kolanach.

– Wiesz, jak bardzo żałuję tego, co się stało – zaczął. – Zdaję sobie sprawę, że to istna katastrofa. Myślałem... Myślałem, że po prostu urządzą mi mojemu durnemu bratu wieczór kawalerski. Będę świadkiem na jego ślubie. Tak właśnie robią świadkowie, prawda?

– Tak, wiem. I tak, twój brat jest durny.

– I myślałem, że będzie trochę... kulturalniej... jeśli zorganizujemy imprezę w domu. W naszym domu. Chodzi mi o to, że mogłem zaprosić wszystkich do jakiegoś obleśnego klubu. Ale nie zrobiłem tego.

– Nie, nie zrobiłeś – przyznała, choć w tej chwili żałowała, że podjął taką, a nie inną decyzję.

– Wiesz, o czym mówię. Miały być skrzydełka, miska guacamole i piwo. Ale wszystko nagle wymknęło się spod kontroli. I to w mgnieniu oka.

– Oczywiście, to cały *modus operandi* twojego brata. Jeśli może się bawić jak dorosły człowiek albo jak studenciak podczas ferii wiosennych, to zawsze wybierze to drugie.

– Sama prawda.

– Może po prostu zaczniesz od początku?

– Od początku imprezy? Czy od przyjazdu striptizerek?

– Proszę cię, przestań tak na nie mówić. To nie były striptizerki.

– Dobrze.

Spuściła wzrok na swoją spódnicę i rajstopy. Miała wrażenie, że odkąd

się ubrała, minęło już kilka godzin. W półmroku zarzuciła na siebie spódnicę i bluzkę, które i tak planowała założyć w tę sobotę. To była spódnica odpowiednia na popołudniowe przedstawienie. Rajstopy w sam raz na Broadway, czarne w drobne kropki. Bardzo lubiła spędzać dzień czy noc (albo cały weekend) na Manhattanie; mogła wtedy ubierać się zupełnie inaczej niż na co dzień. Kiedy chodziła do pracy w liceum na przedmieściach, gdzie uczyła amerykańskiej historii, najczęściej ubierała się równie swobodnie jak dzieciaki chodzące na jej zajęcia.

Nie, to nie do końca prawda. Dziewczęta w szkole nosiły się znacznie bardziej wyzywająco od niej. Pamiętała, że niedługo po rozpoczęciu pracy inna nauczycielka historii, Amy Doud, poprosiła, żeby Kristin towarzyszyła jej podczas patrolu po korytarzach. W pierwszej chwili Kristin była przerażona, ponieważ założyła, że chodzi o narkotyki. Na samą myśl, że w tak sztywnej okolicy dzieciaki mogą palić crack, przeszedł ją dreszcz. Ale chodziło o coś zupełnie innego. Na jej oczach Amy podkraśniała się od tyłu do ładnej, młodzieńczej kokietki stojącej przy szafce. Dziewczyna miała na sobie granatowe stringi, które wystawały kilka centymetrów ponad paskiem jej nieskazitelnie białych, opuszczonych na biodra jeansów. Mniej więcej na wysokości krzyża widoczny był odwrócony trójkąt niebieskiego materiału, wciśnięty pomiędzy jędrne, okrągłe niczym bezy pośladki wystające spod gumki, nad którą górował pas nagiej skóry. Amy zwinnym, zdecydowanym ruchem – wykonanym z nadludzką wręcz szybkością – złapała za majtki i szarpnęła w górę. Zrobiła to z taką siłą, że zaskoczona dziewczyna aż stanęła na palcach w swoich japonkach i pisnęła z bólu.

– W szkole obowiązuje przyzwoity strój – przypomniała jej Amy. – Koszula niżej, spodnie do góry. – Następnie odwróciła się do Kristin i wzruszyła ramionami. – Uroki życia nauczyciela na obchodzie – powiedziała z lekkim uśmiechem. – A mówiąc całkiem szczerze, mam z tego nawet trochę frajdy. Naprawdę. Dawno, dawno temu sama byłam niezbyt grzeczną dziewczynką.

Richard odchrząknął i zaczął mówić. Na początku Kristin co jakiś czas mu przerywała, żeby zadać pytanie albo doprecyzować jakieś szczegóły – czy to Eric, czy Brandon jako pierwszy włożył dziewczynie rękę pod stringi? czy Spencer wiedział, że nie płaci za striptiz, tylko za seks? a czy Philip

wiedział? – ale wkrótce opowieść przerodziła się w chaotyczny strumień nieostrych obrazów i Kristin już sama nie wiedziała, co jest bardziej koszarne: wizja jej męża nagiego w towarzystwie dziwki w pokoju gościnnym czy dwa trupy na podłodze w ich domu. Nagle całkiem straciła panowanie nad sobą. Skuliła się i wybuchnęła płaczem. Poczowała, że Richard wstał z krzesła i chciał usiąść obok niej na łóżku. Pewnie miał zamiar ją objąć, ale zanim zdążył to zrobić, trzepnęła go po rękach, zerwała się na równe nogi i przywarła plecami do drzwi szafy.

– Nie dotykaj mnie – powiedziała przez łzy. Od lat nie zdarzyło się jej tak szlochać. – Proszę, Richard, nie dotykaj mnie. Nie w tej chwili.

– Kris...

– Po prostu powiedz mi prawdę. Nie chcę jej znać, ale muszę. Muszę wiedzieć. Pieprzyłeś się z tą dziewczyną w pokoju gościnnym?

– Nie. Przysięgam.

– Ale ona cię dotykała.

– Próbowwała. Powstrzymałem ją.

Wzięła głęboki oddech i pociągnęła nosem.

– I mam uwierzyć, że poszedłeś z nią na górę i zdjąłeś ubranie, ale jej nie przerzynałeś? Nie pozwoliłeś jej... – urwała. Mogła mówić o rżnięciu czy pieprzeniu, bo te słowa oddawały jej gniew i frustrację, ale z jakiegoś powodu nie była w stanie zwerbalizować żadnego innego rodzaju aktu seksualnego. W głowie słyszała określenia typu „obciąganie” czy „robienie laski”, ale nie potrafiła wypowiedzieć ich na głos. Nie umiała się zmusić do tego, by tchnąć życie w te potworne wizje i nadać im konkretny kształt.

– Nie – powtarzał. – Opamiętałem się. Kocham cię. Kocham cię i wiedziałem, że posunąłem się za daleko. Dlatego się zatrzymałem. Przysięgam: wycofałem się, zanim zdążyłem... cię zdradzić.

– Całowałeś się z nią? – dopytywała z zaciętym wyrazem twarzy.

Zawahał się, a ona popatrzyła na niego przez całą szerokość pokoju. I wiedziała. Nawet przez łzy, wiedziała. Zobaczyła to w jego oczach. To było oczywiste.

– Na miłość boską – krzyknęła. – Ciągłe czuć na tobie jej zapach.

*

Richard wiedział, że jego żona ma rację, ale rozpaczliwie trzymał się nadziei, że może jednak się myli. Pewnie naprawdę miał na sobie zapach tamtej dziewczyny. Gdyby to wszystko potoczyło się inaczej, zdążyłby wziąć prysznic – dwa, trzy, Boże, nawet cztery razy – przed powrotem Kristin i Melissy do domu w niedzielę rano. To się rozumie samo przez się. Wyszorowałyby skórę, żeby pozbyć się wszelkich śladów tej plugawej rozpusty. Ale tak się niestety nie stało. Kiedy z Cassandrą na rękach jechał do domu swojej teściowej – mężczyzna z kotem; kierownik pociągu i taksówkarz pewnie nie widzieli w życiu większego frajera – łudził się, że czuć od niego jedynie typowe zapachy, którymi można przesiąknąć na każdej imprezie: pot, alkohol, nachosy, dym papierosowy, cierpki zapach polnej trawy i lekko nadgniłych jagód, który zawsze kojarzył mu się z marihuaną. Ale jego żona miała rację. Wciąż było od niego czuć woń perfum i skóry tamtej dziewczyny. Pokrywała jego ubranie niczym kwiatowy pyłek.

Zerknął na Kristin, która wyglądała, jakby za chwilę miała osunąć się na podłogę, i niemal natychmiast wbił wzrok w czubki swoich butów. To nie z powodu jej smutnych oczu opuścił głowę. To przez jej bladą, całkowicie pozbawioną kolorów twarz, jak u osoby chorej na gripę. Przez łzy ciekące po policzkach. Przez to, że nie chciała, żeby jej dotykał. Wciąż miał na nogach swoje czarne brogisy. Nie pamiętał, kiedy po raz ostatni założył takie buty w niedzielny poranek. Prawdopodobnie nigdy.

Tak, pocałował tamtą dziewczynę. Oczywiście, że to zrobił. Pocałował ją kilka razy i pewnie, gdyby wieczór nie skończył się tak potworną katastrofą, do końca życia nosiłby w pamięci ich pierwszy pocałunek. Zabrała go do drugiego pokoju, by z dala od zgiełku imprezy zafundować mu specjalny bonus; był świadkiem na ślubie brata, więc należało mu się coś więcej niż taniec erotyczny na kanapie w salonie. Popchnęła go na fotel i zgasiła lampę, ale w świetle wpadającym do środka przez uchylone drzwi i tak widział zarys jej twarzy. Zdjęła stringi i całkiem naga wspięła mu się na kolana. Kiedy zaczęła się o niego ocierać, zalała go fala rozkoszy – tak, prawdziwej rozkoszy, jeśli miał być ze sobą szczerzy. Czuł, że to, co się w tej chwili między nimi działo, nie było z jej strony czysto mechaniczne. Że pragnęła go

tak samo jak on jej. Świadczył o tym zarówno błakający się na jej ustach uśmiech, który dostrzegł, gdy podniósł na nią wzrok, jak i lekko przymknięte powieki. Być może tylko udawała, ale w tamtej chwili mógłby przysiąc, że ona też naprawdę ma na to ochotę. A potem zatopiła w nim spojrzenie tych swoich czarnych oczu, przysunęła usta do jego warg, jakby chciała go ugryźć albo pocałować, odgradzając ich od reszty świata zasłoną swoich ciemnych włosów. Raz po raz ocierała się o niego policzkiem, niczym kot znaczący swoje terytorium. Czuł na twarzy jej ciepły, miętowy oddech. Nie miał zamiaru się z nią całować. A już na pewno sam nie zainicjowałby pocałunku. Był żonaty. Szczęśliwie żonaty. Miał piękną żonę. Ale ta dziewczyna wydawała się równie napalona jak on. Gdy znów pochyliła nad nim twarz, ujrzał w jej oczach dzikie pożądanie. Był pewien, że ona także go pragnie. Przecież żadna striptizerka nie mogła być aż tak dobrą aktorką. Dlatego gdy po raz kolejny niemal musnęła go wargami, odchylił głowę do tyłu i ich usta wreszcie się spotkały. Dotyk jej warg był wręcz... elektryzujący. Poczuł, jak oplata język wokół jego języka, wędrując palcami po jego policzku i z całych sił przyciskając piersi do jego obojczyka.

– Cały drżysz – wyszeptała mu do ucha chwilę później.

– Nic mi nie jest – odparł równie cicho.

Zanim wylądowali w pokoju gościnnym na piętrze, całowali się jeszcze na dole, a potem na schodach. Za każdym razem, gdy odrywał usta od jej warg, nie mógł złapać tchu, jakby całe powietrze nagle uleciało mu z płuc. Czy po pierwszym pocałunku z Kristin też tak się czuł? Na pewno. Oczywiście, że tak. Po prostu od tamtej chwili minęło już tak wiele lat.

Ale czy naprawdę tamten pocałunek był równie podniecający? Po raz pierwszy pocałował Kristin po kolacji, na rogu Czternastej ulicy i Piątej Alei, kilka metrów od jej domu. Nie zaprosiła go wtedy na górę, bo to była dopiero ich druga randka, a poza tym, jako początkująca nauczycielka, dzieliła mieszkanie z dwiema koleżankami z pracy, a z jedną z nich spała w pokoju. Przystanęli na chwilę nieopodal drzwi wejściowych, poza zasięgiem wzroku portiera. Trwało to dosłownie ułamek sekundy i wyszło dość niezgrabnie. Żadne z nich nie wiedziało, czy kiedy się schylił, by złożyć pocałunek na jej wargach, powinni mieć otwarte czy zamknięte usta. Ostatecznie skończyło się na niezdarnej improwizacji. Po drodze na stację metra dopadły go obawy,

czy przypadkiem Kristin nie pomyśli, że kiepsko się całuje. Nigdy później o tym nie rozmawiali ani nie obrócili tego w żart. Z perspektywy czasu żałował, że tak się nie stało. Choć z drugiej strony może i dobrze, że do tego nie wracali? Kilka dni później zabrał ją na koncert Radiohead, na którym też się całowali. I to już był porządny, rockandrollowy pocałunek. Stali w tłumie, pośród zgiełku i dudniących basów, powoli zatracając się w namiętności. Kiedy Kristin nagle zaczęła się ocierać udami o jego niebieskie jeansy, jego dłonie natychmiast powędrowały pod jej bluzkę. Tamta chwila zapisała się w jego pamięci jako najpiękniejsza i najprzyjemniejsza tortura, jaką można sobie wyobrazić. Nawet dziś, gdy któreś z nich chciało dać drugiej stronie do zrozumienia, że ma ochotę na seks, zdejmowało z półki jeden z winyli Radiohead. Ta muzyka stanowiła dla nich tło gry wstępnej, była jak sączący się do uszu afrodyzjak, jak dźwięk o smaku truskawek.

Richard wziął głęboki oddech, przeniósł wzrok ze swoich butów na twarz żony i postanowił skłamać.

– Całowaliśmy się raz. Tak jakby. Zanim zdążyłem się zorientować, co się dzieje, sama mnie pocałowała. Odepchnąłem ją. To było złe. A poza tym śmierdziała papierosami. Zrobiło się zbyt... intymnie. Dla mnie to było obrzydliwe.

Kristin przez chwilę rozważała jego słowa, po czym powoli się przygarbiła i objęła rękami ramiona, nie w geście buntu czy sprzeciwu, ale raczej jakby ktoś ją zawinął w kaftan bezpieczeństwa. Po policzkach wciąż płynęły jej łzy.

– Mówisz prawdę? – zapytała w końcu.

– Najprawdziwszą prawdę.

Otarła oczy, a on podszedł do niej i znów spróbował ją objąć. Tym razem mu pozwoliła. Czuł, jak jej ciało rozluźnia się w jego ramionach. Zauważył, że ma na sobie całkiem ponętne wyglądające rajstopy i aż zakreśliło mu się w głowie – nie mógł uwierzyć, że w takiej chwili jest w stanie myśleć o seksie ze swoją żoną.

*

Dokładnie o ósmej trzydzieści Richard z pokoju gościnnego u swojej

teściowej zadzwonił do prawnika. Padał ze zmęczenia, ale tabletki advilu i kilka litrów wypitej wody pomogły nieco złagodzić kaca; nie bał się już, że ból przeszywający jego czaszkę sprawi, że zwiędnie jak kwiat w filmie puszczone w przyspieszonym tempie i zwali się na podłogę, ściskając głowę rękami. Zadzwonił do Billa O'Connella, tego samego człowieka, który pomógł jemu i Kristin spisać testamenty i uregulować kwestie majątkowe. Na szczęście miał w komórce jego numer domowy. Richard był niemal pewny, że O'Connell nie zna się na prawie karnym i najprawdopodobniej ostatecznie to nie on będzie go reprezentował – o ile, nie daj Boże, rzeczywiście okaże się to potrzebne – ale od czegoś trzeba zacząć. Cieszył się też, że jego prawnik jest facetem. Nie wyobrażał sobie, żeby miał opowiadać o tym, co zaszło poprzedniego wieczora, jakiejś obcej kobiecie. Bill odebrał telefon i zgodnie z przewidywaniami stwierdził, że to zadanie dla kogoś innego, ale w jego kancelarii pracuje dwoje prawników, którzy mogliby w tej sytuacji pomóc. Richard bez wahania poprosił o numer telefonu do mężczyzny, ale odpowiedź Billa go zaskoczyła.

– Myślę, że powinieneś jednak zadzwonić do Diny. Sam też jest bardzo dobry, ale Dina jest o wiele mądrzejsza ode mnie. I zważywszy na to, co się wydarzyło wczoraj u ciebie w domu, od ciebie raczej też. To chyba najinteligentniejsza osoba, jaką znam. A jeśli będziesz potrzebował reprezentanta podczas składania zeznań albo w sądzie, będzie super, jeżeli w twoim imieniu wystąpi kobieta.

– Naprawdę wolałbym porozmawiać z facetem, Bill.

– Weź się w garść. Sam jest świetny, bez dwóch zdań. Ale w tym wypadku dużo lepiej na tym wyjdiesz, jeżeli zgłosisz się do Diny.

Richard z trudem przełknął ślinę. Pomyślał o swojej żonie i córce. Musiał podejść do tego rozsądnie. Zapisał sobie numer do Diny.

– Jeszcze jedno – powiedział Bill.

– Słucham.

– Nie rozmawiaj z dziennikarzami. Jeśli zadzwoni do ciebie ktoś z nieznanego albo zastrzeżonego numeru, nie odbieraj.

– Dziennikarze. – Richard powtórzył to słowo pod nosem. Przypomniał

sobie, co mówiła tamta policjantka w jego salonie. – Kurwa.

– Otóż to. Nie zrób czegoś głupiego. Najlepiej nic nie mów. W końcu i tak cię znajdą, taką mają pracę. Jeśli nie będziesz odbierał telefonu, mogą przyjść pod twój dom. Albo do budynku, w którym pracujesz. To nieuniknione, ale możesz to odsunąć w czasie. A kiedy cię przyprą do muru, będziesz mógł już odesłać ich do Diny.

Richard zaczął sobie wyobrazać, co już niedługo Kristin i Melissa przeczytają o nim w prasie. Czekало go publiczne potępienie. Miał ochotę wczłogać się do łóżka, na którym siedział, i naciągnąć kołdrę na głowę. Naprawdę potrzebował snu. Jak nigdy przedtem. Ale nie mógł zamknąć oczu. Jeszcze nie teraz. Gdy tylko pożegnał się z Billem, zadzwonił do Diny. Podczas rozmowy musiał wydać się naprawdę zdesperowany i godny politowania, bo zgodziła się z nim spotkać za półtorej godziny w swoim biurze w śródmieściu. Najchętniej wykorzystałby ten czas na drzemkę, ale musiał się wykapać i ogolić. Musiał wreszcie zmyć z siebie poprzednią noc.

*

W windzie w domu teściowej złapał się na tym, że mówi do siebie. Pokręcił głową i uznał, że to nic takiego. Po prostu był bardzo spięty i zupełnie sam. Nie groziło mu, że stanie się jednym z tych ludzi, którzy chodzą po ulicy, bełkocząc coś pod nosem.

Mimo to przypomniał sobie, jak dziwnie wrażliwy robił się zawsze na pokładzie samolotu, szczególnie kiedy podróżował sam w interesach. Filmy wydawały się wówczas smutniejsze, książki bardziej przejmujące. Pamiętał, że jednego razu podczas lotu oglądał komedię, rzewną opowiastkę o parze starzejących się kochanków. Razem z Kristin widział ją już kilka miesięcy wcześniej, ale tym razem musiał dyskretnie przykładać chusteczkę do kącików oczu. Innym razem jakiś kwadrans po starcie wyciągnął z torby powieść o wilkołaku i zaczął czytać. Kiedy wilkołak został zabity, Richard musiał odłożyć książkę. Był zupełnie wytrącony z równowagi. Serio? – pomyślał wtedy. Rozklejasz się z powodu fikcyjnego wilkołaka? Zaczął się zastanawiać, czy nie jest przypadkiem niestabilny emocjonalnie.

Ale może chodziło tylko o to, że znajduje się w powietrzu i nad niczym nie ma kontroli – każdy pasażer tak się czuje w samolocie. To podświadomy

strach przed lataniem, wywołany faktem, że loty samolotem często bywają jednocześnie początkiem i końcem podróży.

A może po prostu wszystkiemu była winna samotność.

Przed domem swojej teściowej zatrzymał się na chwilę na chodniku. To jest dopiero samotność, stwierdził. Bije na głowę przelotne poczucie samotności, które dopada człowieka na wysokości dziesięciu tysięcy metrów. W tej chwili czuł się bardziej osamotniony niż kiedykolwiek w życiu.

Pokręcił głową. Zebrał się w sobie i zamachał ręką na taksówkę.

*

Chociaż była sobota rano, a on zawracał jej głowę w weekend, Richard zdziwił się, kiedy zobaczył, że Dina Renzi ma na sobie niebieskie jeansy, flanelową koszulę i biało-różowe trampki. Mimo to na jej trenczu widniała metka z logo Burberry, a aktówka z miękkiej, plecionej skóry w kolorze cynamonu pochodziła z kolekcji firmy Bottega Veneta – Richard doskonale znał ten wzór, ponieważ jego koleżanki z pracy również gustowały w tych stylowych teczkach. Prawniczka była mniej więcej w jego wieku. Jej włosy w kolorze słomy miały nieco ciemniejszy odcień niż włosy blondynki, która tańczyła w jego salonie, pieprzyła się z jego bratem, a potem przykleiła się do pleców jednemu ze swoich ochroniarzy, żeby wielokrotnie dźgnąć go w szyję kuchennym nożem. Tego ranka pani adwokat związała je w koński ogon. Richard wyobraził sobie, jak wyslizgują się na plecy przez półokrągły otwór czapki z daszkiem, którą pewnie zakładała po pracy; Kristin robiła sobie dokładnie taką samą fryzurę, kiedy chodzili na mecze New York Yankees. Kucyk pod czapką z daszkiem jako element świadomie przemyślanej stylizacji zawsze wydawał się Richardowi jednocześnie praktyczny i seksowny. Palec serdeczny lewej ręki Diny zdobiły dwa pierścionki z okazałych rozmiarów kamieniami.

Jej firma wynajmowała zachodnią stronę dziewiętnastego piętra biurowca na Park Avenue, sześć przecznic na północ od dworca Grand Central. W ten sobotni poranek po biurze kręciło się jeszcze kilku młodszych prawników, również ubranych w jeansy. Dwaj siedzieli w jednej z sal konferencyjnych, przy gigantycznym stole zawalonym papierami i żółtymi notatnikami, a trzeci rozsiadł się w swoim pozbawionym okien, ale poza tym całkiem ładnie

urządzonym gabinecie.

Richard obliczył, że po raz czwarty w ciągu ostatnich dziesięciu godzin opowiada komuś o tym, co się stało. Za każdym razem jedne szczegóły dodawał, a inne pomijał. Zawsze przypominał sobie jakiś inny moment, inne wrażenie, inny wyraz twarzy. Tym razem, podczas rozmowy z prawniczką, wciąż stawały mu przed oczami twarze dwóch zabitych mężczyzn. Pamiętał pulchne ręce oprycha – teraz byli już dla niego oprychami, a nie ochroniarzami czy opiekunami – który został zastrzelony na korytarzu. Wyraźnie widział gruby złoty łańcuch tego drugiego, który wykrwawił się na podłodze w salonie. Łańcuch częściowo zapadł się w karmazynowy tunel wycięty w jego szyi. Przypomniało mu się, jak on i pozostali faceci skulili się ze strachu podczas tej eksplozji przemocy. Ani jeden z nich nie próbował ratować tego biednego drania.

Kiedy skończył, zadał pytanie, które gnębiło go przez cały ranek.

– Myśli pani, że mogę mieć kłopoty?

– Nie. Przynajmniej nie z punktu widzenia prawa karnego. I nie widzę podstaw do postępowania cywilnego. Jest pan pewny, że nie ma żadnych nagrań? Ani zdjęć?

– Cóż, raczej tak. Tamci dwaj powiedzieli wszystkim, żeby trzymali telefony w spodniach.

– Szkoda, że nie trzymali w nich czego innego. Co na to pańska żona?

– Uważa, że jestem odrażający. I chyba ma rację.

– Odejdzie od pana?

– Nie. Myślę, że nie.

– Pana małżeństwo jest bezpieczne?

– Tak. Kocham ją. Ona to wie. Wierzę, że nasze małżeństwo to przetrzyma.

– A jak według pana zareagują ludzie z Franklin McCoy? Z tego, co się orientuję, nie macie opinii typowych wilków z Wall Street.

– Jesteśmy dość konserwatywni. I wielu naszych klientów jest równie

konserwatywnych. Pracuję w dziale fuzji i przejęć, na stanowisku kierowniczym.

– Co sobie pomyślą pańscy przełożeni?

– O mnie? O przyjęciu?

– O jednym i drugim. Miałam przede wszystkim na myśli przyjęcie i nieuniknione zainteresowanie mediów. Śmierć dwóch ludzi w pańskim salonie i korytarzu. Oraz bachiczny charakter całego przedsięwzięcia.

– Rzecz jasna nie będą zachwyceni.

– Zakładam, że to samo można powiedzieć o pańskich klientach.

– Tak.

– Ale nikt pana nie zwolni z pracy?

– Nie wydaje mi się.

Richard pomyślał o dyrektorze finansowym firmy. Pomyślał też o swoim bezpośrednim przełożonym, Peterze Fitzgeraldzie, który był kilka lat starszy od niego. Peter stał na czele działu fuzji i przejęć i Richard wiedział, że pewnego dnia ma szansę go zastąpić. Był też prawnukiem jednego z dwóch współzałożycieli firmy, Alistaira Franklina. Jego aparycja wiecznie młodego studenta elitarnej uczelni sprawiała, że choć miał czterdzieści parę lat na karku, wciąż wyglądał jak družba na weselu w Brick Church, i to jeden z tych bardziej zarozumiałych. Wszystko wskazywało na to, że w przyszłości zostanie następnym dyrektorem finansowym Franklin McCoy. Richardowi Peter zawsze wydawał się człowiekiem tragicznie pozbawionym poczucia humoru. Łączyły ich dość dobre, choć niezbyt zażyłe relacje. Wiedział, że ich znajomość nigdy nie przerodzi się w prawdziwą przyjaźń.

– Cóż – powiedziała Dina – to kolejna kwestia, którą powinien pan brać pod uwagę: możliwość zwolnienia z pracy.

– Bez podania przyczyny – dodał.

– Albo wręcz przeciwnie.

Richard starał się zachować stoicki spokój.

– Rozumiem.

- Podejrzewam, że ma pan podpisaną umowę z bankiem.
- Tak.
- Proszę mi ją przesłać.
- Dobrze.

Dina właśnie zaczęła tłumaczyć, że w kwestii dalszego zatrudnienia czeka go przejście przez istne pole minowe, kiedy zadzwoniła jego komórka. Wyciągnął ją z kieszeni i ujrzał na ekranie numer, którego nie znał. Pozwolił, żeby zgłosiła się poczta głosowa. Po chwili wyświetlił się komunikat, że ktoś nagrał nową wiadomość, przełączył na tryb głosnomówiący i położył telefon na biurku Diny.

– Panie Chapman, dzień dobry. Z tej strony Cynthia Prescott z „New York Post”. Pewnie pan wie, dlaczego dzwonię, i przepraszam, że pana niepokoję. – Podała mu swój numer i poprosiła, żeby się do niej odezwał.

– Skąd ona do cholery wzięła mój numer?

– Może od kogoś z imprezy – odparła Dina. – A może wcale nie. Jest mnóstwo stron internetowych, na których można znaleźć czyjś numer.

– Naprawdę?

Pokiwała głową.

– Może pani do niej oddzwonić w moim imieniu? – zapytał. – Bill mówił, że najlepiej będzie, jeżeli to pani będzie rozmawiać z dziennikarzami.

– Dobrze. Ale nie widzę powodu, żeby oddzwaniać już teraz. Nie jest pan o nic oskarżony i to zapewne panu nie grozi. Mówił pan, że te dziewczyny może i wyglądały na ledwie dojrzałe, ale...

– Powiedziałem, że wyglądały młodo, ale zdecydowanie były pełnoletnie.

– Rozumiem. Do tego właśnie zmierzałam.

– Nie chcemy przedstawić mojej wersji wydarzeń?

Uniosła brwi i po raz pierwszy spojrzała na niego krytycznym wzrokiem.

– A jaka jest twoja wersja, Richardzie?

Przez chwilę zastanawiał się nad jej pytaniem. Przed oczami stanęła mu dziewczyna o imieniu Alexandra siedząca na łóżku w pokoju gościnnym. Jej uśmiech wyrażał tęsknotę i pożądanie, nie było w nim nawet cienia żalu. Ponownie zobaczył, jak wyciąga do niego rękę.

Zdał sobie sprawę, że nie ma absolutnie nic do powiedzenia.

*

Po wyjściu z biura Diny Richard przypomniał sobie swoje wczorajsze zeznania na policji. Powiedział wtedy, że jego zdaniem blondynka – ta, na którą mówili Sonia – zabiła obu ochroniarzy. Czy tam strażników. Nieważne. W rzeczywistości jednak nie miał pojęcia, kto pociągnął za spust. Nie widział tego ani on, ani żaden z chłopaków.

Teraz to samo powiedział Dinie Renzi: według niego obu Rosjan ukatrupiła blondynka, jednego nożem, a drugiego pistoletem wyciągniętym spod marynarki umierającego bandziora. I mniej więcej tę samą wersję usłyszała od niego Kristin, chociaż w rozmowie z żoną skupił się chyba jednak głównie na tym, co robił (i czego nie robił) z dziewczyną o kruczoczarnych włosach.

Wiedział, że inni uczestnicy imprezy nie byli tego tacy pewni. Niektórzy upierali się wręcz, że to Alexandra musiała zastrzelić tego gościa na korytarzu. Tak stwierdził Chuck Alcott, a także Eric. Obaj uznali, że to ona. W końcu wszyscy pamiętali, że strzały rozległy się nie więcej niż dwie sekundy po tym, jak blondynka wyszła z salonu. Alexandra musiała więc w jakiś sposób wyciągnąć drugiemu alfonsowi pistolet spod marynarki i sama się z nim rozprawić. Dyskutowano nawet o tym, jak blisko klatki piersiowej Rosjanina znajdowała się broń, w chwili gdy padł strzał. Zamek swobodny. Takiego określenia użył jeden z detektywów. Zastanawiał się głośno, czy strzępy serca, płuc albo kości mogły dostać się do lufy pistoletu. Potem przelotnie wspomniał o tym, że na koszuli mogą być ślady prochu i sadzy, a w ranie postrzałowej fragmenty tkaniny. Ktoś to wszystko na pewno sprawdzi, zaręczał.

Ale prawda była taka, że wszyscy faceci z przyjęcia nie wiedzieli nic. No może prawie nic. Przyjaciele Philipa zgodnie twierdzili, że wszystko wydarzyło się tak szybko, że niczego nie można być pewnym. I oczywiście

żaden z nich nie miał ochoty zadawać dziewczynom żadnych pytań, kiedy już się ubierały.

Niestety oba pistolety zniknęły. A bez nich, a także bez świadka z prawdziwego zdarzenia, nie można było w żaden sposób ustalić, kto dwukrotnie pociągnął za spust.

*

Nieco później, kilka minut przed planowanym wyjściem Kristin z Melissą na lunch i popołudniowe przedstawienie, zadzwoniła narzeczona Philipa. Kristin siedziała z córką na dywanie w salonie i pomagała jej przygotować się do poniedziałkowego testu z liczb pierwszych i złożonych. Kiedy na ekranie telefonu wyświetliło się imię Nicole, dała Melissie całusa w czubek głowy i wyszła do kuchni, żeby móc porozmawiać z przyszłą szwagierką na osobności.

– Jestem w szoku – oznajmiła Nicole drżącym, ściszoneg głosem. – Kiedy Philip powiedział mi, co się stało, nie mogłam przestać płakać. Ryczałam chyba przez godzinę. – Nicole miała łagodne, życzliwe usposobienie. We wtorkowe popołudnia pracowała jako wolontariuszka w schronisku dla zwierząt na Brooklynie, a w czwartkowe poranki spędzała kilka godzin w mieszkaniu wspomaganym, gdzie jej babcia powoli staczała się coraz bardziej w otchłań alzheimera; zawsze, kiedy składała tam wizytę, pomagała jej i pozostałym lokatorkom malować i lepić z plasteliny. Była niezmiernie utalentowanym grafikiem, ale w zupełności wystarczyła jej do szczęścia jej kameralna firma. Najważniejsze, że mogła pracować w domu i oprócz tego miała czas na odwiedzanie osób starszych i bezpańskich kotów, co sprawiało jej największą radość. Była nieśmiałą, uroczą osobą; Richard i Kristin nie mogli pojąć, jak na Boga, ktoś taki mógł się zadać z Philipem. Nie znali jej zbyt dobrze, ale nie mieli wątpliwości, że jest za dobra dla młodszego brata Richarda.

– Wiem – powiedziała Kristin. – Wiem... – Musiała uważać na to, co mówi. Była pewna, że Philip przeleciał jedną z tamtych dziewczyn (zresztą, kto wie, może i obie), ponieważ Richard jej to powiedział. Ale nie miała pojęcia, czy Philip przyznał się do tego swojej narzeczonej.

– Zginęli jacyś ludzie – kontynuowała Nicole. – Rozumiem, że ci dwaj

mężczyźni to mogli być przestępcy. Ale teraz nie żyją. Nie ma ich. A co jeśli mieli żony i dzieci? Na pewno mieli matki. I ojców. A teraz nie żyją. No a te kobiety, które ich zabiły?

– Mów dalej – zachęcała Kristin, ponieważ głos Nicole zamarł, zanim zdążyła odpowiedzieć na własne pytanie.

– Pomyśl tylko, przez co musiały przejść, zanim zdecydowały się zamordować tych mężczyzn. To musiał być jakiś koszmar. Wyobrażasz sobie, jak to jest czuć tak wielki strach, tak wielką złość, że mogłabyś kogoś zabić?

Kristin usiadła przy kuchennym stole. Odkąd Richard wspomniał, że te dwie dziewczyny mogły być przetrzymywane wbrew swojej woli – że mogły zostać porwane – jej odczucia wobec nich odrobinę się zmieniły. Zresztą nawet jeśli nikt ich nie uprowadził ani nie zmusił przemocą do tej pracy, prawda jest taka, że żadna kobieta nie zostaje prostytutką z wyboru. To zawsze jest ostateczność. Decydujesz się na to, ponieważ nie masz pieniędzy na jedzenie albo narkotyki, albo chesne na studiach (to ostatnie to ulubione wytłumaczenie mediów, pozwala jednocześnie dać do zrozumienia, że dziewczyny są niewinne, a edukacja – za droga). Dlatego też Kristin rozumiała, dlaczego Nicole jest w stanie zdobyć się na empatię. Ale w dalszym ciągu chodziło o jej dom, który został skalany. Zbezczeszczono jej małżeństwo. Oczami wyobraźni wciąż widziała swojego nagiego męża z jedną z prostytutek w pokoju gościnnym.

– Zgadnam się – powiedziała po chwili. Mimo to trudno było jej pogodzić się z faktem, że Richard mógł mieć coś wspólnego z dziewczyną tego rodzaju.

Wtedy jednak Nicole zadała retoryczne pytanie, które szczerze ją zaskoczyło.

– I jak oni mogli nam to zrobić? Jak Richard mógł to zrobić? I Philip? I wszyscy mężczyźni, którzy tam byli? Wiadomo, domyśliłam się, że zamówią striptizerkę. Wolałam nie pytać. Ale myślałam, że skoro wszystko odbędzie się w waszym domu, to nie ma się czego obawiać. Że to nic groźnego. Przecież nawet nie poszli do klubu ze striptizem. Pojechali... pojechali do Westchester, na miłość boską!

– Co Philip ci powiedział? – zapytała w końcu Kristin. Nie mogła się dłużej powstrzymać.

– Wcale nie chciał mi nic mówić.

– Nie dziwię się.

– Ale w końcu musiał przyznać, co się tam naprawdę wydarzyło, bo widziałam wyraźnie, że kłamie.

– I co?

– Przyznał się. Przyznał się, że uprawiał seks z jedną z tych dziewczyn. Nawet zapewniał mnie, że użył prezerwatywy. Naprawdę mu się wydawało, że dzięki temu poczuje się lepiej. Bo inni faceci byli mniej rozsądni.

– Widziałaś się z nim czy tylko rozmawialiście przez telefon?

– Nie chcę na niego patrzeć. Po prostu nie jestem w stanie.

– Rozumiem.

– Powiedz, jak wygląda wasz dom? Jest bardzo źle?

– Nie mam pojęcia. Teraz to miejsce zbrodni. Nie pozwalają nam wrócić.

– Miejsce zbrodni? Boże, brzmi okropnie.

– O tak.

– Gdzie teraz jesteś?

– U matki, w mieście.

– Bardzo jesteś zła na Richarda?

– Potwornie. Naprawdę mnie zranił. Tak jak mówisz, nie rozumiem, jak on mógł nam to zrobić. Naszej rodzinie.

– Ja tak samo – przyznała Nicole. – Jak myślisz, dlaczego to zrobili? Dlaczego uprawiali seks z tymi dziewczynami?

– Richard tego nie robił.

– Nie?

– Nie – powtórzyła Kristin, choć w tym samym momencie zdała sobie

sprawę z dwóch rzeczy: Philip powiedział Nicole, że jego brat jest tak samo winny jak on, a zatem niewykluczone, że Richard ją okłamał. Może jednak przerznął tę dziewczynę, którą zabrał do pokoju gościnnego. Mimo to za wszelką cenę chciała mu wierzyć. W ten weekend okręt jej życia roztrzaskał się o górę lodową i w tej chwili zaufanie wobec męża to jedyna unosząca się na wodzie deska, której mogła się ucześcić, żeby nie utonąć.

– Poszedł na górę z jedną z nich, ale... oparł się jej.

– Oparł się. Mówisz tak, jakby to wszystko była wina tych dziewczyn. Wiesz, że wcale tak nie jest. Ja im współczuję.

– Ja też, w jakimś sensie. W jakimś sensie jest mi nawet trochę żal Richarda. To nie będzie przyjemne, kiedy pojawi się w pracy w poniedziałek rano. – Kristin spojrzała przez okno na zachmurzone niebo. – Co teraz zamierzasz?

– Co masz na myśli?

– Ślub.

Po drugiej stronie zapadła długa cisza.

– Nie wiem – odezwała się w końcu Nicole. – Po prostu nie wiem, czy nadal mogę za niego wyjść.

*

Po południu, kiedy Kristin i Melissa były w teatrze, Richard wybrał się do sklepu, żeby kupić ubrania dla całej rodziny. Trzymał się nadziei, że do poniedziałku policja pozwoli im wrócić do domu, ale tak czy inaczej potrzebowali paru dodatkowych rzeczy. Jego garnitur wystarczyło pewnie przetrzeć gąbką i wyprasować, ale musiał sprawić sobie jakieś jeansy na jutro i koszule na najbliższe dwa dni. I jeszcze krawat. Kristin stwierdziła, że ona i Melissa mają w czym chodzić do niedzieli, ale obie potrzebowały ubrań na początek nowego tygodnia. I do szkoły.

Na wszelki wypadek kupił też rzeczy z myślą o wtorku. Spędził dwie godziny w Bloomingdale's, obkupując się, jakby była Wigilia, a on nie miał co położyć pod choinką. W ogóle nie zwracał uwagi na ceny. Brał spódnice, sukienki, designerskie jeansy i bieliznę. Potem poszedł za róg do butiku i

wybrał dla swojej córki dwie pary najdziwniejszych rajstop, jakie mieli na stanie: na jednej były walet, dama i król ze średniowiecznej talii kart, a na drugiej gwiazdy, planety i statki kosmiczne rodem z niemych filmów z początku dwudziestego wieku. Oprócz tego kupił czekoladki dla Kristin i Melissy oraz kwiaty dla teściowej. Kupował to wszystko w desperackiej nadziei na to, że w ten sposób zdobędzie ich przebaczenie.

Philip dwa razy próbował się do niego dodzwonić, ale nie odebrał. Nie był jeszcze gotowy, żeby porozmawiać z bratem i ponownie stawić czoła temu, co się stało poprzedniej nocy. Zignorował również dwa połączenia od dziennikarzy.

Odebrał za to telefon od sąsiada w Bronxville, swojego kompana od golfa, którego nie było na przyjęciu. W końcu Philip zaprosił swoich przyjaciół, a nie jego. Może dlatego Richard zdecydował się z nim porozmawiać – wreszcie mógł pogadać z kimś, kto jeszcze nie wiedział o tej całej aferze. Odłożył wszystko z wyjątkiem kwiatów na chodnik i przyłożył telefon do ucha. Znajomy chciał się dowiedzieć, dlaczego u licha pod domem Richarda stały furgonetki kilku różnych stacji telewizyjnych, a także wóz policji stanowej. Konkretnie: mobilne laboratorium kryminalistyczne. Ewidentnie stało się coś bardzo złego i jego sąsiad chciał zapytać, czy może jakoś pomóc.

– Wszystko jest w porządku, w każdym razie jeśli chodzi o moją rodzinę
– odpowiedział Richard.

Już miał wyjaśnić, co się wydarzyło – oczywiście w skróconej, skondensowanej wersji – kiedy usłyszał, że żona sąsiada krzyczy coś z drugiego pokoju. Wyglądało na to, że cała historia jest już opisana w internecie: dwaj mężczyźni zostali zabici podczas orgii na wieczorne kawalerskim w eleganckiej dzielnicy pod Manhattanem.

– Nie było żadnej orgii – sprostował Richard.

– Ale ktoś zginął.

– Tak. Dwóch ludzi. – Dzięki Bogu jego żona siedziała właśnie w teatrze po drugiej stronie miasta z wyłączonym telefonem komórkowym. Pewnie włączy go na chwilę podczas przerwy, która jak obliczył, powinna się zacząć mniej więcej kwadrans po trzeciej. Bez wątplenia zobaczy wtedy kilka

nieodebranych połączeń i wiadomości nagranych na pocztę głosową. Będą tam telefony od zaniepokojonych sąsiadów i od dziennikarzy. Pewnie będzie do niej dzwonił jej brat z Bostonu i paru nauczycieli z jej liceum. Jak to możliwe, że tak szybko zaczęli o tym pisać w internecie? Że już można o tym przeczytać na stronach gazet?

Musiał ostrzec Kristin, żeby nie odbierała telefonu. Przypomniał sobie bowiem zdanie, które wypowiedział do Diny Renzi: „Wierzę, że nasze małżeństwo to przetrzyma”. Teraz nagle nie był już tego taki pewny.

Alexandra

Myślę, że po śmierci ojca matka miała kochanków. Była młoda. I miała swoje potrzeby. Pamiętam dwóch, z którymi kilka razy poszła do opery. No i jeszcze ten trzeci facet, z którym chodziła w piątkowe wieczory do klubu jazzowego. Zaczęła się z nim spotykać, jak miałam dziewięć lat. Trwało to może ze dwa lata. Kiedy z nim wychodziła, zostawałam z babcią. Ale kiedy spytałam, czy to jej chłopak, powiedziała że nie, że to tylko przyjaciel.

Pamiętam, jak jednego wieczora, kiedy pracowałam w domku letniskowym pod Moskwą, zajrzałam do biura na pierwszym piętrze. (Ciągle mówię na to miejsce „domek letniskowy”, choć w przeszłości najprawdopodobniej była to prywatna dacha jakiejś partyjnej szczy. Może właśnie dlatego mieszkańcy Moskwy nazywali go domkiem – w ten sposób zacierało się różnice klasowe. Amerykanie pewnie użyliby raczej określenia „rezydencja”). Szukałam Ingi, jednej z kobiet, które pomagały nas szkolić, bo chciałam ją o coś zapytać. Kiedy otworzyłam drzwi, zobaczyłam, że siedzi na kolanach jednego z naszych szefów, gościa ze stalinowskim wąsem, który nazywał się Michaił. Miała rozpiętą bluzkę i zadartą spódnicę. Gdy tylko mnie zobaczyła, chciała zeskoczyć mu z kolan, ale Michaił ją zatrzymał i uśmiechnął się do mnie, jak gdyby nigdy nic. Powiedziałam, że przyjdę później. Wycofałam się na korytarz i zamknęłam za sobą drzwi. Wiedziałam, że Inga ukarze mnie za to, że nie zapukałam. I oczywiście miałam rację.

Tamtej nocy obudziłam się nagle i wbiłam wzrok w sufit. Zupełnie nie pamiętałam, co mi się śniło. Za to przypomniałam sobie coś innego. Któregoś dnia po szkole zajrzałam do wytwórni brandy, żeby pokazać mamie tulipany, które namalowałam na zajęciach z plastyki. Miałam z siedem lat, dlatego do wytwórni przyprowadziła mnie babcia. Akurat rozmawiała z kimś w recepcji, kiedy zauważyłam, że przy biurku nie ma mojej mamy. Podeszłam do gabinetu Wasilija i otworzyłam drzwi. Oczywiście nie przyszło mi do głowy, żeby zapukać. Czy mama zeskoczyła wtedy z kolan Wasilija, tak samo jak

Inga u Michała, czy tylko mi się to przyśniło? Do dziś tego nie wiem. A przynajmniej tak sobie powtarzam.

Bo oczywiście są takie dni, kiedy wiem. Wiem doskonale.

*

Pierwszej nocy w Moskwie, kiedy wreszcie zdołałam się zwlec z łóżka, po tym jak zostałam zgwałcona, podeszłam do komody z telewizorem. Mój telefon komórkowy, który wcześniej tam położyłam, oczywiście zniknął. Jak się okazało, moja walizka na kółkach również. W pierwszej chwili zdziwiłam się, że ukradli mi bagaż. Na co im były moje ubrania? Moje baletki i pointy? Czy to naprawdę było konieczne? Pewnie tak. W końcu te sukinsyny miały to w genach. Tak jak ptak musi latać, a lew pożerać gazy, tak rosyjski gangster najwidoczniej musi do końca złamać serce zgwałconej dziewczynie, kradnąc rzeczy, które sprawiały jej najwięcej radości i dzięki którym być może mogłaby jeszcze kiedyś poczuć, że jednak warto żyć.

Przez kilka kolejnych miesięcy spotykałam dziewczyny, które opowiadały mi, że były w to wciągane stopniowo, krok po kroku. Czasami alfonsi najpierw zgrywali ich chłopaków, a one święcie im wierzyły. Tak się działo głównie w przypadku tych, które zaczęły bardzo młodo, w wieku jedenastu, dwunastu czy trzynastu lat. Ich faceci mieli po dwadzieścia, trzydzieści lat. Zapewniali, że je kochają, a one były gotowe zrobić dla nich wszystko, nawet kiedy zaczynali je tłuc. Dziewczyny dochodziły do wniosku, że skoro je bito, to na pewno musiały sobie na to zasłużyć.

Inne z kolei uważały swoich chłopaków za menedżerów, którzy mieli na przykład zrobić z nich modelki. Jedna z dziewczyn opowiadała mi, jak po kilku tygodniach znajomości jej menedżer poprosił ją o przysługę: miała przespać się z jednym bardzo wpływowym facetem z branży. Powiedział, że powinna to zrobić nie tylko dla niego, ale też przede wszystkim dla siebie, bo to może być prawdziwy przełom w jej karierze. Obiecał też, że to tylko ten jeden raz. Więc się zgodziła. I nim się zorientowała, znalazła się na równi pochyłej. Nie robiła nic innego, tylko chodziła do łóżka z kolejnymi facetami, którzy mieli zapewnić jej karierę. Nigdy nie została modelką. Ani razu nawet nie wyszła na wybieg.

Ale ja, choć przyjechałam do Moskwy z własnej woli, nie miałam

łagodnych początków. O nie. Od razu jasno dali mi do zrozumienia, jakie mają wobec mnie plany i co się ze mną stanie, jeśli nie będę współpracować.

*

Kiedy odkryłam, że zabrali mi telefon i walizkę, otworzyłam drzwi i wyjrzałam na zewnątrz. Niemal krzyknęłam, ponieważ na korytarzu zobaczyłam wysokiego faceta, który pilnował mojego pokoju. Siedział w obitym pluszem fotelu tuż obok windy i gapił się w telefon. (Teraz już wiem, że albo sprawdzał wyniki meczów piłki nożnej, albo oglądał porno, ale raczej obstawiałabym to drugie). Na mój widok tylko się uśmiechnął i niedbałym ruchem dłoni kazał mi wracać do środka, jakby przeganiał sprzed nosa natrętą muchę. Był łysy, tak samo jak Andriej. Do dziś nie mogę pojąć, dlaczego rosyjscy gangsterzy golą się na zero i wyglądają potem jak wielkie niemowlaki. Przecież dziewczynom to się nie podoba. To coś, czego chyba nigdy nie zrozumiem.

Minęło jeszcze kilka godzin, zanim w moim pokoju zjawiała się Inga. Ja tymczasem wróciłam do środka i dopiero wtedy zobaczyłam krew na prześcieradle. Nie przypominałam sobie, żeby Andriej ściągnął z łóżka narzutę. I nagle do mnie dotarło, że wciąż krwawię. Nie jakoś mocno, ale jednak. Krew przesiąkła przez majtki i spływała cienką strużką po nodze niczym krople deszczu po szybie. Wpadłam w szal jak jakieś dzikie zwierzę. Z furią tłukłam pięściami w ściany, potem waliłam otwartymi dłońmi w drzwi. Nie przestałam, nawet gdy skóra na rękach zaczęła piec żywym ogniem. Właściwie nie wiem, czego się spodziewałam. Myślałam, że ten zbir na korytarzu mnie wypuści? Czy może raczej każe mi się uspokoić? Tak naprawdę nie zastanawiałam się nad tym. Znalazłam się w potrzasku. Byłam więźniem. Ostatecznie mój strażnik ani mnie nie uwolnił, ani na mnie nie nawrzeszczał. Po prostu całkowicie mnie zignorował. Waliłam w ściany i drzwi dopóty, dopóki nie osunęłam się z wycieńczenia na podłogę. Spojrzałam na zawieszony w oknie aksamitny kotary. Pokój znajdował się na ósmym piętrze, ale chwyciłam się nadziei, że może na zewnętrznej ścianie są schody przeciwpożarowe. Niestety, żadnych schodów tam nie było.

Doczołgałam się z powrotem do łóżka i rzuciłam się na materac. Płakałam tak długo, aż zaczęłam się dusić. Byłam wyczerpana. Chyba tylko raz w życiu czułam się równie zmęczona. To było kilka lat wcześniej, jeszcze

w Erywaniu. Zgodziłam się popilnować rocznej córeczki sąsiadów, którzy mieszkali w tym samym bloku co my. Biedulka strasznie płakała, a ja w żaden sposób nie mogłam jej uspokoić. Brałam ją na ręce, kołysałam i śpiewałam piosenki. Kładłam ją na ramieniu, żeby jej się odbiło. Parę razy zmieniałam jej pieluchę. A potem dostała czkawki, która nie skończyła się po kilku minutach. Nie, trwało to kilka godzin. Płakała i czkała aż do powrotu swojej mamy. Myślałam, że to dziecko zaczka się na śmierć. Gdybym mogła, poprosiłabym o pomoc mamę albo babcię, ale żadnej nie było w domu. Tamtej nocy w pokoju hotelowym w Moskwie, samotna, uprowadzona i ponizona, czułam się dokładnie tak samo.

Byłam wykończona. Potwornie wykończona.

W końcu przypominałam sobie o zakrwawionym prześcieradle. Leżałam na nim. Leżałam we własnej krwi. W tym momencie, oprócz tego, że czułam się wykorzystana, zrobiło mi się dodatkowo wstyd. Choć byłam przerażona i wściekła, jakaś część mnie nadal pragnęła być grzeczną dziewczynką. Potrzebowała aprobaty ze strony dorosłych. Bała się zrobić złe pierwsze wrażenie. W końcu znalazłam się w najładniejszym hotelu, jaki kiedykolwiek widziałam. (Prawdę mówiąc, nigdy wcześniej nie spałam w żadnym hotelu. Zdarzało mi się spać w motelach czy w domkach kempingowych nad jeziorem Sewan, ale jeszcze nigdy nie trafiłam w tak luksusowe miejsce). Nie mogłam dopuścić do tego, by pokojówka zobaczyła krwawe plamy na pościeli. Nie chciałam sobie nawet wyobrazić, co mogłaby o mnie pomyśleć. Zwinęłam więc prześcieradło w możliwie najmniejszy kłębek i wcisnęłam je do worka na śmieci, który na razie schowałam pod łóżkiem. Uznałam, że później się zastanowię, jak się go pozbyć.

Kiedy znów położyłam się na łóżku, mogłam myśleć tylko o mamie i babci. Wreszcie przeszła mi czkawka, ale wciąż cicho łkałam. Płakałam, bo umarła mi mama. Bo moja babcia była daleko. Bo zostałam zgwałcona. Bo strasznie się bałam. Nie macie pojęcia, co to znaczy być tak bardzo przerażonym. Taki strach zna tylko nastolatka w zakrwawionych majtkach, uwięziona w pokoju hotelowym. I nie miało znaczenia, że to był bardzo elegancki moskiewski hotel, a pokój miał na wyposażeniu małą lodówkę, kieliszki do wina i wiaderko na lód. Nie miało znaczenia, że w innych pokojach być może mieszkali oligarchowie i bogaci turyści.

Tym, co z perspektywy czasu wydaje mi się jednak najdziwniejsze, jest fakt, że w tamtym momencie czułam się winna. Teoretycznie widziałam, że nie zrobiłam nic złego. W końcu która dziewczyna nie chciałaby zostać baleriną? Która nie zaufałaby szefowi swojej zmarłej mamy i z błogosławieństwem babci nie wsiadła na pokład samolotu z jego asystentem? Całą logikę diabli wzięli, w chwili gdy zobaczyłam poplamione krwią prześcieradło. I kiedy kilka sekund później zdjęłam majtki i wrzuciłam je do worka na śmieci razem z tym prześcieradłem.

*

Kobieta przedstawiła się jako Inga. Powiedziała, że pochodzi z Łotwy, ale czułam, że kłamie. Długo przekonywała mnie do zmiany imienia. Według niej imię Anahit zupełnie się nie nadawało. Było zbyt mało europejskie. Zbyt mało wytworne. Zbyt mało uwodzicielskie. Chciała, żebym została Alexandrą. Nie żartuję. W ciągu ostatniej doby po raz pierwszy w życiu zostałam zerżnięta, a potem sfilmowana z kutasem jakiegoś pieprzonego ochroniarza głęboko w ustach, a teraz ta obca kobieta tłumaczyła mi, że moje nowe imię powinno brzmieć dostojnie, jak imię rosyjskiej carycy. Byłam w szoku. Pamiętam, jak usiadłam na łóżku, w którym zeszłej nocy mnie zgwałcono, a potem odwróciłam głowę od tej tak zwanej Ingi i objęłam rękami ramiona. Czułam przeszywający chłód, mimo że w pokoju ustawiono wysoką temperaturę z myślą o erotycznych schadzkach. Kobieta zapewniała mnie słodkim, łagodnym głosem – widocznie w duecie dobry glina, zły glina, który tworzyła z Andriejem, grała rolę tego dobrego – o tym, że z czasem będzie coraz lepiej. Tłumaczyła, że czeka mnie luksusowe życie na poziomie i że im szybciej to zaakceptuję, tym lepiej wszyscy na tym wyjdziemy. Płynnie posługiwała się językiem ormiańskim, ale mówiła z akcentem, którego nie byłam w stanie rozpoznać. Być może pochodziła z Polski, ale mogłam się mylić. Do Erywania przyjeżdżało mnóstwo turystów, nigdy jednak nie spotkałam żadnego Polaka.

– Alexandra brzmi bardzo podobnie do Anahit – powiedziała z przekonaniem. – Właśnie dlatego ci to zaproponowałam.

Mogłam jej odpowiedzieć, że imię Anahit nosiła piękna ormiańska bogini, a nie jakaś nieszczęsna kobieta zastrzelona razem z całą rodziną przez bolszewików. Ale tego dnia postanowiłam się już więcej nie odzywać, bo za

każdym razem, gdy otwierałam usta, z mojego gardła wydobywał się albo syk schwytanego w pułapkę zwierzęcia, albo żałosny szloch. Inga próbowała rozmasować mi kark i ramiona, ale gdy tylko poczułam na sobie jej dotyk, odruchowo ją odtrąciłam.

Wreszcie oznajmiła, że wychodzi. Zanim jednak zostawiła mnie samą, wręczyła mi okrągły blister pigułek.

– Aha, zapomniałabym. Jeśli nie zaczniesz brać tabletek, zabiją twoją babcię. To bardzo proste. Będą wiedzieć, że ich nie bierzesz, bo szybko zajdziesz w ciążę – oznajmiła z uśmiechem troskliwej ciotki. Kiedy zamknęła za sobą drzwi, usłyszałam, jak mówi coś do ochroniarza, ale nic nie zrozumiałam.

Następnego dnia byłam odrobinę bardziej rozmowna. Inga szybko się zorientowała, jak dobrze mówię po angielsku. Zdziwiła się, że nikt jej o tym wcześniej nie poinformował. Wyglądała nawet na lekko dotkniętą tym faktem. Niemniej ucieszyła się ze swojego odkrycia, mimo że znałam angielski lepiej od niej.

Tak czy owak musiało upłynąć jeszcze kilka dni, zanim dotarło do mnie coś, czego wy pewnie już dawno się domyśliliście: stanowiłam dla nich cenny towar, w związku z czym postanowili we mnie zainwestować naprawdę kupę szmalu. Może i byłam tylko przedmiotem, ale miałam piętnaście lat, biegle mówiłam po angielsku i byłam seksowna – mogli na mnie cholernie dużo zarobić.

Rozdział 5

W panujących na widowni ciemnościach Kristin była w stanie niemal całkowicie zapomnieć o tragedii, do której poprzedniej nocy doszło w jej salonie (tak naprawdę te wszystkie potworne sceny rozgrywały się w całym domu, ale jej myśli uparcie krążyły wokół salonu). Żeby choć na chwilę się od tego oderwać, całą uwagę skupiała na musicalu opowiadającym uroczą, a chwilami wyciskającą łzy historię o wyrzuconych na brzeg wielorybach i grupie ludzi próbujących je ratować. W trakcie pierwszego aktu zdarzały się momenty, kiedy siedząc nieruchomo obok swojej córki, z rękoma spoczywającymi na okładce żółto-białego programu teatralnego, wierzyła, że wszystko będzie dobrze. Czuła, jak jej ciało rozluźnia się w obitym czerwonym aksamitem fotelu, a umysł całkowicie zatracą się w świecie gigantycznych kukieł wielorybów i zdesperowanych, żałośnie zawodzących biologów morskich.

Jednak cała ta iluzja prysła wraz z nadejściem antraktu, gdy zapaliły się światła, a ona włączyła telefon komórkowy. Miała masę nieodebranych wiadomości głosowych i SMS-ów. Wszyscy gorączkowo usiłowali się z nią skontaktować. Sąsiedzi, koledzy i koleżanki z pracy dopytywali, czy to prawda, co mówią w mediach. Kristin uznała, że musi przejrzeć najnowsze doniesienia, zanim do kogokolwiek oddzwoni. Na pocztę nagrał się nawet jej brat.

Czując na sobie wzrok Melissy, otworzyła pierwszy artykuł i zaczęła czytać wypowiedzi policjantów, detektywów i – dobry Boże – jakiegoś wyjątkowo wygadanego kolegi Philipa, niejakiego Chucka Alcotta, któremu takie słowa jak „powściągliwość” czy „dyskrecja” musiały być całkiem obce. „Nie wiem, kto bardziej stracił nad sobą panowanie: te dwie prostytutki czy faceci uczestniczący w imprezie” – brzmiał dokładny cytat. Według Alcotta co najmniej połowa gości, wśród których znaleźli się bankierzy, pracownicy agencji reklamowych i firm informatycznych oraz hotelarze (znów to

określenie), uprawiała seks z tymi dziewczynami. Jak stwierdził, moment, w którym jedna z prostytutek wbiła nóż w szyję ochroniarza, był najbardziej wstrząsającym doświadczeniem w jego życiu. Dodał jeszcze, że nie był świadkiem strzelaniny – żaden z uczestników wieczoru kawalerskiego tego nie widział – ale to ta druga dziewczyna chwyciła za broń i pociągnęła za spust. Oczywiście on sam, jak utrzymywał, zaliczał się do tej połowy, która nie uprawiała seksu z prostytutkami.

Jej mąż, na co Kristin zwróciła szczególną uwagę, został opisany jako zamożny bankier inwestycyjny, a ich dom określono mianem eleganckiego i bogato wyposażonego. Za to o ich córce – dzięki Bogu – nie było ani słowa.

Jednak najbardziej uderzył ją fragment dotyczący dwóch prostytutek. Choć nagłówek sugerował, że dopuściły się wyjątkowo brutalnego aktu przemocy w ich domu, autor artykułu, pomimo przytoczonych w tekście słów Alcolta, przedstawiał je jako ofiary. Tak jak mówił Richard, być może zabiły swoich oprawców, a nie ochroniarzy. Być może były seksualnymi niewolnicami. Może nawet były nieletnie. W podsumowaniu dziennikarz stwierdził, że dziewczynom najprawdopodobniej dużo bardziej zależało na tym, żeby uciec przed rosyjskimi gangsterami niż przed policją.

– Czy tata ma większe kłopoty? – spytała Melissa. Wszędzie naokoło nich ludzie przeciągali się i dzielili wrażeniami po wzruszającym pierwszym akcie. Jej dziewczęce oczy były nadzwyczaj niebieskie, nawet w przytłumionym świetle sali teatralnej. Już teraz miała lśniące długie rzęsy. Była przeuroczym dzieckiem i Kristin szczerze bała się o jej przyszłość.

Wróciła myślami do klubów nocnych – co za durny eufemizm – na Times Square, które minęły w drodze do teatru, i stwierdziła, że teraz, w tym momencie nienawidzi mężczyzn. Wszystkich bez wyjątku. To oni zmieniają dziewczynki w dziwki. W niewolnice seksualne. I to nie tylko w mrocznych zaułkach Bangkoku, lecz także tutaj, w tym mieście. Dwie z nich nawet mogły trafić do ich domu.

Zastanawiała się, co ją opętało, kiedy pozwoliła swojemu mężowi zorganizować wieczór kawalerski brata u nich w domu. Próbowwała sobie przypomnieć, czyj to był pomysł, ale nie mogła. Za nic w świecie nie potrafiła sobie przypomnieć.

– Nie – odpowiedziała wolno Kristin. – Ma te same kłopoty co wcześniej. Tutaj nic się nie zmieniło. Tylko...

– Tylko co?

Brat Kristin, który z jednej strony z zawodu był terapeutą, z drugiej zaś starszym bratem, czasem czuł się upoważniony do krytykowania siostry za jej wrodzoną niechęć do konfrontacji. Kiedy podczas rodzinnych spotkań w Święto Dziękczynienia albo Boże Narodzenie zdarzało się jej napomknąć, że dyrektor szkoły robi jej trudności albo jacyś rodzice są przeciwko niej, on zawsze namawiał ją, żeby się postawiła i broniła swoich racji. Tłumaczył, że czasem trzeba jasno nakreślić granice. Więc tym razem to zrobiła. Odtwarzała w pamięci rozmowy, które odbyła z Richardem od czasu tamtego pierwszego telefonu w środku nocy, i naprawdę miała poczucie, że zadawała mu same trudne pytania. Czuła się wściekła, zraniona i zdradzona.

– Po prostu ludzie już zaczęli rozmawiać o tym, co się stało. Nie spodziewałam się, że wieści tak szybko się rozniosą. – Próbując to wytłumaczyć Melissie, po raz pierwszy zobaczyła siebie w tym samym świetle, w jakim inni mogli ją postrzegać. Czuła się upokorzona i z jakiegoś powodu nie dość dobra, a to na nowo rozbudziło w niej cały gniew, który ogarnął ją kilka godzin wcześniej w pokoju gościnnym matki. Czy to znaczy, że nie była dla Richarda dostatecznie ładna? Dostatecznie seksowna? Nie podniecała go? Czy jej mąż miał niezaspokojone potrzeby? Chciał więcej? Pragnął czegoś albo kogoś innego?

Uświadomiła sobie, że czuje się zażenowana. Otóż to. Zażenowana. Jak on mógł tak nonszalancko obejść się z ich życiem? Czy nie pomyślał, że może w ten sposób zburzyć wszystko, co zbudowali wspólnymi siłami?

Nagle miała wątpliwości, czy będzie mogła dalej z nim żyć po tym ciosie, jaki zadał ich małżeństwu. Ich rodzinie. W każdym razie w tej chwili nie chciała go widzieć na oczy. Przynajmniej nie dziś wieczorem.

Jeszcze kilka godzin wcześniej zależało jej tylko na stabilizacji dla dobra Melissy. To był cel. Chciała, żeby ten koszmar się skończył, ale dopóki trwał, pragnęła przynajmniej zminimalizować stres grożący ich dziecku. Nigdy nie kłócili się z Richardem przy córce i miała nadzieję – właściwie oczekiwała – że tak zostanie. Z drugiej strony, jaki da przykład córce, jeśli będzie

wyglądało na to, że toleruje tego rodzaju zachowanie ze strony własnego męża. Jeśli się nie postawi, tak jak z pewnością radziłby jej brat.

– Mówią o tym w telewizji? – zapytała Melissa.

– Tak.

Dziewczynka zamyśliła się na chwilę i pokiwała głową. Potem spuściła wzrok na własny egzemplarz programu. Kristin zdała sobie sprawę, że boi się na nią spojrzeć.

– Ale wszystko będzie dobrze, kochanie – powiedziała, gładząc córkę po głowie, delikatnie odgarniając jej włosy za ucho. Czuła, jak mocno wali jej serce, i wzięła głęboki oddech. Podjęła decyzję: Richard musi spędzić dzisiejszą noc w hotelu. Może jutrzejszą też.

– Obiecuję.

Mówiąc to, nie próbowała się uśmiechać. To byłoby niewykonalne. Wiedziała, że jej lęk o to dziecko jest niczym nieuzasadniony, lecz mimo to nie potrafiła się od niego uwolnić. Myślała o tym, jakie wyobrażenie o kobietach mają chłopcy i mężczyźni w epoce cyfrowej. Faceci to drapieżne zwierzęta, a ta mała dziewczynka u jej boku – jej córeczka – jest taka śliczna...

*

Kiedy Richard przyszedł do mieszkania teściowej, wręczył jej kwiaty, a potem razem poszli do kuchni, żeby wstawić je do dużego wazonu. Dziewczyny nie wróciły jeszcze z teatru. Sytuacja była trochę niezręczna, ale na szczęście matka Kristin posiadała absolutnie zadziwiający talent do omijania nieprzyjemnych tematów. Pytała go o pracę. Prosiła, żeby pokazał rzeczy, które kupił dla całej rodziny, taktownie przemilczając przyczynę tego zakupowego szaleństwa. Choć oczywiście pamiętała. O tym, co wydarzyło się zeszłej nocy, nie dało się zapomnieć.

Właśnie zaczynał chować prezenty z powrotem do pudełek, kiedy po raz kolejny zadzwonił Philip. Tym razem Richard odebrał telefon i przeniósł się do pokoju gościnnego, żeby porozmawiać z nim na osobności. Nie przeprosił za to, że wcześniej nie odbierał. Zaczął jednak od wyjaśnienia, że był na spotkaniu z prawniczką, a potem musiał zrobić zakupy dla Kristin i Melissy.

Nie omieszkał wspomnieć, że policja wyrzuciła ich z domu.

– No to całe szczęście, że cię tam teraz nie ma – odparł jego młodszy brat. – Masz fart.

– Dlaczego?

– Twój dom jest obleżony.

Chociaż był w pokoju sam, Richard bezwiednie pokiwał głową. Przypomniał sobie wozy transmisyjne zaparkowane na ulicy przed jego podjazdem.

– W moim budynku jest portier, a ja mieszkam na czwartym piętrze, więc nie mają jak się do mnie dostać. I nie zamierzam wychylać nosa na zewnątrz. Nie ma, kurwa, mowy. Będę zamawiał chińszczyznę i po kolei wyjadał wszystko, co jest w lodówce. Ale w święta muszę dać Seanowi jakiś konkretny napiwek – powiedział, odnosząc się do portiera, który akurat dzisiaj pełnił straż w holu. Apartamentowiec Philipa znajdował się na Brooklyn Heights, tuż obok promenady East River.

– Ilu dziennikarzy jest na dole?

– Według Seana pięciu. Przynajmniej było pięciu, kiedy ostatni raz sprawdzał. Trzech facetów, dwie kobiety. Jedni z telewizji, inni z prasy.

– Jak się trzyma Nicole?

– Nie mam pojęcia.

– Jak to nie masz pojęcia?

– Nie odzywa się do mnie. Zaszyła się w swoim studiu.

– No to masz odpowiedź. Właśnie tak się trzyma.

– Nie twierdzę, że przesadza, ale byłoby miło, gdyby spróbowała spojrzeć na to z naszej strony.

– Z naszej strony?

– Mogliśmy zginać! Boże, dwaj ludzie zostali zamordowani z zimną krwią w twoim domu. Skąd mogliśmy wiedzieć, że striptizerki dostaną amoku? To było straszne.

– To nie były striptizerki.

– Dobra. Nie nasza wina, że damy do towarzystwa dostały amoku. Nadal było strasznie. To miał być zwyczajny wieczór kawalerski. Facet chyba ma prawo do wieczoru kawalerskiego, prawda?

– Philip, to nie był wieczór kawalerski, tylko...

– Tylko co?

– Cholerna katastrofa, ot co!

– Ale to nie moja wina. Ani twoja.

– Staram się nikogo nie osądzać...

– Więc nie osądzaj.

– Słuchaj, przeleciałeś jedną z tych dziewczyn.

– Ty też.

– Wcale nie.

– Niech ci będzie, poszedłeś z nią na górę i robiłeś nie wiadomo co. Nie moja sprawa. Nie w tym rzecz. To było moje przyjęcie. Wszyscy faceci pieprzą się ze striptizerkami na swoich wieczorach kawalerskich. Opowiadałem ci, co się wyprawia u mnie w hotelu. Nie jestem dumny z tego, co zrobiłem, ale gdyby tym dziewczynom nie odbiło, nie byłoby żadnego problemu. Zabawilibyśmy się trochę, panienki pokręciłyby tyłkami i wszyscy zadowoleni wróciliby do domu. Żadni dziennikarze nie rozbijaliby obozu pod twoim domem. Nie spędzilibyśmy wczoraj kilku godzin na pieprzonym komisariacie. A moja narzeczona nie wściekłaby się tak, że nie wiadomo, czy w ogóle jeszcze ma zamiar wziąć ze mną ślub.

Richard usłyszał, że teściowa włączyła radio w swojej sypialni. Rozległy się dźwięki muzyki poważnej. Podkreśliła też głośność – albo miała problemy ze słuchem, albo chciała mu zapewnić trochę prywatności. Lekko przymknął drzwi nogą.

– Nie wszyscy faceci przed ślubem pieprzą się ze striptizerkami.

– Po pierwsze, oczywiście, że tak. Jak następnym razem będziesz w takim klubie jak Thong, to idź z dziewczyną na górę, do prywatnego pokoju.

A po drugie, to przecież bardzo cienka linia.

– Co masz na myśli?

– To naprawdę taka różnica? Kiedy goła babka tańczy ci na kolanach i ociera się o ciebie, to w porządku, ale jak, za przeproszeniem, wyciągniesz sprzęt, to już źle? Jasne, to drugie jest gorsze. Rozumiem. Ale tak naprawdę o ile gorsze?

– Czy ty w ogóle siebie słyszysz? Znacznie gorsze!

– Nie jestem taki pewien – odparł Philip tonem obrażonego dziecka. – To wszystko to tylko gra wstępna. Dwa tygodnie temu w piątek, kiedy Spencer i ja byliśmy...

– Gdzie? W klubie Thong?

– Tak. Zabraliśmy na górę dwie dziewczyny, było trochę ostro, a potem wróciłem do domu i dałem czadu z Nicole. Mówię ci, byłem jak zwierzę.

– Kochałeś się ze swoją narzeczoną po wizycie w nocnym klubie?

– Najpierw wziąłem prysznic!

– Nie o to mi chodziło.

– A mnie chodzi tylko o to, że nikomu nie stała się krzywda – obstawał przy swoim Philip. Kiedy jednak po chwili podjął wątek, zniżył nieco głos i wydawał się lekko zatroskany. – Ale to wszystko rozejdzie się po kościach, prawda?

– Pytasz o moje zdanie czy próbujesz sam dodać sobie otuchy?

– Nasza kultura nie potrafi przecież na niczym skupić uwagi, jak pięciolatek. Chyba się zgodzisz? Jutro wszyscy znajdą sobie jakąś inną tragedię. I może to będzie dla odmiany tragedia, którą warto się przejmować.

– Czyli dwaj zabici ludzie w moim domu to nie jest coś, czym wszyscy powinniśmy się przejmować?

– Wiesz przecież, co mam na myśli. prostytutki załatwiły jakichś palantów z mafii. To trochę co innego niż pierdyliard głodujących dzieci w Afryce.

Richard spojrzął na zegarek. Musical skończył się pół godziny temu, więc Kristin i Melissa lada chwila powinny być w domu. Cały czas czekał, aż jego młodszy brat zapyta, jak one się czują, ale wiedział, że szanse są niewielkie. Philip po prostu był inaczej skonstruowany.

– Tak – odparł krótko Richard, pozwalając sobie na odrobinę sarkastyczny ton. – To rzeczywiście nie jest sprawa dla Czerwonego Krzyża.

– Rozmawiałeś z rodzicami?

Wiedział, że powinien do nich zadzwonić. Już dawno trzeba było to zrobić. W każdej chwili może się do nich odezwać któryś ze znajomych, żeby zakomunikować, co właśnie zobaczył w telewizji, podekscytowany faktem, że wreszcie może porozmawiać o czymś innym niż angioplastyka, warfaryna czy protezy biodrowe. Rodzice Richarda przeszli na emeryturę trzy lata temu i przeprowadzili się do Fort Lauderdale na Florydzie, gdzie kupili dom na osiedlu powstałym na terenach, które kiedyś należały do Parku Narodowego Everglades. Mieli do dyspozycji pole golfowe, na którym od czasu do czasu można się było natknąć na przeszkodę w postaci aligatora. Najmłodszy mieszkańcy tej enklawy mieli co najmniej sześćdziesiąt lat, a najstarsi stali już jedną nogą w grobie.

– Nie – odparł. – Nie rozmawiałem.

– Ja też nie. Chyba wolę poczekać, aż sami do mnie zadzwonią. Będę wtedy mógł powiedzieć: „Mamo, nie chciałem cię martwić. Najadłem się strachu, ale nic mi nie jest”. Wiesz, zgrywać odważnego i opanowanego.

– To cały ty, Philip. Odważny i opanowany.

– No więc co teraz? Co powiedziała ta prawniczka? Spencer dostaje świra. Boi się, że czekają go poważne problemy z prawem. Jest przekonany, że przez ten cały burdel wyda fortunę na adwokata.

– Całkiem możliwe. Stawka, na którą dzisiaj rano się zgodziłem, była dość imponująca.

– A zważywszy na to, ile wyciągasz miesięcznie, to daje jakieś wyobrażenie.

– Może i tak.

- No i czego się dowiedziałeś?
- Cóż, te dwie dziewczyny mają znacznie więcej powodów do zmartwienia niż ty czy ja. Czy nawet Spencer.
- To raczej oczywiste. Zabiły dwóch ludzi.
- Mogły być niewolnicami seksualnymi.
- Akurat.
- Mówię poważnie.
- Jeżeli już, to były luksusowymi prostytutkami – stwierdził Philip. – Takie jak one dobrze zarabiają. Mają karnety na siłownię. W szafce w łazience trzymają zapas pink wink.
- Co to u licha jest pink wink?
- Krem do wybielania miejsc intymnych. Naprawdę jesteś aż taki naiwny?
- Na to wygląda. Skąd ty wiesz takie rzeczy? Od Nicole?
- Chciałbym! Wiem, bo jestem hotelarzem. Płacą nam za to, żebyśmy wiedzieli takie rzeczy. To nasza praca.
- Proszę cię. Twoi szefowie z hotelu raczej nie będą zbyt szczęśliwi, kiedy przeczytają o wczorajszym wieczorze.
- Nie będą mieli z tym problemu. Jest, jak jest.
- Nawet nie wiem, co to wyrażenie znaczy. Podejrzewam, że nic.
- Mówię ci, że nic mi nie będzie. Ale twoi szefowie to chyba inna sprawa, co?
- Tu niestety masz rację. Ludzie z Franklin McCoy nie będą zadowoleni.
- Spencer może usłyszeć kilka gorzkich słów ze strony kierownictwa za to, że zamówił te dziewczyny – powiedział Philip. – A raczej za to, że zamówił je z jakiegoś podejrzanego miejsca. Nie skorzystał z usług naszej zaufanej agencji.
- Macie jakąś zaufaną agencję?

– To naprawdę rozczulające, jaki ty jesteś niewinny, starszy braciszku – Philip podkreślił słowo „starszy”, przez co zabrzmiało to jednocześnie czule i pobłaźliwie. – Tak, mamy swoje sprawdzone dziewczyny, do których zazwyczaj zgłaszamy się w takich sytuacjach.

– Dlaczego więc Spencer z nich nie skorzystał?

– Chciał spróbować czegoś nowego. Chociaż nie całkiem nowego. Raz już zdarzyło mu się zamówić dziewczyny z tej samej agencji. I wtedy było super. Dziewczyny były szalone, ale szalone w sensie „jasne, możemy to zrobić”, a nie w sensie „wskoczę ci na plecy i obetnę ci głowę”. A chciał załatwić dla mnie coś wyjątkowego. I dla ciebie. Dla nas.

– Chłopak miał dobre intencje.

– Dokładnie. Skąd miał wiedzieć, że przyślą dwie wariatki? Skąd miał wiedzieć, że po wszystkim zostaną ci w domu dwa trupy?

– Muszę kończyć – powiedział nagle Richard, zaskakując tym samego siebie. Wcześniej obawiał się rozmowy z młodszym bratem i tych kilka minut przy telefonie okazało się gorsze, niż się spodziewał. – Kris zaraz będzie z powrotem.

– Pozdrów ją ode mnie.

– Dobrze – skłamał Richard. – Pozdrowię.

*

Melissa siedziała na pluszowym dywanie w salonie i dopasowywała nowe rajstopy do nowych spódnic. Babcia usadowiła się wygodnie w żółtym fotelu obok kominka i czytała biografię Amelii Earhart. Cassandra, która najwyraźniej czuła się nieswojo w nowym otoczeniu, obserwowała świat czujnym wzrokiem z oparcia kanapy. Babcia od czasu do czasu odzywała się do Melissy, dzieląc się z nią faktami z życia słynnej pionierki lotnictwa albo po raz kolejny zachwycając się oryginalnymi rajstopami. Dziewczynka szybko zauważyła pewną zależność: babcia podejmowała rozmowę za każdym razem, gdy ich uszu dobiegał szloch mamy albo podniesiony głos zrozpaczonego taty. W jego tonie nie było cienia gniewu. Tylko strach i niedowierzanie. Rodzice zamknęli się w pokoju gościnnym na końcu korytarza, lecz mimo to było ich dobrze słyhać. Melissa pomyślała o swoich

koleżankach i kolegach, których rodzice się rozwiedli. Dzieci czasami wyprowadzały się z domu, a czasami nie. Często mieszkaly w dwóch różnych miejscach, nocując raz u jednego, raz u drugiego rodzica. Niekiedy opuszczały się w nauce. Chłopcy „schodzili na złą drogę” (jak to ujmowali nauczyciele w szkole; jej mama też kilka razy użyła tego wyrażenia). Z kolei dziewczynki zamykały się w sobie.

Zjadła czekoladkę z bombonierki, którą dostała od taty, i spojrzała na rajstopy ze wzorem w karty do gry. Królowie, królowe, walety. I dzoker. Skojarzyło jej się to z postaciami z baśni i zaczęła się zastanawiać, dlaczego nie ma wśród nich kart z księżniczkami. Ich brak wydawał się całkowicie nielogiczny. Przecież księżniczki są najważniejsze. Kiedy myślała o bajkach Disneya, nie była w stanie przypomnieć sobie imienia ani jednego księcia, za to bez problemu potrafiła wymienić co najmniej siedem czy osiem księżniczek. Trzy z nich spotkała kilka lat temu w Disney World. Była wtedy święcie przekonana, że właśnie poznała prawdziwą Bellę, prawdziwą Śnieżkę i prawdziwego Kopciuszka. Dziś tylko przewracała oczami na to wspomnienie.

– Piszą tu, że Amelia razem z drugim pilotem rozbiła się na maleńkiej wyspie koło rafy koralowej – poinformowała ją babcia. – Spędzili na tej wysepce wiele tygodni i teoretycznie można było ich wtedy jeszcze uratować. Wyobrażasz to sobie?

Melissa nie chciała, żeby jej rodzice się rozwiedli. Chciała wrócić do domu. Przypomniała sobie jedną ilustrację ze swojego opasłego tomu z baśniami, tak starego, że należał kiedyś do jej prababci. Na obrazku widniał złowieszczy dom stojący w środku lasu. Okna na piętrze wyglądały jak oczy, a przeszklone drzwi frontowe przypominały usta. W bajce dom został opisany jako tajemniczy, ale ona powiedziałaaby raczej, że wyglądał, jakby był głodny.

Obiecała sobie, że będzie dzielna. Zresztą nie miała innego wyjścia. Ale w głębi duszy była przerażona. Po raz pierwszy w życiu naprawdę się bała.

Po kilku minutach rodzice wyłonili się z sypialni, a chwilę później tata wyszedł z domu. Zanim to zrobił, przytulił ją i obiecał, że wróci z samego rana.

Alexandra

I tak zostałam Alexandrą. Zaakceptowałam życie, którym rządziła zasada kija i marchewki. Nie żartuję. Dokładnie tak to wyglądało.

Przez pierwsze półtora roku mieszkałam w domku letniskowym pod Moskwą. Z centrum jechało się tam dwie godziny, chociaż nie wiem, w którym kierunku. Oprócz mnie trzymali tam pięć innych dziewczyn. Trzy pochodziły z Wołgogradu (gdzie Wasilij miał drugą wytwórnię brandy), a dwie pozostałe dorwali na wsi, na jakimś totalnym zadupiu. Przy tych dwóch małolatach czułam się jak pani profesor z uniwersytetu. Jedna z nich nigdy nie miała telefonu komórkowego, a druga myślała, że dzieci biorą się z modlitwy, bo przez wiele lat jej wujek i kuzyni molestowali ją seksualnie i jakoś nigdy nie zaszła w ciążę. Dlatego ubzduriała sobie, że dziecko przychodzi na świat tylko wtedy, kiedy poprosi się o to Boga i bardzo żarliwie się do niego modli. Wszystko zaczęło się, kiedy miała osiem lat, a w tym wieku ciężko zająć w ciążę. Teraz miała trzynaście i dopiero zaczynała miesiączkować. Już po kilku dniach zaczęłam ją traktować jak młodszą siostrę. Miałam piętnaście lat i tylko Sonia była ode mnie starsza. O rok. Szesnaste urodziny obchodziłam właśnie w domu pod Moskwą. Inga dała mi w prezencie śliczną srebrną bransoletkę, a potem jeden obleśny koleś z Rublowki z grubym karkiem rznął mnie od tyłu i ciągnął za włosy.

Naszą szóstkę łączyły dwie rzeczy: byłyśmy bardzo ładne i żadna z nas nie miała rodziców (wszyscy albo umarli, albo gdzieś zaginęli). Do opieki nad nami wyznaczono Ingę i jeszcze jedną kobietę, do której miałyśmy się zwracać Catherine. Ich zadaniem było przygotowanie nas do roli, jak to określała Catherine, nowoczesnej nałożnicy. Innymi słowy, miały nas nauczyć wszystkiego, za co faceci będą chcieli płacić. Ale nie tylko. Pokazywały nam także, jak zrobić makijaż i ułożyć fryzurę, jak się ubierać, co jeść (a czego nie). Żywiłyśmy się głównie owocami i warzywami. No i strasznie kopciłyśmy. Opiekunki pilnowały naszej wagi i papierosy szybko

stały się formą nagrody za to, że trzymałyśmy się z dala od ptasiego mleczka czy kalorycznej pastyły. Przymierzałyśmy różne rodzaje seksownej bielizny i uczyłyśmy się, jak ją nosić; dowiedziałyśmy się na przykład, że majtki zawsze powinny być pod pasem do pończoch, mimo że mogło to nieco utrudniać wizyty w toalecie. Godzinami grałyśmy na Xboksie podłączonym do wielkiego telewizora.

Dom miał wieżyczkę, a w ogrodzie znajdowały się dwa sztuczne stawy, które widziałyśmy z okien. Nigdy się w nich nie kąpałyśmy, były na pokaz. Pasowały do krajobrazu. W łazienkach zamontowano bidety i krany z kurkami ze sztucznego złota. Każda z nas miała własny pokój z oknem, w którym wisiały aksamitne zasłony. Z tej odrobiny luksusu mogłyśmy korzystać w chwilach wolnych od pracy, a kiedy zjawiali się klienci, miałyśmy gdzie ich obsługiwać. Posiłki jadałyśmy razem, w jadalni z białą marmurową posadzką, na której leżał orientalny dywan z wzorem przedstawiającym zwierzęta z Arki Noego (najbardziej lubiłam żyrafy). Miałyśmy do dyspozycji srebrną zastawę. Każda z nas mówiła w innym rosyjskim dialekcie, ormiański znałyśmy tylko ja i Sonia, a po angielsku oprócz mnie nie mówił nikt. Szybko jednak nauczyłyśmy się ze sobą dogadywać. Poza tym pozostałe dziewczyny raz-dwa opanowały podstawy angielskiego. No więc to była marchewka: elegancki dom, ładne sypialnie, zdrowe jedzenie. Pełen luksus, co?

A tak wyglądał kij: nie mogłyśmy opuszczać terenu rezydencji, nie wolno nam było rozmawiać z nikim z zewnątrz i musiałyśmy się pieprzyć z każdym facetem, jakiego nam przyprowadzili. Żyłyśmy całkowicie odcięte od świata. Nie miałyśmy ani komputerów, ani komórek. W domu nie było nawet stacjonarnego telefonu – takiego staroświeckiego aparatu z tarczą, który często widywałyśmy w starych filmach. Zabawne, jak szybko człowiekowi zaczyna brakować internetu, kiedy traci do niego dostęp. Nie miałyśmy ani paszportów, ani kart kredytowych, ani pieniędzy. Byłyśmy całkowicie uzależnione od opiekunów – to oni kupowali nam jedzenie, ubrania, szczoteczki do zębów, kosmetyki i lekarstwa, kiedy któraś z nas się rozchorowała.

W dodatku zamykali nas na noc na klucz, z wyjątkiem wieczorów, kiedy pracowałyśmy. Pilnowali nas faceci z makarowami wetkniętymi za pasek od

spodni albo w kaburę na ramieniu. Pracowali na zmiany, co jakiś czas pojawiali się nowi. Nie wolno nam było się z nimi spoufalać. W ogóle się do nas nie odzywali, poza chwilami, kiedy wrzeszczeli, że mamy wracać z tarasu, gdzie mogłyśmy spędzać godzinę dziennie. Czasami, gdy Inga albo Catherine na nas naskarżyły, grozili, że nas zamkną i wyrzucą klucz. Zdarzało się, że dla zabawy się z nas natrzęsali. Nazywali nas głupimi cipami. Głównie jednak obserwowali nas w milczeniu.

Pracowałyśmy prawie każdej nocy, to znaczy: pieprzyłyśmy się z facetami, których jedna z dziewczyn z Wołgogradu nazywała czarno-białymi. (Miała na imię Crystal i razem ze mną i Sonią wyjechała później do Ameryki). Mówiła tak na gości w czarnych garniturach i białych koszulach. Czarno-biali nigdy nie nosili krawatów, za to ich twarze zawsze pokrywał kilkudniowy zarost, tak gęsty, że czasami Inga albo Catherine zwracały im uwagę, prosząc, by starali się nie obcierać nam skóry. Ewidentnie mieli kupę kasy, a jeśli chodzi o wiek, to niektórzy mogliby być naszymi dziadkami, co wcale nie znaczy, że byli aż tak starzy; w końcu miałyśmy zaledwie po kilkanaście lat. Nasi klienci pochodzili z Rosji, Gruzji, Ukrainy i tak dalej. Jak dla nas, to było bardzo międzynarodowe towarzystwo. Wielu pracowało w branży alkoholowej. Produkowali brandy, koniak i wódkę. Niektórzy mieli nawet winnice i browary.

Wszyscy traktowali nas jak zabawki. Liczył się tylko seks, nic więcej.

Od żadnego nigdy nie dostałyśmy ani grosza. Rozliczali się z Ingą czy Catherine albo płacili z góry.

I nigdy nie mieli żadnych zastrzeżeń. Pieprzyłyśmy się z nimi, jakby od tego zależało nasze życie – bo jak się szybko zorientowałyśmy, rzeczywiście tak było.

*

Dziwna sprawa z tą aprobatą. Potrzebowałam jej ze strony Madame jako początkująca baletnica. Potrzebowałam jej ze strony nauczycieli w szkole jako początkująca poetka.

A teraz potrzebowałam jej jako prostytutka.

*

Nie uważałam pozostałych pięciu dziewczyn za swoje siostry, ale łączyło nas coś więcej niż przyjaźń. Sonia i ja byłyśmy ze sobą bardzo blisko, może dlatego, że obie pochodziłyśmy z Armenii. Podziwiałam ją, bo była ode mnie starsza. Jej rodzina, tak samo jak moja, kiedyś mieszkała w Giumri, ale po trzęsieniu ziemi przeprowadziła się do Wołgogradu. Troszczyłyśmy się o siebie nawzajem, co nie bardzo podobało się Indze i Catherine. Sonia miała też oko na Crystal, która tak samo jak ona wychowała się w Wołgogradzie, a poza tym miała dopiero trzynaście lat.

W kontaktach z facetami Sonia była dużo odważniejsza ode mnie. Podejrzewam, że była z nas wszystkich najbardziej szalona. Cały czas robiła z klientami rzeczy, do których ja zmuszałam się tylko wtedy, kiedy nie miałam innego wyjścia. I nie chodziło wcale o to, że czerpała z tego przyjemność. Nie, w ten sposób po prostu wyładowywała swój gniew. Była zdrowo pierdolnięta (tego słowa nauczyłam się bardzo szybko). Potrafiła sprawić, że faceci zaczynali się jej bać. Czasem zdarzało się jej któregoś naprawdę nastraszyć, przez co wpadała w poważne tarapaty. Klienci się skarżyli, choć rzadko kiedy przyznawali, że nie są w stanie jej okiełznać. Mówili po prostu, że robi trudności. Albo że jest nieposłuszna.

To chyba najgorszy zarzut, jaki mogliśmy usłyszeć: nieposłuszna.

Któregoś razu w ramach kary za to, że spojrzała Tatuśkowi prosto w oczy – nie miałyśmy prawa patrzeć w oczy ani Tatuśkowi, ani Michaiłowi – spalili jej włosy po jednej stronie głowy. Nigdy nie zapomnę tego smrodu. Sonia była naturalną blondynką, miała naprawdę piękne włosy. Kiedy odrosły, Inga postanowiła zrobić z niej tlenioną blondynkę. Kazała jej się ufarbować, po czym obciąła ją na pazia.

Sonia miała duże błękitne oczy w kolorze nieba. Kiedy w środku gotowała się z wściekłości, otwierała je tak szeroko, że wydawały się jeszcze większe. Tak samo jak ja umiała tańczyć, więc czasami kazali nam dwóm rozkręcać imprezę (polegało to głównie na tym, że robiłyśmy striptiz do jakiegoś popowego kawałka, a potem zaczynałyśmy się ocierać o uda naszych klientów, którzy po chwili zabierali nas do pokojów). Czasem rozmawiałyśmy o tym, jak wyglądało nasze życie, zanim tu trafiłyśmy. Ona opowiadała o Wołgogradzie i o swoich rodzicach, których bardzo słabo pamiętała, a ja mówiłam o Erywaniu, o mamie i babci.

W relacjach całej naszej szóstki szybko pojawił się pewien element rywalizacji. Nawet Sonia, choć była nieźle popieprzona, szukała aprobaty zarówno u nas, jak i u Ingi i Catherine. Tak to już po prostu jest. Nie kąsa się ręki, która cię karmi.

No i oczywiście był jeszcze Tatusiek.

Pojawiał się u nas co kilka dni. Był emerytowanym pułkownikiem radzieckiej armii. Na oko miał z sześćdziesiąt lat. Z wyglądu przypominał starszych, ale przystojnych modeli z zachodnich magazynów. Kiedy o nim myślę, przychodzą mi do głowy reklamy Ralphi Lauren. Chciał, żebyśmy nazywały go Tatuśkiem, a o sobie myślały jak o sześciu żonach, o kobietach z haremu, tyle tylko, że w tym haremie nie było jednego, konkretnego mężczyzny, do którego należałyśmy. Tatusiek nigdy się z żadną z nas nie przespał. Pewnie dla niego byłoby to trochę jak okradanie własnej firmy. Poza tym, jeżeli naprawdę postrzegał siebie jako naszego opiekuna, kogoś w rodzaju zastępczego ojca, uprawianie z nami seksu pewnie za bardzo skomplikowałoby sytuację. Dużo trudniej byłoby mu wtedy usprawiedliwić przed samym sobą fakt, że nas porwał i uwięził.

Dlatego zamiast sypiać z nami, robił to z Ingą i Catherine. Pieprzył się z nimi za każdym razem, gdy wpadał do nas z wizytą.

Powiedzieli nam, że jest o wiele bardziej wpływowy niż Michaił czy nawet Wasilij. Faceci pokroju Michaiła i Wasilija panicznie bali się człowieka, którego nazywałyśmy Tatuśkiem.

*

Pamiętam, jak kiedyś przez cały tydzień nie wolno mi było korzystać z łazienki. Dali mi puszkę po kawie, do której miałam się załatwiać. Nie pozwalali mi wyjść z sypialni. Nie mogłam nawet skorzystać z przysługującej mi godziny na świeżym powietrzu, bo chcieli mieć pewność, że korzystam wyłącznie z puszkę po kawie. Inga zaglądała do środka, żeby sprawdzić, czy ją napelniam.

Co takiego zrobiłam? Jakie popełniłam przestępstwo? Oberwało mi się, bo jeden z klientów powiedział, że jestem brudna tam na dole. Kłamał. Prawda jest taka, że to on był brudny. Zasugerowałam, żebyśmy wzięli prysznic, zanim pójdziemy do łóżka, i dlatego na mnie doniósł.

*

Któregoś razu wyszliśmy z Crystal zapalić przed domem. Stałyśmy pośrodku szerokiego podjazdu, gdzie wykręcały samochody, i obserwowałyśmy kaczki w jednym ze stawów. Crystal zawsze wyglądała jak mała dziewczynka, która ukradła mamie papierosy. Miała niesamowicie wielkie oczy i była płaska jak deska. Już w wieku trzynastu czy czternastu lat odznaczała się wyjątkową urodą.

– Myślisz, że któryś z facetów mógłby nam pomóc? – zapytała nagle ni stąd, ni zowąd.

Myślałam, że mówi o strażnikach, więc wskazałam ręką w kierunku gościa, który obserwował nas ze schodów.

– Na przykład ten? Chyba zwariowałaś.

Crystal potrząsnęła głową.

– Oczywiście, że nie ten. Tego to nienawidzę. Jak zresztą ich wszystkich. Nie, chodziło mi o któregoś z czarno-białych. – Mówiła jeszcze ciszej niż zazwyczaj, bo nasza rozmowa stawała się niebezpieczna.

– Pomóc? Chodzi ci o ucieczkę?

– Tak.

– Nie ma szans. To byłoby dla nich zbyt ryzykowne. Poza tym, dlaczego mieliby chcieć nam pomagać? Każdy, kto tu przychodzi, jest zadowolony z tego, że tu jesteśmy. Liczy się dla nich tylko to, co mamy między nogami. I dla nich, i dla wszystkich innych.

Crystal głęboko zaciągnęła się papierosem.

– A gdybym tak któregoś w sobie rozkochała?

– Któregoś z klientów? Niemożliwe. Takie rzeczy się nie zdarzają.

– Ale gdyby jednak mi się udało? Może zabrałby mnie ze sobą. Moglibyśmy sprowadzić pomoc.

– Zabrałby cię ze sobą? Niby jak? W swojej aktówce?

– No to może mogłabym go poprosić, żeby komuś o nas powiedział.

Żeby powiedział, że tu jesteśmy.

– Jasne, bo policja bardzo się przejmuje takimi dziewczynami jak my. Założę się, że przynajmniej raz w tygodniu któraś z nas pieprzy się z jakimś gliniarzem.

Crystal pokiwała głową, bo wiedziała, że mam rację.

– Oni są naprawdę źli – powiedziała po chwili, po czym obie zamilkłyśmy, kontemplując ten smutny fakt. Gdy wreszcie znów się odezwała, jej głos był całkowicie bezbarwny. Czasami każda z nas brzmiała, jakby była zupełnie wyprana z emocji. Jak zombie.

– Więc nie ma dla nas ratunku.

Przydepnęłam niedopałek i objęłam ją ramieniem.

– Przynajmniej mamy dach nad głową, jedzenie i papierosy. I siebie nawzajem. Możemy nawet oglądać w telewizji *Kawalera do wzięcia!* – zażartowałam, próbując ją rozweselić. Ale ona już się poddała ponuremu nastrojowi, który od czasu do czasu dopadał każdą z nas. W takich chwilach człowiek ma ochotę umrzeć. To właśnie dlatego dziewczyny takie jak my biorą narkotyki. Czasami to jedyny sposób, żeby jakoś to wszystko przetrwać.

*

Pod pewnymi względami jednak mocno się od siebie różniłyśmy. Któregoś popołudnia z dziewczyną o imieniu Elena siedziałyśmy na tarasie i wygrzewałyśmy się w słońcu. Po całym dniu spędzonym w domu ciepłe promienie były jak narkotyk.

– Jest trochę tak, jakbyśmy były bohaterkami dziwnej baśni – stwierdziła nagle.

Byłyśmy ubrane w minispódniczki, które kazali nam nosić jak uniformy. Bieliznę mogłyśmy mieć na sobie tylko w godzinach pracy. Przez resztę dnia nie wolno nam było zakładać majtek. Siedziałyśmy na ciepłych kamieniach, które przyjemnie grzały w tyłek. Było naprawdę miło.

– Jesteśmy jak księżniczki uwięzione w wieży, które czekają na ratunek.

– Tylko się nie łudź, że przyjedzie po ciebie jakiś książę – powiedziałam i

przymknęłam powieki, obracając twarz w kierunku słońca. – Książęta raczej nie zapuszczają się w takie miejsca.

– Ale wiesz co? Ja lubię Ingę – odparła Elena. – Naprawdę ją lubię. I Catherine chyba też. Czasem się zastanawiam, czy rzeczywiście tak bardzo chcemy, żeby ktoś nas uratował.

– Owszem.

– Może ty tak. Ale dla mnie takie życie jest pod wieloma względami lepsze niż wcześniejsze.

Dobrze znałam historię Eleny. To była właśnie ta trzecia dziewczyna z Wołgogradu. Mieszkała tam ze swoim ojczymem, który pracował w wielkiej wytwórni brandy. Do domu pod Moskwą przywieziono ją dwa dni przede mną. Jej matka umarła, a ojciec zniknął wiele lat wcześniej. Ojczyma właśnie zwolniono z pracy. I nagle któregoś dnia jego były szef zaproponował, że odkupi od niego pasierbicę, żeby mu pomóc związać koniec z końcem. Tylko idiota mógłby pomyśleć, że to był czysty przypadek. Ten szef doskonale wiedział, jak piękną dziewczyną jest Elena. Znał jej wartość. No i oczywiście dobrze znał jej ojczyma. Facet był wyjątkowym draniem. Zachowywał się wobec niej jak ostatni dupek, nawet jeszcze zanim ją sprzedał jak krowę na targu.

– Jakoś sobie radzę – ciągnęła Elena. – Dopóki robimy, co do nas należy, naprawdę dobrze nas traktują. A przecież każdy musi pracować, nie? Każdy musi coś robić w życiu.

Dwa lata później, kiedy pracowałam w Moskwie – już bardziej w charakterze kurtyzany – spędziłam dwie noce jako dama do towarzystwa z grubym, ale całkiem sympatycznym ekonomistą z Petersburga. To właśnie od niego poznałam określenie „syndrom sztokholmski”. Użył go podczas naszej drugiej wspólnej nocy, gdy leżeliśmy w łóżku i rozmawialiśmy. Często opowiadałam klientom różne historie. Wyjaśnił mi wtedy, że chodzi o wykształcenie się więzi między ofiarą a porywaczem. Doskonale wiedziałam, co ma na myśli. Od razu przypomniałam sobie Elenę i tamto popołudnie, kiedy wygrzewaliśmy się na tarasie w podmoskiewskiej rezydencji.

Oczywiście nie przez całe życie byliśmy dotknięci syndromem sztokholmskim. Wystarczy spojrzeć na to, co się stało, kiedy dorosłam i

zabrali mnie do Ameryki. Kraj wolnych i ojczyzna dzielnych? Może dla innych, ale nie dla mnie. Dla takich dziewczyn jak ja to był kraj odrażających kreatur. Ojczyzna żalosnych typów i zbrodźców. Zdarzały się wyjątki od tej reguły, jak choćby Richard Chapman. Tacy faceci zapadali w pamięć. Ale macie już mniej więcej pojęcie, jak to wyglądało. Poza tym w Ameryce nie było nic za darmo, tak samo jak w Rosji.

*

Sonia i Crystal wierzyły w nienawiść. I jak nikt potrafiły nienawidzić. Uważały, że świat jest pełen zła, że ludzie to wcielone diabły i że jedyną bronią przeciwko takiemu światu jest nienawiść.

A ja? Nienawiść nigdy nie była moją mocną stroną. Co prawda dobrze znałam to uczucie, ale nigdy go w sobie nie podsycalam tak jak one. Może wszystko potoczyłoby się inaczej, gdybym była inna. Gdybym potrafiła naprawdę nienawidzić.

Rozdział 6

Kładąc się spać w hotelowym łóżku, Richard postanowił przejrzeć zdjęcia na swoim iPhone. Chciał zobaczyć Kristin i Melisę. Miał nadzieję, że to go uspokoi. Wśród setek obrazów natrafił na kadry z własnego dzieciństwa i przejrzawszy kilkanaście zdjęć żony i córki, zatrzymał się przy fotografii przedstawiającej jego z Philipem. Zdjęcie zostało zrobione, gdy miał siedemnaście lat, a jego brat dwanaście. Siedzieli w T-shirtach na plaży na wyspie Wielki Kajman, gdzie spędzali z rodzicami wakacje. Wprost nie mógł się nadziwić, jakie obaj mieli długie włosy. Nie mógł też uwierzyć, że jego brat, który chodził wtedy do siódmej klasy, nosił koszulkę z napisem „Jak wyrywać laski”. Nadruk przedstawiał co prawda patyczkowego ludzika trzymającego w ręku laskę, ale wiadomo, o co chodziło. Że też rodzice mu na to pozwalali. Szukając wytłumaczenia większości idiotycznych zachowań swojego młodszego brata, Richard obwiniał przede wszystkim jego kumpli z college’u – bandę niewyżytych gówniarzy z bractwa studenckiego, których życie kręciło się wokół imprez, piwnego ping-ponga i porno – ale w głębi duszy czuł, że to po prostu leży w jego naturze. Że Philip od urodzenia był dupkiem. Nie wiadomo jednak, po kim to miał, bo Richard nigdy by nie posądził ich ojca o seksizm. Ojciec pracował jako konsultant do spraw zarządzania, matka była bibliotekarką. I choć przynosił do domu znacznie więcej pieniędzy niż ona, w oczach Richarda ich związek zawsze opierał się na partnerstwie. Podobnie zresztą funkcjonowało jego własne małżeństwo. Lwią część domowego budżetu stanowiły jego dochody, lecz choć zarabiał więcej od Kristin, wszystkie decyzje podejmowali wspólnie.

Przypomniawszy sobie, jak wiele lat temu, podczas przerwy świątecznej między Bożym Narodzeniem a Nowym Rokiem, zabrał brata i jego dwóch kolegów z bractwa na kolację. Philip studiował wówczas na trzecim roku, a Richard był już magistrem zarządzania i od sześciu miesięcy pracował w banku Franklin McCoy. Zaprosił ich do restauracji serwującej steki. Lokal

mieścił się w dzielnicy Meatpacking District, która przechodziła właśnie rewitalizację, ale akurat w tej restauracji nadal czuło się klimat dawnych lat: tędy kelnerzy z sumiastymi wąsami patrzyli na ciebie z pogardą, jeśli zamawiając sałatkę, ośmieliłeś się dokonać innego wyboru niż sałata lodowa z sosem serowym i boczkiem. Kiedy przyszedł czas na deser, Philip i jego dwaj kumple grzecznie podziękowali, po czym się ulotnili. Powiedzieli Richardowi, że mają fałszywe dowody i planują wizytę w klubie ze striptizem. On jednak z nimi nie poszedł, choć doskonale zdawał sobie sprawę, co o nim pomyślą – że nie jest prawdziwym facetem. Ale prawda jest taka, że spotykał się wtedy z młodą nauczycielką o orzechowych oczach i lśniących bursztynowych włosach sięgających do ramion. Z kobietą, która cudownie się śmiała i tak jak on lubiała słuchać indie rocka. Dlatego nie miał ochoty na klub ze striptizem. Poza tym chciał w domu jeszcze trochę posiedzieć nad papierami. W tamtym okresie pracował w zasadzie każdego wieczora, chyba że spędzał go z Kristin.

Odłożył telefon i wyrzwał przez okno, z którego rozciągał się widok na Times Square. Jego pokój znajdował się na siedemnastym piętrze. W tej chwili oddałby wszystko, by móc cofnąć czas. Wystarczyłyby zaledwie dwa dni. Nawet półtora. Więcej nie potrzebował. Gdzieś tam w dole, w klubach ze striptizem kwitło nocne życie. Gdy tylko o tym pomyślał, przed oczami stanęła mu Alexandra. Siłą rzeczy zaczął się zastanawiać nad losem innych striptizerek, prostytutek, niewolnic seksualnych. Przypomniał sobie oczy tej dziewczyny, w które patrzył, gdy go całowała. Obawiał się, że będzie musiało upłynąć wiele lat, zanim zdoła sam sobie wybaczyć.

Gdy przyglądał się tłumowi na ulicy, przyszło mu na myśl, że dzisiejszej nocy być może ktoś spieprzy sobie życie dokładnie tak samo jak on dwadzieścia cztery godziny temu.

*

Następnego ranka Richard i Kristin Chapman znaleźli swoje nazwiska w gazecie po raz pierwszy od czasu, gdy pojawili się w zapowiedziach ślubnych w „New York Timesie”. Richard przeczytał artykuły jeszcze przed wschodem słońca, po tym jak przez całą noc prawie nie spał. Łóżko w hotelu Millennium było wygodne, poduszki miękkie, a jednostajny szum grzejnika zaskakująco przyjemny. Mimo to Richard przewracał się z boku na bok,

ponieważ nie mógł się pozbyć nieprzyjemnego wrażenia, że cisza panująca w pokoju i pustka, którą czuł obok siebie w łóżku, to zapowiedź tego, co go czeka. Jego nastrój wahał się pomiędzy gniewem a rozgoryczeniem, jak piłeczka pingpongowa skacząca w tę i z powrotem ponad siatką. W jednej chwili czuł się skrzywdzony; cała ta sytuacja, a już w szczególności śmierć dwóch Rosjan, to nie była przecież jego wina. Ale zaledwie chwilę później powracało wspomnienie, jak stał nagi i wyprostowany przy łóżku w pokoju gościnnym, a zjawiskowo piękna kobieta wyciągała do niego ręce. Zbliżała do niego usta. I natychmiast ogarniały go wyrzuty sumienia. Pewnie, wycofał się, zanim sprawy zaszły za daleko. Ale nie powinien był w ogóle dopuścić do tego, że tam się z nią znalazł, sam na sam.

A jednak gdy tak leżał w środku nocy, nie mógł przestać myśleć o Alexandrze. O tym, kim była i jakie koleje losu sprawiły, że ona także wylądowała razem z nim w tej sypialni. Nie bardzo mógł sobie wyobrazić, jak ta dziewczyna strzela do jednego z Rosjan. Prawdopodobnie to zrobiła. W dalszym ciągu jednak wydawała mu się zbyt niewinna (zdawał sobie oczywiście sprawę z kryjącej się w tym słowie ironii, ale nadal uważał, że to określenie jest w jej przypadku w pełni uzasadnione). Wiedział, że nigdy więcej jej nie zobaczy.

W jakimś sensie lektura artykułu w „New York Timesie” okazała się bardziej bolesna niż tych w tabloidach, ponieważ jego autor po prostu wyłożył wszystkie fakty kawa na ławę. „New York Post” przynajmniej postarał się o efektowny nagłówek: „Morderczy striptiz” (tekst ilustrowała fotografia przedstawiająca kobiece uda w pończochach i podwiązках). Wszystkie gazety opublikowały zdjęcia domu. „Post” opisał go jako najmniejszy dom na ulicy pełnej rezydencji i Richard poczuł się dotknięty, chociaż wiedział, że to prawda. Oczywiście wiedział też, że to doprawdy absurd przejmować się czymś takim. Miał na głowie znacznie większe zmartwienia niż urażone ego. W artykule „Timesa” znalazły się wypowiedzi jego prawniczki, policji i sąsiadów. Te same cytaty wydrukował „Post”, którego dziennikarz dodatkowo dotarł do jednego z nauczycieli ze szkoły Kristin.

Richard przypomniał sobie, co powiedział mu wczoraj wieczorem ojciec, kiedy wreszcie odebrał telefon od rodziców: – Tak się to kończy, kiedy

myślisz swoją małą głową zamiast dużą, Richard. Jezu, spodziewałbym się czegoś takiego po twoim bracie, ale nie po tobie.

Zareagował wtedy odruchowo.

– Spodziewasz się, że w towarzystwie Philipa ludzie będą się dźgać nożami i do siebie strzelać? – odwarknął. – Naprawdę takie masz o nim zdanie?

Ale matka, która także uczestniczyła w rozmowie, spokojnie zauważyła, że ojciec odnosił się jedynie do młodzieńczego braku zdrowego rozsądku, który czasem charakteryzował decyzje podejmowane przez Philipa.

Kilka razy w ciągu nocy Richard podnosił się z łóżka i stawał przy oknie, tak samo jak parę godzin wcześniej, jeszcze zanim się położył. Kiedy wpatrywał się dostatecznie długo w światła na ulicy, wpadał w coś w rodzaju chwilowego transu. Za każdym razem jednak w końcu rzucała mu się w oczy postrzępiona linia budynków horyzontu, jak otwarta paszcza piranii, i natychmiast przypominał sobie, gdzie jest i dlaczego.

Westchnął. Zamówił do pokoju dzbanek kawy, ale nie poprosił o nic do jedzenia. Zamierzał za kilka minut zadzwonić do Kristin, gdy będzie miał pewność, że jego żona już nie śpi. Spyta ją wtedy, czy może wrócić... nie do domu, ale przynajmniej do mieszkania swojej teściowej i tam spędzić niedzielę z rodziną. Kiedy się ubierał, był przekonany, że Kristin się zgodzi, ale teraz, po przeczytaniu artykułów w gazetach, nie czuł się już tak pewnie. W tej chwili miał wątpliwości, czy żona pozwoli mu zjeść razem z nimi śniadanie albo wczesny lunch.

*

Kristin próbowała przestudiować gazetę bez zdradzania jakichkolwiek emocji, ale okazało się to bardzo trudne. Im więcej czytała, tym większy ogarniał ją smutek. A także wściekłość. Te toksyczne uczucia sprawiały, że z każdą chwilą podnosiło się jej ciśnienie. Jedyne, co powiedziała swojej matce – przy kawie i croissantach w jej kuchni na Manhattanie – to, że Dina Renzi sprawia wrażenie osoby bardzo kompetentnej. Choć oczywiście, dodała po chwili, miała nadzieję, że zdolności prawniczki tak naprawdę nie będą miały większego znaczenia.

– Dlaczego tak mówisz, kochanie? – zapytała jej matka. – Nie rozumiem.

– Bo liczę na to, że Richard nie będzie jej potrzebował do niczego więcej niż – podniosła egzemplarz „Timesa” – do tego. Do kontaktów z mediami.

Z zaskoczeniem stwierdziła, że teksty w gazecie zmroziły ją dużo bardziej niż materiał wyemitowany w lokalnych wiadomościach wczoraj wieczorem czy nawet krótka migawka sprzed jej domu pokazana w CNN. Nagrania wideo są przewidywalne, poza tym czuła, że już setki razy widziała dokładnie te same obrazki: piękna kobieta z ujmującym uśmiechem, idealnym nosem i fachowo ułożonymi włosami stojąca przed domem na przedmieściach, w którym kilka godzin wcześniej rozegrała się jakaś rodzinna tragedia. Do tego obowiązkowa wypowiedź policjanta z wydziału śledczego – w tym wypadku kobiety, o której wspominał Richard, Patricii Bryant – który był profesjonalny, uprzejmy i nie wyjawiał żadnych konkretów. Matka Kristin bez cienia ironii zauważyła, że dom ładnie się prezentował w telewizji, zwłaszcza rząd błotni leśnych rosnących wzdłuż ścieżki z kamiennych płyt. Z zadowoleniem kiwając głową, mówiła, jak bardzo podoba jej się ich czerwone listowie.

– Richard dzisiaj wraca? – zapytała w końcu.

Kristin chciała rozmasować sobie grzbiet nosa, ale powstrzymała się, gdy zobaczyła na palcach ślady farby drukarskiej.

– Nie.

– A ty pójdziesz do niego?

– Czy pójde do niego? Mamo, mówisz, jakby był rannym wojownikiem, który potrzebuje wsparcia swojej szlachetnej żony.

– Nie miałam nic takiego na myśli. Po prostu chciałam wiedzieć, czy spotkacie się gdzieś, żeby porozmawiać. – Jej matka brzmiała całkiem rozsądnie. Kristin zdała sobie sprawę, że to raczej ona zachowuje się irracjonalnie.

– Możemy porozmawiać przez telefon – odparła. – I na pewno porozmawiamy.

– To dobrze.

– Nie zrobię nic pochopnie. Obiecuję.

– Wiem.

Być może właśnie spokój i opanowanie matki sprawiły, że Kristin nagle poczuła się, jakby znowu była dzieckiem – skrzywdzoną, nieszczęśliwie zakochaną dziewczyną, która potrzebuje odrobiny matczynej miłości.

– Będzie mi tak wstyd, kiedy jutro przyjdę do szkoły – wyznała, a jej głos zaczął się łamać. – Jak ja im wszystkim spojrzę w oczy, w pokoju nauczycielskim, w klasie? Czuję się taka... zhańbiona. Upokorzona.

Matka nieco niezgrabnie przechyliła się ponad małym okrągłym stołem i czule ją objęła. Położyła ręce na ramionach córki i delikatnie przesuwała palcami w tę i z powrotem po lnianej bluzce. Kristin oparła głowę na ramieniu matki i zapytała: – Jak on mógł nam to zrobić?

Nagle ze zdumieniem stwierdziła, że płacze. Całym jej ciałem wstrząsał spazmatyczny szloch. Wiedziała, że szary kaszmirowy sweter matki staje się wilgotny od łez, ale nie obchodziło jej to. Nie mogła się powstrzymać.

– Już, już – powtarzała tylko matka. – Już, już.

*

Melissa przebiegła palcami po boazerii pokrywającej ściany jadalni. Bała się wejść do kuchni, z której dobiegał szloch mamy. Znowu płakała.

W całym swoim życiu Melissa tylko dwa razy słyszała, jak jej mama płacze: kiedy umarł dziadek i rok później, kiedy musieli uśpić kota Sebastiana, brata Cassandry. Sebastian miał raka i weterynarz już w żaden sposób nie mógł mu pomóc. Guzy, które pod koniec pojawiły się na całym ciele, wyglądały potwornie. Dlatego zdecydowali się na eutanazję. Melissa też wtedy płakała. Weterynarz przyjechał do nich do domu. Sebastian leżał na kolanach u mamy, kiedy lekarz robił mu zastrzyk. Tata siedział obok, głaszcząc ją po ramieniu. Wszyscy byli w salonie. Nawet Cassandra.

Śmierć Sebastiana zapadła Melissie w pamięć bardziej niż śmierć dziadka, ponieważ była wtedy o rok starsza. Jakiś czas temu zapytała tatę, czy mama bardziej rozpaczała po stracie kota, a on wyjaśnił, że kiedy zmarł jej ojciec, była w głębokim szoku. To wszystko stało się tak nagle i

nieoczekiwanie. Ale i tak wylała wtedy morze łez.

Tak czy owak szloch mamy, który w tej chwili dobiegał z kuchni, wydawał się Melissie dużo gorszy. Był głośniejszy. Prawie histeryczny. Jakby słyszała lamentujące dziecko, którego nie sposób uspokoić. Babcia próbowała ją jakoś pocieszyć, ale z marnym skutkiem.

Melissa doskonale wiedziała, że to przez ojca. Przez tatę. To on zranił mamę. Widziała materiał w wiadomościach, ale zupełnie nie potrafiła sobie wyobrazić swojego taty z jakąkolwiek inną kobietą. Prawdę mówiąc, nie umiała sobie nawet wyobrazić ich razem. Ale nie miała wątpliwości, że przyczyną tego... tego zawodzenia... było coś, co ojciec zrobił z jakimiś kobietami na imprezie, a nie fakt, że w ich domu zostało zamordowanych dwoje ludzi.

Kiedy jednak Melissa próbowała odtworzyć w swojej głowie wydarzenia, które miały miejsce w Bronxville w piątkową noc, najbardziej realna wydawała się jej przemoc. Dwa trupy. Obcy mężczyźni zamordowani z użyciem noży i pistoletów. Ciała w salonie i na korytarzu. Od razu przypominały się jej sceny z horrorów, które – choć nie widziała ich zbyt wielu – na dobre zapadły jej w pamięć. W filmach pokazywanych późnym wieczorem w telewizji – Melissa oglądała je potajemnie, kiedy zostawała z opiekunką albo gdy nocowała u swojej przyjaciółki Claudii – napatrzyła się już trochę na wampiry, trupy i zombie. I chociaż naprawdę się ich bała, zawsze powtarzała sobie, że przecież to wszystko jest na niby. W prawdziwym świecie nie ma żadnych wampirów ani zombie. A w roli trupów występują aktorzy w halloweenowym makijażu. Ale to, co wydarzyło się w jej domu w piątkową noc, nie było na niby. To się stało naprawdę.

Melissa oparła się o ścianę i nadstawiła uszu. Mama wydmuchała nos i powiedziała babci, że musi się wziąć w garść. Dla swojej córki. I że musi się zastanowić, co ma jej powiedzieć. Sekundę później drewno zaszurało o kafle kuchennej podłogi, co oznaczało, że wstała z krzesła. Dziewczynka szybko wycofała się przez jadalnię i wróciła do pokoju gościnnego. Nie chciała, żeby się wydało, że podsłuchiwała. Ale powzięła mocne postanowienie: kiedy mama przyjdzie do sypialni, zapyta ją, jak poważne niebezpieczeństwo im grozi. Musi o to zapytać. Oczywiście wiedziała doskonale, co usłyszy w odpowiedzi: „Nic nam nie grozi”. Mimo to postanowiła dokładnie śledzić

reakcję mamy. Poza tym chciała się dowiedzieć, kiedy tata wróci do domu. By odzyskać poczucie bezpieczeństwa, potrzebowała obojga rodziców, podskórnie jednak czuła, że na razie chyba nie może na to liczyć.

*

Richard rzucił swój telefon na hotelowe łóżko i patrzył, jak podskakuje na materacu. Cieszył się, że w ostatniej chwili powściągnął nerwy, bo w pierwszym odruchu miał ochotę cisnąć nim z całej siły – jakby to była piłka baseballowa, a on znów miał dwanaście lat – o ścianę, na której wisiało oprawione czarno-białe zdjęcie robotników budowlanych na szczycie jednego z drapaczy chmur na Manhattanie, zrobione zapewne w latach dwudziestych. Przed chwilą odebrał telefon od prawnika zatrudnionego we Franklin McCoy, którego nigdy nie widział na oczy. Facet nazywał się Hugh Kirn. Najwyraźniej szef Richarda – Peter Fitzgerald, wnuk samego Alistaira Franklina, strażnik tradycji firmy i człowiek bez poczucia humoru – uznał, że najlepiej byłoby, gdyby Richard wziął urlop. Wygląda na to, że tak samo uważali wszyscy szefowie poszczególnych działów, na czele z samym dyrektorem finansowym. Płatny urlop, zaznaczył Hugh. Rzecz jasna płatny. Przynajmniej na razie. A kiedy sprawa ucichnie? Wtedy będzie można powrócić do tematu i ustalić, czy jest sens, aby Richard pozostawał w firmie.

– Powrócić? – zapytał Richard. – To znaczy, że nie wiecie, jak długo ma potrwać ten urlop?

– Nie. Poczekamy i zobaczymy.

– Mogę porozmawiać z Peterem? Opowiedzieć mu, co się naprawdę stało?

– Już mówiłem, dzwonię w jego imieniu. W imieniu całego kierownictwa.

– Rozumiem. Ale czy mogę do niego zadzwonić jako przyjaciel? Żeby po prostu pogadać?

– Lepiej nie. Nie powinieneś rozmawiać z nikim z firmy.

– Posłuchaj, nie mogę wrócić do domu. Policja mi nie pozwala. Dlatego planowałem przyjść dzisiaj po południu do biura i trochę popracować. Mam masę rzeczy do zrobienia.

Po drugiej stronie zapadła cisza.

– Nie – powiedział wreszcie Hugh. – Nie możesz przychodzić do biura. Masz szlaban.

– Szlaban? To brzmi jak kara!

– Tak będzie najlepiej dla wszystkich.

– Przecież w biurze będzie prawie pusto. Ja tylko...

– Nie.

– Nie? Mówisz poważnie?

Hugh odchrząknął.

– Mówię poważnie.

– A kto się zajmie...

– Cokolwiek to jest, wszystkiego dopilnujemy. Nikt nie jest niezastąpiony.

– Wiesz w ogóle, kogo bierzemy na cel w tym tygodniu? Masz pojęcie, z jakimi firmami prowadzę negocjacje, żeby...

– Tak. Wiem wszystko. Już przydzieliliśmy twoją pracę komu innemu.

To krótkie zdanie było jak cios pięścią w brzuch. Przydzieliliśmy twoją pracę komu innemu. Ale gdy tylko go przyjął – gdy tylko w głowie zawirowały mu nazwiska współpracowników i podwładnych, którzy teraz przejmą jego (jego!) obowiązki – ogarnął go jeszcze większy gniew.

– Mam tam rzeczy, które są mi potrzebne – powiedział. – W moim biurze! Mogę przynajmniej przyjść i je zabrać?

– Co na przykład?

– Co na przykład? Nieważne co. Moje biuro to nie miejsce zbrodni. Nie trwa tam żadne dochodzenie, niczego nie zrobiłem w banku. Ja... Ja chcę z powrotem swoje rzeczy! – Zdawał sobie sprawę, że brzmi to dziecinnie, ale słowa wysypywały się z niego jak ziarenka kawy z dyspensera w sklepie ze zdrową żywnością. To wszystko zakrawało na szaleństwo.

- Gdybyś podał mi listę...
- Nie muszę ci nic podawać!
- Jesteś zdenerwowany. Rozumiem. Ale...
- Mogę porozmawiać z Peterem?
- Już tłumaczyłem, że to byłoby niestosowne.
- Nie, nie tłumaczyłeś. Po prostu odmówiłeś.
- Richard...
- Daruj sobie ten ton! Nie znamy się na tyle dobrze. Nie, czekaj, w ogóle się nie znamy!
- Możemy ci wysłać wszystkie rzeczy osobiste. Co tylko sobie życzysz. Zdjęcia rodziny, plakietki, przyciski do papieru. Z przyjemnością przyślemy ci to wszystko do domu.
- Plakietki i przyciski do papieru.
- Jak najbardziej.
- To poniżające.
- Podobnie jak twoja piątkowa impreza.
- Hugh?
- Słucham.
- Bądź człowiekiem. Pozwól mi zabrać swoje rzeczy. Nie wezmę żadnych dokumentów. Żadnych papierów. Obiecuję.
- Nie powinienem tego robić. Naprawdę nie powinienem. Ale skoro prosisz mnie jak człowiek, niech ci będzie. Spotkajmy się w biurze. Może być czwarta trzydzieści?
- Gdzie mieszkasz?
- To bez znaczenia.
- Na miłość boską, nie próbuję ci grozić. Pytam, bo chcę wiedzieć, czy to dla ciebie duży kłopot przyjechać dzisiaj do biura.

– Mieszkam na Long Island.

– A zatem czwarta trzydzieści jest w porządku. Wyświadczasz mi przysługę, więc nie będę dupkiem i nie będę narzekał, że to za późno. Mogę cię o coś zapytać?

– Jasne.

– Będziesz miał ze sobą ochroniarza, prawda?

– Oczywiście.

– Dobra. Widzimy się o wpół do piątej.

– Richard?

– Tak?

– Skoro już przyjeżdżasz do firmy, to przy okazji weź ze sobą swoje klucze i identyfikator. Możesz je od razu oddać. To nam oszczędzi zachodu w najbliższych dniach.

Później odtwarzając w myślach przebieg tej rozmowy, Richard stwierdził, że wykazał się godną podziwu samokontrolą, skoro nie cisnął telefonem w ścianę.

*

Ostatecznie Kristin zdecydowała, że najlepszy będzie wczesny lunch. Wybrała restaurację Sarabeth's kilka przecznic od mieszkania matki. Potem Richard będzie musiał wrócić na wygnanie do hotelu Millennium. Umówili się o wpół do dwunastej bezpośrednio pod lokalem na północno-wschodnim rogu Madison i Dziewięćdziesiątej Trzeciej ulicy. W środku były dwa wolne stoliki, jeden przy oknie, jasny i zachęcający, drugi na tyłach, w rogu sali. Po raz pierwszy od kilku dni wyszło słońce i kelnerka oczywiście chciała ich posadzić z przodu, gdzie mogliby skorzystać z jego ciepłych promieni. Richard jednak zaskoczył wszystkich, prosząc o stół z tyłu. Pozwolił sobie na chwilę użalania się nad sobą: oto moja przyszłość. Życie w cieniu. W ukryciu. We wstydzie. Ale to uczucie minęło, gdy dotarło do niego, że naprawdę są z nim jego żona i córka. Postanowił wziąć się w garść, zwłaszcza gdy zerknął w dół i zobaczył, że Melissa założyła nową spódnicę i rajstopy, które kupił dla niej wczoraj.

– Świetnie wyglądasz! – zachwycił się, mając nadzieję, że jego żalosne dopraszanie się o akceptację i przebaczenie nie umniejszy go w oczach córki. Ale naturalnie potrzebował jej przebaczenia. I obawiał się, że cokolwiek zrobi, ona i tak już zawsze będzie miała o nim nie najlepsze zdanie.

– Dzięki. Są całkiem spoko – odparła, a on próbował nie analizować zanadto tonu jej głosu, który brzmiał po prostu zwyczajnie. Pocałował ją w czoło, a Kristin w policzek. Nie odwróciła głowy. Z tego również starał się nie wyciągać zbyt daleko idących wniosków, ale było to jak okruczeństwo wśród otaczającej go zewsząd beznadziei.

– Na pewno jesteście głodne – powiedział, gdy każde dostało menu. – Umieram z głodu.

– Kilka godzin temu zjadłam croissanta – mruknęła jego żona. Richard nie podniósł wzroku.

– A ja płatki – dodała Melissa.

– Cóż, ja tylko piłem kawę, więc jestem głodny jak wilk. Pewnie będę oblizywał palce, a na koniec wyliżę nawet wasze noże i talerze, jak ostatni prostak. – Rzucił okiem ponad kartą dań i z nieopisaną satysfakcją odnotował uśmiech na buzi córki.

– Jak jest w hotelu? – zapytała.

Wzruszył ramionami.

– W porządku. Hotel jak hotel. Byłem całkiem niedaleko tego teatru, gdzie oglądałyście wieloryby.

– Ja lubię hotele. Powinieneś zamówić room service. Uwielbiam, jak przynoszą jedzenie do pokoju.

– Trzeba było, co nie?

– O tak.

– Co tam słyhać u Cassandry?

Dziewczynka przewróciła oczami i skrzyżowała ręce na piersi.

– Jest zestresowana.

– W ogóle coś je?

– Mhm. Ale cały czas tylko skacze po meblach. Jakby na podłodze były ruchome piaski albo coś takiego.

– Gdzie spała?

– Nie wiem.

– Ale nie z tobą ani z babcią?

– Nie. Babcia myśli, że pewnie spała na półce w szafie na kurtki.

– Tej w hallu?

– Aha.

– Cóż, przy odrobinie szczęścia już niedługo wróci do domu. I my wszyscy razem z nią. – Odwrócił głowę w stronę Kristin, ale ona nadal nie odrywała oczu od menu. Nagle jednak podniosła wzrok i przez ułamek sekundy wydawało mu się, że patrzy prosto na niego. Serce aż podskoczyło mu z radości. Ale po chwili się zorientował, że w rzeczywistości spogląda na kelnerkę, która właśnie podeszła do ich stolika i stanęła za jego plecami. Przyszła zapytać, czy życzą sobie herbatę czy kawę. Dziewczyna wyglądała na dwadzieścia kilka lat, jej włosy były równie czarne jak jej sukienka, a oczy brązowe jak świeżo zaorana ziemia. Miała dzwięczny, wesoły głos. Po złożeniu zamówienia – Richard i Kristin poprosili o cappuccino, a Melissa o gorącą czekoladę – odwrócił się z powrotem do swojej żony, która teraz wpatrywała się w niego z obrzydzeniem. A może tylko z zadumą, nie umiał tego stwierdzić. Uniósł brwi i czekał.

– Zawsze wydawało mi się, że rozumiem mężczyzn – powiedziała. – Teraz widzę, że się myliłam. Albo po prostu wszystkich was przeceniałam.

Richard pokiwał głową. Umiał czytać między wierszami: myślała, że gapił się na kelnerkę, i to ją rozdrażniło.

– Wcale nie myślałem o tym, o czym według ciebie myślałem – odparł w nadziei, że zabrmi to żartobliwie, a nie jakby się bronił.

– A o czym myślałeś?

– Zastanawiałem się, czy wolę zwykłą kawę czy cappuccino. – Chciał jej

powiedzieć, że wcale nie obserwuje otoczenia, w tym ludzi, baczniej niż inni. Tak, kelnerka jest ładna, ale poświęciłby jej dokładnie tyle samo uwagi, gdyby była mężczyzną. Zarejestrował, jak wyglądała, i to wszystko.

– Opowiedz o musicalu – zwrócił się ponownie do córki. – O wielorybach.

Pewnie i tak nie było szans, żeby to spotkanie wyglądało normalnie, ale Richard nie miał zamiaru składać broni.

*

Kiedy szli całą rodziną w stronę domu jej matki, Kristin w końcu wyrzuciła z siebie pytanie, którego unikała podczas wspólnego posiłku, ponieważ Richard tak bardzo się starał, żeby spotkanie upływało w przyjemnej atmosferze, ze względu na Melissę. Doceniała jego wysiłki; żałowała, że sama nie potrafi się zdobyć na to samo.

– Porozmawiasz dzisiaj z tą policjantką? – spytała.

– Z Patricią?

– Tak. Mówisz do niej Patricia?

– Chyba jeszcze nijak do niej nie mówiłem. Jeśli do niej zadzwonię, bo zakładam, że o to ci chodzi, pewnie będę się do niej zwracał per „pani detektyw”.

Kristin zwróciła uwagę na idącą z naprzeciwka trzyosobową rodzinę z synkiem, który wyglądał na dziewięć albo dziesięć lat. Wydawali się bardzo szczęśliwi. Rodzice śmiali się z czegoś, co właśnie powiedział chłopak. Starła się nie być zazdrosna, ale naprawdę tęskniła za taką beztroską radością. Chciała znów umieć komunikować się ze swoim mężem bez sarkazmu, gniewu czy nieufności albo – co chyba jeszcze gorsze – bez wykorzystywania Melissy w charakterze semafora. Czy to możliwe, że mieli to wszystko zaledwie dwa dni temu?

– Jeśli chcesz – ciągnął Richard – zadzwonię do niej. I tak, zapytam, kiedy będziemy mogli wrócić do domu.

W pierwszej chwili chciała go poprawić i przypomnieć, żeby nie używał liczby mnogiej, ale uznała, że to byłoby nazbyt złośliwe. Mogą to

przedyskutować później, po powrocie. Kiedy obok nich nie będzie córki.

– Byłoby świetnie – odparła. – Dziękuję.

– Nie ma za co. Jest coś jeszcze.

Kristin niemal stanęła w miejscu, ale w porę przypomniała sobie o starym przesądzie i zamiast tego zrobiła wydłużony krok, uważając, by nie nadepnąć na pęknięcie w chodniku.

– Słucham.

– To właściwie dobre wieści. Kiedy już zamówimy do domu ekipę sprzątającą, będę mógł im pomóc, nieważne, czy to będzie jutro, czy we wtorek, czy nawet w środę. W banku chcę, żebym poszedł na krótki urlop. To dobry pomysł, ma sens.

– Jak krótki? – zapytała. Ta wiadomość nie pozbawiła jej tchu, tak jak zapewne stałoby się jeszcze przed wieczorem kawalerskim. Zanim w ich domu zginęło dwoje ludzi, zanim jej mąż poszedł na górę z prostytutką, rozebrał się i... Szybko odsunęła od siebie tę myśl.

Wiedziała, że musi być zdruzgotany, ale robi dobrą minę do złej gry. Jak większość mężczyzn uważał, że praca go definiuje. Był bankierem inwestycyjnym. Ciężko pracował i lubił to. Prawdopodobnie lubił bankowość (Czy to właściwe słowo? Jak może tyle lat być jego żoną i tego nie wiedzieć?) bardziej niż ona uczenie w szkole. A ona naprawdę bardzo lubiła uczyć. Przynajmniej zazwyczaj. Odwróciła się do niego i próbowała dostrzec ból czy lęk kryjące się za tą fasadą. Bo wiedziała, że się boi. Umiała to poznać po tym, jak mruga oczami i jak lekko drżą mu wargi, gdy próbuje się uśmiechać.

– Nie wiem – odpowiedział. – Ale poradzimy sobie z tym. Na pewno nie potrwa to długo. Mówię serio. A dobra wiadomość jest taka, że nadal będą mi płacić. I nawet podoba mi się ten pomysł, że mógłbym wrócić do domu przed wami i wspomóc ekipę sprzątającą. Dopilnuję, żeby dom był w idealnym stanie, że kiedy przekroczysz próg, nie będziesz nawet pamiętała, co się tam wydarzyło.

Kristin przypomniała sobie, co mówił o kanapie. I o obrazie. Wyobraziła sobie trupy w salonie i na korytarzu. Jej mąż okłamywał sam siebie, to jasne.

Już zawsze będą wiedzieli, co się tam wydarzyło. Zawsze. Mimo to w którymś momencie wzięła go za rękę. To był odruch. Przeszli ostatni odcinek drogi w milczeniu, ale trzymając się za ręce. Kiedy dotarli na miejsce, skinęła głową portierowi.

– Na pewno dobrze się czujesz? – zapytała Richarda.

– Oczywiście! Nie martw się, wszystko będzie dobrze. Pamiętaj, ciągle mi płacą.

– Nie martwię się o pieniądze, tylko o ciebie.

– Mnie też nic nie będzie. Naprawdę.

Miała co do tego poważne wątpliwości, ale nie chciała bardziej naciskać. Przypomniała mu jedynie, żeby zadzwonił do niej, kiedy odbędzie rozmowę z tą policjantką albo z kimś innym, kto będzie mógł mu udzielić jakichś informacji. Patrzyła, jak klęka, żeby przytulić Melissę. Pozwoliła, żeby objął ją w talii i jeszcze raz pocałował w policzek. Potem pomachała mu na pożegnanie i zaprowadziła córkę do mieszkania na górze. Uświadomiła sobie, jak bardzo brakowało jej jego dotyku. Ale wciąż nie była gotowa, żeby położyć się z nim w jednym łóżku.

*

Gdy tego wieczora Kristin kładła się spać u boku córki w pokoju gościnnym swojej matki, odtworzyła w pamięci rozmowę telefoniczną, którą przeprowadziła z bratem po kolacji.

– Powinnaś się cieszyć, że ci powiedział, że poszedł z tą dziewczyną na górę – stwierdził. – Większość facetów by skłamała. Nie powiedzieliby swoim żonom ani słowa. – Na szczęście jej brat nie postanowił przywdziewać peleryny superterapeuty i nie zaczął jej wypytywać, jak się czuje, za co była mu wdzięczna.

– Ale czy naprawdę musiałam o tym wiedzieć?

– Mówiłaś, że ty go o to zapytałaś. A on nie skłamał.

– A może skłamał. Może uprawiał z nią seks.

– W porządku. A jeśli tak, to, jak sama zauważyłaś, czy naprawdę musiałaś o tym wiedzieć? Może po prostu chciał ci oszczędzić bólu. Był

pijany, to nic nie znaczyło. Więc przedstawił ci złagodzoną wersję. Białe kłamstwo.

– To nie jest białe kłamstwo.

– Słuchaj, wiem, że to brzmi okropnie, ale czasami, kiedy ktoś da plamę, jak to się zdarza w każdym małżeństwie, najlepiej zachować to dla siebie. Szczególnie jeśli to jednorazowy wybryk. Czy twój partner naprawdę musi znać prawdę? Nie zawsze.

– A jeśli to nie był incydent? Kto wie, co on wyczynia, kiedy jest w podróży? A bardzo dużo podróżuje.

– Ja lubię Richarda.

– I dlatego mu ufasz.

Nawet przez telefon słyszała, jak brat głośno wzdycha.

– Ludzie zawsze mnie zaskakują. Naprawdę.

– To mnie wcale nie pociesza.

– Kimkolwiek jest, cokolwiek ma na sumieniu, na pewno nie jest swoim młodszym bratem.

– Teraz naprawdę nisko zawiesiłeś poprzeczkę.

– Twoje małżeństwo zawsze wydawało mi się cholernie solidne – stwierdził, próbując na koniec powiedzieć coś bardziej definitywnego.

I prawda jest taka, że ona też tak myślała. Byli małżeństwem od czternastu lat i nadal zdarzały się między nimi chwile dzikiej, elektryzującej namiętności. To prawda, dzisiaj wyglądało to trochę inaczej niż dawniej. Mieli po czterdzieści lat na karku i mieszkali na przedmieściach razem z dziewięcioletnią córką. Oboje nieco się wyciszyli, robili karierę. Ale zeszłego lata wynajęli maleńki domek na plaży w Montauk i te piątkowe wieczory, kiedy Richard dołączał do niej i Melissy, były naprawdę wspaniałe. Jedli późne kolacje przy tej odrapanej ruinie, która uchodziła za stół piknikowy, a potem, kiedy Melissa już spała, rzucali się na siebie, wygłodniali po prawie tygodniu rozłąki. W niedzielne popołudnia pili margaritę. W dwa weekendy odwiedzili ich jej przyjaciele i wszyscy razem tańczyli do muzyki z płyt winylowych puszcanych na przenośnym gramofonie, który Kristin wzięła ze

sobą z domu, żeby zrobić mężowi niespodziankę. Tańczyli, jakby znów znaleźli się w jakimś obskurnym rockowym klubie przy Saint Mark's i mieli po dwadzieścia kilka lat.

Ale teraz zaczęła podawać w wątpliwość te wszystkie dni pomiędzy, kiedy mieszkała na plaży tylko z Melissą i kotem. Co on wtedy tak naprawdę robił w domu w Bronxville? Co robił w mieście? Była na siebie zła, ponieważ nie zasłużył na te podejrzenia. Ale nie mogła nic na to poradzić. Zanim wreszcie zasnęła, zastanawiała się jeszcze, czy jej brat mógł mieć rację. Czy rzeczywiście wszyscy lepiej by na tym wyszli, gdyby Richard po prostu nic jej nie powiedział.

Alexandra

W pierwszych dniach mojego pobytu w Moskwie, zanim wywieźli mnie do domku letniskowego, Inga siadała koło mnie na łóżku ze swoim laptopem albo moim telefonem i wysyłała maile i SMS-y do mojej babci, w których podszywała się pode mnie. Najpierw wypytywała mnie o różne rzeczy, na przykład o imiona koleżanek ze szkoły i z baletu albo ulubionych nauczycielek. Kazała mi wskazać osoby, którym babcia miała przekazać ode mnie pozdrowienia, takie jak Najiri. Miałam też zastanowić się nad jakimiś anegdotami ze szkoły baletowej, które babcia mogłaby opowiedzieć Madame.

Przyszło mi do głowy, że może powinnam zmyślić jakieś imiona i w ten sposób wysłać sygnał SOS. Może babcia zrozumiałaby, że mam kłopoty. Ale co by było, gdyby w odpowiedzi spytała, co to za ludzie? Inga od razu zorientowałaby się, że skłamałam, i na pewno spotkałaby mnie za to kara, czego panicznie się bałam.

Któregoś razu Inga kazała mi wymienić dwie rzeczy z domu, które babcia miała przekazać dla mnie Wasilijowi. Wybrałam bluzę z kapturem z logo ormiańskiej reprezentacji piłkarskiej i czarną piżamę z nadrukiem przedstawiającym dwa białe psy z oklapniętymi uszami. Nigdy nie dostałam ani jednego, ani drugiego. Co za niespodzianka. Wasilij pewnie wyrzucił te ubrania do kosza na śmieci w swoim biurze. Albo raczej podarował je jakiejś innej dziewczynie, której mama albo tata właśnie żegnali się z tym światem. Chciał w ten sposób wkupić się w łaski jej rodziny, a po jakimś czasie móc ją porwać i zrobić z niej kolejną żywą sekszabawkę.

Czasami, oczywiście podając się za mnie, Inga pisała babci, że jestem bardzo zajęta i że naprawdę ciężko pracuję. Że uwielbiam swoich nauczycieli tańca i że znalazłam tu nowych przyjaciół.

W którymś momencie Inga musiała się domyślić, że kombinuję, jak by tu

przesłać zaszyfrowane wołanie o pomoc. Może zbyt długo zwlekałam z odpowiedzią. Może w moim głosie było słycać poczucie winy. Westchnęła i spojrzała na mnie tymi swoimi wielkimi oczami, dając do zrozumienia, jak bardzo jest mną rozczarowana. Następnie oświadczyła, że jeśli się bardziej nie przyłożę, babcia straci pracę w szpitalu. Wasilij już się o to postara. A jeżeli będę próbowała robić jakiegokolwiek aluzje na temat tego, co tu się naprawdę dzieje, babcię może spotkać groźny wypadek w drodze do pracy. Nawet pielęgniarki czasem łamią sobie kości, zauważyła Inga. Przypomniała mi też (co zresztą czyniła przy każdej możliwej okazji) o pierwszym zrobionym przez nich filmie, na którym jestem całkiem naga w towarzystwie dwóch mężczyzn. Ostrzegła, że naprawdę łatwo można sprawić, by zarówno to, jak i inne nagrania, do których mnie zmusili, zobaczył cały Erywań.

Babcia w odpowiedzi pisała, że za mną tęskni, ale cieszy się, że dobrze mi idzie, i trzyma za mnie kciuki. Któregoś wieczora, gdy Inga czytała mi jeden z jej maili, tak strasznie się popłakałam, że zaczęła mi masować kark i ramiona, pocieszając mnie, że każdy w końcu znajdzie swoje szczęście. Do dziś nie mam pojęcia, czy choć przez sekundę wierzyła w to, co mówi.

*

Więźniowie liczą cegły w swoich celach albo nity na blaszanych muszlach klozetowych. Liczą pręty krat w drzwiach i oknach – jeśli w ogóle mają okno.

Ja w pierwszych dniach pobytu w Moskwie oglądałam telewizję. Zwijalam się w kłębek na łóżku i liczyłam łezki na pstrokatej tapecie. Liczyłam paski na obiciu dwuosobowej sofy. Liczyłam ptaki, które niczym podpórki do książek siadywały na krawędzi dachu budynku po drugiej stronie ulicy. Zastanawiałam się, czy nie powinnam otworzyć okna i zacząć wołać o pomoc. Czy nie powinnam otworzyć okna i rzucić się z niego prosto w objęcia śmierci.

Przychodziły mi na myśl wszystkie te baśnie, w których księżniczki siedziały zamknięte w wieży w środku ciemnego lasu. Dlaczego na przykład taka Roszpunka po prostu się nie zabiła?

Mimo że miałam radio i telewizor, godzinami siedziałam przy oknie i gapiłam się na świat, od którego zostałam całkowicie odcięta.

Zabrali mi walizkę z ubraniami, a z szafy zniknęły szlafroki frotté, żebym na pewno przez cały czas była naga. (Na początku usiłowałam owijać się w prześcieradła, robiąc z nich prowizoryczne togi, ale kiedy mnie nakryli, zagrozili, że jeżeli jeszcze raz zastaną niezasłane łóżko, zabiorą mi również koce i całą pościel).

Oprócz Ingi jedynymi osobami, z jakimi miałam kontakt, byli strażnicy i faceci, którzy przychodzili się ze mną pieprzyć.

*

Zanim wywieźli mnie do podmoskiewskiego domku, podjęłam próbę ucieczki z hotelu, choć naprawdę nie wiem, dokąd chciałam uciekać. Nie miałam ani pieniędzy, ani karty kredytowej, ani telefonu, ani paszportu, ani ubrań. W tamtym okresie nie wolno mi było nawet opuszczać mojego pokoju. Myślałam, że chciałam się jakoś przedostać do lobby, a stamtąd na ulicę. Liczyłam na to, że uda mi się znaleźć jakiegoś policjanta, który nie będzie skorumpowany (co samo w sobie było mało prawdopodobne). Po prostu nie chcę, żebyście myśleli, że nie próbowałam.

Wiele miesięcy później, gdy już mieszkałam w domku letniskowym, znów postanowiłam zaryzykować. Oczywiście i tym razem nic z tego nie wyszło.

Ale najpierw była ta katastrofa w hotelu.

Kolesie, którzy pilnowali korytarza, dostawali napiwek w formie mojego ciała. Powiedzmy, że stanowiło to część mojego treningu zawodowego. Inga mówiła mi, co mam robić, kiedy kładli się na mnie albo ja siadałam na nich. Tym razem na straży stał niejaki Rad. (Kto wie, jak naprawdę miał na imię. Może Radomir?) Miał dwadzieścia kilka lat i był chudy jak narkoman. Zawsze zalatywało od niego tanią wodą kolońską. Kiedy pojawiał się na korytarzu, czułam jego zapach mimo zamkniętych drzwi. Obserwowałam go przez dziurkę od klucza i oddychałam przez usta, żeby nie wdychać woni pomarańczy i piżma. Rad miał nadzieję, że pewnego dnia dołączy do grona czarno-białych, ale wtedy jakoś ciężko mi było to sobie wyobrazić. Zresztą teraz też nie bardzo to widzę. Nie był wystarczająco inteligentny, a do tego miał zbyt dobre serce. Mówię poważnie.

Tamtego dnia zapomniałam prezerwatywy i choć już od siedmiu dni brałam

pigułki, Inga powiedziała, że zejdzie na dół i mu jedną przyniesie. Nie można przecież ryzykować z nowym towarem, prawda?

– Tylko bez żadnych numerów – powiedziała z uśmiechem godnym nauczycielki zwracającej się do dwójki dzieciaków (chodziło po prostu o to, żebyśmy nie zaczęli w międzyczasie uprawiać seksu), po czym wyszła na korytarz. Rad z powrotem przykleknął na łóżku z fiutem sterczącym na baczność, a ja oparłam się na łokciach. W głowie wciąż słyszałam słowa Ingi „zejdę na dół”, co oznaczało, że nie będzie jej przez dłuższą chwilę. A Rad był ze mną w pokoju, więc nikt nie pilnował korytarza. Wystarczyło tylko jakoś wyrwać się ochroniarzowi, wymknąć się na klatkę schodową, przebiec przez lobby i uciec na ulicę. Wymknąć się, przebiec, uciec. Z natury nie mam skłonności do przemocy, ale właśnie spędziłam tydzień uwięziona w pokoju hotelowym w charakterze seksualnej niewolnicy siłą przyuczanej do zawodu. To była moja jedyna szansa. Dlatego postanowiłam zaatakować Rada.

Na stolikach nocnych po obu stronach łóżka stały dwie jednakowe mosiężne lampy. Wydawało mi się, że dam radę walnąć go w łeb jedną z nich. Potem porwę jego ubranie – a przynajmniej koszulę z fotela stojącego w rogu, i już mnie nie ma. Tak więc mój plan liczył teraz pięć kroków. Znokautować strażnika. Chwycić ciuchy. Wymknąć się. Przebiec. Uciec.

Wyciągnęłam prawą rękę, jakbym chciała się przeciągnąć i zaczęłam mruzczyć. Próbowałam się przy tym uśmiechać do Rada jak mała napalona kurewka. (Jeszcze nie umiałam się zachowywać jak zawodowa kurtyzana; byłam zaledwie piętnastoletnią dziewczyną, która usiłowała udawać, że lubi być rżnięta przez obcych, niechlujnych i niedogolonych facetów). W następnej sekundzie chwyciłam lampę oburącz, bo – jak się okazało – była zbyt ciężka i szeroka, żeby ją podnieść jedną ręką, i z całej siły pociągnęłam. Dalej wydarzenia potoczyły się błyskawicznie: kabel nie dał się tak łatwo wyrwać z gniazdka, więc Rad zdążył się zorientować, co chcę zrobić, i zasłonił twarz ramieniem. Na domiar złego lampa miała abażur, który zadziałał jak poduszka powietrzna w samochodzie, kiedy próbowałam uderzyć. Gdy zamachnęłam się po raz drugi, facet chwycił mnie za ręce i zaczęliśmy się szarpać. Jak na tak chudego kolesia, był cholernie silny, w każdym razie silniejszy ode mnie – ale o to raczej nietrudno. Bosą stopą kopnął lampę na podłogę i przygwoździł mnie do materaca, wciskając mi

kolano w brzuch i przytrzymując ramiona nad głową.

– Oszalałaś? – zapytał.

Zaczęłam wrzeszczeć, żeby mnie puścił, błagałam i krzyczałam, że muszę się stąd wydostać. Ale on tylko pokręcił głową i się roześmiał. Wtedy splunęłam mu w twarz. Nigdy wcześniej mi się to nie zdarzyło. I nigdy nie sądziłam, że mogłabym kogokolwiek opluć. Najwyraźniej się myliłam.

Dokładnie w tym momencie do pokoju weszła Inga. Okazało się, że wcale nie musiała iść po prezerwatywy do drogerii, ponieważ znalazła jedną w torebce, kiedy czekała na windę.

Dawno nie widziałam jej tak wścieklej. Patrzyła na nas wytrzeszczonymi oczami, jak osoba, która postradała zmysły.

Rad próbował wziąć całą winę na siebie. Właśnie to miałam na myśli mówiąc, że miał za dobre serce do tego biznesu. Dosłownie przed sekundą splunęłam mu w twarz i usiłowałam go zdzielić lampą, a mimo to chciał mnie chronić. Powiedział, że za bardzo się nakręcił, a ja tylko próbowałam go powstrzymać, żeby nie zająć w ciążę. Ale Inga wierzyła w jego słowa tak samo jak w Świętego Mikołaja czy w komunizm.

Myślałam, że za karę mnie pobiją.

Ale bicie nie wpływa dobrze na jakość towaru. Czyni go mniej atrakcyjnym. Mniej wartościowym. Dlatego kiedy tylko mogą, unikają wymierzania ciosów swoim dziewczynom. (Czasami, zwłaszcza na samym początku, robiłam wszystko, żeby jednak nie mogli tego uniknąć). Zazwyczaj podają im narkotyki, podtapiają je albo głodzą.

Tamtego wieczora po raz pierwszy mnie naszprycowali.

*

Powinłam była kopnąć Rada w jaja. Teraz to wiem. Ale wtedy nie wiedziałam.

*

Na moim piętrze pojawiła się nowa dziewczyna. Odkryłam to następnego nocy, kiedy zbudziłam się z narkotycznego snu i usłyszałam walenie w ścianę. W pierwszej chwili pomyślałam, że ciągle jeszcze śnię. W ciągu

ostatnich godzin nawiedzały mnie najdziwaczniejsze wizje: śniły mi się egzotyczne kwiaty (zawsze ścięte), tropikalne ryby (zawsze tłuste) i mężczyźni w czarnych garniturach (zawsze z kilkudniowym zarostem). Po chwili wszystko stało się jasne. Wiedziałam dokładnie, co to za hałas. Sama też tak kiedyś waliłam.

Rozdział 7

Kristin nie była zachwycona powrotną podróżą do Bronxville w poniedziałek rano, ale Melissie wyraźnie się podobało. Jej córka nie lubiła wstawać tak wcześnie – obie musiały się zbudzić o piątej trzydzieści, żeby z mieszkania babci zdążyć na pociąg o szóstej czterdzieści pięć – ale kiedy już zajęły miejsca, a konduktor sprawdził czytnikiem ich bilety, Melissa przyznała, że cała ta sytuacja ma w sobie coś ekscytującego.

– Cóż, jutro na pewno to powtórzymy – powiedziała Kristin.

Dwadzieścia minut później szły już ze stacji w stronę szkoły: długiego, dostojnego budynku w stylu gotyckim, który wyglądał, jakby raczej mieścił się w nim jakiś college należący do Ligi Bluszczowej. Uczyły się tu wszystkie dzieci z Bronxville, w wieku od siedmiu do siedemnastu lat. W gmachu zbudowanym we wczesnych latach dwudziestych tłoczyło się dziś tysiąc sześciuset uczniów między przedszkolem a wyjazdem na studia, gdzie (jak czasem żartowała Kristin) będą mogli dołączyć do wysoko cenionej drużyny lacrosse’a albo piłki nożnej. Każdego dnia Melissa kierowała się do skrzydła zajmowanego przez szkołę podstawową, a Kristin zanurzała się w chmurę buzujących hormonów, która zdawała się unosić nad sekcją liceum. Ten sam architekt, Harry Leslie Walker, zaprojektował trzy z czterech budynków stojących na skrzyżowaniu ulic Pondfield i Midland: szkołę, bibliotekę i kościół. Kiedy Kristin i Richard po raz pierwszy pokazali jej matce dom, który zamierzali kupić, i oprowadzali ją po swojej nowej dzielnicy, matka stanęła na tym rogu i nieco krytycznym tonem oświadczyła: „Ładnie tu. Wygląda jak Disneyland dla białych, bogatych snobów”. Ale naprawdę było tu ładnie, a szkoła cieszyła się świetną opinią. Po upływie roku Kristin sama już w niej uczyła. A kolejne półtora roku później Melissa została zapisana do przedszkola.

W niedzielę po południu Richardowi udało się skontaktować z Patricią

Bryant. Zdaniem policjantki kryminalistycy powinni skończyć pracę w ich domu w poniedziałek, ale na wszelki wypadek zasugerowała, żeby nie zamawiać ekipy sprzątającej wcześniej niż na wtorek. To zaś oznaczało, że Kristin powinna zostać na jeszcze jedną noc u swojej matki, a do domu wrócić we wtorek po szkole. Według Richarda do tego czasu sprzątacze także powinni już zniknąć. On sam w poniedziałek znowu miał spać w hotelu, ale wyraził nadzieję, że Kristin pozwoli mu także wrócić we wtorek do domu. Kiedy rozmawiali o tym przez telefon, wykręcała się od odpowiedzi, chociaż dobrze wiedziała, że ostatecznie i tak się zgodzi.

W końcu cały wtorek spędzi w domu, nadzorując pracę ekipy sprzątającej (z jakichś niewyjaśnionych przyczyn cały czas wyobrażała sobie grupę ludzi w białych kombinezonach ochronnych, jakby mieli usuwać skutki awarii w elektrowni atomowej). Ale też uważała, że powinien przespać jeszcze jedną noc w Millennium. Odbyć tam ostatnią noc pokuty.

– Mamo?

Kristin spojrzała na córkę. Stały na przejściu dla pieszych, czekając na zmianę świateł.

– Tak, kochanie?

– W moim pokoju nic się nie stało, prawda?

Melissa nie patrzyła jej w oczy. Wpatrywała się w wiewiórkę, która przymierzała się do wejścia na jedno z kilku drzew rosnących przed francuskim bistro. Ale nawet nie widząc jej twarzy, Kristin wyczuła kryjący się w tym pytaniu niepokój. Ciekawe, co dokładnie podpowiadała temu dziecku wyobraźnia?

– Nie – odpowiedziała, wkładając w to słowo przekonanie, którego wcale nie czuła w sercu. Musiała jednak za wszelką cenę ukoić lęki córki. Dodać jej otuchy, której tak bardzo teraz potrzebowała. – W twoim pokoju nie wydarzyło się absolutnie nic złego.

A co jeśli się myliła? Nie chciała o tym myśleć. I tak dostatecznie trudno było jej się zmusić do tego, by w miarę normalnie funkcjonować.

*

Tamtego dnia policja aresztowała pięciu mężczyzn w dwóch osobnych nalotach, na Brooklynie i na Manhattanie. Wszyscy byli w ten czy inny sposób powiązani z agencją towarzyską, z której skorzystał Spencer Doherty. I wszyscy byli Rosjanami, chociaż część miała już obywatelstwo amerykańskie. Trzech oskarżono, oprócz różnych innych przestępstw, o werbowanie, przekazywanie lub przyjmowanie osób dla celów komercyjnego świadczenia usług seksualnych. Dwaj zostali oskarżeni o porwanie. Wszystkim pięciu postawiono zarzuty o stręczycielstwo. Niektórych z nich podejrzewano również o pranie brudnych pieniędzy.

Policja dodatkowo odbiła pięć młodych kobiet, dwie z Gruzji i trzy z Rosji. Według doniesień prasowych nie groziły im zarzuty o prostytutkę, chociaż był to jedyny powód, dla którego zostały przywiezione na teren Stanów Zjednoczonych. Fakt, że ich nie aresztowano – że prokuratura postrzegła je jako ofiary, a nie przestępczynię – przez obrońców praw człowieka i praw kobiet został uznany za ogromny sukces. Wszystkie przybyły do Ameryki nielegalnie. Mogły też być nieletnie, chociaż ich faktyczny wiek nie był jeszcze znany.

Według prasy i telewizyjnych serwisów informacyjnych nikt z całej tej dziesiątki nie spotkał nigdy dwóch poszukiwanych kobiet, Alexandry i Sonii.

I pomimo zasądzonej kaucji, której wysokość obrońcy zatrzymanych mężczyzn określili jako absurdalną – w końcu żaden nikogo nie zamordował, a dziewczyny były zdrowe, zadbane i jak przekonywali prawnicy, całkiem szczęśliwe – ci trzej, którzy nie usłyszeli zarzutu o porwanie, jeszcze tego samego wieczora znaleźli się na wolności.

*

Z samego rana Kristin miała lekcję z uczniami trzeciej klasy, których przygotowywała do egzaminu z historii na poziomie zaawansowanym. Jej podopieczni nie wykazywali jednak specjalnego zainteresowania konfliktem, który doprowadził do wojny secesyjnej. Dziś dużo bardziej intrygowała ich... ona sama. Kristin zadawała im pytania i próbowała zachęcić do dyskusji o kompromisie z 1850 roku, ale z kilkunastu wpatrujących się w nią twarzy mogła łatwo wyczytać, że większość skupia się wyłącznie na tym, co zaszło (albo nie zaszło) w jej domu. Martwi Rosjanie. Dziwki. Orgia.

Chłopcy ewidentnie byli pod wrażeniem, podczas gdy na obliczach dziewcząt malował się smutek. Było im jej żal. Czują, że stała się obiektem współczucia. Widziała to w ich oczach – o ile w ogóle udawało się jej nawiązać kontakt wzrokowy, bo kiedy tylko próbowała wciągnąć kogoś w dyskusję, wszyscy uczniowie, zarówno chłopcy, jak i dziewczyny, albo spuszczały głowy, pochylając się nad swoimi notatkami, albo wbijali wzrok w jakiś tajemniczy punkt gdzieś ponad jej ramieniem.

– Co zyskało Południe na tym kompromisie? – zapytała, siadając na krawędzi biurka. Nikt nie odpowiedział, więc powtórzyła pytanie, tym razem zwracając się bezpośrednio do Caroline, jednej z tych uczennic, na które zawsze można było liczyć, gdy reszta uparcie milczała. Dziewczyna miała nieustannie rozbawiony wyraz twarzy, czasami nawet lekko drwiący, bujne kasztanowe włosy i figurę modelki, dzięki czemu mogła nosić bardzo obcisłe jeansy. Ponadto należała do samorządu uczniowskiego, a także prowadziła szkolną gazetkę. Kristin podejrzewała, że Caroline ma w sobie coś z zołzy i że na pewno daleko zajdzie, no chyba że wypali się już w liceum (czego nigdy nie można wykluczyć w przypadku tych dzieciaków).

Zamiast jednak odpowiedzieć na pytanie, dziewczyna odezwała się powoli, ważąc każde słowo. Było widać, że czuje się niezręcznie, co w jej przypadku zdarzało się raczej rzadko.

– Pani Chapman, to oczywiście nie nasza sprawa, ale wszyscy wiemy, co się stało. Martwimy się. Jesteśmy...

– Mów śmiało, Caroline. – Kristin od razu się zorientowała, do czego to zmierza, i wcale jej się to nie podobało, ale nie bardzo wiedziała, jak skierować rozmowę na inne tory. Zauważyła, że kilku chłopców wbiło wzrok w swoje ławki, jakby zamiast podręczników do historii leżało przed nimi specjalne wydanie magazynu „Sports Illustrated” z kostiumami kąpielowymi. Ale nie wszyscy spuścili głowy. Obserwował ją Reed. I Kazuo. I Frank. Większość dziewcząt także uważnie się jej przyglądała. Na ich twarzach odbijało się całe spektrum emocji, od zakłopotania aż po lęk.

– Moi rodzice powiedzieli, że lepiej panią o to zapytać, niż milczeć. Chodzi mi o to, że jeśli pani jest wytrącona z równowagi, to my też. A to z kolei może wpłynąć na nasze wyniki podczas egzaminów końcowych.

Kristin skinęła głową. Wszystko stało się jasne. Rodzice dziewczyny martwili się, że katastrofa w życiu prywatnym nauczycielki historii odbije się na liczbie punktów zdobytych przez ich ukochaną córeczkę podczas końcowych testów, przez co dziewczyna może trafić do gorszego college'u.

– Czy ja wyglądam na wytrąconą z równowagi? – spytała uczennicę, starając się zachować spokojny ton.

Dziewczyna zwlekała chwilę z odpowiedzią, po czym stwierdziła:

– Trochę.

„Trochę”. To słowo, mimo że wypowiedziane niemalże szeptem, odbiło się w klasie echem z siłą huraganu. Trochę. Kristin nie uważała, że wygląda na wytrąconą z równowagi. Owszem, w środku była zrozpaczona – w środku była upokorzona, wściekła, zagubiona – ale na zewnątrz zachowywała pozory spokoju i opanowania. Przynajmniej tak jej się do tej chwili wydawało. Nie sądziła, że banda pochłoniętych sobą nastolatków będzie w stanie ją przejrzeć. Czuła, jak cała zaczyna się trząść na myśl o tym, że rodzice Caroline postrzegają śmierć dwóch mężczyzn oraz emocjonalną – a może i faktyczną – zdradę, której dopuścił się jej mąż, jedynie jako incydent, który może spowodować, że ich wspiana latorośl nie zdobędzie na testach maksymalnej liczby punktów.

– No cóż, Caroline – zaczęła, próbując bezskutecznie utrzymać kontakt wzrokowy z szesnastolatką – jeżeli nie chcesz rozmawiać o kompromisie z tysiąc osiemset pięćdziesiątego roku, to może chociaż wyjaśnisz, co dokładnie masz na myśli, mówiąc, że wydaję się trochę wytrącona z równowagi. Jakież konkrety?

Caroline i jej najlepsza przyjaciółka Ayelet wymieniły porozumiewawcze spojrzenia. O mało co nie przewróciły oczami.

– Chociaż jeden konkret?

Caroline westchnęła w sposób godny wyniosłej, poirytowanej nastolatki.

– Na przykład to? – odparła zniecierpliwiona. Kristin zauważyła, że kilku chłopców, w tym nawet pilny i przeważnie cichy Reed, próbuje stłumić uśmiech.

– To?

– No tak. Chciałam tylko zapytać, czy jest pani zdenerwowana, a pani zaczęła mnie przesłuchiwać.

– Wcale cię nie przesłuchuję.

– Tak. Jasne.

Kristin miała ochotę się rozpłakać. Ile razy w ciągu ostatnich czterdziestu ośmiu godzin spoglądała w lustro w mieszkaniu swojej matki i widziała w nim czerwone, zapuchnięte oczy, nadające jej wygląd wampira? Trzy? Cztery? Więcej? Odnosiła wrażenie, że w ten weekend nie robiła nic innego, tylko płakała albo powstrzymywała łzy, a w przerwach gotowała się z wściekłości. Ale dziś wydawało jej się, że jakoś się trzyma. Przed lekcjami specjalnie nie weszła do pokoju nauczycielskiego, żeby nie musieć rozmawiać o tym koszmarze z kolegami i koleżankami. Bała się, że mogłaby się rozkleić.

„Tak. Jasne”. Te słowa wciąż dźwięczały jej w uszach. Poczowała, że musi wytrzeć oczy. I to nie tylko dlatego, że zaczęły robić się wilgotne. To było jak jakiś wewnętrzny przymus. Ale gdyby poddała się temu impulsowi, istniało ryzyko, że coś w niej pęknie i zaleje się łzami na oczach klasy. Dlatego wzięła głęboki oddech i wsunęła ręce pod uda.

– Posłuchaj Caroline – zaczęła, nie do końca wiedząc, co właściwie chce powiedzieć. – Przyznaję, to były ciężkie dni. Cholernie ciężkie. – Na chwilę przerwała, zdziwiona nie tylko własną szczerością, lecz także doborem słów. Zamiast przemawiać do swoich uczniów protekcjonalnym tonem, chyba po prostu instynktownie próbowała jakoś do nich dotrzeć. – Przepraszam, ale ostatnie czterdzieści osiem godzin to były najgorsze chwile w moim życiu. Gorsze od śmierci mojego ojca, którego bardzo kochałam. W końcu chyba nikt się nie spodziewa, że pewnego dnia zostanie wyrwany ze snu w środku nocy i usłyszy, że w jego domu są dwa trupy. Owszem, trupy kryminalistów. Ludzi zupełnie obcych. Ale mimo to wyobraźcie sobie, że w waszym domu popełniono podwójne morderstwo. Resztę historii też pewnie już znacie. Wieczór kawalerski mojego szwagra trochę... wymknął się spod kontroli. Na pewno o tym słyszeliście.

Przeszło jej przez myśl, że być może w tej chwili sama zachowuje się,

jakby straciła nad sobą kontrolę. Ale to już nie miało żadnego znaczenia. Uwolniła ręce i otarła oczy i policzki, po których spływały łzy. Kanaliki łzowe wreszcie dały upust smutkowi, który wypełniał je po brzegi. Jakby puściła jakaś tama, jakby lodowiec zaczął się topić w ciepłych promieniach majowego słońca.

– I wiesz co, Caroline? Twój rodzice mieli rację. Kiedy dzieje się coś tak nienormalnego, nie można na ten temat milczeć. Dobrze, że poruszyłeś ten temat – powiedziała, siląc się na uśmiech. – Rzeczywiście w tej chwili jestem w rozsypce. Ale chcę, żebyście wiedzieli jedno. Moja rodzina jakoś sobie z tym poradzi. Ja też się z tym uporam. I zrobię wszystko, żebyście śpiewająco zdali egzamin. Wszystko będzie dobrze. I ze mną, i z wami. Możecie mi wierzyć.

Caroline pokiwała głową, a Ayelet podniosła się z krzesła. Przez ułamek sekundy Kristin bała się, że dziewczyna chce ją objąć. Czy naprawdę tak nisko upadła, że potrzebuje pocieszenia ze strony nastoletnich uczennic? Swoich podopiecznych? Przyszło jej do głowy, że wszystkie podręczniki dotyczące rozwoju dziecka i psychologii nastolatka być może trzeba będzie napisać od nowa. Te dzieciaki nigdy wcześniej nie znalazły się w podobnej sytuacji, a mimo to wykazały się ogromną empatią. Naprawdę się przejęły.

Na szczęście dziewczyna wstała tylko po to, żeby podać jej chusteczkę.

– Dziękuję – powiedziała Kristin.

– Nie ma za co.

Wydmuchała nos. Gdy Ayelet wracała do swojej ławki, Kristin nagle sobie o czymś przypomniała.

– Jeszcze jedna sprawa, zanim wrócimy do kompromisu z tysiąc osiemset pięćdziesiątego. Wiem, że wielu z was ma młodsze rodzeństwo, które chodzi do podstawówki. Dlatego mam do was prośbę. Kiedy będziecie opowiadać o tym, jak to pani Chapman rozkleiła się na lekcji historii, a zdaję sobie sprawę, że jest o czym mówić, postarajcie się, żeby ta informacja nie dotarła do mojej córki. Melissa jest w czwartej klasie. Kazuo, twoja siostra jest jej najlepszą przyjaciółką. Są w tej samej klasie i chodzą razem na lekcje baletu. Dlatego byłabym naprawdę wdzięczna, gdybyście wykazali się w tej kwestii, oto kolejne słowa, które mogą wam się przydać w przyszłości, dyskrecją i

powściągliwością.

– Nie ma sprawy, pani Chapman – odparł Kazuo, szczerząc zęby w uśmiechu. – Ostatnio jedyne, co ją interesuje, to ciuchy i programy dla dorosłych.

– Z Melissą jest tak samo – przyznała Kristin. Ocierając palcami policzki, poczuła na skórze twarzy swój pierścienek zaręczynowy i ślubną obrączkę. Ku własnemu zdumieniu odwzajemniła uśmiech chłopca.

*

Richard patrzył, jak promienie popołudniowego słońca wpadające przez szerokie okno restauracji odbijają się od łyżki przy jego serwetce. Większość gości, którzy przyszli w porze lunchu, już zniknęła, więc kelnerzy zajęli się wyrównywaniem białych obrusów i zbieraniem menu ze stołów. Kiedy Richard podniósł wzrok, jego brat mówił – jego brat zawsze coś mówił – machając przy tym rękami, jakby dyrygował niewidzialną orkiestrą. Jego gesty wydawały się zbyt zamaszyste jak na taki mały stolik. Przez większość czasu głównie zwracał się do Spencera Doherty’ego, który rozsiadł się wygodnie na trzecim krześle. Czwarte, to naprzeciwko okna, było puste, jeśli nie liczyć przewieszanej przez oparcie marynarki Spencera. Przyjaciel Philipa miał na sobie szare szelki z sylwetkami ludzi tańczących tango.

– Mówię wam, mamy szczęście, że żyjemy – stwierdził Philip, patrząc na Spencera. – I nie mam do ciebie pretensji. To nie twoja wina, stary, naprawdę. Ale jak to możliwe, że wszystko się tak nagle spieprzyło. W jednej chwili dziewczyny są jak sen, który się ziścił...

– Mokry sen – wszedł mu w słowo Spencer.

– Mokry sen, tak jest. A za moment? Koszmar. Bardzo się do ciebie przyczepili?

– Do mnie? O tak. Mój adwokat będzie podkreślał, że tylko wynajmowałem tancerki. Problem w tym, że już wcześniej korzystałem z tej agencji i dziewczyny, inne, ale też gorące sztuki z importu, zgadzały się na wszystko. Więc wszystko zależy od tego, jak bardzo policji będzie się chciało drażnić temat i jak bardzo prokuratura postanowi mnie przycisnąć. Jeszcze dużo może się zmienić, ale wygląda na to, że układ będzie taki: nie postawią

mi zarzutów w zamian za moje zeznania przeciwko agencji.

– Będziesz zeznawał przeciwko Rosjanom? Zwariowałeś?

– Chyba nie mam wyboru. Jeśli odmówię, mogą mi postawić zarzuty, łącznie z gwałtem na nieletniej. Jeśli zdołają udowodnić, że któraś z dziewczyn była niepełnoletnia.

Richard mimowolnie skrzywił się na to słowo. Już chciał się odezwać, ale brat go ubiegł.

– Jak niby chcą to udowodnić? I jak to „któraś z dziewczyn?”. To znaczy, że przeleciałeś jedną i drugą? Ty bestio! Nieźle!

– Tylko blondynkę. Ale druga siedziała mi goła na kolanach, a ja wcale nie trzymałem rąk przy sobie. To może być problem, jeśli się okaże, że ona jest dzieciakiem. Zresztą to tylko część tego koszmaru.

– Tylko część? Boże. Aż się nie mogę doczekać reszty.

– Zapłacę fortunę za prawnika. Nie uwierzysz, ile już musiałem wybulić. Straszne pieniądze. I jeszcze grozi mi kosztowne postępowanie cywilne.

– Cywilne?

– Mój adwokat dostał już pewne... sygnały... od prawników Chucka. I Brandona.

– Żartujesz sobie? O co im, kurwa, chodzi?

– Na razie to tylko wstępne przymiarki, ale padają takie określenia, jak „krzywdy moralne” i „cierpienia psychiczne”. Oczywiście spowodowane przez moje „nierozważne” postępowanie.

– Co za fiuty! Tchórzliwe dupki! Słuchaj, zaraz do nich zadzwonię i...

– Lepiej nie. To żona Brandona za tym stoi. I nie wiem, o co chodzi z tym Chuckiem. Może w ogóle nic z tego nie wyniknie. Ale jeśli do nich zadzwonisz, to na pewno nic nie pomoże, raczej zaszkodzi.

– Najważniejsze, że nie grozi ci więzienie, prawda? – powiedział Philip, wymachując rękami, jakby grał na wymyślonej perkusji.

– Boże, nie. Wyobrażasz sobie? Jasna cholera, to by była masakra. Ale

tak czy inaczej, będę miał do zapłacenia astronomiczne rachunki. Tak się właśnie zastanawiałem...

– Mów, mów – zachęcił go Philip.

– Myślisz, że twoi kumple z przyjęcia mogliby się trochę dorzucić, żeby pomóc mi spłacić prawnika?

– Raczej małe szanse. Wszyscy ci już chyba dali po kilka stów na dziewczyny?

– Większość tak. Nie wszyscy. Ale to co innego. Nie mówimy o kilku stówach na łebka. Te kwoty się nie mieszczą w głowie.

– Wszyscy musimy ponieść konsekwencje – odparł Philip. – Ja mam narzeczoną, która jest na mnie totalnie wkurzona. Żyję w strachu, że w każdej chwili może odwołać ślub.

– Poważnie? – spytał Richard. Był tak zniesmaczony tą rozmową – czuł się, jakby siedział przy stole z niewyżytymi seksualnie siódmoklasistami – że nie odzywał się od kilku minut i brzmienie jego głosu zaskoczyło nawet jego samego.

– Tak. A naprawdę trzeba nieźle narozrabiać, żeby taka osoba jak Nicole aż do tego stopnia się na ciebie wściekła.

– Naprawdę mi przykro, Philip.

Jego brat przewrócił oczami i podniósł obie ręce w geście kapitulacji. Potem zaś zwrócił się znów do Spencera i podjął wątek.

– No a mój brat? Wysłali go na urlop. Poważnie. Firma kazała mu wziąć urlop. Dasz wiarę? Do tego będzie chyba musiał do szczytu spalić swój dom i wybudować go od nowa. Posypać ziemię solą. Widziałeś przecież, jak wyglądał salon. Widziałeś korytarz. Widziałeś...

– Spencer? – odezwał się Richard, przerywając monolog brata i zwracając się do jego przyjaciela.

Spencer dopił resztę piwa i czekał.

– Jesteś młodszy ode mnie – zaczął Richard.

– Ale bardzo się postarzałem w ciągu ostatnich dwóch dni. Naprawdę się

postarzałem.

– Zawsze sprowadzacie prostytutki na wieczory kawalerskie? To normalne w dzisiejszych czasach? Tak się po prostu robi?

– To były tancerki, a nie prostytutki.

– Przed chwilą powiedziałeś, że wynajmowałeś dziewczyny, które zgadzały się na wszystko.

– No tak. Ale to bardzo cienka granica. Dziewczyna z agencji, luksusowa laska na wysokim poziomie, kosztuje dużo więcej niż to, co zapłaciłem. Ale i tak, zważywszy na to, ile musiałem wybulić, zakładałem, że w cenie jest seks z Philipem i z tobą. To prawda. Oczywiście nigdy, przenigdy nie przyznałbym tego przed sądem. Zresztą to nawet nie zostało przecież powiedziane wprost. Nie mieliśmy żadnej prawnie wiążącej umowy. To nie jest tak jak z gosposią, której płacisz i dokładnie określasz, co ma być sprzątnięte, a co nie. I nie miałem pojęcia, że ta blondynka pozwoli mi się przelecieć. To była miła niespodzianka. I to cholernie miła. Mówię wam...

Philip klasnął w dłoń.

– Wiem, wiem, wiem. To było, jakby się pieprzyć z gwiazdą porno, tyle że na serio!

– Spencer mówi, że uprawiał seks z blondynką – powiedział Richard do swojego brata. – I oczywiście ciebie też z nią widziałem. Wszyscy widzieli. Ale co z Alexandrą? Ją też przeleciałeś?

– O Boże, ona ma imię – zawołał Philip z nieco złośliwym uśmiechem. – Nie, tylko blondynkę. Czemu pytasz, braciszku? Wolałbyś mieć małą Alexandrę na wyłączność?

– Nie. Oczywiście, że nie.

– Tylko się z tobą droczę. Ale mówię poważnie, ciekawe, jak się naprawdę nazywa. Pewnie się dowiemy, kiedy ją aresztują.

– Albo znajdą jej zwłoki – dorzucił Spencer. – Co, muszę uczciwie przyznać, drastycznie zmniejszyłoby ryzyko, że zostanę oskarżony o seks z nieletnią.

Philip odchylił się na krześle i położył ręce na kolanach.

– Wiecie co, chyba wolę o nich myśleć po prostu „blondynka” i „brunetka”. Tak jest łatwiej.

Potem mówił coś jeszcze, ale Richard przestał go słuchać. Musiał się wyłączyć, miał już ich obu serdecznie dość.

Mimo to z jakiegoś powodu naprawdę ulżyło mu na wieść o tym, że ani Philip, ani Spencer nie uprawiali seksu z Alexandrą. Nie była jego córką – po tym przyjęciu nigdy nie mógłby patrzeć na nią jak na córkę – ale gdy wyobraził ją sobie ze swoim bratem albo z takim świntuchem jak Spencer, poczuł w piersi ukłucie niemalże ojcowskiej troski. A jeśli rzeczywiście nie żyje? Albo jest ranna i gdzieś się ukrywa? Na tę myśl aż pociemniało mu przed oczami. Przypomniał sobie tę chwilę, kiedy wzięła go za rękę na schodach w jego domu, i teraz, siedząc przy stoliku w restauracji, spojrzał na swoje przedramię, na ten sam punkt nieco pod łokciem. Przecież ona była tylko dzieckiem. To nie fair.

Zalała go fala obezwładniającego smutku. Dużo by dał, żeby móc się dowiedzieć, gdzie ona teraz jest.

*

Kiedy Richard wracał z restauracji do oddalonego zaledwie o dwie przecznice hotelu Millennium, nagle usłyszał, że ktoś woła go po imieniu i biegnie za nim, wymijając ludzi na chodniku. To był Spencer.

– Albo udało mi się naprawdę zgubić, albo mam wczesną demencję, ale wydawało mi się, że do twojego hotelu idzie się w tamtą stronę – powiedział Richard, gdy przyjaciel jego brata znalazł się przy nim.

– Powiedziałem Philipowi, że jestem umówiony u dentysty. Mogę się z tobą przejść? – Był trochę zdyszany. Otarł pot z czoła chusteczką.

– Jasne. Ale czy to znaczy, że wcale nie masz dzisiaj dentysty?

– Tak, skłamałem. Muszę z tobą pogadać.

Richard nie bardzo wyobrażał sobie, o czym Spencer mógłby chcieć z nim rozmawiać bez udziału Philipa, ale wiedział, że to musi mieć związek z piątkową imprezą.

– Dobrze – powiedział, zachowując czujność.

- Przykro mi z powodu twojej pracy. Słaba sprawa z tym urlopem.
- To prawda.
- Ale dalej ci płacą, tak?
- Tak.
- To dobrze.

Mijali sklep z walizkami. Richard przez moment pomyślał, że powinien zabrać Kristin i Melissę i gdzieś zniknąć. Wyjechać w jakieś odległe miejsce, gdzie można dotrzeć jedynie samolotem.

– Zresztą widać, że całkiem nieźle sobie radzisz jako bankier inwestycyjny. Masz naprawdę piękny dom. I to w Bronxville! Tam nie jest tanio.

Richard coraz bardziej obawiał się kierunku, w którym zmierzała ta rozmowa.

– Jakoś sobie radzę – odparł beznamiętnie.

– Philip i ja nie zarabiamy nawet w połowie tyle co ty. Robimy to, co robimy, ponieważ to kochamy. Nie dla pieniędzy.

– Fakt. Cały personel Cravat to sami święci. Człowiek może albo zostać wolontariuszem i uczyć dzieci rdzennych Amerykanów w rezerwacie w Nowym Meksyku, albo pójść do pracy w butikowym hotelu w Chelsea.

Spencer się roześmiał.

– No tak. Chodzi mi po prostu o to, że nie wybraliśmy pracy... no wiesz... w banku inwestycyjnym.

– Nie masz pojęcia, jak ciężko pracuję – odparł Richard. Mógł powiedzieć więcej, mógł przypomnieć, jak jego brat obijał się przez całe liceum i studia, ale jednak się powstrzymał.

– Ależ mam. Wiem, że naprawdę harujecie.

– Dzięki.

– Ale porządnie wam za to płacą. Nie jesteście biedny.

Richard przystanął i odwrócił się do Spencera. Po obu stronach mijali ich ludzie, niektórzy odcięci od świata za sprawą słuchawek w uszach, inni zatopieni w rozmowach. Odruchowo wziął się pod boki.

– Słuchaj, czy ty zamierzasz prosić mnie o pieniądze na swój mały fundusz adwokacki? Czy to jest dalszy ciąg tamtych podchodów przy lunchu?

Spencer pokiwał głową, po czym spuścił wzrok jak mały chłopiec. Ale Richard przejrzał go na wylot. Wiedział, że to poza. Udawane zakłopotanie. Spencer, tak samo jak jego brat, nie znał uczucia wstydu.

– Tak – powiedział w końcu. – Trafiłeś w dziesiątkę. Naprawdę potrzebuję pomocy.

– Nie. Sam musiałem wynająć całkiem drogiego prawnika. Ale nawet gdyby tak nie było, i tak bym odmówił.

– Temat zamknięty?

– Tak.

– Nie dla mnie – Spencer podniósł na niego wzrok. – Widzisz, jestem naprawdę przerażony. Na tyle, że zaczynam się zastanawiać, no wiesz, kim właściwie jestem. Co sobą reprezentuję.

– Ty nic sobą nie reprezentujesz, Spencer.

– Naprawdę nie jestem takim dupkiem, za jakiego mnie masz. Mam nadzieję, że twoje małżeństwo przetrwa ten bałagan. Naprawdę. Philip mówi, że twoja żona jest całkiem, całkiem. I że masz dzieciaka. Córkę.

– Skończyłem z tobą gadać – powiedział Richard i ruszył przed siebie. Ale tak jak się spodziewał, Spencer znowu zrównał z nim krok.

– Może i skończyłeś – kontynuował – ale w twoim interesie byłoby raczej, żebyśmy rozmawiali dalej.

– Czyżby?

– Tak. Myślę przede wszystkim o twojej żonie. I o twojej karierze. W tym wielkim banku.

– Dlaczego wydaje mi się, że to brzmi jak zawołowana i zupełnie

nieprzemyślana groźba?

– Ależ skąd ci to przyszło do głowy?

– Spencer, nie wiem, jak to powiedzieć grzeczniej: naprawdę mam cię już dosyć. Nie dam ci żadnych pieniędzy. Opuść sobie.

– Mam zdjęcia. I nawet krótki filmik.

Richard przystanął. Wiedział, co sugeruje Spencer, ale nie mógł w to uwierzyć. Momentalnie zrobiło mu się niedobrze.

– Jakie zdjęcia?

– No, na niektórych jesteś.

– Z imprezy?

– Mhm.

– Nie odważyłbyś się. Wszyscy za bardzo się baliśmy tych ruskich osiłków. Nie ośmieliłbyś się wyciągnąć telefonu.

– Wyciągnąłem. Na górze.

– Byłeś na górze? Poszedłeś na górę w moim domu?

– Tak. I widziałem tam ciebie. Widziałem was oboje.

– Jesteś jakiś zboczony czy co?

– Chyba byłbym bardziej zboczony, gdybym nie chciał sfilmować tej ślicznotki, którą zabrałeś ze sobą. Jasne, wolałbym, żeby ciebie nie było z nią w kadrze. Ciebie znam. I szczerze mówiąc, wolę porno z samymi dziewczynami. Ale chyba już wystarczająco ci opowiedziałem o swoich preferencjach.

– Powinienem zabrać ci telefon i go rozwalić.

– To byłoby bardzo dramatyczne i naprawdę imponujące, ale zdążyłem rzucić obrazki i filmik na komputer. Poza tym ogromnie ułatwiłbyś mi życie. Zaraz poleciałbym do mediów, żeby opowiedzieć, że mnie napadłeś. Może bym cię nawet pozwał.

– Jesteś odrażający.

– Nie jestem. Naprawdę. Po prostu boję się, że nie starczy mi środków, żeby przez to przebrnąć.

– Myślę, że blefujesz. Myślę, że taka żmija jak ty nie ryzykowałaby gniewu ochroniarzy w imię głupiej fotki.

– Sam się przekonaj. – Wyciągnął z kieszeni telefon i podał go Richardowi. Przez kilka sekund wpatrywał się w aparat. Jeżeli ten dureń mówił prawdę, została nim uwieczniona chwila, której najbardziej żałował w całym swoim życiu. Trująca mieszanka obrzydzenia i poczucia winy kazała mu się trzymać z daleka od tego aparatu. Musiał jednak wiedzieć na pewno, czy nie jest to tylko fortel mający na celu wyłudzenie od niego pieniędzy.

– Jesteśmy na ulicy w samym środku Manhattanu – powiedział w końcu.
– Nie tutaj.

– Och, myślę, że to całkiem dobre miejsce – odparł Spencer, który trzymał telefon tak, że Richard nie mógł nie widzieć ekranu. Ten, pożałuj Boże, przyjaciel jego brata mówił prawdę. Oto ona, Alexandra, naga na łóżku, a naprzeciwko on, również nagi; wyciąga do niego ręce...

Spencer nagle zatrzymał film i wyłączył telefon.

– Wcześniej i później jest jeszcze mniej więcej po dziesięć sekund. Wystarczy, żeby się napatrzeć i na nią, i na ciebie. Miała ci właśnie zrobić łaskę, kiedy moja dziewczyna, no wiesz, odciągnęła trochę moją uwagę i poszliśmy gdzie indziej.

– Do niczego nie doszło. Ona nie...

– Ależ jasne, wierzę ci – powiedział sarkastycznie Spencer. – Dla mnie to wyglądało zupełnie inaczej.

Richard złapał się na tym, że gryzie sobie policzki od wewnętrznej strony. Niestety, Spencer miał rację. Nagranie stanowiło obciążający dowód. Na pewno tak by to odebrała Kristin. Już i tak ją okłamał w kwestii pocałunku. Ten krótki film zniszczyłby resztki jego wiarygodności.

– Ile chcesz? – zapytał.

– Mam wrażenie, że przynosisz do domu konkretny szmal. Na początek myślałem o dwudziestu pięciu kawałkach.

– Na początek?!

– Dla kogoś takiego jak ty to niewielka sumka. Ale dla kogoś takiego jak ja to całkiem sporo. A nie wiem, co będzie dalej.

– Dlaczego nie miałbym po prostu pójść z tym na policję? W piątek i sobotę poznałem wielu gliniarzy.

– Ponieważ ostatnie, czego ci teraz potrzeba, to więcej rozgłosu. Na pewno nie wynikłoby z tego nic dobrego, ani w domu, ani w pracy. Nie chcesz, żeby twoja żona zobaczyła to, co nagrałem. Albo twój szef. Poza tym...

– Poza tym co?

– Cztery słowa: wykorzystanie seksualne osoby nieletniej. Grożą, że postawią mi zarzuty. Cóż, tak się składa, że tutaj widać ciebie z tą dziewczyną. Dzięki temu nagraniu policja miałaby znacznie więcej na ciebie niż na mnie.

– Ona nie była nieletnia!

– Naprawdę mam taką nadzieję. Ale nie wiemy tego na pewno, prawda?

Richard bał się, że jeżeli natychmiast nie odejdzie, za chwilę da Spencerowi w zęby. Zresztą ten drań pewnie właśnie na to liczył.

– Muszę się zastanowić.

– Bardzo słusznie.

– Podaj mi swój numer.

– Och, po prosu zadzwoń do mnie do hotelu – powiedział. – Ja nie mam nic do ukrycia. – A potem, ku nieopisanemu zdumieniu Richarda, jak gdyby nigdy nic wyciągnął rękę na pożegnanie.

Alexandra

Kiedy mnie porwali, miałam piętnaście lat.

Szesnaste urodziny obchodziłam w domku letniskowym.

Gdy skończyłam siedemnaście lat, zabrali mnie z powrotem do Moskwy, gdzie miałam obsługiwać facetów z Zachodu: ze Stanów, Anglii i Francji. Sonię i Crystal przywieźli razem ze mną. Nowi klienci byli bardziej wyrafinowani niż czarno-biali. Wydawali się ciekawszy. Byli lepiej wykształceni. I bardziej perwersyjni. Spotkania z nimi z reguły trwały dużo dłużej.

Nie drapali mnie zarostem.

Miałam prawie osiemnaście lat, kiedy babcia przestała próbować mnie odwiedzić w Moskwie. Kiedy przestała prosić o zdjęcia ze szkoły baletowej. Kiedy przestała zadawać pytania o moje postępy i o to, czy przyjadę z wizytą do Erywania. Zginęła szóstego stycznia, w dniu, w którym obchodzimy w Armenii Boże Narodzenie. Została potrącona przez samochód. Kierowca uciekł z miejsca wypadku. Przechodziła przez ulicę tuż pod swoim domem. Co prawda znalazł się jeden naoczny świadek zdarzenia, ale auto – długi czarny sedan należący do jakiegoś oligarchy – pędziło z taką prędkością, że nie zdążył przeczytać numerów rejestracyjnych. Zmarła, zanim przyjechała karetka pogotowia. Inga udawała, że jest jej bardzo przykro, gdy przekazywała mi tę wiadomość, ale nie była dobrą aktorką. Podejrzewam, że babcia zaczęła się naprzykrzać Wasilijowi. Zadawała zbyt dużo pytań o to, gdzie jestem i co się tak naprawdę ze mną dzieje. Pewnie miał jej dosyć.

Nie pozwolili mi pojechać do Erywania na pogrzeb.

W wieku dziewiętnastu lat osiągnęłam, jak to sami określili, szczyt kariery: miałam jechać do Nowego Jorku. Obiecali, że w Ameryce zyskamy pewne przywileje, bo kiedy się tam znajdziemy, nie będzie już powrotu.

Zresztą do czego niby miałabym wracać? Mama i babcia nie żyły, a ja prawie cztery lata swojego życia spędziłam na plecach.

Powiedzieli, że będziemy miały nienadzorowany dostęp do internetu. Że będziemy mogły chodzić na zakupy bez ochrony. Może nawet dostaniemy telefony komórkowe. W ten sposób – tak twierdzili – chcieli pokazać, że mają do nas pełne zaufanie.

A co najważniejsze, zawarli z nami układ: za dwa, najwyżej trzy lata odzyskamy wolność.

Rozdział 8

W wtorek policja opuściła dom, a na jej miejsce przyszła ekipa sprzątająca. Richard aż się wzdrygnął, gdy zobaczył ślady masakry, i przypomniał sobie wszystko łącznie z najbardziej drastycznymi szczegółami. Pomyślał o swojej żonie i córce, które obecnie były w szkole, półtora kilometra stąd. Obserwował sprzątaczy, dwóch młodych mężczyzn i trzeciego w jego wieku. Mieli na sobie granatowe kombinezony, które sprawiały, że wyglądali jak skrzyżowanie więźniów zbierających śmieci wzdłuż autostrady i pracowników technicznych w fabryce komputerowych chipów. Patrzył, jak szorują i dezynfekują, jak wycierają, zmywają i osuszają. On sam założył czarne spodnie dresowe i T-shirt z logo New York Giants i zajął się wynoszeniem butelek do pojemników na surowce wtórne. Potem dwukrotnie załadował zmywarę talerzami, kieliszkami i sztućcami, a i tak w zlewie i na blatach ciągle wały się brudne naczynia. Faceci na przyjęciu chyba brali nową szklankę za każdym razem, gdy nalewali sobie kolejnego drinka. Ktoś nawet pił szkocką z plastikowego kubeczka z królikiem, którego Melissa używała w pierwszych latach życia.

Nakarmił Cassandrę, a potem, kiedy spojrzała na niego błagalnym wzrokiem Olivera Twista, nakarmił ją jeszcze raz. Na szczęście kotka należała do zwierząt, które dobrze się czują w towarzystwie ludzi. Kiedy się najadła, wydawała się zadowolona, że jest z powrotem w domu. Przyglądała się pracy ekipy z różnych punktów obserwacyjnych: ze szczytu regału z książkami, ze schodów i na wpół wciśnięta pod puf w salonie. Ciekawe, co myślało sobie to zwierzę w piątkowy wieczór, kiedy zginęli Rosjanie, a krew wyciekała z nich jak wino z przewróconych butelek. Czy Cassandra zlizwała jej trochę z kafelków? Czy zastanowiło ją, dlaczego ci dwaj obcy nigdy się nie obudzili? Czy znalazła potem łuski po nabojach i trącała je łapą, jakby to były małe metalowe zabawki dla kotów?

W którymś momencie, kiedy Richard stał w drzwiach do wyłożonego

mahoniową boazerią pokoju, w którym kiedyś mieściła się biblioteka, a teraz pełnił funkcję jego prywatnego sanktuarium filmów i muzyki, kot zaczął z zaciekawieniem węszyć. Richard też to poczuł. Zapach seksu. Spojrzał na skórzaną kanapę i zobaczył na niej plamy. Wyobraził sobie policyjnych techników przecierających mokre miejsca wacikami, które następnie chowali do plastikowych torebek. Posypujących mebel proszkiem do zdejmowania odcisków palców. Daktylogram – tak fachowo nazywa się odcisk palca. Przypomniawszy sobie, jak pewnego wieczora, na długo przed ślubem, grali z przyjaciółmi w scrabble i Kristin wprowadziła go w zdumienie, układając właśnie to słowo na planszy.

Zdał sobie sprawę, że nie ma szans, aby ekipa skończyła pracę przed czwartą po południu, kiedy Kristin i Melissa miały wrócić do domu. Absolutnie żadnych szans. Możliwe, że uporają się ze sprzątnięciem, dopiero kiedy większość mieszkańców Bronxville będzie już po kolacji wstawiać talerze do zmywarek.

Wyniósł imitację Bierstadta do samochodu; musiał złożyć tylne siedzenia, żeby obraz zmieścił się w środku. Krew na płótnie wydawała się całkiem sucha, ale Richard uważał, żeby jej nie dotknąć, bo nie założył rękawiczek. Przypomniawszy sobie, że miał zadzwonić do detektywa Bryant i zapytać o nazwisko jej kuzynki, która wykładała historię sztuki na Uniwersytecie Nowojorskim. Po powrocie do domu przez dłuższą chwilę stał w korytarzu, obserwując najstarszego z członków ekipy. Z dziwną fascynacją patrzył, jak mężczyzna przemywa rozległe plamy krwi na tapecie zimną wodą z amoniakiem. Facet pracował ze skupieniem godnym artysty, jakby próbował odrestaurować renesansowy fresk gdzieś w Toskanii. Niestety, jego wysiłki spełzły na niczym. Szkody były nie do naprawienia.

– Może gdybyśmy zaczęli w sobotę – powiedział przeprasającym tonem.
– Przez ten czas krew zdążyła już głęboko wsiąknąć w tapetę.

– Spodziewałem się tego.

– Ma pan może gdzieś zapasową rolkę tej tapety? Może fachowcy nie zużyli wszystkiego, kiedy tapetowali korytarz?

Richard pokręcił głową.

– Sam kładłem tapetę w kilku pomieszczeniach. Jestem... jestem w tym

całkiem dobry. To jedna z niewielu prac remontowych, które w moim wykonaniu nie kończą się katastrofą. Ale akurat ta tapeta już tu była, kiedy się wprowadziliśmy.

– Cóż, może czas na zmianę.

– Może tak.

Tymczasem jeden z młodszych mężczyzn pędzlem kuchennym pokrywał krwawe plamy na kanapie w salonie papką z wody i skrobi kukurydzianej. Miał gęste żółte włosy do ramion i idealnie rzymski kształt nosa. Wyglądał jak zawodowy surfer, a nie osoba sprzątająca miejsca, gdzie dokonano zbrodni.

– To rzeczywiście coś da? – zapytał Richard, świadomy, że w jego głosie pobrzmiwa niczym nieuzasadniona nadzieja.

– Pewnie nie. Już się wgryzło w materiał. Było tego strasznie dużo.

– Krew.

– Tak. Krew. Przykro mi.

– Nie pana wina.

– Szkoda, że to nie są zdejmowane pokrowce.

– Zgadza się.

– Bo wtedy można by je było po prostu wyrzucić i kupić nowe.

– Tak.

– Oczywiście będę dalej z tym walczył. Bo to, wie pan, moja praca.

– Ale...

– Ja bym po prostu kupił nową kanapę.

– Pewnie tak zrobię – odparł Richard.

– A tę oddałbym do sklepu charytatywnego, ale nie wiem, czy nie jest za bardzo zakrwawiona.

Richard pokiwał głową. Postanowił, że musi znaleźć jakąś firmę zajmującą się wywozem śmieci, która zabierze tę kanapę. Mimo to młody

mężczyzna dalej robił swoje. Tak jak jego koledzy.

W końcu udał się na górę, żeby zlustrować sypialnie i sprawdzić, czy przyjęcie nie przeniosło się również tam. Był raczej przekonany, że nie, ale nie miał stuprocentowej pewności. W końcu ten fiut Spencer był na piętrze przynajmniej przez chwilę. Miał wrażenie, że policja bardzo mało uwagi poświęciła sypialniom, ponieważ na komisariacie wszyscy goście zgodnie zeznali, że przez cały czas przebywali na parterze.

On sam rzecz jasna powiedział policji – a może raczej: przyznał się? – że poszedł z jedną z dziewczyn do pokoju gościnnego, więc śledczy powinni byli przynajmniej rzucić okiem na to pomieszczenie. Ale tak naprawę to bez znaczenia, co mogliby tam znaleźć. Wiadomo, że są tam jego odciski palców. To przecież jego dom. Mieszka tu. Jego odciski – oraz dziewczyny – były na pewno w całym domu.

Tak czy owak w sypialni swojej i Kristin oraz w pokoju Melissy nie zastał nic niepokojącego. Łóżka były nadal zasłane jak w jednostce wojskowej przed inspekcją. W każdym razie dotyczyło to ich małżeńskiego łoża. Melissa miała dziewięć lat i zazwyczaj sama ścieliła w pośpiechu swoje łóżko przed pójściem do szkoły. Ale wszystko wyglądało tam mniej więcej tak samo jak zawsze, nie wałały się żadne szklanki ani butelki po piwie. Nie było popielniczek ani talerzy tymczasowo odgrywających rolę popielniczek.

Talerze. Jako popielniczki.

Richard nienawidził przyjaciół swojego brata. Najbardziej Spencera. Od wczoraj z nim nie rozmawiał, ale wiedział, że jeżeli nie odezwie się niedługo, Spencer w końcu sam się do niego zgłosi. Nie mówił o próbie szantażu nikomu z wyjątkiem swojej prawniczki, i ta rozmowa nie okazała się tak pomocna czy uspokajająca, jak Richard by sobie życzył.

– Mówiłeś, że nie odbyłeś stosunku z tą dziewczyną. To prawda? – zapytała go Dina Renzi.

– Absolutna.

– Nie było też seksu oralnego?

– Zgadza się.

– Więc na nagraniu nie ma nic obciążającego?

– Na pewno nie widać żadnej napaści seksualnej na nieletnią. Jeżeli ona w ogóle była nieletnia, w co wątpię.

– Aha.

– Mówię ci, musiała mieć co najmniej osiemnaście lat.

– Słuchaj, jeżeli jesteś tego pewien, to może powinieneś spłacić tego dupka. Nie idźmy z tym na policję. Dwadzieścia pięć tysięcy? Jak dla mnie to niewielka cena za spokój ducha. Zwłaszcza że to również inwestycja w małżeńską harmonię. I prasa miałaby o jeden powód mniej, żeby o tobie pisać. W końcu ten temat sam ucichnie... o ile nie będziemy dokarmiać mediów takimi smacznymi kąskami jak szantaż.

– A co jeśli będzie chciał więcej pieniędzy?

– Mówisz, że to przyjaciel twojego brata. Choć twój brat sam wydaje się odpychającą osobą, muszę wierzyć, że pod naciskiem jego i innych kumpli Spencer w końcu by odpuścił.

– Po tym jak wyciągnie już ode mnie dwadzieścia pięć patyków.

– Moim zdaniem w tej chwili nasz najważniejszy cel to przywrócić cię do pracy i uratować twoje małżeństwo. A potem, na wszelki wypadek, musimy się przygotować na ewentualność, że ci ludzie domagający się odszkodowania za „krzywdy moralne” postanowią wziąć się również za ciebie.

– A mogą to zrobić?

– Jak mówię, według mnie to mało prawdopodobne. Podobne żądania byłyby bezpodstawne. To nie ty sprowadziłeś dziewczyny do swojego domu ani nie dzwoniłeś do agencji towarzyskiej. Powiedziałeś, że nawet nie miałeś pewności, czy będzie jakaś striptizerka.

– To prawda.

– Więc nie ma problemu. Może powinieneś po prostu potraktować te dwadzieścia pięć tysięcy jako karę za swoje nierozważne zachowanie i zapomnieć o tym.

Jego pierwsza reakcja wtedy na ulicy – kiedy uznał, że Kristin byłaby zdruzgotana filmem nagrany przez Spencera – wydawała się prawidłowa. Gdyby powiedział Spencerowi, że Kristin już wie o Alexandrze i że powinien poszukać pieniędzy gdzie indziej, wykazałby się skrajną naiwnością. Tej bomby nie dałoby się tak łatwo rozbroić. Dina, która też w końcu była kobietą, praktycznie od razu poradziła mu, aby w tym wypadku ustąpił w imię „małżeńskiej harmonii”, dając mu jasno do zrozumienia, że nagranie z telefonu Spencera mogłoby ostatecznie przelać czarę goryczy.

Poza tym Richard musiał liczyć się z tym, jak zareagowałiby jego szefowie z Franklin McCoy. Gdyby do tabloidów przedostała się informacja, że kierownik jednego z działów banku padł ofiarą szantażu, oznaczałoby to definitywny koniec jego kariery.

Wszedł do pokoju gościnnego, do którego kilka dni temu przyprowadził Alexandrę, i wciągnął głęboko w nozdrza zapach pomieszczenia. W przeciwieństwie do pokoju kinowo-muzycznego na dole kot nie wyczułby tutaj nic nietypowego. Pachniało normalnie, czyli de facto nie pachniało w ogóle. Richard odnalazł wzrokiem miejsce na narzucie, gdzie siedziała Alexandra. Gdzie siedzieli oboje. Ciekawe, gdzie jest jej ojciec, pomyślał. Jej matka. Próbował sobie wyobrazić, w jaki sposób taka miła dziewczyna trafiła do obcego kraju, do domu obcego faceta, z którym siedziała nago na łóżku. Wziął głęboki oddech, zastanawiając się, ile minie czasu, zanim z jego głowy wyparują wspomnienia tego koszmaru.

*

Znacznie później, w środku nocy Richard znów chodził po swoim domu, tym razem po parterze. W tej wędrówce ponownie towarzyszył mu kot. Potem usiadł przy kuchennym stole. Nie mógł spać, a do tego nie był mile widziany w swoim własnym łóżku. Siedział, popijając herbatę ziołową, chociaż nie znosił herbaty ziołowej. Nadal jednak miał nadzieję, że uda mu się jakoś zasnąć. Poza tym picie tego naparu było jak noszenie włosienicy. Sam sobie zadawał pokutę.

Na górze Melissa spała w głównej sypialni razem ze swoją matką. To Kristin na to nalegała. Kristin, która jakoś zdołała zachować zimną krew, kiedy rozglądała się po salonie, kuchni i korytarzu – kiedy także

obserwowała z fascynacją, jak ekipa sprzątająca próbuje zmyć z wnętrza ich domu piętno szaleństwa i degeneracji. Kristin, która następnie zabrała córkę, nadal dźwigającą szkolny plecak, do swojej sypialni.

To Kristin była przy Melissie tego popołudnia, kiedy ich córka znalazła coś, co leżało na pokrywie plastikowego pojemnika pełnego lalek Barbie – widoczne gołym okiem, lecz jej ojciec jakimś cudem to przeoczył. Coś, co w pierwszej chwili skojarzyło się jej z meduzą. Chorą meduzą. Martwą meduzą. Taką, którą można znaleźć na latem na plaży.

Wyglądało na to, że Spencer zabrał Sonię do pokoju Melissy. Tam właśnie się udali, gdy weszli na piętro. A kiedy już było po wszystkim, kiedy zbierali się do powrotu na dół, być może na chwilę przed tym, jak wyciągnął z kieszeni iPhone'a i zajrzał do pokoju gościnnego – zdjął zużyty prezerwatywę i rzucił ją na plastikowe pudło z lalkami Barbie.

Alexandra

Zmieniłam się. Bardzo się zmieniłam. Gdy spoglądałam na swoje odbicie w lustrze, wciąż widziałam tę samą dziewczynę, mimo że teraz wyglądam jak prostytutka, a nie uczennica szkoły baletowej. W środku jestem już kimś innym. Zupełnie innym. I nie chodzi tylko o to, że dowiedziałam się różnych rzeczy o ludziach. Przede wszystkim dowiedziałam się wiele o samej sobie.

*

Jak już wspominałam, jeszcze w Erywaniu byłam lepszą tancerką niż Najiri. Myślicie więc pewnie, że jestem ambitna. Może kiedyś rzeczywiście miałam ambicje. I może Najiri i ja rywalizowałyśmy ze sobą. Ale byłyśmy także przyjaciółkami. Powiedziałabym nawet, że byłyśmy sobie bliskie jak siostry, choć jako jedynaczka nie mogę tego wiedzieć na pewno. Przeczytałam kiedyś ormiańskie wydanie *Małych kobietek*. Bohaterki w niczym nie przypominały Najiri i jej dwóch siostr. Najiri ciągle się z nimi awanturowała. Zawsze była wściekła albo na jedną, albo na drugą. Podkradały sobie ubrania, bransoletki i ciągle kłóciły się o obowiązki domowe. Skakały sobie do gardeł jak wściekłe psy. Dlatego tak naprawdę wcale nie wiem, jak to jest mieć siostrę. Ale Najiri i ja? Nigdy się nie sprzeczałyśmy. Bawiłyśmy się razem od najmłodszych lat, a potem razem tańczyłyśmy. W sali, w której ćwiczyłyśmy, obserwowałam ją w lustrze, a ona mnie, więc pewnie było między nami jakieś napięcie. Opanowała adagio wcześniej ode mnie, za to ja pierwsza dostałam pointy. I to ja pierwsza potrafiłam przemierzyć całą długość sceny robiąc piruety. Z kolei ona wyprzedziła mnie w obrotach w powietrzu. Wykonywała *tour en l'air* zupełnie jak chłopak. Może dzisiaj umie już zrobić dwa pełne obroty. Kto wie? Od naszych wspólnych lekcji minęło sporo czasu.

Przez jakiś czas Inga wymyślała też kłamstwa na potrzeby moich maili do

Najiri, ale moja przyjaciółka chyba sama szybko wyczuła, że się od siebie oddaliśmy. Moje zmyślane życie musiało jej się wydawać zbyt bajkowe, zbyt ekscytujące. Przestałyśmy do siebie pisać, jeszcze kiedy mieszkałam w domu pod Moskwą.

Czasami zdarzało mi się zapomnieć, skąd właściwie się wzięłam. Zapomnieć, kim jestem. A czasami nienawidziłam samej siebie, zwłaszcza kiedy seks sprawiał mi przyjemność, a także kiedy faceci zachowywali się gorzej niż świnie. Nienawidziłam siebie za to, że nie mam dość siły, żeby się zabić. Dlaczego w tamtych pierwszych dniach w Moskwie nie wyskoczyłam przez okno, kiedy trzymali mnie na dziewiątym piętrze? Rozmyślałam o swoich przodkach. O kobietach, które wolały zginąć, niż dać się zhańbić. W 1915 roku wiele Ormianek, po tym jak ich mężowie zostali wymordowani przez tureckich żandarmów i zbrojne oddziały Kurdów, a chore, wygłodniałe dzieci skonały na ich oczach, topiło się w odmętach Eufratu albo rzucało ze skał podczas marszu na pustynne pola śmierci pod Dajr az-Zaur. Wiedziały, że to lepsze, niż pozwolić się zgwałcić. Niż trafić do haremu albo zostać żoną jednego z mężczyzn, którzy zabili twojego męża, twojego ojca, twoich braci, twoje dzieci.

Ale nie targnęłam się na własne życie ani w Moskwie, ani w domku letniskowym. Żeby zagłuszyć wyrzuty sumienia, powtarzałam sobie, że przecież w każdej chwili mogę to zrobić.

Dziewczyny, z którymi mieszkałam pod Moskwą, w niczym nie przypominały Najiri. Gdybyśmy chodziły do tej samej klasy w Erywaniu albo mieszkały w tym samym bloku, pewnie nigdy bym się z nimi nie zaprzyjaźniła, no może z wyjątkiem Sonii i Crystal. Ale kiedy jedziesz z kimś na tym samym wózku, musisz się nauczyć wspólnie funkcjonować. Podobnie jak Najiri i jej siostry kłóciłyśmy się o ciuchy – mimo że Inga wybierała osobne stroje dla każdej z nas – dogryzałyśmy sobie i licytowałyśmy się, która lepiej sobie radzi z czarno-białymi. Czasami nawet szamotałyśmy się jak małe kociaki, żeby tylko zwrócić na siebie uwagę czy wzbudzić uśmiech Ingi albo Catherine.

Właśnie to mam na myśli, kiedy mówię o więzi z porywaczem. To, że szukałyśmy aprobaty u ludzi, którzy trzymali nas w niewoli, na pewno może wydawać się dziwne. Ale tylko wariat albo jakiś pustelnik żyjący na

bezludnej wyspie czy szczycie góry nie potrzebuje niczyjej akceptacji. Wszyscy chcemy, żeby nas doceniano, nawet jeżeli jedyne, co każą nam robić, to rozkładać nogi przed obcym facetem, uśmiechać się i udawać, że właśnie tego pragniemy.

Mogę się założyć, że nikt na świecie nie potrzebuje aprobaty bardziej niż nastoletnia dziewczyna.

*

Przez większość czasu czułam się dość bezpiecznie – przynajmniej jeśli chodzi o czarno-białych, którzy pojawiali się w domku letniskowym, a potem o Europejczyków i Amerykanów, których obsługiwałam w Moskwie. Dwa razy zdarzyło się, że klienci mnie pobili; obaj zostali za to dotkliwie ukarani. Jednemu z nich moi opiekunowie podobno spuścili taki łomot, że do końca życia będzie utykał. Natomiast drugi wrócił do domu bez kilku zębów.

Dużo bardziej bałam się strażników i alfonsów. A także Ingi i Catherine. Ci ludzie do perfekcji opanowali sztukę torturowania. Wiedzieli dokładnie, co nam dać, a co odebrać. Co gorsza, ich nastroje zmieniały się jak pogoda w kwietniu. Wciąż trzymali nas w stanie napięcia, a kiedy okazywałyśmy nieposłuszeństwo, wiedzieli, co zrobić, żeby zadać nam jak najwięcej cierpienia.

*

W Moskwie poznałam dwie dziewczyny z Syrii, które uciekły do Rosji przed wojną domową. Sami powiedzcie, kto jest gorszy: ten, kto sprzedaje młodą dziewczynę, czy ten, kto ją od niego kupuje?

*

Kiedy byłyśmy w Moskwie, nie dawałyśmy występów na żywo w internecie. Od Ingi dowiedziałyśmy się, że nasi opiekunowie prowadzą na ten temat rozmowy, ważąc na szali potencjalne „zyski i zagrożenia”, jak sami to określali, ponieważ Tatusiek uznał, że warto się nad tym zastanowić. Z jednej strony mogliby na nas znacznie więcej zarobić w ciągu dnia, kiedy przez większość czasu zabijałyśmy nudę, paląc i oglądając telewizję. Inga powiedziała, że to zupełnie tak samo jak z McDonaldem. Już wiele lat temu zaczęli serwować śniadania. Skoro i tak mieli wielkie patelnie, to równie

dobrze mogli ich używać do smażenia jajek, a nie tylko hamburgerów. Podobno Tatusiek zwrócił uwagę na różnicę czasu między Moskwą a Los Angeles. Kiedy u nas jest jedenasta przed południem, co w naszej branży oznacza godziny przestoju, w Ameryce dochodzi dwudziesta trzecia, a o tej porze wielu facetów chętnie siada z opuszczonymi spodniami przed komputerem.

Było jednak kilka problemów.

Po pierwsze, miałybyśmy zwiększony dostęp do internetu. Po drugie, mogłybyśmy „spotykać się” z klientami, których nie znali nasi alfonsi. Po trzecie, w sieci zostałby ślad po wszystkich transakcjach finansowych. Komputery mogłyby zostać namierzone.

Tatusiek i pozostali obawiali się, że zdołamy w jakiś sposób przekazać zakamuflowane wołanie o pomoc, a wtedy na nasz trop może wpaść policja.

Musicie pamiętać o jednym: nie byłyśmy dziewczynami do towarzystwa. Nie byłyśmy prostytutkami. Byłyśmy niewolnicami.

*

Ale w naszej obecności wciąż uparcie powtarzali słowo „wolność”.

Kusili nas nim, jakby machali grzechotką przed twarzą niemowlęcia albo kłębką wełny przed nosem kociątka.

Byłyśmy w niewoli od tak dawna, że nawet nie mogłam sobie tego wyobrazić. Nikt nas nie nauczył dorosłości, więc wolność jawiła nam się jako mgliste marzenie. Nigdy nie płaciłyśmy rachunków, nie miałyśmy konta w banku ani kart kredytowych. Jedyne, co potrafiłyśmy, to uprawiać seks i sprawiać przyjemność innym ludziom: tym, którzy płacili za nasze usługi, i tym, którzy nami kupczyli – alfonsom (Inga i Catherine nienawidziły tego słowa i zgodnie twierdziły, że lepiej będziemy się czuły same ze sobą, jeśli nie będziemy go używać).

Gdybyśmy rzeczywiście kiedykolwiek odzyskały wolność, co właściwie miałybyśmy z nią zrobić?

Nagle, z dnia na dzień, zostałybyśmy kasjerkami w banku? Pielęgniarkami?

Powiedzieli mi, że jeśli przez dwa, trzy lata nie będę sprawiać żadnych kłopotów w Nowym Jorku – zero prób ucieczki, wszyscy obsłużeni mężczyźni w pełni usatysfakcjonowani – pozwolą mi zachować kilku stałych klientów oraz mieszkanie, które mi wynajmą, oczywiście pod warunkiem że będę w stanie sama opłacić czynsz. Stanę się – jak to określili – przedsiębiorcą, szefową własnego interesu. W końcu to moje ciało, więc będę mogła nim zarządzać wedle własnego uznania. W wieku dwudziestu jeden, najwyżej dwudziestu dwóch lat uzyskam całkowitą niezależność.

Wszystkim nam to obiecali.

Taki był plan. Wolność. Albo przynajmniej życie trochę bardziej przypominające egzystencję wolnego człowieka, a nie niewolnika.

*

Przez pierwszy tydzień pobytu w Nowym Jorku Inga i Julian nie odstępowali nas na krok. Juliana nazywałyśmy Białym Ruskiem, ale tylko za jego plecami. Miał gęste włosy w kolorze śniegu, a szerokie bary i muskularna klata świadczyły o tym, że za młodu potrafił wycisnąć na ławeczce grubo ponad sto kilo. Wyglądał na jakieś pięćdziesiąt lat. Za każdym razem, kiedy mnie pieprzył, sprawiał wrażenie lekko znudzonego, jakby zaspokajanie potrzeb z jedną z niewolnic było poniżej jego godności. W chwili upadku Związku Radzieckiego stawiał pierwsze kroki w polityce. Podobno miał jakąś żonę, ale ta plotka nigdy nie została potwierdzona. Chodziły też słuchy, że był kuzynem Tatuśka, ale kto to może wiedzieć na pewno? Ci faceci chronili swoją prywatność. Julian zawsze nosił przy sobie samopowtarzalny pistolet – zabytkowego TK – który, jak sam twierdził, dostał w prezencie od ojca chrzestnego. Od Ingi dowiedziałam się, że ten ojciec chrzestny był ponoć funkcjonariuszem KGB. Któregoś pięknego, słonecznego popołudnia, gdy jeszcze mieszkaliśmy w domu pod Moskwą, kazano nam obserwować, jak Julian strzela ze swojego pistoletu do ptaków.

Zgodnie z planem Inga miała spędzić z nami w Ameryce najwyżej dwa tygodnie. Ze względu na naszą wartość jej zadaniem było dopilnować, żeby przeprowadzka poszła sprawnie, ale jej miejsce było w Moskwie, nie na Manhattanie. I rzeczywiście po dziesięciu czy jedenastu dniach wróciła do Rosji. Zostali z nami Julian i Konstantin, którzy zajmowali się stroną

biznesową i dzięki nim cały interes się kręcił.

Pamiętam, że nasza szóstka poleciała do Ameryki w dwóch grupach, dwoma różnymi samolotami. Ja wsiadłam na pokład razem z Crystal i Konstantinem. Obie maszyny wylądowały w odstępie zaledwie trzydziestu minut. Na lotnisku już czekali na nas Paweł i Kirył, faceci, którzy mieli się nami zajmować w Ameryce. Przyjechali po nas dwoma identycznymi czarnymi cadillacami escalade.

Trzy tygodnie później obaj już nie żyli.

*

Powiedzieli mi, że tu, w Ameryce, będę musiała zacząć oglądać wiadomości w telewizji, a nie tylko *Kawalera do wzięcia*. Że będę musiała czytać gazety. W Moskwie nie czytałam zbyt wiele po angielsku, ale wiedziałam, że szybko się podciągnę.

Nie było innego wyjścia, skoro wreszcie miałam zostać zachodnią kurtyzaną z prawdziwego zdarzenia. Taką, która będzie również potrafiła prowadzić konwersację. Dama do towarzystwa w Nowym Jorku musi być inteligentniejsza od damy do towarzystwa w Moskwie.

Podczas „szkolenia” uczyli mnie, żebym mówiła swoim klientom, że jestem studentką, która przyjechała do Ameryki na wymianę. Że uniwersytet w Moskwie wysłał mnie na uczelnię do Nowego Jorku w ramach programu „Studiuj za granicą”.

Powiedzieli też, że z takim wyglądem do końca wiosny będę zarabiać tysiąc dolarów za godzinę (tylko jakoś nie wspomnieli, ile z tego będę mogła zachować dla siebie). Jeśli zaś chodzi o wartość Sonii i Crystal, Inga nie była aż tak pewna swego. Czulałam to. Żadna z nich nie mówiła po angielsku tak dobrze jak ja. Poza tym obie bywały nieprzewidywalne. Sonia miała dość wybuchowy charakter, Crystal z kolei nie zawsze potrafiła trzymać język za zębami i czasem chlapanęła coś, co jasno pokazywało, jak bardzo pragnęła się wyrwać.

Nigdy nie powiedziałam nikomu, że przyjechałam studiować na Uniwersytecie Nowojorskim. Nie miałam okazji.

*

Sonia, Crystal i ja miałyśmy osobne niewielkie sypialnie na drugim piętrze kamienicy na Manhattanie. Większości ludzi wydaje się, że rosyjscy gangsterzy mieszkają w takich miejscach jak Brighton Beach albo w Queens czy na Long Island. Niektórzy pewnie tak. A ci, co handlują narkotykami, siedzą na Brooklynie. Wiem, że kręci się tam sporo osiłków. Na przykład kierowcy, którzy przyjechali po nas na lotnisko, mieszkali niedaleko Coney Island. Być może razem z Sonią i Crystal też byśmy tam wylądowały, gdybyśmy się uzależniły od prochów, tak jak niektóre dziewczyny, i musiały harować za znacznie niższe stawki. Ale nie byłyśmy takie. Nie po to przywieziono nas do Ameryki.

Kamienica znajdowała się na East Village, w odległości jednej przecznicy od parku Tompkins Square, w pobliżu Avenue C. W krótkim okresie, kiedy tam mieszkałam, rzeczywiście często brano mnie za bogatą dziewczynę z Uniwersytetu Nowojorskiego. Mówię poważnie. Kiedy wychodziłam na ulicę z jednym z opiekunów – na przykład z Julianem albo Konstantinem – ludzie myśleli, że to mój ojciec. Inge natomiast brali za moją matkę. Zawsze zaskakiwało mnie, że studenci, osoby robiące zakupy czy policjanci, których mijaliśmy po drodze, w ogóle nie bali się moich towarzyszy. Ale oczywiście tylko ja wiedziałam, że stale mają przy sobie broń: za paskiem, w kaburze na ramieniu czy – jak w przypadku Ingi – w czarnej torebce.

*

Któregoś dnia, niedługo po przyjeździe do Nowego Jorku, siedziałyśmy z Sonią na podłodze w jej sypialni i układałyśmy pasjansa, a Crystal leżała na łóżku. Za oknem padał deszcz. W pokoju wciąż unosił się zapach mężczyzny, z którym Sonia spędziła poprzednią noc, więc otworzyłyśmy niewielkie okno. Nagle Crystal wstała i podeszła do niego, żeby wyjrzeć na zewnątrz.

– Nienawidzę tego miejsca – powiedziała. Brzmiało to tak, jakby właśnie się rozpląkała, więc wstałam i położyłam jej rękę na ramieniu.

– Czego nienawidzisz, skarbie? – zapytałam. – Nowego Jorku? Ameryki? Swojego pokoju?

Po jej pięknych policzkach spływały łzy. Nie minęło jeszcze południe, nie miała na sobie makijażu. Przysunęłam się bliżej i przytuliłam ją.

– Tego pokoju. Mojego pokoju. Twojego pokoju – odparła tym beznamiętnym tonem zombie, o którym już wam kiedyś wspominałam. Tonem absolutnie pozbawionym emocji. – Nowego Jorku. Ameryki. Moskwy. Nienawidzę tego wszystkiego.

Sonia cisnęła kilka kart na dywan.

– Będziesz musiała się przyzwyczaić – rzuciła krótko. Zazwyczaj nie była wobec niej taka szorstka, ale tamtego dnia niebo było przygnębiająco szare i wszystkie z trudem przyzwyczajałyśmy się do tego nowego świata.

Crystal nie odwróciła się do Sonii, tylko powoli pokręciła głową.

– Nie – wymamrotała pod nosem. – Nie potrafię.

W tym momencie usłyszałyśmy kogoś na schodach. Sądząc po krokach, to musiał być Julian. Szybko porwałam chusteczkę z pudełka, które kazali nam zawsze trzymać przy łóżku, i wytarłam jej policzki.

– Po prostu tęsknisz za domem, kochanie – wyszeptałam. – Pogadamy o tym później.

Jak obiecałam, tak zrobiłam. Obie z nią rozmawiałyśmy. Sonia zaproponowała nawet, że zapyta Inge, czy mogą się zamienić pokojami, bo z okna jej sypialni rozciągał się widok na ulicę, podczas gdy pokój Crystal wychodził na zatęchły zaułek. Mimo to nie udało nam się jej rozweselić.

*

Gdybyście poznali Crystal, od razu byście zrozumieli, dlaczego z Sonią zawsze próbowaliśmy się nią opiekować. Miała trzynaście lat, kiedy ją porwali. Była drobniejsza od nas. Gdy zaczynała, mierzyła ledwie metr czterdzieści. Kiedy ją zabili, miała niecały metr pięćdziesiąt. Sprzedali ją facetowi, który lubił dziewczyny o wyglądzie dzieci. Dziewczyny, które były nieśmiałe. Kazali jej się ubierać, jakby nadal chodziła do szkoły. Musiała nosić niebieskie jeansy albo różowe sztruksowe ogrodniczki. Nam kupowali czarną i czerwoną bieliznę, podczas gdy ona dostawała białe majtki z księżniczkami Disneya albo z Dzwoneczkiem. Na samym przedzie.

*

Sonia miała niebieskie oczy, w których zawsze czaiło się szaleństwo;

czasami sprawiały wręcz demoniczne wrażenie. Jej twarz okalały nienaturalnie jasne włosy, tak bardzo zniszczone utlenianiem, że na początku część z nich całkiem wypadła, a reszta w dotyku przypominała szorstkie siano. To były dla niej naprawdę ciężkie dwa tygodnie. Moja Sonia. Wspólnie stawialiśmy czoła światu, my dwie kontra cała reszta. Do Ameryki postanowili sprowadzić mnie, Sonię i Crystal. Tak bardzo byli zadowoleni z tego, jak wykonywałyśmy swoją pracę.

I to właśnie Sonia pewnej nocy w pięknym domu na przedmieściach Nowego Jorku dostała szału, jak jakiś potwór z gry komputerowej. Co prawda wcześniej rozmawialiśmy o ucieczce, snułyśmy fantazje o tym, jak by to miało wyglądać, ale robiłyśmy to głównie po to, żeby podnieść na duchu Crystal. Nigdy nie sądziłam, że naprawdę to zrobimy.

Ale tamtego wieczora dowiedziałyśmy się, że zabili Crystal. Mnie ogarnęła całkowita apatia, ale dla Sonii to była kropla, która przepełniła czarę goryczy. Jej wewnętrzny głos powiedział: dość. Ani, kurwa, chwili dłużej.

Poza tym wiedziała rzeczy, o których ja nie miałam pojęcia. Wiedziała, co zrobiła Crystal. No i podczas przyjęcia usłyszała rozmowę Pawła i Kiryła.

Dlatego jej decyzja tylko na pozór wydawała się szalona. W rzeczywistości miała dużo sensu, zwłaszcza z jej perspektywy. Owszem, zachowała się jak ostatnia wariatka, kiedy chwyciła nóż na oczach świadków, tych wszystkich mężczyzn obecnych na wieczorze kawalerskim. Ale z drugiej strony wybrała miejsce, gdzie Paweł i Kirył mieli ograniczone możliwości obrony. A gdyby jej się jednak nie udało? Czy ośmieliliby się nas zabić w obecności tych wszystkich facetów? Nie mówiąc o tym, że któryś z nich mógłby przecież stanąć w naszej obronie.

Oprócz tego była święcie przekonana, że Paweł i Kirył zamierzali ją zabić po przyjęciu. Ją, a może i mnie. Słyszała, jak o tym rozmawiali. Dlatego postanowiła nie zwlekać. Bo mogło już nie być drugiej szansy.

I tak udało nam się uciec. Byłyśmy chyba najbardziej niedoświadczonymi dziewczynami na świecie. Znałyśmy się tylko na seksie, makijażu i ciuchach, a w Ameryce doszedł do tego jeszcze „New York Post”. (Kiedy zamieszkałyśmy na Manhattanie, czytałam im „New York Post”, jakbyśmy były zakonnicami, a to była nasza Biblia. Z zapalem studiowałyśmy dział

plotkarski, śledząc najnowsze doniesienia z życia gwiazd, celebrytów i oczywiście naszego kawalera do więzienia. Powiedzieli nam, że mamy czytać prasę, więc czytałyśmy). Od czasów, kiedy byłyśmy wolne, minęło jednak już tyle lat – pod pewnymi względami nigdy nie byłyśmy wolne.

Nigdy.

A teraz? Może tak naprawdę wcale się nie uwolniłyśmy? W końcu tak potwornie się bałyśmy. I to dosłownie każdego. Bałyśmy się Rosjan. Bałyśmy się policjantów. Czułam się zupełnie inaczej niż w dniu, kiedy siedziałam w swoim pokoju w Erywaniu i pakowałam się przed podróżą do Moskwy. Kiedy wierzyłam, że zostanę baleriną. W tej chwili w ogóle nie myślałam o przyszłości. Skupiałam się przede wszystkim na tym, żeby skutecznie się ukryć. Żeby utrzymać się przy życiu. Żeby nie dać się zabić tak jak nasza biedna, mała Crystal.

CZEŚĆ
DRUGA

Rozdział 9

Rozmowa, która odbyła się we wtorkowy wieczór, była krótka i bardzo nieprzyjemna. Richard napisał do Philipa SMS-a z pytaniem o numer komórki Spencera Doherty'ego, a następnie wyszedł z domu, żeby zadzwonić do tego sukinsyna. Stał w ciemnościach na swoim podjeździe, co jakiś czas zerkając na światło w oknie sypialni, z której został wygnany.

– Zerznąłeś tę dziewczynę w pokoju mojej córki! Zostawiłeś tam pieprzoną gumę! Co ty sobie, kurwa, myślałeś! – wybuchnął, gdy tylko Spencer odebrał telefon.

– Nie twoją dziewczynę – odparł Spencer. – Zerznąłem blondynkę. Więc wyluzuj, dobra?

– Moją? Nie mam żadnej swojej dziewczyny. Za to mam córkę i...

– Słuchaj, byłem pijany. Nie pamiętam, co zrobiłem z gumą. Jeśli zostawiłem ją w jakimś głupim miejscu, to przepraszam. Zwał to na tequilę.

– Jesteś fiutem, wiesz o tym?

– Skończyłeś?

– Czy skończyłem?!

– Skończyłeś się na mnie wyżywać za coś, co tak naprawdę nie ma znaczenia? Już myślałem, że dzwonisz, żeby mi powiedzieć, w jaki sposób dostarczysz mi dwadzieścia pięć kawałków. Zamierzasz podrzucić mi czek do hotelu czy wolisz umówić się gdzieś na mieście?

– Możesz w ogóle spojrzeć na siebie w lustrze?

– Zastanów się jeszcze przez jeden dzień. Może dwa. Ale pamiętaj: wrzeszczenie i obrażanie mnie sprawia jedynie, że robię się mniej cierpliwy. I zaczynam myśleć o tym, ile właściwie będę potrzebował. W ten sposób z tamtych dwudziestu pięciu tysięcy właśnie zrobiło się trzydzieści.

– Już domagasz się więcej? Dlaczego dokładnie tego się po tobie spodziewałem?! Może dlatego, że jesteś żalonym, seksistowskim frajerem?!

– To wszystko to tylko słowa, stary. Tylko słowa. Ja też mam dla ciebie parę słów i tylko one powinny cię teraz tak naprawdę obchodzić: zniszczę ci życie. Naprawdę to zrobię. Walczę o przetrwanie i nie cofnę się przed niczym. Więc możesz mi wierzyć: zniszczę... ci... życie. Prześpij się z tym, dobrze?

To powiedziawszy, Spencer się rozłączył.

*

Następnego ranka, w środę, Richard usiadł ciężko na skórzanej kanapie w salonie i próbował oswoić się z odrętwieniem, które dopadło go z nienacka, gdy został sam. Czuł się, jakby zapadał w letarg. Na ulicy przed domem na jakieś piętnaście minut zatrzymał się wóz transmisyjny. Jego załoga sfilmowała dom, po czym pojechała dalej. Pewnie uchwycili moment, w którym Richard wyglądał zza zaciągniętych zasłon. Zastanawiał się, kiedy wreszcie znikną na zawsze.

Włączył telewizor i bezmyślnie przełączał kanały, skacząc pomiędzy talk-show, operami mydlanymi a powtórkami wiekowych sitcomów, które dominowały w porannej ramówce. Żaden z setek kanałów nie był w stanie zainteresować go na dłużej. Jego myśli krążyły wokół Kristin i Melissy, próbował sobie wyobrazić, co robią i co sobie myślą w tej chwili w szkole. Znacznie łatwiej było mu wejść w umysł żony: wczoraj spojrzała na plamy krwi i ogólne zniszczenia i stwierdziła, że ich dom został naznaczony. Zauważyła zużytą prezerwatywę i oświadczyła, że ich małżeństwo zostało zbrukane. Richard spał na dole, na rozkładanej sofie, którą wstawił do salonu – spanie na kanapie wyglądającej jak rekwizyt z krwawego horroru nie wchodziło w grę – ponieważ było jasne, że jego żona nie wytrzyma z nim w tym samym pomieszczeniu. Nie mogła nawet znieść jego obecności na tym samym piętrze.

Ściślej rzecz ujmując, w nocy próbował spać, ale głównie niespokojnie przewracał się z boku na bok i zastanawiał się, czy nie byłoby mu lepiej w hotelu. Kristin powiedziała, że zanim weszła do domu, zdążyła wmówić sobie, że przyjęcie wcale nie wyglądało tak strasznie jak w jej wizjach. A

teraz? Teraz wiedziała, że w rzeczywistości było jeszcze gorzej. Prezerwatywa w pokoju córki z powrotem zburzyła tę delikatną równowagę, którą udało się jej odzyskać. Przyznała wtedy zduszonym głosem, że nie jest pewna, czy mogą w ogóle zostać w tym domu. Ani w tej dzielnicy. Drżała na myśl o powrocie do swojej klasy.

– Ale przecież jesteś w szkole już od dwóch dni. Najgorsze za tobą – przekonywał Richard, święcie przekonany, że jego argumentacja jest ze wszech miar sensowna. – Twój uczeń nie będzie wiedzieli o prezerwatywie.

– Ale ja tak – odparła. – Poza tym...

– Co?

– Wszyscy wiedzą, co się tutaj działo w piątek wieczorem. Wszyscy.

Richard pokiwał głową. Obawiał się, że tak naprawdę jego żona do końca nie zdaje sobie sprawy z tego, jak bardzo zdeprawowane, jak niemoralne było to przyjęcie według postronnych. Wiedział, co pisze się o tym w gazetach i w sieci. Wiedział też, jakiego rodzaju zdjęcia i nagrania trzyma na swoim telefonie Spencer. Ale na pewno nie miał zamiaru jej tego uświadamiać.

O wiele większą zagadką był dla niego obecny stan ducha jego córki, po części dlatego, że nie zadawała mu żadnych pytań o piątkowy wieczór – co szczerze mówiąc, przyjął raczej z ulgą – a po części dlatego, że nie był pewny, ile właściwie wiedziała o seksie. Nie miała świadomości, że to używana prezerwatywa, kiedy wyciągnęła po nią rękę. Dzięki Bogu, była z nią wtedy Kristin. Richard wyobrażał sobie, że jego żona rzuciła się w tamtą stronę jak tylny obrońca nurkujący po bezpieczeństwa piłkę. Chwyciła prezerwatywę, zanim Melissa zdążyła jej dotknąć, dając piękne świadectwo matczynej odwagi, instynktownej i bezinteresownej – Kristin złapała to cholerstwo gołymi rękami, jakby to był niegroźny precel, który spadł na podłogę, a nie obrzydliwy i wysoce niebezpieczny materiał biologiczny.

Mimo to wiedział, że jego córka się bała. Na pewno obawiała się o małżeństwo swoich rodziców i chyba zmartwiło ją, że nie poszedł dzisiaj do pracy. Czuł się, jakby miał przerwę od życia – co właściwie w pewnym sensie było prawdą.

Jakieś dwie godziny wcześniej zadzwonił do Hugh Kirna, tego pryncypialnego prawnika z Franklin McCoy, ale Kirn albo naprawdę prowadził właśnie inną rozmowę – jak powiedziała jego sekretarka – albo świadomie go unikał. Tak czy inaczej, nadal nie oddzwonił. Dlatego pół godziny temu Richard odezwał się do Diny Renzi, która obiecała, że skontaktuje się z Kirnem. Miała mu jeszcze raz przypomnieć, że to bardzo mało prawdopodobne, aby Richardowi zostały postawione jakiegokolwiek zarzuty, a także zauważyć, że zainteresowanie opinii publicznej tą sprawą już zaczyna przygasać: dzisiejsze artykuły w tabloidach i w internecie skupiały się na poniedziałkowych aresztowaniach i było w nich więcej prawniczego żargonu niż rozwodzenia się nad pikantnymi szczegółami. W dzisiejszych czasach nawet tak efektowny temat jak ten – bankier, dziwki, rosyjscy gangsterzy zabici w eleganckiej części Westchester i pogoń za dwiema morderczyniami – nie jest w stanie zbyt długo utrzymać się na pierwszych stronach gazet. A jeśli chodzi o rosnące żądania Spencera? Prawniczka powiedziała dwie rzeczy, z których żadna nie poprawiała Richardowi nastroju. Po pierwsze: zapłać mu. A po drugie: pamiętaj, że nie mówimy tu o zdjęciach nagiej Jennifer Lawrence, które jakiś haker wykradł z jej konta w chmurze. Nie jesteś Bradem Pittem. Te fotki naprawdę nie są aż tak dużo warte.

Richard przypomniał jej, ile wciąż ma do stracenia, na co odparła, że tak się właśnie kończy sprowadzanie gołych prostytutek do swojego pokoju gościnnego.

Teraz siedział i czekał, aż oddzwoni do niego albo Dina, albo Kirn.

Mechanicznie dotknął plastra na swojej szyi. Po raz pierwszy od lat zaciął się przy goleniu, i to całkiem poważnie. Całe szczęście, że maszynką Gillette Fusion naprawdę trudno się zabić.

Zaczął przeglądać listę kontaktów w swoim iPhone. Sam nie wiedział, czego szuka, ale miał nadzieję, że natrafi na kogoś, z kim mógłby teraz pogadać. Po prostu zadzwonić i zapytać, co słyhać. Zorientował się, że od czasu tamtej rozmowy w sobotnie popołudnie nie odezwał się do niego żaden z kumpli od golfa, a to było jeszcze, zanim pełna skala piątkowej przemocy i rozpusty stała się powszechnie znana. Tak naprawdę to nie żadni „kumple”, tylko raczej „znajomi” od golfa: grupa mężczyzn o pięć do dziesięciu lat starszych od niego, których widywał raz na jakiś czas w sobotę. Przy grze

rozmawiali o pracy i o swoich rodzinach, ale Richard nigdy nie spędził z żadnym z nich ani chwili poza country clubem. Poza polem golfowym. Ich żony rozpoznawały się, kiedy wpadały na siebie w supermarketach czy restauracjach, ale Kristin nigdy nie uczyła żadnego z ich dzieci.

Nie umknął mu też fakt, że nie odezwał się do niego nikt spośród pracowników Franklin McCoy, których uważał za swoich przyjaciół. Chociaż właściwie jeśli chodzi o kobiety z banku, to nawet dobrze, że nie musiał z nimi rozmawiać. Było mu wstyd i naprawdę nie wiedział, co mógłby powiedzieć – i co w końcu któregoś dnia będzie musiał powiedzieć – na przykład Annie Gleason. Albo Sue Miles. Będą zniesmaczone czy tylko zaskoczone? Nie potrafił tego przewidzieć. A faceci? Dwóch kolegów z pracy, Davida Pace’a i Willa Dundona, z którymi lubił chodzić na lunch, prawie zaprosił na imprezę, żeby mieć w towarzystwie jakichś swoich znajomych. Ci dwaj na pewno nie mieliby nic przeciwko występom striptizerek i odrobinie nieszkodliwego pijaństwa. Ostatecznie jednak Richard zrezygnował z pomysłu z tego samego powodu, dla którego nie zaprosił kolegów od golfa albo kumpla ze studiów, który mieszkał w Scarsdale, ani męskich połówek tych kilku par, z którymi on i Kristin utrzymywali kontakty towarzyskie (wiedział, że akurat oni nigdy nie odważyliby się teraz do niego zadzwonić – w końcu wszyscy poznali się poprzez swoje żony). Nie zaprosił żadnych swoich znajomych, ponieważ w głębi duszy wiedział, że ta cała zabawa w wieczór kawalerski ma w sobie coś dziecinnego. Coś podejrzanego. Coś obleśnego. Nikomu nawet nie pochwalił się, że urządza to przyjęcie we własnym domu.

Domyślał się, że właśnie dlatego większość znajomych do niego nie zadzwoniła. Ale Dundon i Pace z banku? Tu w grę mógł wchodzić inny powód, ważniejszy niż zwykłe zakłopotanie: instynkt samozachowawczy. Richard w tej chwili znajdował się na wygnaniu. W banku postrzegano go jako pariasa i każdy wolał go omijać szerokim łukiem.

Ciekawe, co by się stało, gdyby zadzwonił do swojego durnego młodszego brata i powiedział mu, co zrobił Spencer. „Tak więc widzisz, Philip, twój stary kumpel Spencer próbuje mnie szantażować”. Może jego brat umiałby wpłynąć na Spencera i sprawić, żeby dał mu spokój albo przynajmniej przestał na trzydziestu tysiącach. Pewnie nie. Spencer jest

nieprzewidywalny. Gdyby bracia Chapman połączyli przeciwko niemu siły, równie dobrze mógłby wpaść w szal i zmienić się w wilka, który odgryza własną łapę, żeby tylko wyrwać się z potrzasku. Mógłby opublikować to nagranie – wrzucić je do sieci i patrzeć, jak rozprzestrzenia się z szybkością wirusa grypy. Może i straciłby narzędzie szantażu, ale przynajmniej zrujnowałby życie pewnego pracownika banku Franklin McCoy.

Poza tym Richard nie był emocjonalnie przygotowany na to, by powiedzieć Philipowi o istnieniu nagrania. Za bardzo się tego wstydził. Był starszym bratem, a starsi bracia nie proszą swoich młodszych braci o pomoc – przynajmniej nie w rodzinie Chapmanów. Uważał się za osobę o wyższych standardach niż Philip, a ten krótki filmik podważał cały jego moralny autorytet. Zdawał sobie sprawę, że prędzej czy później będzie musiał powiedzieć bratu prawdę. Ale jeszcze nie teraz.

Rzucił telefon na stojącą obok skórzaną kanapę i patrzył, jak osuwa się po oparciu prosto na plamy w miejscu, gdzie w zeszłym tygodniu obcy ludzie uprawiali seks. To bez sensu. Wszystkie te nazwiska zapisane w pamięci jego iPhone'a były bezwartościowe. Nie miał absolutnie nikogo po swojej stronie z wyjątkiem Diny Renzi – a ona była przy nim tylko dlatego, że jej za to płacił.

*

Zgodnie z umową w tę środę to rodzina Claudii zawoziła trzy dziewczynki – Melisę, Claudię i Emiko – na tańce, a ponieważ zajęcia zaczynały się dopiero o wpół do piątej, zawsze po drodze był jeszcze czas na lody. Lodziarnia mieściła się rzut beretem od szkoły tańca w Scarsdale. Dziewczynki miały tam co tydzień godzinę baletu, a potem godzinę tańca jazzowego. Jak kilkakrotnie zauważyła mama Claudii, był to całkiem poważny trening, nawet jak na dziewięcioletnie dzieci. Ale Melissa zawsze nie mogła się doczekać kolejnej środy. Ona i Emiko (a czasami nawet i Claudia) codziennie ćwiczyły to, czego się nauczyły na ostatnich zajęciach. O tej porze roku, kiedy wracały z tańców do domu, było już całkiem ciemno.

Tego jesiennego popołudnia za kierownicą siedziała matka Claudii, Jesse, ale równie często jeździły z jej ojcem. Oboje pracowali w domu. Tata Claudii był informatykiem, a jej mama pracowała w agencji reklamowej. Trzy

dziewczynki siedziały teraz w boksie, jedząc różne wariacje na temat deseru lodowego, podczas gdy Jesse popijała kawę, przeglądała wiadomości na smartfonie i co jakiś czas włączała się do rozmowy dzieci. Claudia zajęła miejsce obok swojej mamy, a Melissa i Emiko naprzeciwko nich.

Jesse nagle odłożyła telefon na gruby drewniany blat i przechyliła się przez stół w stronę Melissy. Melissa uważała, że Jesse jest równie ładna jak jej mama, ale w przeciwieństwie do mamy ubiera się jak nastolatka. Albo przynajmniej jak dużo młodsza kobieta. Kristin wytłumaczyła córce, że wprawdzie Jesse przez większość czasu pracuje w domu, ale kiedy spotyka się z klientami, musi wyglądać bardziej stylowo i modnie niż nauczycielka. Widać było, że dzisiaj przyjechała odebrać je ze szkoły prosto z jakiegoś spotkania, ponieważ miała na sobie czarno-szare legginsy w cętki i czarną marynarkę, która wyglądała jak męska, tylko była skrojona jak klepsydra. Jej skórzane buty miały szwy w tym samym kolorze co legginsy.

– Melisso, jak się masz? – zapytała matka Claudii ze szczególną emfazą, chcąc podkreślić, że naprawdę jest tym szczerze zainteresowana. Melissa zrozumiała, że to coś więcej niż zwykła formułka grzecznościowa, na którą wystarczy pokiwać głową i powiedzieć: „w porządku”. Zastygła z łyżeczką lodów czekoladowych w ręku i przez chwilę zastanawiała się nad odpowiedzią. Claudia i Emiko też się w nią wpatrywały, tak samo jak matka Claudii. Wiedziała, że za jej plecami wszyscy rozmawiali o jej ojcu, ale tylko Claudia – mama powiedziała jej kiedyś, że Claudia to jedno z tych wyjątkowych dzieci, które urodziły się z wielkim talentem matematycznym i bez żadnych zahamowań – chciała z nią rozmawiać twarzą w twarz o martwych ludziach i prostytutkach w jej domu. Wcześniej spytała na przykład, czy się nie boi duchów tych zabitych mężczyzn (Melissa nawet o tym nie myślała, dopóki jej przyjaciółka nie stwierdziła, że ich dusze mogły pozostać w domu) i czy jej rodzice wezmą rozwód z powodu tych prostytutek (tego rzeczywiście bardzo się bała, zwłaszcza odkąd mama powiedziała, że tata musi spać na dole w salonie, nawet nie w pokoju gościnnym).

Ale chociaż Jesse zadała to pytanie w nadziei, że Melissa udzieli szczerzej, głębokiej odpowiedzi, dziewczynka nie była gotowa, żeby o tym rozmawiać. Przynajmniej jeszcze nie. Dlatego tylko wzruszyła ramionami i zanim wpakowała sobie lody do ust, powiedziała:

– Dobrze.

Jesse pokręciła głową, wyciągnęła rękę i delikatnie dotknęła jej dłoni.

– Rozumiem – stwierdziła. – To wszystko jest naprawdę przykre i bardzo zagmatwane. Trudno się o tym mówi.

– Ja bym się bała duchów – wtrąciła Claudia. – Tak jej powiedziałam, mamo.

– Claudio – odparła Jesse, nie kryjąc poirytowania – wyraźnie prosiłam cię, żebyś nie rozmawiała z Melissą o tej swojej dziwacznej fascynacji duchami.

Claudia wzruszyła ramionami i zamieszała resztki lodów, które zdążyły już się zmienić w zupę.

– Ja w każdym razie nie czułabym się dobrze.

– Nie ma żadnych duchów – powiedziała z naciskiem Jesse, patrząc Melissie prosto w oczy. – Mówiłam to Claudii. A teraz mówię tobie.

Melissa odwróciła wzrok. Spojrzała na dłoń kobiety. Czerwony lakier na jej paznokciach kojarzył się z liśćmi klonowymi, które jeszcze w zeszłym tygodniu były na drzewach. Teraz większość z nich leżała na trawniku. Gdyby jej tata nie musiał zostać w niedzielę w mieście – albo gdyby im wszystkim pozwolono wrócić do domu – pewnie już dawno byłyby zagrabione.

– Claudio, kochanie, ja nikogo nie oceniam – odezwała się Jesse do swojej córki – ale jeśli chciałaś mieć zupę lodową, to mogłaś po prostu zamówić shake’a.

– Ale shake to shake, a zupa to zupa.

Melissa w dalszym ciągu patrzyła na paznokcie Jesse. Były idealne. Postanowiła, że też chce takie mieć. Też chce nosić takie legginsy.

– Jak tam wasz dom? – zapytała kobieta znacznie poważniejszym tonem niż przed chwilą, kiedy zagadnęła swoją córkę o płynne lody w misce.

Melissa zamyśliła się. Przypomniała sobie ślady krwi. I gumę na niebieskiej pokrywie plastikowego pudła z lalkami. Zanim jednak zdążyła

odpowiedzieć, odezwała się Emiko, więc skupiła uwagę na swojej drugiej przyjaciółce.

– Moja babcia zawsze widziała duchy – oznajmiła Emiko. – Dziadek nigdy ich nie widział, ale babcia tak. Widziała swoje ciotki. I swoją przyjaciółkę ze szkoły podstawowej, która umarła, jak była bardzo młoda. Rozmawiała z nimi.

Jesse zabrała swoje piękne palce z dłoni Melissy i z powrotem usiadła prosto, krzyżując ręce na piersi.

– Melisso, ty też się boisz duchów? – zapytała, znów przesadnie akcentując i wydłużając niektóre słowa, tym razem „ty” i „też”. Melissie skojarzyło się to z odgłosem wydawanym przez jakieś zwierzę. Na przykład owcę. Beee.

– Melisso? – powtórzyła Jesse, kiedy nie doczekała się odpowiedzi.

Dziewczynka odłożyła łyżeczkę do naczynia i zaczęła się zastanawiać nad... nieumarłymi. Naprawdę w ogóle się nie bała, dopóki Claudia nie nagadała jej, że teraz jej dom może być nawiedzony. Na pewno wczorajszej nocy była szczęśliwa, mogąc spać razem z mamą w łóżku rodziców, nawet jeśli stało się tak dlatego, że w jej własnym pokoju jakiś człowiek uprawiał seks z prostytutką i teraz mama nie chciała spać w jednym łóżku ze swoim mężem. Tata został – jak sam to określił, próbując obrócić całą sytuację w żart – wygnany do salonu. Melissa podejrzewała, że bałaby się spać sama w swoim pokoju. A teraz okazuje się, że Emiko, zdecydowanie najrozsądniejsza z jej przyjaciółek, też chyba wierzy w duchy, przez co pomysły Claudii – że jej rodzina mieszka teraz pod jednym dachem z dwoma duszami martwych ludzi – wydają się dużo bardziej wiarygodne. Jakby tego było mało, chodzi o ludzi, którzy za życia robili złe rzeczy. Więc to raczej nie są sympatyczne duszki w stylu Caspra, tylko takie, które zabijają ludzi we śnie. Takie, które przychodzą w ciemności i dosłownie straszą cię na śmierć.

– Trochę się boję – odpowiedziała w końcu.

– Trochę?

– Odrobinę boję się duchów.

– Ja bym się bała – wtrąciła Claudia.

– Claudio, doprawdy, daj spokój – skarciła ją matka. – Przecież wam tłumaczę: duchy nie istnieją. Emiko, to nie znaczy, że twoja babcia się myliła albo zwariowała. Po prostu była... z innego pokolenia.

Melissa chciała wczoraj porozmawiać z mamą o tym, co usłyszała od Claudii, ale nie miała okazji. Kiedy znalazły prezerwatywę, jej rodzice się pokłócili, a potem mama zamknęła się w sypialni i płakała. To było straszne. I na pewno nie załamała się ani przez ślady krwi, ani przez zniszczony obraz, ani przez obrzydliwe plamy na meblach. Tylko właśnie przez tę gumę.

Tata tłumaczył mamie, że nie uprawiał seksu z prostytutką, i Melissa chciała mu wierzyć. Nie mieściło się jej w głowie, żeby mógł tak kłamać. Ale coraz trudniej było się na niego nie złościć: dom wyglądał okropnie, jacyś ludzie robili ohydne rzeczy w jej pokoju, a mama ciągle przez niego płakała. To było w tym wszystkim najgorsze. Mama cały czas płakała. Teraz być może będą musieli się wyprowadzić, a rodzice prawdopodobnie się rozwiodą. To wszystko bardzo ją stresowało, naprawdę napędzało jej stracha. Uświadomiła sobie, że jest wściekła na swojego tatę.

– Nie widziała pani śladów krwi – powiedziała Melissa, mimowolnie spoglądając na rzadką breję, w którą Claudia zmieniła swoje lody wiśniowe. Szkoda, że jej przyjaciółka nie zamówiła innego smaku. Mniej czerwonego.

– W domu są ślady krwi? – spytała Jesse, po czym sama sobie odpowiedziała. – O Boże, na pewno są. Jasny gwint, to oczywiste. Bardzo źle to wygląda?

Melissa pokiwała głową. A potem, chociaż sama nie wiedziała, co powie, zanim otworzyła usta, dodała:

– Dom jest w opłakanym stanie.

Było jej wstyd to przyznać, ale nie mogła się powstrzymać. Po prostu nie mogła. Uwielbiała Jesse. Uwielbiała jej legginsy w cętki i czarną marynarkę, i idealne czerwone paznokcie. Wydawała się taka nowoczesna i charyzmatyczna, zupełnie inna niż pozostałe mamy. Miała w sobie coś, co sprawiało, że Melissa czuła potrzebę, żeby się jej wygadać. Chciała się z nią zaprzyjaźnić. Pragnęła być taka fajna jak ona.

Nagle zaczęła się dzielić swoimi lękami i wszystkim, co do tej pory w

sobie tłumila. Ze jej rodzina pewnie będzie musiała się przeprowadzić. Ze rodzice się roziodą. Ze o mały włos nie wzięła do ręki tej mokrej, klejącej gumy, którą jakiś mężczyzna nałożył na swój członek.

– To leżało w twoim pokoju? – zapytała Jesse, nie kryjąc zdumienia.

– Mhm.

– Zaraz, co to było? Jaka guma? Co za guma? – dopytywała się Claudia.

– Nie rozumiem.

Ale Emiko rozumiała, Melissa widziała to w jej oczach. Jej przyjaciółka wpatrywała się w pustą miskę po lodach, jakby na dnie był ekran odtwarzający jakiś film. Była bardzo skrupowana.

– A wie pani, co jest najgorsze? – powiedziała Melissa, ocierając oczy.

– Powiedz – zachęcała Jesse. – Co jest najgorsze?

– Nie, czekajcie – Claudia zaczęła ciągnąć matkę za łokieć. – Jaka znowu guma? Powiedzcie mi!

– Później, Claudio, dobrze? Później ci wytłumaczę, o jaką gumę chodzi.

– Ja tylko chciałam wiedzieć.

Jesse musiała żałować, że w ogóle poruszyła ten temat. Melissa widziała, że matka Claudii sama powstrzymuje łzy. Claudia wypytywała ją o gumę, a Emiko wyraźnie czuła się bardzo niezręcznie. Ale Melissa miała dosyć słuchania, że musi być dzielna ze względu na swoją mamę i cierpliwa wobec taty. Mama i tata przynajmniej ze sobą rozmawiali – chociaż właściwie raczej się kłócili. Ale w każdym razie mieli się do kogo odezwać. A ona? Z kim miała porozmawiać? No z kim?

Dlatego wzięła głęboki oddech i wyrzuciła z siebie to, co naprawdę czuła.

– Najgorsze jest to, że jestem wkurzona na tatę. Tak bardzo, że prawie wolałabym, żeby mama kazała mi z powrotem zamieszkać w hotelu.

Jesse nic nie odpowiedziała. Zamiast tego jeszcze raz przechyliła się przez stół i tym razem położyła obie dłonie na rękach Melissy.

*

Richard powtarzał sobie, że przesadza. Tak, był wściekły na Spencera. Drażniły go wozy transmisyjne z talerzami satelitarnymi jakby żywcem wyjętymi z *Jetsonów*, które pojawiały się znikąd i wolno defilowały przed jego domem jak wielkie, ociężałe słonie, by po chwili z powrotem zaszyć się w dżungli. Był zaniepokojony portretem rosyjskiej mafii odmalowywanym przez tabloidy i świadomością, że mafiosi też mogą być na niego poważnie wkurzeni, ponieważ w jego domu zginęło dwóch ich ludzi. W jego salonie i korytarzu. Czy to znaczy, że znajduje się w niebezpieczeństwie albo – co ważniejsze – że jego żonie i córce coś grozi? Nie potrafił tego stwierdzić, ale czuł się bezbronny. Odslonięty. Być może właśnie znalazł się na celowniku ludzi, których w normalnych okolicznościach nigdy nie napotkałby na swojej drodze.

Odnosił wrażenie, że wszystko wokół się rozpada. Wyobrażał sobie gniewną reakcję Spencera Doherty'ego, gdyby ostatecznie odmówił mu tych trzydziestu tysięcy. Gdyby za miesiąc nie zgodził się dać mu kolejnych pięciu tysięcy. Albo dziesięciu. Albo dwudziestu.

Przyszło mu do głowy, że być może po prostu za dużo czasu spędza na bezczynnym rozmyślaniu.

Tak czy inaczej nie mógł uwierzyć, jak trudno jest zdobyć w Nowym Jorku – właśnie takie określenie słyszał w głowie – pierdolony pistolet. Jeszcze tydzień temu to odkrycie naprawdę by go ucieszyło. Wydawałoby się jak najbardziej sensowne. Ale teraz? Stojąc w promieniach popołudniowego słońca, zaskakująco ciepłych jak na późną jesień, nie posiadał się z wściekłości. Musiał przecież coś zrobić – cokolwiek – a ten stary dziad po drugiej stronie kontuaru zakomunikował mu, że wyrobienie pozwolenia na broń zajmie kilka miesięcy. Głędził coś o przepisach stanowych i federalnych.

– Czy ja wyglądam jak ktoś, kto zamierza napadać na sklepy całodobowe? – zapytał Richard, zdając sobie sprawę z absurdalności pytania. Ale nie mógł się powstrzymać. – Ja tylko chcę móc chronić swoją żonę i dziecko – dodał, mając nadzieję, że to zdanie wypowiedziane na głos nie zabrzmiało równie arogancko jak w jego głowie.

Ale nie było mowy o żadnych negocjacjach. Prawo to prawo.

Odpowiednie służby musiały najpierw przeświecić jego przeszłość. Zabrał więc formularz ze sobą i wyszedł ze sklepu. A referencje dotyczące jego charakteru? Odciski palców? Czekanie na opinię FBI? To wszystko brzmiało niedorzecznie. Przecież był bankierem. Pracował w banku inwestycyjnym Franklin McCoy, w dziale przejęć i fuzji. Zawsze był – z jednym jaskrawym i bardzo niedawnym wyjątkiem – dobrym mężem i ojcem.

Sprzedawca podrapał się po pękatym drugim podbródku i zaproponował, żeby Richard zamiast pistoletu kupił strzelbę. Ze strzelbą jest mniejsze ryzyko wypadku, a równie dobrze nadaje się do tego, by zapewnić rodzinie bezpieczeństwo. Musiałby tylko załatwić sobie licencję myśliwską w Agencji Ochrony Ryb i Dzikiej Przyrody. To nic trudnego, zwłaszcza teraz, w trakcie sezonu polowań na jelenie. Właściciel sklepu obiecał pomóc mu uporać się z papierami.

– Z papierami? – zapytał Richard.

– Musi pan mieć albo dowód wcześniejszej licencji myśliwskiej, albo zaświadczenie o odbyciu kursu przygotowawczego. Nie mogę panu załatwić licencji, to byłoby niezgodne z prawem. Poza tym wydają je w urzędzie w White Plains. Ale mam znajomego, który prowadzi kursy dla przyszłych myśliwych. Mogę przyspieszyć formalności, jeżeli zapłaci pan z góry i obieca, że odbędzie szkolenie.

– Czy to również nie będzie niezgodne z prawem?

Sprzedawca ziewnął.

– Mniej. To trochę szara strefa. Niektóre rzeczy mogę ominąć, ale innych nie.

– Jak sprawdzenie mojej przeszłości przez służby.

– Tak. Potraktowanie po łebkach kursu dla myśliwych, zwłaszcza w przypadku kogoś takiego jak pan, to jedno. Ale nielegalne zezwolenie? To całkiem inna para kaloszy.

Richard westchnął, nie kryjąc rozdrażnienia. Wyobrażał sobie, że gdy pójdzie powiedzieć Spencerowi, żeby się od niego odpieprzył, będzie miał przy sobie broń. Od niechcienia rozchyli marynarkę, ot tak, żeby ten parszywy skunks mógł ją zauważyć. Albo że za którymś razem po prostu

strzeli w talerz satelitarny na dachu jednej z furgonetek kursujących pod jego domem. Wiedział, że tak naprawdę nigdy by czegoś takiego nie zrobił, ale samo fantazjowanie na ten temat poprawiało mu humor. Przede wszystkim jednak chciał kupić pistolet po to, by móc go trzymać w szufladzie swojej szafki nocnej, na wypadek gdyby Rosjanie okazali się równie porąbani, jak sugerowały gazety (a także tamta policjantka).

Dlatego mocno zirytowany opuścił sklep.

Spojrzał na warsztat samochodowy po drugiej stronie ulicy. Nie była to jedna z najbardziej szykownych ulic w Yonkers. Oprócz sklepu z bronią mieścił się tu także lombard, salon tatuażu i bar, przed którym stało kilka harleyów. Trochę się bał, kiedy parkował tam swoje audi. Ale samochodowi nic się nie stało. Nikt go nie tknął. Nikt nawet nie zwrócił na niego uwagi.

Przez dłuższą chwilę Richard obserwował szerokie okno warsztatu. W środku widział paru gości gawędzących przy biurku, jeden miał na głowie czapkę baseballową. Chyba czerwoną, chociaż z tej odległości nie mógł być pewny. Na ścianie za biurkiem wisiała głowa jelenia z całkiem imponującym porożem.

Richard wziął głęboki oddech i opanował nerwy. Może jednak wcale nie potrzebował pistoletu, tylko jakiegokolwiek broni. Sprzedawca pewnie miał rację: w zupełności wystarczy mu strzelba, przynajmniej na razie. Myśliwska strzelba. Może w przyszłości jeszcze załatwi sobie pistolet. Człowiek miewa różne znajomości, prawda?

Poza tym skoro strzelba była w stanie powalić tak wielkiego jelenia jak ten, którego głowa zdobiła biuro warsztatu samochodowego naprzeciwko, to na pewno zatrzyma też jakiegoś przerośniętego rosyjskiego psychopatę. A według sprzedawcy proces wyrobienia sobie licencji myśliwskiej byłby znacznie prostszy. Znacznie szybszy. I mniej inwazyjny.

Zawrócił i prawie wszedł z powrotem do sklepu. Prawie. W ostatniej chwili jednak się zawahał, stanął w drzwiach, po czym odwrócił się i wsiadł do samochodu. Przed oczami stanął mu trup, który leżał w jego korytarzu. Dostał jedną kulę w klatkę piersiową i jedną w głowę. Przypomniał sobie strumienie krwi, które widział tamtej strasznej nocy. Pomyślał o śladach krwi wciąż widocznych na tapecie, na kanapie i na obrazie z tyłu samochodu. Nie.

Nie był typem człowieka, który kupuje broń. Teraz to widział.

*

Kerri-Ann Jennings w rzeczywistości nie pieprzyła się z rozgrywającym drużyny futbolowej liceum w Bronxville cztery lata temu. Kilka razy go objęła, ale zawsze był to ten rodzaj przyjacielskiego uścisku, któremu zazwyczaj towarzyszy całus w powietrze obok policzka, a ponadto odbywało się to w obecności jednego lub obojga jego rodziców. Po meczu. W jego domu, kiedy jadła kolację z całą jego rodziną. Kiedy u jego wujka zdiagnozowano raka mózgu. Ale szczerze lubiła tego chłopca i naprawdę się zaprzyjaźnili. Był inteligentny i ubiegał się o przyjęcie na Uniwersytet Browna. Z jakiegoś powodu jednak po szkole rozniosła się plotka, że uprawiali ze sobą seks. Jedna z tych miejskich legend, przez którą niezamężna, posągowo piękna nauczycielka francuskiego stała się ogromnie popularna wśród uczniów. Prawda jest taka, że Kerri-Ann przyjaźniła się również z rodzicami rozgrywającego. Cieszyła się, że w następnym roku zacznie uczyć jego młodszą siostrę. Wiedziała o plotkach i z przyjemnością sama je podtrzymywała, mówiąc na lekcjach różne rzeczy po francusku, które były bez wątpienia niestosowne, ale nie na tyle sprośne, żeby groziła jej za to nagana ze strony dyrekcji. Opowieści o jej wyczynach średnio raz na rok obiegały szkołę, ale większość uczniów ją uwielbiała. Chłopcy fantazjowali na jej temat i wyobrażali sobie ją pod prysznicem. Dziewczęta patrzyły na nią z mieszką zazdrości i podziwu. Nauczycielka wykorzystywała swoje szylkretowe okulary słoneczne i opaskę do włosów – a czasem także burzę rudych włosów – jako rekwizyty, które pozwalały jej dominować nad uczniami i sprawować nad nimi absolutną władzę. Delektowała się rolą, którą odgrywała, i czuła się doskonale w swojej skórze. A oprócz tego była najbliższą przyjaciółką Kristin.

– To przecież co innego, niż gdyby Richard miał romans – powiedziała Kerri-Ann. Siedziały z Kristin w głębi kawiarni niedaleko Pondfield Road, gdzie spotkały się po lekcjach. Rozmawiały ściszymi głosami, żeby nikt ich nie podsłuchał. Kristin miała nadzieję, że Melissa dobrze się bawi w lodziarni przed lekcją tańca. W końcu połączenie przyjaciółek, Jesse, lodów i baletu powinno choć na chwilę odciągnąć jej uwagę od domowego koszmaru. – Niż gdyby nagle wyznał, że ma kochankę, z którą spotyka się w porze

lunchu w hotelu swojego brata.

– Dawniej lubiłam ten hotel. Teraz go nienawidzę. Jest odpychający.

– Spotkałam kiedyś Philipa. Moim zdaniem to on jest odpychający.

– O tak, wiem o tym. Czasami z Richardem próbujemy sobie wmawiać, że po prostu jest niedojrzały.

– Jesteś zbyt pobłażliwa. Ma trzydzieści lat z hakiem...

– Właściwie trzydzieści pięć.

– Trzydzieści pięć? Niewiarygodne. W moich klasach są chłopcy, w twoich zresztą też, którzy wydają się bardziej dojrzały. Facet ma trzydzieści pięć lat i na bank prenumeruje „Maxima”. Ale wcale nie jest jakiś wyjątkowy. Faceci w ogóle są obleśni. Kiedyś widziałam występ jednego komika. Miał cały monolog o tym, że faceci masturbują się w samochodzie. Zapytał, ile kobiet na widowni widziało coś takiego na własne oczy, i dając słowo, trzy czwarte z nich podniosło rękę.

– Boże...

– Aż trudno uwierzyć, że on i Richard są braćmi. Tak bardzo się od siebie różnią.

– Też tak myślałam. Nadal chcę tak myśleć. Ale po prostu nie mogę się pogodzić z tym, że Richard poszedł na górę z jakąś prostytutką i rozebrał się przy niej do naga. A to tylko to, do czego się przyznał. Skąd mogę wiedzieć, czy jej nie przeleciał? Skąd mogę wiedzieć, że nie chodzi codziennie do hotelu Philipa na szybki numerek? Czuję się taka zraniona i zdradzona i... jakbym nie była dość dobra.

Kerri-Ann uśmiechnęła się do kogoś za plecami przyjaciółki, figlarnie unosząc przy tym swoje idealnie wyregulowane brwi. Kristin odwróciła się i zobaczyła dwóch przystojnych chłopców z ostatniej klasy. Uczniowie pomachali Kerri-Ann; wyższy z nich uniosł jedną brew i posłał jej uśmiech, który w zamierzeniu pewnie miał być uwodzicielski, ale w praktyce wyszedł jedynie łobuzersko.

– Jesteś świetna – powiedziała Kerri-Ann, kiedy Kristin z powrotem się do niej odwróciła. – Byłaś kiedyś z klubie ze striptizem?

– Po co? Żebym mogła się porównać z jakąś seksowną dwudziestodwulatką i przekonać się, jaka jestem świetna?

– To dość przygnębiające przeżycie – stwierdziła Kerri-Ann, kręcąc głową.

– W ilu klubach byłaś? Z tej strony cię nie znałam.

– Wydaje mi się, że w sumie w trzech. Raz z koleżankami ze studiów, bo byłyśmy ciekawe, jak to wygląda, a dwa razy z facetami, którzy myśleli, że to będzie podniecające.

– A nie było?

– Nie dla mnie. Faceci płacący kobietom... nie, nie kobietom, dziewczynom... za to, żeby pokazały, co mają w majtkach. To trochę uwłaczające dla wszystkich zainteresowanych, nie uważasz? No i oczywiście dziewczyn wcale nie kręcą ci wszyscy kolesie, a oni to wiedzą. Jak mogliby nie wiedzieć? Poza tym panuje tam dziwna atmosfera, wszyscy czują wstręt do samych siebie: faceci wiedzą, że są nieudacznikami, bo muszą za to płacić, a dziewczyny wiedzą, że są zdzirami, i to nie w pozytywnym znaczeniu, bo zrzucają ciuchy za pieniądze. W ogóle nie kupuję tych bzdur o emancypacji i odzyskiwaniu podmiotowości.

– Można być zdzirą w pozytywnym znaczeniu?

– Och, ja wielokrotnie wykonywałam taniec erotyczny w sypialni. U siebie w domu albo u mojego faceta. Ale robię to dlatego, że nas oboje to kręci. Wtedy to może być dobra zabawa.

– Wiesz, spodziewałam się, że na przyjęciu będzie striptizerka. Naprawdę mi to nie przeszkadzało. Wysłałam z założenia, że chyba każdy z tych facetów widział kiedyś nagą kobietę. Richard wyświadczał bratu przysługę, organizując imprezę u siebie w domu. To nie miało być nic takiego.

– Co tak naprawdę sprawia ci więcej bólu? – zapytała Kerri-Ann. – Sama krzywda, jaką ci wyrządził, czy związane z tym upokorzenie? Bo to dwie różne rzeczy.

– Nie chcę tego przesadnie analizować. Po prostu czuję w środku ogromny smutek. Poza tym to wszystko łączy się ze sobą.

– Gdyby Richard trafił do gazet z powodu jakichś przekrętów finansowych, czułabyś się tak samo dotknięta? Czy tylko upokorzona?

– Nie da się na coś takiego odpowiedzieć. I żeby była jasność, jemu też naprawdę współczuję. Wiem, że sam to na siebie ściągnął, ale widzę też, jaki jest załamany. I wystraszony. Kto wie, jak to się odbije na jego karierze? Więc to też ma wpływ na całą sytuację.

Kerri-Ann oderwała mały kawałek babeczki, którą powoli sobie skubała.

– A gdyby te dziewczyny wcale nie zabiły facetów, którzy je przywieźli, tych Rosjan? Gdyby nie było z tego żadnej sensacji, ale ty w jakiś sposób dowiedziałabyś się, że oni wszyscy pieprzyli się z tancerkami? Wtedy czułabyś się tak samo upokorzona?

– Znowu nie umiem na to odpowiedzieć. Ale te tancerki? Niewykluczone, że były więzione przez tych Rosjan. Mogły być nieletnie. Czasem wydaje mi się, że jestem tym bardziej wściekła na Richarda, bo trudno się wściekać na jakąś biedną dziewczynę, która robi to wszystko tylko dlatego, że zmuszają ją do tego kolesie z bronią.

– Nie umiem udzielać porad małżeńskich – przyznała Kerri-Ann. – I nawet nie udaję, że jest inaczej. Ale na twoim miejscu właśnie to spróbowałabym lepiej zrozumieć.

– Nie potrafię sobie tego tak podzielić w głowie. Na to jeszcze za wcześnie.

– Zastanawiasz się nad rozstaniem?

Kristin spojrzała na przyjaciółkę.

– Nie.

– Ale widzę, że przeszło ci to przez myśl.

Ta myśl rzecz jasna zaświtała jej w głowie, ale właściwie do tej pory nie zamierzała wypowiadać jej na głos. Wiedziała, że to jedno z największych zmartwień Melissy: jej rodzice mogą wziąć rozwód. Rzecz w tym, że Kristin nadal kochała Richarda. Dobry Boże, była na niego wściekła, ale jednocześnie było jej go żal. Jasne, czuła straszny wstyd, ale on był równie zawstydzony. Okrył się autentyczną hańbą.

– To chyba oczywiste – odparła. – Naprawdę jestem na niego wkurzona.
– Jej wzrok zatrzymał się na wypisanym kredą menu z dzisiejszą ofertą specjalną na ścianie za ekspresem do kawy i nagle zwróciła uwagę, że za sprawą czyjegoś charakteru pisma wszystkie małe litery „i” miały kształt falliczny. – Naturalnie nie zdziwiłabym się, gdyby narzeczona Philipa zerwała zaręczyny.

– Chyba jakoś niedługo mieli brać ślub?

– W następną sobotę.

– Ale póki co wszystko jest aktualne.

– Tak. Ale na miejscu Nicole, tak ma na imię jego narzeczona, odwołałabym ślub.

– Tak – zgodziła się Kerri-Ann. – Ja chyba też.

– A mimo to na moim miejscu nie zostawiłabyś Richarda?

– Wy macie wspólne życie. Macie córkę. Ale ta cała Nicole? Wciąż ma szansę się z tego wyplątać.

– Czyli sugerujesz, że powinnam z nim zostać tylko ze względu na Melissę. I jeszcze z powodu zwykłej inercji.

– Nie to miałam na myśli. Chodziło mi o to, że znasz Richarda. Cokolwiek się wydarzyło, to był błąd.

– Tak nam się wydaje.

– A popełnił ten błąd tylko dlatego, że upił się podczas szalonego wieczoru kawalerskiego.

– Z tego co wiemy.

– Tak – przyznała Kerri-Ann. – Pewnie masz rację. Myślisz...

Kristin westchnęła i upiła łyk kawy, która zdążyła już wystygnać. Kiedy znów spojrzała na Kerri-Ann, jej przyjaciółka właśnie uśmiechała się i machała do kolejnej grupki chłopców.

*

Nicole rozważyła wszystkie sposoby, w jakie mogłaby poinformować

Philipa, że zrywa zaręczyny: od zwykłego SMS-a do rozmowy twarzą w twarz w jego mieszkaniu w Brooklyn Heights. SMS miałyby w sobie jednocześnie coś tchórzliwego i okrutnego, i bez wątpienia zrobiłyby piorunujące wrażenie. Znając Philipa, pewnie opublikowały go w sieci.

I właściwie czemu nie? Nicole wyobraziła sobie, jak wyglądałyby słowa na ekranie telefonu:

Po tym, co zrobiłeś w piątek, nie mogę za ciebie wyjść. Przykro mi.

Z drugiej strony, mogłaby to też być dłuższa wiadomość, która nie pozostawia absolutnie żadnych niedomówień.

Po tym, co zrobiłeś w piątek, nie mogę za ciebie wyjść. Przykro mi. Nie ufam ci i nie widzę, jak mogłabym odzyskać do ciebie zaufanie. Zadzwońłam już do firmy cateringowej, do kościoła i ludzi, którzy mieli postawić namioty w domu moich rodziców. Wyślę ci czek, żeby oddać to, co wpłaciłeś jako zaliczkę. Zwrócę pierścioneK. Nie chcę go. Proszę, nie dzwoń do mnie. Odezwę się, kiedy będę gotowa.

Ale nawet w tak rozwlekłej wiadomości mieściła się tylko maleńka część tego wszystkiego, co chciała mu powiedzieć. Dlatego lepszym pomysłem wydawał się mail. Poza tym on na pewno do niej zadzwoni, pomimo wyraźnej prośby. Oczywiście zrobiłyby to także po przeczytaniu maila. Zadzwońłyby, nawet gdyby wysłała mu napisany odręcznie list i wrzuciła pierścioneK do koperty. Philip nigdy łatwo się nie poddawał, zresztą chyba właśnie dlatego się w nim zakochała. Był zabawny, wesoły i troskliwy, przynajmniej na początku ich znajomości.

Wszystko to sugerowało zatem, że powinna zobaczyć się z nim osobiście, ponieważ i tak będzie próbował mieć ostatnie słowo. Obawiała się jednak, że jeśli pójdzie do jego mieszkania, to ostatnie słowo doprowadzi ją do kapitulacji. Kiedy będą sami w jego salonie albo sypialni, Philip pewnie zdoła ją przekonać, żeby zmieniła zdanie. A ona nie chciała zmieniać zdania. Nie chodziło tylko o to, że przestała mu ufać; przestała go kochać.

Dlatego w końcu napisała do niego SMS-a, w którym zaproponowała, żeby zjedli razem śniadanie w czwartek rano w lokalu na Montague Street, który oboje lubili. Przed wysłaniem wiadomości kilka razy poprawiała jej ostateczny kształt. To miało być ich pierwsze spotkanie od tygodnia – kiedy

widzieli się po raz ostatni, było to jeszcze, zanim Philip przespał się z prostytutką.

Możesz zjeść ze mną śniadanie jutro o 7.30 w Evergreen? Musimy pogadać. Proszę, nie dzwoń do mnie. Napisz tylko, czy ci pasuje, i spotkajmy się na miejscu.

Przeczytawszy finalną wersję SMS-a po raz trzeci, wcisnęła „wyślij”. Zdała sobie sprawę, że okropnie współczuje tym dziewczynom, które zostały przywiezione na przyjęcie, lecz także rodzinom zamordowanych mężczyzn. Ale była też rozgoryczona tym, w jaki sposób zakończyła się jej miłość do Philipa. Nie mogła budować z nim wspólnego życia opartego na trupach i na świadomości, że przeleciał prostytutkę. Po prostu nie mogła.

Zsunęła z palca pierścioneł zaręczynowy, ale zaraz z powrotem go założyła. Postanowiła, że zdejmie go przy nim, w restauracji. Ten pierścioneł to symbol. Może jeśli ściągnie go na oczach Philipa, zrani go tak samo, jak on skrzywdził ją.

*

Melissa niezupełnie bała się internetu, ale wiedziała, że istnieje świat wykraczający daleko poza strony, które regularnie odwiedzała – potrzebne do nauki, poświęcone muzyce i filmom, te o odznakach harcerskich, o modzie i fryzurach – który nie był przeznaczony dla dziewięciolatek. Czasami od tego świata dzieliło ją naciśnięcie klawisza. Wystarczyło źle wpisać jedną literę albo wstawić myślnik nie tam, gdzie trzeba.

Pewnego ranka niecały rok temu, kiedy jej tata ubierał się na górę, a mama pakowała jej drugie śniadanie do szkoły, Melissa usiadła przed komputerem w salonie, żeby sprawdzić coś w kwestii odznak harcerskich. Jedno słowo wpisała z błędem i trafiła na stronę tak szokującą, że odruchowo zawołała rodziców. Zamknęła okno, jeszcze zanim rzucili wszystko i przybiegli do salonu. To, co zobaczyła (albo co wydawało się jej, że zobaczyła), było tak potworne i groteskowe, że aż zrobiło się jej wstyd. Jej rodzice znaleźli tę stronę w historii wyszukiwania i od razu ją skasowali. Zapewniali, że nie zrobiła nic złego. Pochwalili, że im o tym powiedziała. Potem po raz kolejny przypomnieli, że po internecie trzeba się poruszać ostrożnie, i powtórzyli obowiązujące w ich domu zasady – których, jak sami

przyznali, nie złamała, kiedy niechcący weszła na tę dziwną stronę.

Teraz, gdy jej mama szykowała jedzenie, a taty nie było w domu, Melissa postanowiła wyjść ze strony z wymyślnymi rajstopami. Wzięła głęboki oddech i wpisała do wyszukiwarki nazwisko swojego ojca. Mama mówiła, że powinien wrócić na kolację, a Melissa naprawdę nie była pewna, czy jest z tego faktu zadowolona. Jej gniew na tatę tlił się już od kilku dni. Była na niego zła za to, że przez niego mama jest smutna, a w domu panuje taka napięta atmosfera. Krępowało ją też to, że nagle wszyscy poświęcają jej tyle uwagi – nawet instruktorka tańca zupełnie niespodziewanie postanowiła ją dzisiaj mocno przytulić. I czy to naprawdę możliwe, że jej ojciec robił na przyjęciu tak samo obrzydliwe rzeczy jak to, co widziała na stronie internetowej, na którą przypadkowo trafiła niemal rok temu?

Przeczytała cztery różne artykuły na temat ojca, zanim poczuła, że ma dość. Nigdy wcześniej nie słyszała określenia „niewolnica seksualna”, ale domyślała się, co może znaczyć. Sprawdziła za to słowo „orgia” i była zbulwersowana. Przy okazji natrafiła na różne zdjęcia. Przejrzała również informacje skupiające się na zabitych Rosjanach. Wszyscy dziennikarze cytowali policjantów, którzy podkreślali, że ludzi tego pokroju co ci dwaj jest znacznie więcej – oraz że ich przyjaciele mogą być rozwścieczeni i bardzo niebezpieczni.

– Skarbie?

Słyszac głos matki, Melissa natychmiast zminimalizowała otwarte okno.

– Tak?

– Co robisz?

– Szukałam materiałów do szkoły.

– O czym?

– O zółwiach – skłamała.

– W porządku. Wolisz tłuczone ziemniaki czy pieczone?

– Tłuczone.

Matka pokiwała głową i wróciła do kuchni. Dawniej, przed wieczorem kawalerskim, na pewno zapytałaby, dlaczego sprawdza informacje o

zółwiach. Podeszłaby i usiadła obok niej przed komputerem, żeby zobaczyć, co znalazła. Zapytałaby, dlaczego nauczycielka Melissy – którą oczywiście nazywała po imieniu, bo pracowały w jednej szkole – każe im czytać o zółwiach. Omawiali w tej chwili temat gadów? Koś miał przynieść zółwia do klasy? Ale teraz jej matka miała tyle rzeczy na głowie, że nie zadała żadnego pytania. Ani jednego.

Melissa zamknęła stronę z artykułem o przemocy. Usunęła z pamięci komputera wszystkie strony, które przed chwilą odwiedziła. Potem wpisała w wyszukiwarce hasło „zółwie”. Nie miała pojęcia, dlaczego to była pierwsza rzecz, jaka przyszła jej do głowy.

*

Richard zakończył swój dzień w tym samym miejscu, w którym go zaczął: na rozkładanej kanapie w salonie. Przed jego domem wolno przejeżdżał właśnie kolejny wóz transmisyjny.

W bladym świetle księżycy gapił się w sufit i słuchał, jak Cassandra cichutko pochrapuje. Cieszył się, że przynajmniej kotka go nie porzuciła. Zazwyczaj spała na górze, ale dzisiaj została razem z nim na dole. W głowie wciąż, tak jak przez cały dzień, roztrząsał te same problemy: niesprawiedliwość jego szefów z Franklin McCoy, którzy nadal nie pozwalali mu wrócić do pracy; topór, który zawiesił mu nad głowę Spencer Doherty; i wreszcie cierpienie, jakie sprawił własnej rodzinie. Był zły na cały świat, a jednocześnie czuł obrzydzenie do samego siebie. A gdzieś wśród tego kłębowiska myśli, które nie pozwalały mu zasnąć, kryła się ta biedna dziewczyna, z którą poszedł na piętro właśnie tu, w tym domu. Czasem widział jej oczy, gdy siedziała na łóżku w pokoju gościnnym. Czasem słyszał w głowie jej głos. Przypominał sobie jej smutny ton, gdy opowiadała o Erywaniu, i żartobliwy, gdy opisywała rzeźbę kota.

A teraz ta dziewczyna stała się obiektem istnej nagonki. Wszyscy chcieli ją znaleźć. Rosjanie prawdopodobnie zamierzali ją zabić. Richard uświadomił sobie, że boi się o jej bezpieczeństwo. Miał jak najgorsze zdanie o jej rodzicach, kimkolwiek byli i gdziekolwiek się teraz znajdowali.

Podniósł się na kanapie i oparł głowę na rękach. Pomyślał o swojej żonie i córce, które spały w sypialni na górze. Miał nadzieję, że nie popełnił błędu,

wracając do domu bez broni.

Alexandra

Sonia szlochała, kiedy uciekałyśmy z wieczoru kawalerskiego. Obydwie byłyśmy jak w jakimś transie, adrenalina wypełniała nas od stóp do głów. Wgramoliłyśmy się do samochodu Pawła. Sonia powiedziała, że najlepiej będzie się stąd wydostać jego autem. Zajęła miejsce kierowcy i zatrzasnęła wielkie czarne drzwi. Wycofując, uderzyła w bok jednego z samochodów zaparkowanych na podjeździe. Nie umiała prowadzić. Ja zresztą też nie. W pierwszej chwili nie wiedziała nawet, jak uruchomić wycieraczki, a lało jak z cebra. Ale zgodnie z tym, co wcześniej zaplanowała, nie miałyśmy jechać daleko. Naszym celem był dworzec w Bronxville, który mijaliśmy w drodze na przyjęcie. Przyjechaliśmy na miejsce z tak dużym zapasem czasu, że Paweł zdążył jeszcze znaleźć sklep monopolowy, gdzie kupił sobie wódkę. Sonia doszła do wniosku, że nawet ona jest w stanie dojechać na stację, od której dzieliły nas jakieś dwa, może trzy kilometry.

– Co ci, kurwa, strzeliło do głowy? – krzyknęłam. – Dlaczego to zrobiłaś?

– Bo zabili Crystal, to chyba jasne.

– Tak, wiem, że zabili Crystal. Ale dlaczego? Dlaczego akurat teraz?

– Oni chcieli mnie dzisiaj zamordować. W drodze powrotnej. Ciebie też pewnie planowali ukatrupić.

– Co ty pieprzysz? Niby dlaczego?

– Wsiądziemy w pierwszy pociąg w kierunku Grand Central – oznajmiła, zamiast odpowiedzieć mi na pytanie, po czym z piskiem opon zahamowała na czerwonym świetle, zatrzymując się tuż obok pięknej biblioteki z czerwonej cegły i równie zachwycającego kamiennego kościoła.

Wylądowałam twarzą na desce rozdzielczej, bo nie miałam zapiętego pasa.

– Znikniemy w metrze. Nowy Jork jest tak ogromny, że może nigdy nas nie znajdą – powiedziała i dwukrotnie uderzyła pięściami w kierownicę.

Co prawda już wcześniej jeździliśmy metrem, ale nie miałam bladego pojęcia, dokąd miałybyśmy pojechać. I choć Sonia planowała to od chwili, gdy powiedzieli nam, że Crystal nie żyje, byłam z lekka zaniepokojona tym jej „może”. „Może nigdy nas nie znajdą”. Poważnie? I to miał być ten jej plan?

Miałyśmy przy sobie sporo gotówki, bo Paweł i Kirył zawsze nosili w kieszeniach grube zwitki banknotów. Do tego podczas samego przyjęcia zgarnęłyśmy w napiwkach jakieś cztery tysiące dolarów. Richard dał mi prawie tysiąc, kiedy byliśmy razem na górze. W pierwszym odruchu nie chciałam przyjąć od niego pieniędzy, bo nie pozwolił mi się obsłużyć do końca, ale ostatecznie wzięłam tę kasę. Gdybym tego nie zrobiła, Paweł pomyślałby, że ukrywam przed nim gotówkę. Nigdy by mi nie uwierzył, że klient w ostatniej chwili postanowił jednak się wycofać. Poza tym, odkąd dowiedziałam się, że zabili Crystal, za żadne skarby świata nie chciałam go wkurzać. Wolałam nie ryzykować. Dlatego dotrzymałam umowy. Zarobiłam pieniądze. Mimo to miałam wyrzuty sumienia, kiedy brałam ten tysiąc. Teraz jednak, w samochodzie, kiedy razem z Sonią uciekałyśmy właściwie nie wiadomo dokąd, cieszyłam się z tych pieniędzy. Naprawdę się cieszyłam, że mam te wszystkie dodatkowe pięćdziesiątki i setki.

– A gdzie pojedziemy metrem? – chciałam się dowiedzieć, kiedy dotarliśmy na stację jakieś dwie minuty później.

Ale Sonia po raz kolejny nie odpowiedziała.

– Masz pieniądze? – spytała tylko.

– Tak.

– A pistolet?

– Tak. – Wiedziałam, że ona ma drugi. Obie byłyśmy uzbrojone w makarowy. Sonia miała w swoim osiem kul, czyli pełen magazynek. Mnie zostało sześć.

Kiedy stałyśmy na peronie, wskazała na rozkład jazdy wiszący w gablocie.

– Zobacz – powiedziała. – Widzisz? Pociąg będzie za siedem minut.

– Siedem minut – powtórzyłam.

– Będą mieli, kurwa, nauczkę – powiedziała, wycierając spływający po policzkach tusz do rzęs.

Miała zaczerwienione oczy i całkiem rozmazany makijaż. Od łez, ale i od deszczu. Przemokłyśmy, pędząc do samochodu, a potem złało nas drugi raz, kiedy wbiegałyśmy po schodach na peron. Poczułam ulgę, gdy znalazłyśmy się pod dachem.

– Boże, jak ja się cieszę, że oni nie żyją – dodała. – Jak ja się, kurwa, cieszę.

– Powiedz mi, dokąd właściwie jedziemy? – nie ustępowałam. Czuję, że zaczynam z lekka panikować.

Spojrzała na mnie, z jej umazanej tuszem twarzy nic nie dało się jednak wyczytać. Na pewno mnie usłyszała, ale była tak głęboko pogrążona we własnych myślach, że w tamtym momencie po prostu nie mogła mi odpowiedzieć. Te siedem minut do przyjazdu pociągu ciągnęło się w nieskończoność. Cały czas rozglądałam się, wypatrując radiowozu albo jednego z samochodów, które widziałyśmy na podjeździe domu Richarda, choć szybko doszłam do wniosku, że bardziej prawdopodobny byłby jednak radiowóz. Ci faceci z przyjęcia byli zbyt przerażeni, żeby ruszyć za nami w pościg. Na pewno nie mieli zamiaru nas gonić. Jeden z nich płakał, kiedy zakładałam kurtkę. Drugi błagał, żebym go nie zabijała, gdy wciągałam spódnicę. Czekając na peronie, w pewnym momencie usłyszałyśmy wycie syreny, ale do dziś nie mam pojęcia, czy to była policja, czy pogotowie. Nie wiem nawet, czy ten samochód na sygnale został wezwany przez kogoś z tamtego wieczoru kawalerskiego. Ostatecznie nikt nas wtedy nie ścigał. Nikt nas nie szukał. Nikt nie próbował nas zatrzymać. Oczami wyobraźni widziałam tych wszystkich facetów z imprezy, którzy nadal stoją w salonie, gapią się na zwłoki Pawła i Kiryła i zastanawiają się, co robić. Widziałam Richarda. Biednego, słodkiego Richarda.

Kiedy zajęłyśmy miejsca w pociągu, zrobiłyśmy listę wszystkich rzeczy, które miałyśmy przy sobie. Niecałe osiem tysięcy dolarów w gotówce, co wcale nie starczyłoby nam na tak długo, jak mogłoby się wydawać; portfele

Pawła i Kiryła z kartami kredytowymi, których nie mogliśmy użyć, bo to by zdradziło nasze położenie, i dwa pistolety z czternastoma kulami w magazynkach. Miałyśmy też ten duży nóż kuchenny, który Sonia zabrała tylko dlatego, że stanowił dowód rzeczowy. Powiedziała, że wyrzuci go do kubła na śmieci w centrum miasta (i rzeczywiście tak później zrobiła).

– Cholera – powiedziała nagle, odwracając się do mnie. – Zostawiłam w domu jedną rzecz.

– Zostawiłyśmy w tym domu mnóstwo rzeczy.

– Nie. To akurat było coś ważnego. Numer telefonu. Schowałam go w opakowaniu po prezerwatywie.

– Czyj numer?

Sonia uciszyła mnie, kładąc mi palec na ustach.

– Wszystko będzie dobrze. Mam dobrą pamięć do numerów. Zaufaj mi. Będzie dobrze.

Zamknęła oczy i przybrała spokojny wyraz twarzy. Byłyśmy jedynymi pasażerkami w wagonie. Wiedziałyśmy, że konduktor później powie o nas policji, ale oprócz niego nikt nie widział dwóch ładnych dziewczyn z dramatycznie rozmazanym makijażem.

*

Jak się okazało, Sonia miała w zanadrzu wiele niespodzianek. Kiedy dotarłyśmy do centrum, wsiadłyśmy do autobusu i pojechałyśmy na Times Square. W czynnym do późna sklepie z pamiątkami Sonia kupiła dla nas wełniane, czerwono-niebieskie czapki z logo nowojorskiej drużyny futbolowej, żebyśmy mogły ukryć pod nimi włosy, dołożyła do zakupów jeszcze okulary przeciwsłoneczne i dwa plecaki w tych samych barwach co czapki.

Następnie udałyśmy się do sklepu całodobowego i kupiłyśmy dwa telefony komórkowe na kartę. Sonia powiedziała, że mówi się na nie „jednorazówki”. Odkąd nas porwali, nie miałyśmy własnych komórek, ale czasami używałyśmy aparatów Ingi, Catherine czy nawet któregoś z facetów. Dlatego wiedziałyśmy, jak bardzo telefony zmieniły się przez ten czas. Mimo

to byłam pod wrażeniem, kiedy Sonia wyjaśniła mi, że potrzebujemy jednorazówek, ponieważ dzięki temu nikt nie będzie wiedział, kim jesteśmy, ani gdzie jesteśmy. Tłumaczyła, że nie musimy podpisywać żadnej umowy, a po skorzystaniu z telefonu możemy go wyrzucić i kupić sobie nowy. Nie pozwoliła mi wejść ze sobą do sklepu, ponieważ nie chciała, żeby sprzedawca widział nas razem. Schowała włosy pod czapkę, ale nie założyła ciemnych okularów, bo paradowanie w nich po północy wyglądałoby dość podejrzanie.

– Będą szukać pary dziewczyn, więc wynajmiemy pokoje w dwóch różnych hotelach – stwierdziła. Dodała, że plecaki są po to, żebyśmy wyglądały jak turystki, a nie prostytutki ukrywające się przed alfonsami albo policją.

– Wyglądamy raczej jak uczennice, a nie turystki.

– Może trochę – odparła Sonia po chwili zastanowienia. – Albo raczej jak zbiegłe striptizerki... Ale to dobrze. Jeśli nie spodoba się nam w hotelu, to może znajdziemy jakieś schronisko dla dzieciaków, które uciekły z domu.

W kwestii naszego wyglądu rzeczywiście miała rację. Uczennice nie noszą wysokich, czarnych kozaków i minispódniczek. Kiedy w pośpiechu opuszczaliśmy imprezę, nie założyłyśmy z powrotem pończoch ani pasów z podwiązkami. Sonia zdążyła naciągnąć stringi, za to żadna z nas nie miała pod skórzaną kurtką ani koszuli, ani bluzki.

– Musimy jak najszybciej zniknąć z ulicy – powiedziałam. – Każdy hotel się nada. – Doskonale wiedziałam, że nie ma co liczyć na przyzwoity pokój, skoro nie zamierzałyśmy korzystać z kart kredytowych Pawła i Kiryła. Potrzebowałyśmy takiego miejsca, gdzie wezmą od nas gotówkę i nie będą zadawać żadnych pytań. – Chodźmy już, dobrze? Bardzo się boję.

– Wiem, kochanie. Ja też.

– Proszę cię, powiedz mi wszystko, co wiesz. Ja muszę poznać prawdę.

– Chodzi ci o Crystal...

– Tak. Chodzi o Crystal. Dlaczego ją zabili? I dlaczego nas też chcieli zabić?

Sonia spojrzała na ogromny migający billboard, na którym mimo późnej pory wciąż wyświetlały się reklamy. Zmieniające się jak w kalejdoskopie obrazy miały w sobie coś hipnotycznego. W końcu odwróciła się do mnie i powiedziała: – Pięć dni temu Crystal miała klienta, który okazał się policjantem.

– O kurwa.

– No właśnie.

– Ale jej nie aresztował?

Sonia pokręciła głową.

– Nie. Dwa dni temu znów się u niej zjawił. Ale nie chciał seksu. Chciał, żeby mu pomogła przyskrzynić Juliana. I Inge. No wiesz, wszystkich szefów tego interesu.

– Oni są zbyt sprytni. Nigdy nie dadzą się złapać.

– Ten policjant obiecał Crystal, że nic się jej nie stanie. Że żadnej z nas nic nie grozi.

– Kłamał. Przecież nas też na pewno wsadziliby do pudła.

– Ale ona mu uwierzyła.

– To znaczy, że jej całkiem odbiło. Nawet ty nie jesteś aż tak walnięta.

– To prawda. Ale przypomnij sobie, jaka ona była nieszczęśliwa. Przypomnij sobie, jak bardzo chciała się wyrwać. Jak marzyła o tym, że ktoś ją wreszcie uwolni.

Skinęłam głową. Doskonale to pamiętałam.

– Julian od razu czegoś się domyślił. Kiedy tamten koleś po raz drugi zjawił się w naszym domu, kazał Pawłowi go śledzić. No i tak się wydało, że to policjant. Paweł doniósł o wszystkim Julianowi i to był koniec naszej Crystal.

– O Boże.

– Ale zanim to się stało, Crystal zdążyła mi się zwierzyć! Poprosiła o radę. Powiedziałam jej, żeby nic nie mówiła temu policjantowi, ale ona mu

uwierzyła. W dodatku jej się spodobał. I to do tego stopnia, że zgodziła się założyć podsłuch. Nie zrobiła tego tylko dlatego, że on jej na to nie pozwolił. Powiedział, że to zbyt niebezpieczne i że jest na to stanowczo za młoda.

W jakimś sensie wydało mi się to niemal zabawne: Crystal była wystarczająco dorosła, żeby się pieprzyć z amerykańskimi klientami, ale zbyt młoda, żeby założyć na siebie podsłuch. Tamtego wieczora jednak wcale nie było mi do śmiechu.

– No więc Julian...

– Bił ją tak długo, aż się do wszystkiego przyznała. A potem... sama wiesz, co zrobili potem.

– No a co z tobą?

– Ten koleś z policji nigdy do mnie nie przyszedł. Nigdy o mnie nie poprosił. Ale Crystal za dużo mi powiedziała. Paweł miał przecucie, że o wszystkim wiedziałam, a mimo to nie doniosłam na nią. Tłumaczyłam mu, że nie miałam o niczym pojęcia, ale on mi nie uwierzył. Powiedział, że już nie można mi ufać. – W tym momencie Sonia położyła mi ręce na ramionach. – Oczywiście nie mam stuprocentowej pewności, że ciebie też chcieli zabić. Ale podsłuchałam, co mówili o mnie dzisiaj w trakcie imprezy. Kiedy siedzieli w kuchni. A gdyby rzeczywiście mnie sprzątnęli, ciebie też musieliby załatwić. Nie mieliby innego wyjścia.

Czułam, że z trudem to wszystko przyswajam, a przecież jestem całkiem inteligentną dziewczyną. Kiedy Sonia zauważyła, że cała drzę, zaczęła rozcierać mi ramiona, jakby to był co najmniej styczeń w Moskwie. Gdy po chwili znów się odezwała, próbowała się nawet uśmiechnąć.

– W tej okolicy jest kilka klubów ze striptizem. – Puściła mnie i wskazała budynek znajdujący się niedaleko sklepu, w którym kupiliśmy czapki. Następnie wyciągnęła rękę w przeciwnym kierunku, gdzie jak twierdziła, znajdował się drugi klub. – A przy Empire State Building jest jeszcze jeden, pamiętasz?

– Aha.

– Nie martw się, Alexandro. Zanim wyjedziemy, szybko zarobimy trochę kasy.

– Dokąd wyjedziemy? – zapytałam.

Sonia wetknęła niesforne pasmo platynowych włosów pod czapkę, po czym poprawiła też moje nakrycie głowy, żeby żadnej z nas nie wystawał spod materiału ani jeden kosmyk.

– Na pewno nie możemy wrócić do domu. Ani do Wołgogradu, ani do Erywania.

– Za dużo tam wszędzie Wasilija – przyznałam jej rację. Poza tym nie miałyśmy w tych miastach już żadnej rodziny. Jedyne, co nas tam czekało, to wstyd i hańba.

– Zgadza się.

– A więc?

– A więc pojedziemy do Los Angeles. Pomyśl: miasto *Kawalera do wzięcia*. Miasto Kardashianów. Znikniemy w najbardziej ekscytującym miejscu na świecie.

Rozdział 10

Mężczyźni, którzy uczestniczyli w wieczorze kawalerskim Philipa Chapmana, opisali dwie zbiegłe dziewczyny policji, ale wszyscy zgodnie twierdzili, że nie mają zdjęć. Ani jednego. Spencer Doherty również przysięgał, że nie zrobił żadnych fotek. (Czy zarzekał się zbyt stanowczo? Kilka dni później Richard rozumiał już dlaczego).

Nie chodziło jedynie o to, że wszyscy bali się Pawła i Kiryła – chociaż faktycznie bali się jak diabli. Mimo że byli pijani, ani przez chwilę nie wątpili, że dwaj Rosjanie z ogolonymi głowami w najlepszym wypadku rozwalą im telefony, a w najgorszym połamią palce, jeżeli tylko ktoś spróbuje pstryknąć choćby jedną fotkę którejś z dziewczyn albo nagrać nawet kilkusekundowy filmik. Nie, mężczyźni trzymali telefony w kieszeniach, ponieważ żaden nie chciał ryzykować wydalenia z imprezy. Żaden nie chciał ryzykować, że przegapi choćby sekundę występu dziewczyn ani zmniejszyć swoich szans na zabranie którejś z nich do jednego z pozostałych pokoi w domu brata Philipa. (Kiedy Martin Scofield powrócił do salonu, a blondynka udała się – po raz kolejny – do łazienki, żeby doprowadzić się do porządku, opowiedział pozostałym gościom ze szczegółami, jak się nim zajęła. Była jak szalona, mówił. Nienasycona. Nigdy w życiu nie czuł czegoś podobnego. Później mężczyźni postrzegali już tamten salon, a właściwie cały dom, jak swój prywatny mały harem. Każdy oczekiwał, że jemu także będzie dane przeżyć chwilę niewymownej rozkoszy z jedną z dziewczyn – zaliczyć epizod, który trwale zapisze się w ich pamięci i gdy nadejdzie nieubłagana, upokarzająca starość, będzie stanowił pożywkę dla wyobraźni i bodziec zdolny wskrzesić w nich młodzieńczy wigor, nieskończenie silniejszy niż wszystkie niebieskie pigułki świata).

Tak więc dzięki wysiłkom policyjnych rysowników powstały portrety pamięciowe dwóch dziewczyn: jednej z platynowymi i jednej z kruczoczarnymi włosami. Robili, co mogli, żeby tchnąć życie w ich oczy i

uchwycić zmysłowość ich ust. Starali się, aby nos tej, która rzekomo miała na imię Alexandra, był odpowiednio nachylony, a tej, która rzekomo nazywała się Sonia – lekko zadarty. Ale w ostatecznym rozrachunku rysopis to wielce niedoskonałe narzędzie; nie potrafi wszak oddać tego, że obie dziewczyny charakteryzowała niezwykła miękkość i płynność ruchów, w której było coś ujmującego i wyuzdanego zarazem.

– Miały jakieś znamiona albo pieprzyki? Może tatuaże?

„Nie”, odpowiadali jednym głosem mężczyźni, i była to jedna z niewielu rzeczy, co do których panowała wśród nich całkowita zgoda. Obie miały nieskazitelną cerę, nieskalaną tuszem czy jakąkolwiek niedoskonałością.

*

Kiedy Richard obudził się w czwartek rano, w telefonie czekał na niego SMS od Spencera.

Jak leci, stary? Masz ochotę pogadać? Myślę o tobie i twojej rodzinie. Martwię się o twoją przyszłość w banku.

W wiadomości nie było ani słowa, które choć trochę przypominałoby groźbę i mogłoby stanowić ewentualny dowód próby szantażu. Ale Richard doskonale rozumiał sens ukryty między wierszami.

*

Kristin wiedziała, że to, co robi, jest poniżające. Absolutnie poniżające. Ale miała do reszty zszargane nerwy i była całkowicie wytrącona z równowagi. Jej poczucie własnej wartości legło w gruzach. Wiedziała, że to zły pomysł – wręcz fatalny – lecz nie umiała się powstrzymać. Kiedy we wtorek rano wyszła spod prysznic, wytarła się ręcznikiem i stanęła całkiem naga przed wielkim lustrem w sypialni. Jej i Richarda. Chłodnym, bezlitosnym wzrokiem zaczęła oglądać swoje ciało, skupiając się jedynie na śladach niszczycielskiego upływu czasu. Z każdą chwilą czuła coraz większe obrzydzenie do samej siebie. Miała czterdzieści lat, więc nie była jeszcze wcale taka stara, ale jednak czterdzieści to nie to samo co dwadzieścia. Wierzyła, że wciąż jest ładna... choć może już tylko ładna jak na swój wiek? (Oczywiście wiedziała, że tego typu myślenie jest naznaczone kulturowymi uprzedzeniami, więc szybko przywołała się do porządku. Ale wiedziała

także, że nie jest w stanie opierać się estetycznym stereotypom, tak samo jak jej piersi nie są w stanie opierać się grawitacji). Przez dłuższą chwilę, najpierw beznamiętnie, a potem z rosnącym wstrętem, wpatrywała się w swoje sutki. Pod biustem wciąż było widać zarys żeber, ale może powinien być trochę wyraźniejszy? Przyjrzała się linii ust i kształtowi nosa. Dotknęła palcami kości policzkowych. Skrzywiła się, widząc, że przydałaby się jej depilacja okolic intymnych – i skrzywiła się jeszcze bardziej na myśl o tym, że w ogóle musi się poddawać takim zabiegom. I nie chodziło wcale o ból, tylko raczej o świadomość, że jej córka będzie dorastać w świecie, w którym włosy łonowe stanowią problem.

Powinna częściej chodzić na siłownię. Powinna kupić sobie inną szminkę. Powinna...

Przede wszystkim powinna się ubrać. Odwróciła się więc od lustra, ale tego, co w nim dziś zobaczyła, nie dało już się wymazać z pamięci.

Czytała w życiu wiele artykułów wyjaśniających, dlaczego mężczyźni z natury czują popęd seksualny do młodych kobiet: z punktu widzenia biologii sprowadzało się to do czystej prokreacji, do potrzeby zasadzenia ziarna w żyznej glebie. Może i tak. Jednak myśl o tym, że Richard mógłby pożądać kobiety o połowę młodszej od siebie – od nich obojga – budziła w niej jednocześnie złość i odrazę. Przyszła jej do głowy linijka z Nabokova: „Ponieważ wykorzystałaś moją słabość”. To z *Lolity*. W tym wypadku jednak Kristin czuła, że to ona, a nie ta młoda dziewczyna, znajduje się na słabszej pozycji. W głębi duszy obawiała się, że tak naprawdę wszyscy mężczyźni są jak Humbert Humbert. Może nie od razu każdy jest pedofilem śliniącym się na widok dwunastoletnich dziewczynek, ale czyż Lolita nie wyglądała dojrzałe jak na swój wiek? Oczywiście w filmach porno występują także starsze kobiety, ale Kristin miała poczucie, że zdecydowana większość facetów woli oglądać gwiazdy porno przypominające studentki, a nie mamuśki, które można spotkać na trybunach podczas meczów piłki nożnej w każdym gimnazjum. Co prawda ona sama – czterdziestoletnia nauczycielka historii – nie zmieniła się jeszcze całkiem w Shelley Winters, lecz coraz trudniej było jej rywalizować z Lolitami tego świata.

Tyle tylko, że w tej sytuacji problemem nie były wcale pornograficzne upodobania mężczyzn. Co innego, kiedy facet w średnim wieku dopuszcza

do głosu swojego wewnętrznego gimnazjalistę i podnieca się na widok gwiazdy porno na ekranie telewizora albo tabletu, a zupełnie co innego, gdy sprowadza do domu prostytutkę (albo – co znacznie gorsze – niewolnicę seksualną). Niektóre granice rzeczywiście się zacierają – w tym momencie przypomniała sobie pewien obrzydliwy teledysk sprzed kilku lat – jednak granica pomiędzy oglądaniem porno a pieprzeniem się z prostytutką jest nadal cholernie wyraźna. I nieprzekraczalna jak mur berliński.

Kiedy się ubrała, usiadła na łóżku, żeby założyć buty. Dzisiaj wyciągnęła z szafy skromne pantofle na niskim obcasie. Pomyślała o piątkowej nocy. I o tamtej dziewczynie, która siedziała na innym łóżku, w innym pokoju, naprzeciwko jej męża. W głowie widziała wyraźnie jej twarz. Widziała, jak się beztrząsco uśmiecha. Jak lekko rozchyła usta, udając podniecenie. Widziała, jaka jest młoda.

Kristin zamknęła oczy, żałując, że jej wyobraźnia nie jest odporna na ból.

*

Nicole zamieszała jogurt z granolą i owocami. Była tak przygnębiona i zniechęcona, że aż robiło się jej niedobrze, ale czuła, że powinna coś zamówić. Po drugiej stronie stołu siedział Philip (całe szczęście, że przybył do restauracji jako pierwszy i dostał osobny boks) i pałaszował omlet z szynką, jakby nic nie jadł od kilku dni. Nicole obawiała się, że zignorował wszystkie sygnały, które wysyłała, odkąd tylko pojawiła się w lokalu. Gdy weszła, wstał, objął ją i zaczął przeproszać z nietypowym jak na siebie zapałem, chociaż ona nie uniosła rąk, żeby odwzajemnić uścisk. Próbował patrzeć jej w oczy tak, jak prawie nigdy mu się to nie zdarzało – ze szczerością i skupieniem, co miało pokazać, że słucha jej z pełnym zaangażowaniem – lecz ona spuściła wzrok i wpatrywała się w czubki własnych butów. Zaproponował, że weźmie jej płaszcz i potrzyzyma go, gdy będzie sadowiła się na ławie, ale odparła, że woli w nim zostać. Rzuciła okiem na pierścionek zaręczynowy na swoim palcu; wiedziała, że widzi go dziś po raz ostatni.

– To był koszmar – powiedział Philip. – Nie wyobrażasz sobie, jakie to było okropne. Patrzeć, jak ta wariatka z nożem zabija tego Rosjanina. Nigdy nie zdołam wymazać tego obrazu z pamięci. Nigdy. Myśleliśmy, że zaraz

zabije któregoś z nas.

Nicole nie była zaskoczona, że Philip próbuje wzbudzić jej współczucie. I szczerze mówiąc, cała ta scena musiała być naprawdę przerażająca.

– A potem usłyszeliśmy strzały. I wtedy już serio myśleliśmy, że zaraz wszyscy zginiemy. Chuck Alcott padł na ziemię i zaczął ryczeć. Ryczeć! Jak dziecko. I pamiętam, że się schyliłem. Kucnąłem za kanapą. Wiesz, to był instynkt.

Nicole przypuszczała, że „schyliłem się” i „kucnąłem” to eufemizmy. Oba te słowa zakładają działanie z rozmysłem. Bardziej prawdopodobne, że rzucił się na ziemię, jakby do pokoju nagle wpadł granat ręczny.

– Daj spokój, noże i spluwy? – ciągnął. – To miał być tylko niewinny wieczór kawalerski. Istne szaleństwo!

Wyobrażała sobie, że musiało być strasznie patrzeć na morderstwo, ale jego impreza ani przez chwilę nie miała w sobie nic niewinnego. Nie omieszkała mu tego powiedzieć.

– Słuchaj, wiem, że przyjęcie trochę wymknęło się spod kontroli – powiedział. – Wszyscy za dużo wypiliśmy. Ale wiesz, że tego żałuję, prawda? Nie mówiłbym tak, gdyby to nie była prawda. I zapewniam cię, że już nigdy, przenigdy czegoś takiego nie zrobię.

– Przyznałeś się tylko dlatego, że zostałeś przyłapany – odparła.

Philip przez chwilę wpatrywał się w uniesiony widelec. Do ząbków przykleił się kawałek jajka.

– Ale wiem, że jakoś sobie z tym poradzimy. Ja jestem w stanie o tym zapomnieć.

Już chciała wypalić: „cóż za wielkoduszność”, ale wciąż miała nadzieję, że uda się jej przejść przez tę rozmowę bez uciekania się do sarkazmu. To ostatnie wspólne śniadanie miało przebiegać w atmosferze całkowitej szczerości, dlatego powiedziała tylko:

– Ja nie.

– Co to znaczy?

– To znaczy... to znaczy wiele różnych rzeczy. Nie chodzi tylko o zaufanie. O utratę zaufania. Cały czas miałam nadzieję, że dorośniesz. Czekałam i wierzyłam, że dorośniesz. I to było głupie z mojej strony. Bo to się nigdy nie stanie. Kiedyś kochałam cię za to, że w środku jesteś małym chłopcem. Ale teraz widzę, że ten mały chłopiec to po prostu napalony nastolatek, który chciałby, żeby wszystkie kobiety były jak tanie dziwki z filmów porno.

Piękne i najlepiej z anoreksją.

– Nieprawda. Wiesz, jak bardzo cię szanuję.

– Ale to ci nie przeszkadza gapić się na inne kobiety na ulicy. Naprawdę myślisz, że tego nie widzę?

– Jestem facetem. Tak jestem skonstruowany. Jeśli ci to przeszkadza, przestanę. Zwykle patrzę tylko, kiedy jakaś kobieta jest ubrana, no wiesz, wyzywająco.

– Jeśli mi to przeszkadza? Mówisz poważnie? Nigdy ci nie przyszło do głowy, że mogę sobie nie życzyć, żebyś wytrzeszczał gały na tyłek jakiejś obcej laski?

– Nie jestem doskonały, przyznaję. Nie jestem jak mój brat. Nie jestem...

– Wcale nie wiem, czy twój brat jest od ciebie dużo lepszy.

– Większość uważa inaczej.

Nicole upuściła łyżkę na talerzyk, na którym stał szklany pucharek. Narobiła znacznie więcej hałasu, niż się spodziewała.

– Cholera, Philip, tu nie chodzi o twoje porachunki z bratem.

– Przepraszam.

Czuła na sobie wzrok innych klientów restauracji. W oczach Philipa widziała strach, że za chwilę zrobi scenę. Nie planowała tego, kiedy szła na to spotkanie. Ale na tym etapie, to już nie miało znaczenia. Liczyło się tylko to, że udało jej się uniknąć największego błędu w życiu. To jedyne, co wynikło dobrego z tej obrzydliwej orgii.

– Jak śmiesz mówić: „Jestem w stanie o tym zapomnieć”, jakby to miało

znaczyć, że jesteś taki dojrzalszy albo lepszy ode mnie? Jak śmiesz? Kogo obchodzi, czy ty o tym możesz zapomnieć? Ja nie potrafię. – Zaczęła płakać i pociągać nosem, ale nie przejmowała się tym. Nie przejmowała się już niczym. Wstała i założyła sobie torebkę na ramię. Następnie uniosła lewą dłoń i ściągnęła pierścionek z palca. Philip wstał, wyciągnął do niej rękę, prosił, by to jeszcze przemyślała, by nie rezygnowała z tego wszystkiego, co razem stworzyli. Ale ona bez słowa rzuciła pierścionek na stół. Odbił się od blatu i spadł na podłogę, a Philip padł na kolana – wręcz zanurkował – żeby go złapać. Nicole nie wiedziała nawet, czy wybiegł za nią z restauracji i czy próbował ją gonić, bo ani razu się nie obejrzała.

*

Kilka godzin później Richard tłumaczył swojemu młodszemu bratu, że Nicole może jeszcze zmienić zdanie za parę tygodni albo miesięcy. Ale sam w to nie wierzył. Powiedział tak, bo czuł, że powinien coś powiedzieć, a przez telefon nie umiał do końca rozszyfrować tonu swojego brata. Tak czy inaczej, ślub został odwołany. Ta część rozmowy była krótka i niemalże mechaniczna. Zupełnie jakby Philip zdążył się już oswoić z tą złą nowiną, przeskoczył cztery pierwsze etapy żałoby i przeszedł od razu do akceptacji. Tak naprawdę Richard nie zdziwił się, że Nicole zostawiła go, zanim jeszcze stanęli przed ołtarzem; podejrzewał, że Kristin na jej miejscu zrobiłaby dokładnie to samo. Tak jak każda kobieta, która ma choć odrobinę szacunku do samej siebie. Mimo to współczuł bratu. Wyglądało na to, że konsekwencje piątkowej nocy robią się coraz gorsze dla wszystkich zainteresowanych.

– Nie wydaje ci się dziwne, że ci wszyscy Rosjanie wyszli za kaucją? – Philip zniecierpliwiony zmienił temat.

– Nie wszyscy wyszli – odpowiedział asekuracyjnie Richard.

– Dobra, większość. Nie mogłem uwierzyć, że jeden z nich to ten sam gość, z którym Spencer rozmawiał przez telefon, kiedy zamawiał dziewczyny.

– Naprawdę obracasz się w ciekawym towarzystwie. – Richard wciąż nie zdecydował, czy powiedzieć bratu, co wyczynia jego nikczemny koleżka, i poprosić o pomoc. Domyślał się, dlaczego tak się z tym ociąga, bo koniec końców pewnie i tak da draniowi te pieniądze. Może kiedy już wypisze czek

albo zrobi przelew, wtedy doniesie wreszcie na Spencera. Poinformuje Philipa, że jego przyjaciel to kanalia. Nie mógł jednak zapominać o jednym: nie ma żadnej gwarancji, że Spencer nie będzie wracał po więcej. Był to jeden z powodów, dla których Richard cały czas jeszcze nie zadzwonił do swojego doradcy inwestycyjnego, żeby zlecić mu przeniesienie części środków.

– On tylko gadał z nim przez telefon – odparł Philip. – Nie spotkali się osobiście.

– Następnym razem powiedz mu, żeby po prostu zajrzał na Craigslist, dobra?

– Umowa stoi – zgodził się Philip, choć Richard wolałby, żeby jego młodszy brat zapewnił, że nie będzie następnego razu. – Spencer sra w gacie ze strachu. Nie mieści mu się w głowie, że ci kolesie są z powrotem na wolności.

– Pewnie ma powody, żeby się bać.

– Przez niego sam się teraz czuję trochę nieswojo. Ale czego mogliby od nas chcieć Rosjanie, prawda?

– Chyba niczego.

– Jak to „chyba”?

– Po prostu.

– Rozczarowałeś mnie, braciszku. Powinieneś być bardziej pewny siebie, dodawać mi otuchy.

– Naprawdę?

– To jedna z zasad bycia starszym bratem.

– Dobrze wiedzieć.

– Do tego słyszałem, że Spencer ma coraz większe kłopoty.

– Ach tak? – Richard od razu się ożywił.

– Adwokat Brandona Fishera wczoraj znowu zadzwonił do jego prawnika. Żona Brandona zgłosiła się do jakiejś kliniki.

– Bez jaj.

– Wiem, wiem. W każdym razie Spencer ma teraz z jednej strony Rosjan, a z drugiej prawników. Nie jest zbyt szczęśliwy.

– Ja też nie jestem.

– Zrobisz coś dla mnie?

– Co? – Richard przygotował się na najgorsze.

– Mama i tata są lekko przybici tym całym ślubem. Naprawdę lubią Nicole. Na pewno zadzwonią do ciebie jeszcze dzisiaj wieczorem albo jutro.

– No i?

– Uspokój ich. Powiedz, że nic mi nie jest.

– Jasne, nie ma sprawy. Mogę to zrobić. – Może to niestosowne, ale Richard poczuł się odrobinę dumny z faktu, że choć upadł tak nisko, przynajmniej w oczach rodziców, oraz samego Philipa, pozostawał osobą o większym autorytecie moralnym niż jego młodszy brat. Oczywiście poprzeczka była zawieszona dość nisko. Ale jednak.

– Co dalej? – zapytał Philip.

– Ze mną? Nie wiem. Zobaczę, z czym mi się dzisiaj skojarzy ten test Rorschacha na ścianach w salonie i na kanapie.

– Kanapa ciągle tam jest?

– Jakaś firma od odpadów ma ją zabrać, ale przyjeżdżają dopiero w sobotę.

– Widzieli ją?

– Nie.

– No to będą mieli niezłą niespodziankę. Ja na twoim miejscu po prostu wytargałbym ją na zewnątrz i podpałił.

– Kanapa to najmniejsze z moich zmartwień – odparł, a jego brat wymamrotał coś nie do końca zrozumiałego i przyznał mu rację.

Po zakończeniu rozmowy Richard ujrzał wóz telewizyjny wolno mijający

jego okna; miał ochotę pokazać ekipie środkowy palec. Westchnął, przypominając sobie, że już za kilka dni Halloween. Ciekawe, czy w tym roku w ogóle przyjdą do nich przebierańcy po cukierki, czy też stał się już takim pariasem, że żaden szanujący się rodzic nie pozwoli swoim dzieciom nawet zbliżyć się do domu Chapmanów.

Alexandra

Jakoś udało mi się zasnąć. Zwinęłam się w kłębek, naciągnęłam kołdrę na głowę i zapadłam w głęboki sen w pokoju hotelowym.

Dopiero kiedy zbudziłam się następnego ranka, powrócił strach. Za każdym razem, gdy na ulicy rozlegał się dźwięk syreny, ogarniało mnie przerażenie. Sonia była w hotelu dwie przecznice dalej, co wcale nie dodawało mi otuchy. Mój pokój znajdował się na drugim piętrze, a okno wychodziło wprost na szyb wentylacyjny. Na zewnątrz nie było schodów pożarowych. Oczywiście nie obawiałam się pożaru. Bałam się, że jeśli po mnie przyjdą, nie będę miała którejdy uciekać.

Oni. Rosjanie. Policjanci. A może jeszcze ktoś inny.

Postanowiłam, że gdyby zjawili się Rosjanie, zrobię użytek z pistoletu Kiryła, lecz jeśli do drzwi zapuka policja albo wojsko, poddam się bez walki (nie mam pojęcia, skąd mi przyszło do głowy to wojsko). I pójdę do tego potwornego więzienia na Rikers Island, o którym opowiadali mi Julian i Inga. Ale do Rosjan będę strzelać, bo tym razem nie każą mi sikać do puszki po kawie. I nie spalą mi włosów tak jak Sonii. Tym razem będą chcieli mnie zabić.

Uważałam, że powinniśmy uciec znacznie dalej. Jeśli miałyśmy jechać do Los Angeles, trzeba to było zrobić od razu. Bo jak na razie niespecjalnie się oddaliśmy od naszego poprzedniego miejsca zamieszkania. Spojrzałam na plan metra i znalazłam adres kamienicy, która do wczoraj była naszym domem. Policzyłam przecznice. Znajdowałyśmy się zaledwie czterdzieści pięć ulic na północ i dziesięć alei na zachód od budynku, w którym nas ulokowali.

Ale Sonia uznała, że chwilowo nie powinniśmy nigdzie wyjeżdżać. Nie powinniśmy zwracać na siebie uwagi w momencie, gdy wszyscy nas szukają. Poza tym, jak twierdziła, raczej nikomu nie przyjdzie do głowy, że

ukrywamy się w samym centrum Nowego Jorku, bo – jak wiadomo – zawsze najciemniej jest pod latarnią. Zresztą za kilka dni i tak miałyśmy się stąd ulotnić.

Mimo to wraz z nastaniem świtu jej plan wydał mi się czystym szaleństwem. Nawet gdyby udało nam się dostać do Los Angeles, wcale nie miałam pewności, że będziemy tam bezpieczne. Mimo obowiązującego w hotelu zakazu palenia stanęłam w otwartym oknie i zapaliłam papierosa. Doskonale zdawałam sobie sprawę z tego, że oligarchowie, tacy jak Wasilij, niczym gigantyczne ośmiornice dosłownie wszędzie sięgali swoimi mackami.

*

Zastanawiałam się, czy znalazłabym w sobie dość odwagi, żeby pomóc temu policjantowi, gdyby to u mnie się zjawił. Nie potrafiłam sobie odpowiedzieć na to pytanie, ale wiedziałam jedno: nawet jeśli Crystal rzeczywiście się w nim zadurzyła, nie zmienia to faktu, że podjęła to ryzyko dla nas wszystkich. Zrobiła to z myślą o mnie, o Sonii i o wszystkich pozostałych dziewczynach, które przywozili do Ameryki. Byłam tego pewna. I gdyby jej się udało, wszystkie odzyskałybyśmy wolność. Wciągając dym do płuc, poczułam, że już nie jestem przerażona, tylko bardzo, bardzo smutna.

*

Zgodnie z planem w sobotę o dziewiątej rano miałyśmy się spotkać z Sonią w pizzerii, którą widziałyśmy poprzedniego wieczora. Obudziłam się dużo wcześniej. Wypaliłam papierosa, po czym zrobiłam listę. Dzięki temu nie skupiałam się tak bardzo na tym, jaka jestem smutna i przerażona. Być może dzięki temu czułam się, jakbym miała nad czymś kontrolę. Policzyłam, ile mamy pieniędzy i ile wydajemy. Hotel, jedzenie, nowe ubrania – to wszystko kosztowało. Jeśli faktycznie chcieliśmy jechać do Los Angeles, musiałyśmy zarabiać każdego wieczora znacznie więcej, niż wydawałyśmy, bo potrzebowałyśmy znacznie więcej, niż miałyśmy. Do tego dochodziły paszporty – nieważne, czy kradzione, czy podrobione, wiedziałam, że będą nas kosztować fortunę. W porównaniu z lewymi paszportami bilety lotnicze były tanie jak barszcz.

Powiedziałam o tym wszystkim Sonii, gdy jadłyśmy pizzę na śniadanie.

Stałyśmy przy blacie pod ścianą, na której wisiało lustro, dzięki czemu widziałyśmy wszystkich klientów wchodzących do lokalu. Byłam strasznie głodna. Ostatni posiłek jadłam poprzedniego dnia, jeszcze zanim wyruszyłyśmy na wieczór kawalerski. Cały czas miałyśmy na głowach wełniane czapki z logo drużyny futbolowej. I choć znajdowałyśmy się pod dachem, nie zdjęłyśmy okularów przeciwsłonecznych.

– Nie wiem, na jakich zasadach działają tutaj kluby ze striptizem, ale przecież nie mogą się jakoś bardzo różnić od tych w Moskwie, nie?

– A co ty wiesz o klubach w Moskwie? – zapytałam. – Przecież nigdy w żadnym nie pracowałam.

Sonia spojrzała na suchy brzeg pizzy, który trzymała w ręce jak obgryzioną kość kurczaka.

– Zrucasz ciuchy i faceci dają ci pieniądze. Niektórych zabierasz do specjalnego pokoju i tam robisz im dobrze. A potem oddajesz część zarobionej kasy szefowi. Nic skomplikowanego.

– Mamy na sobie czapki i okulary, bo się ukrywamy – przypomniałam jej. – Bo nie chcemy, żeby ktokolwiek nas rozpoznał. A ty zamierzasz wyjść na scenę i pokazać się całkiem goła bandzie obcych facetów? To może od razu wrócmy do naszej kamienicy i zawołajmy: „Jesteśmy! Chodźcie nas zabić!”. Albo podejźmy do jakiegoś policjanta na ulicy i powiedzmy mu, kim jesteśmy.

– Nikt nie wie, jak wyglądamy.

– Faceci z przyjęcia wiedzą! – odparłam, przypominając sobie niektóre twarze. Pomyślałam o bracie przyszłego pana młodego. O Richardzie. I o sypialni na piętrze, do której poszliśmy.

– Ale oni nas nie szukają, możesz mi wierzyć na słowo. Te żałosne dupki? Przecież to skończone tchórze. Poza tym, jaki mieliby interes w tym, żeby nas znaleźć? Żaden. Oni się nas boją. Tak więc, moim zdaniem, mamy trzy noce.

– Trzy noce?

– Tak, trzy dni i trzy noce, zanim zrobi się zbyt niebezpiecznie. Każda z

nas powinna się zahaczyć w dwóch klubach. Będziemy pracować na dwie zmiany: w jednym klubie w dzień, w drugim w nocy. Zgarniemy, ile się da z napiwków. Podliczymy, ile zarobiłyśmy, i we wtorek spotkam się z koleśkiem, który załatwi nam paszporty...

– Znasz kogoś, kto może to zrobić? Tutaj?

Sonia skinęła głową.

– W zeszły wtorek był u nas w kamienicy. Obsługiwaliśmy go razem z Crystal.

Wiedziałam, o kim mówiła. O jednym Gruzinie z Tbilisi, który mieszkał w Queens. Od razu było po nim widać, że ma kontakty na czarnym rynku. Wysoki blondyn z jasną, idealnie przystrzyżoną brodą. Znał naszych Rosjan, ale nie utrzymywał z nimi bliższych kontaktów.

– Ten facet... – zaczęłam, ale Sonia zaraz weszła mi w słowo.

– O nic nie pytaj. Nie chcę, żebyś za dużo wiedziała, zwłaszcza jeśli mój plan nie wypali.

– Nie zgadzam się. Musisz mi powiedzieć.

– Jak chcesz. To jego numer telefonu zostawiłam na imprezie. Ukryłam go w opakowaniu po prezerwatywie. A potem jak idiotka zabrałam je na górę. Kartka leży na łóżku albo gdzieś obok. Zapomniałam ją stamtąd zabrać. Zapamiętałam jednak większość cyfr. Może będę musiała kilka razy popробować, ale prędzej czy później dodzwonię się pod właściwy numer. – Przerwała na moment, napiła się napoju gazowanego z papierowego kubka i na nowo podjęła wątek: – We wtorek wieczorem będziemy już w drodze do Kalifornii. Polecimy dwoma różnymi samolotami, ale spotkamy się na lotnisku w Los Angeles. Może zadzwonię do Kim Kardashian, żeby nas odebrała. – Kiedy wymawiała imię celebrytki, na jej twarzy pojawił się uśmiech. Naprawdę nie rozumiałam, jak mogła w takiej chwili żartować. – A więc wtorek wieczorem – powtórzyła, gdy nie odezwałam się ani słowem.

Zamyśliłam się. Była sobota rano. W klubach ze striptizem w sobotnią noc był największy ruch. Nawet ja to wiedziałam.

– Może w takim razie powinnyśmy coś znaleźć już dziś wieczorem?

– Powinnyśmy? Dziewczyno, my musimy coś znaleźć! Musimy zacząć jak najszybciej, najlepiej od zaraz!

Nie byłam jednak do końca przekonana. Zastanawiałam się, czy dziewczyny, które pracują w tych klubach, przyjmą nas z otwartymi ramionami. Ja na ich miejscu wcale nie miałabym ochoty dzielić ani sobotnich klientów, ani tym bardziej zostawianych przez nich napiwków z jakąś obcą panną, która nagle pojawiła się nie wiadomo skąd.

Jak się jednak okazało, striptizerki nie miały nic do gadania. Liczyło się tylko zdanie menadżerów. A kiedy zrzuciłyśmy ciuchy, ci przyjęli nas bez chwili wahania. O drugiej po południu obie miałyśmy już robotę i zarabiałymy kasę. Sonia tańczyła w klubie przy Dziesiątej Alei, a mnie przyjęli do tego przy Empire State Building. A potem się zamieniłyśmy. Skończyłyśmy pracę o czwartej nad ranem, kiedy drzwi klubu zamknęły się za ostatnim klientem.

*

Myślę, że menadżerowie byli zaskoczeni kwotą, jaką każda z nas wręczyła im na koniec zmiany. Zarobili na nas naprawdę sporo, i to już po opłaceniu bramkarza, barmana i didżeja. W jednym klubie chcieli czterdzieści procent naszego utargu, w drugim pięćdziesiąt. W tym pierwszym bramkarz dał nam wolną rękę w kwestii prywatnych pokoi – mogłyśmy z klientami robić wszystko, pod warunkiem że dostał swoją dołę. W drugim, pewnie z powodu wcześniejszego nalotu policji, nie pozwalali nam robić nic z wyjątkiem siadania klientom na kolanach i ocierania się o nich przez spodnie.

Mimo to nasze zarobki wcale na tym nie ucierpiały.

Wprost nie mogłyśmy uwierzyć, ile pieniędzy udało nam się zdobyć w tak krótkim czasie.

*

W niedzielę, kiedy szłyśmy po ulicy w tłumie nowojorczyków, spytałam ją, jak mogła w trakcie tego nieszczęsnego wieczoru kawalerskiego uprawiać seks w pokoju, który należał do małej dziewczynki. Ale ona tylko wzruszyła ramionami.

- Ten facet mnie tam zaprowadził.
- Który?
- Ten, co miał szelki. Spencer. To on nas wynajął.
- Wiesz, że oprócz opakowania po prezerwatywie i numeru telefonu zostawiłaś w tym pokoju zużyta gumkę?
- On zostawił, nie ja. Zużyte gummy to problem facetów, nie nasz.
- A pomyślałaś o tej dziewczynce? Pomyślałaś, jak ona będzie się z tym czuła?
- Skoro tak bardzo przejęłaś się jej samopoczuciem, to trzeba było zabrać stamtąd tę gumkę. I co, zabrałaś?
- Nie.
- W takim razie nie masz prawa mnie oceniać. Pomyślałaś o tej dziewczynce? – wymamrotała pod nosem. Nie wiem, czy powtórzyła moje słowa, bo po prostu mnie przedrzeźniała, czy dlatego, że ja też wcale nie pomyślałam o tej małej.

*

W chwilach gdy nie tańczyłam na scenie ani nie siadałam facetom na kolanach, starałam się nie zwracać na siebie uwagi. Prawie nie rozmawiałam z innymi dziewczynami, z wyjątkiem jednej kobiety, która – jak Inga czy Catherine – uczyła nas zasad obowiązujących w klubie i pokazywała, jaki mamy sobie zrobić makijaż. Musiałyśmy też od niej kupić ciuchy do striptizu, czyli w praktyce po prostu stringi, stanik i seksowną koszulkę. Z tego wszystkiego najdroższe były buty. Sonia nieźle się wściekła, kiedy się okazało, że w każdym lokalu musimy kupić osobną parę. Gdy trafiłam do drugiego klubu, powiedziałam, że mam już buty na obcasie, ale ich to nie obchodziło. Kazali mi kupić szpilki i już. Żaden klub nie miał ani porządnej sceny, ani rury. W jednym były lustra, w których ładnie odbijałyśmy się w trakcie tańca. W obydwu salach panował półmrok, ale w jednym z klubów zamontowali seksowne czerwone oświetlenie. Za to w obu łazienkach było niemożliwie jasno. Sonia wyjaśniła, że to po to, żeby klienci nie wywijali żadnych numerów. I żeby nie wnosili do kibla alkoholu. Dlaczego? Bo

mogliby go dać dziewczynom, które co prawda są dość dorosłe, żeby tańczyć nago i zaspokajać ich potrzeby, ale zbyt młode, żeby legalnie pić alkohol.

Nasza praca sprowadzała się głównie do tego, że chodziłyśmy od klienta do klienta, ściągałyśmy stanik, siadałyśmy im na kolanach i wykonywałyśmy taniec erotyczny. Wieczór w klubie przypominał imprezy, na jakich bywałyśmy w Moskwie: stado facetów w eleganckich koszulach i spodniach od garnituru, a naokoło mnóstwo nagich dziewczyn. Nic specjalnego. Mój patent na podryw był bardzo prosty: zaczepiałam gościa, mrucząc mu do ucha: „To mnie przyszedłeś tu dzisiaj spotkać. Wiem, bo ja też tu przyszłam spotkać ciebie”. Taniec trwał tyle, ile piosenka, a czasem nawet trochę krócej, na koniec klient powinien zapłacić dwadzieścia dolarów; w rzeczywistości dostawałam czterdzieści, a nawet pięćdziesiąt. Kiedy szłam z facetem do prywatnego pokoju, żeby mu zaserwować coś ekstra, cennik przedstawiał się następująco: trzysta dolarów, jeśli użyłam ręki, pięćset, jeśli robiłam to ustami.

*

Niektóre spośród tancerek miały dzieci, inne były studentkami, jeszcze inne pracowały na kilku etatach. Część z nich miała chłopaków, ale nie spotkałam żadnej mężatki. Były też takie, które tańczyły, żeby zarobić na narkotyki, i takie, które znalazły się w klubie tylko dlatego, że były ładne i nie bardzo wiedziały, co ze sobą zrobić. Niektóre pracowały w tej branży od czterech czy pięciu lat, inne planowały rzucić striptiz, kiedy tylko pojawi się coś lepszego. I tylko nieliczne nie miały żadnego problemu z tym, żeby zabrać klienta do prywatnego pokoju i zrobić mu dobrze. Wiele dziewczyn patrzyło na mnie krzywo właśnie dlatego, że ja to robiłam.

Ale mogły mnie oceniać do woli. Miałam to gdzieś. Jedna panna kupowała dodatkowe pary majtek, zakładała je na chwilę, po czym zdejmowała, pryskała perfumami i sprzedawała kolesiom za pięćdziesiąt, a nawet sto dolarów. Inna z kolei pozwalała, żeby klient jedną ręką masował jej stopę, a drugą zabawiał się sam ze sobą. Uważała się za lepszą ode mnie. W porządku, miała do tego prawo.

W jednym z klubów zakumplowałam się z dziewczyną o imieniu Zooey, ale tylko dlatego, że cały czas starała się być dla mnie miła. Większość

panienek była do siebie wrogo nastawiona. Żadnej solidarności. Jedna drugą obgadywała za plecami, rzucając teksty w stylu: „ale z niej dzieciak” albo „straszna z niej dziwka”, albo „co za suka”. Powiedziałam wszystkim, że jestem z Polski i mam na imię Kasia, więc menadżer kazał mi występować na scenie pod pseudonimem Kesha – jak ta znana piosenkarka. Zoey pochodziła z Cleveland i była ode mnie dwa lata starsza. Miała bardzo drobną figurę, przepiękne ciemne oczy i idealnie gładką ciemną skórę.

Któregoś razu, gdy wróciłam z prywatnego pokoju, odciągnęła mnie na bok.

– Wiesz, jak się upewnić, że nie masz do czynienia z gliną? – spytała. Na moment zamarłam ze strachu, bo przyszło mi na myśl, że odkryła, kim jestem. Musiałam zbyt długo zwlekać z odpowiedzią, bo po chwili znów się odezwała. – No wiesz, z tajniakiem.

Potrząsnęłam głową.

– Jak?

– Musi dotknąć twoich cycków, zanim ty zaczniesz go dotykać. Możesz mu nawet pozwolić włożyć sobie palec, zanim go dotkniesz.

– Ale dlaczego?

– Policjant nie może cię aresztować za prostytutkę, jeśli sam skorzysta z twoich usług.

– I wtedy jest OK?

Zoey zaśmiała się cicho.

– Nigdy nie jest OK. Ale przynajmniej cię nie przyskrzynią.

*

Niewiele brakowało, a nie zjawiłabym się w klubie w niedzielę po południu. Rano zobaczyłam, co piszą w gazetach, a gdy wróciłam do pokoju, włączyłam telewizor i usłyszałam, co mówią dziennikarze. Co prawda nigdzie nie było naszych zdjęć, za to wszędzie – dosłownie wszędzie – pojawiało się słowo „oblawa”. Dwie prezenterki telewizyjne dyskutowały o tym, jak bardzo jesteśmy niebezpieczne. Jedna twierdziła, że nie stanowimy żadnego zagrożenia. Że tylko zabiłyśmy bandytów, którzy trzymali nas w

niewoli. Druga odparła, że nawet jeśli to prawda, nie zmienia to faktu, że jesteśmy brutalne i agresywne. Kiedy to usłyszałam, zrobiło mi się niedobrze.

Powiedziałam Sonii, że nie powinnyśmy wracać do pracy, ale ona przekonywała mnie, że nie ma żadnego powodu do obaw, bo nikomu nawet nie przyjdzie do głowy, że to my jesteśmy tymi dziewczynami z imprezy. W końcu wszyscy szukają pary uciekinierek. Nikt nie wie, jak wyglądamy. A poza tym to, co robimy, jest zbyt szalone, żeby ktokolwiek mógł nas zdemaskować.

I miała rację. Po południu znów tańczyłyśmy na scenie i robiłyśmy to, co potrafiłyśmy najlepiej. Uszczęśliwialiśmy mężczyzn i dostawałyśmy za to pieniądze.

Kiedy w poniedziałek nad ranem każda z nas skończyła nocną zmianę, zadałam Sonii jedno pytanie:

– A gdy już dotrzemy do Los Angeles, to co wtedy? Powiedz mi, co wtedy?

Spotkałyśmy się nieopodal wejścia na stację metra na Broadwayu, tak jak się wcześniej umówiłyśmy. Dochodziło piętnaście po czwartej. Ulica wciąż tętniła życiem. Piętnaście po czwartej nad ranem, a nas mijaly tłumy ludzi, jakby to był środek dnia. Wszędzie było pełno żółtych taksówek, samochodów i furgonetek rozwożących pieczywo.

– Ale o co ci chodzi?

– Doskonale wiesz o co – odparłam. – Kto nam tam pomoże?

– Jak to kto? Kim.

– Sonia, ja mówię poważnie.

– Szczerze mówiąc, nie mam pojęcia. Wiem tylko, że nie możemy tu zostać.

*

Zadziwiające, jak wielu mężczyzn chciało mnie zabrać na kolację. Jak wielu chciało pójść ze mną do hotelu, kiedy skończę zmianę. I jakie pieniądze byli gotowi zapłacić, jeśli zgodzę się opuścić klub na kilka godzin.

Ja jednak wiedziałam, że ostatecznie zarobię o wiele więcej, jeżeli zostanę. Mężczyźni zawsze płacą więcej w takich miejscach jak to, kiedy są głodni.

*

W poniedziałek, gdy obudziłam się późnym rankiem, zobaczyłam w telewizji, że aresztowali kilku Rosjan i jakieś dziewczyny.

Byłam tak podekscytowana, że oglądałam wiadomości na stojąco, przeskakując z jednego kanału informacyjnego na drugi, żeby usłyszeć to kilka razy. Żałowałam, że nie ma ze mną Sonii. W moim sercu rozbłysła iskierka nadziei. Miałam ochotę chwycić ją za ręce i skakać po pokoju z radości. Nie żartuję. Naprawdę tak się czułam.

Kiedy jednak obejrzałam relację po raz trzeci czy czwarty, zdałam sobie sprawę, że nie rozpoznaję żadnych nazwisk. Nic nie wskazywało na to, że Julian czy Konstantin znaleźli się w grupie aresztowanych osób. A imion dziewczyn w ogóle nie podano. (Nie żebym je znała; ani ja, ani Sonia, ani Crystal nie zostałyśmy nigdy przedstawione innym prostytutkom).

Chciałam zapytać Sonię, co jej zdaniem oznacza fakt, że nie zatrzymali ani Juliana, ani Konstantina. Chciałam się dowiedzieć, czy kojarzy tych, którzy zostali aresztowani. Ale starałyśmy się nie używać telefonów komórkowych – na wszelki wypadek. Dlatego usiadłam z powrotem na łóżku i odpalając jednego papierosa od drugiego, czekałam na swoją popołudniową zmianę. Miałam gdzieś, że nadymiłam w pokoju, za co mogli mnie ukarać wysoką grzywną albo wyrzucić z hotelu.

*

Kiedy skończyłyśmy poniedziałkową nocną zmianę, każda poszła do swojego hotelu, żeby się trochę przespać. Postanowiłyśmy, że to koniec i że więcej nie wrócimy do klubów. Chodziło tylko o to, żeby przez trzy dni jak najwięcej zarobić na tańcu i napiwkach – i rzeczywiście zgarnęłyśmy kupę kasy. Sonia dodzwoniła się do faceta od paszportów za dziesiątym czy dziesiątym razem i umówiła się z nim na spotkanie we wtorek w porze lunchu. Powiedziałam, że pójdę razem z nią, ale się nie zgodziła. Obiecała, że między drugą a trzecią po południu puści mi sygnał. To będzie znak, że mam wyjść z hotelu i podejść do pizzerii, gdzie będzie na mnie czekać.

*

Obudziłam się około dziewiątej rano i już nie mogłam zasnąć, mimo że spałam tylko kilka godzin. Wyszłam z hotelu i poszłam pospacerować po Times Square. Kiedy zapalałam papierosa, zauważyłam dwóch facetów, którzy mi się przyglądali. Byłam pewna, że to Rosjanie. Stałam pod przepięknym budynkiem jednego z broadwayowskich teatrów. Może niepotrzebnie świrowałam, ale i tak położyłam rękę na pistolecie, który wetknęłam za pasek spódnicy i zasłoniłam kurtką. I kiedy zobaczyłam przejeżdżającą obok wolną taksówkę, bez chwili namysłu zamachałam i wskoczyłam do środka. Powiedziałam taksówkarzowi, żeby mnie zawiózł na Trzynastą Ulicę, choć nie miałam tam żadnego interesu. Wymyśliłam to na poczekaniu. Gdy już dotarliśmy, kazałam mu jechać na Drugą Aleję, a potem do Central Parku. Cały czas zerkałam na ulicę przez tylną szybę, zupełnie jak w tych filmach, które oglądałyśmy w Rosji. Żaden samochód nas nie śledził.

– Co przeskrobałaś? – zapytał taksówkarz, gdy znaleźliśmy się na Drugiej Alei. Był Hindusem.

– Nic – odpowiedziałam, ale mi nie uwierzył. Poprosił, żebym zapłaciła za przejechaną do tej pory trasę. Nie kazał mi wysiąść. Po prostu chciał się upewnić, że mam pieniądze. Więc zapłaciłam, a on wyzerował licznik i ruszyliśmy w kierunku Pierwszej Alei, gdzie skręciliśmy na północ.

Podróż taksówką zakończyłam wreszcie przy rzece Hudson. Na piechotę wróciłam do hotelu, mijając po drodze jeden z klubów, w którym rozbierałam się przez cały weekend.

Nie mogłam się doczekać, kiedy już wydostaniemy się z Nowego Jorku, wcale jednak nie miałam pewności, czy w Los Angeles będzie dużo lepiej. Obawiałam się, że już do końca życia będę się oglądać za siebie.

Żałowałam, że nie umiem mówić po francusku. Gdybym znała francuski, może mogłybyśmy pojechać do Paryża. Oczywiście tam też byli Rosjanie, ale przynajmniej nie ci, którzy chcieli mnie zabić.

*

Siedziałam w pokoju hotelowym i czekałam. Byłoby mi różnie, gdybym mogła obejrzeć choć jeden odcinek *Kawalera do wzięcia*, ale akurat nie leciał

w telewizji.

Skakałam więc po kanałach, paląc jednego papierosa za drugim i myśląc o tym, ile bym dała, żeby Sonia nie zadzgała Pawła. Żeby Crystal nie zadała się z tym policjantem. Żebyśmy nigdy nie przyjechały do Ameryki. Wyrzesałam przez okno wychodzące prosto na ceglany szyb wentylacyjny. Przez chwilę patrzyłam na brud na ścianach i zastanawiałam się, czy moja mama, gdzieś tam w niebie, widzi, co się ze mną stało. Czy babcia mnie widzi. Myślałam o tym, co teraz robi Najiri. Pomyślałam też o Richardzie Chapmanie. Pewnie siedział w swoim eleganckim nasłonecznionym biurze w jakimś drapaczu chmur, otoczony przez innych ważniaków ze swojej firmy, ich sekretarki i superszybkie komputery, podczas gdy ja tkwiłam w pokoju hotelowym sama jak palec, przerażona, mając do towarzystwa jedynie głupi telewizor.

*

W końcu wybiła druga. A potem trzecia. Czekałam całe popołudnie na ten jeden krótki dzwonek telefonu. Ale się nie doczekałam.

Cały czas odbezpieczałam i z powrotem zabezpieczałam pistolet.

O piątej postanowiłam zatelefonować do Sonii. Po jednym sygnale natychmiast się rozłączyłam. Ale nie oddzwoniła. Ani o piątej, ani o szóstej, ani o siódmej. Ani o żadnej innej porze.

I choć nie wiedziałam, co się stało, w głębi duszy czułam, że już jej nigdy nie zobaczę. Że już nigdy nie zobaczę mojej Sonii. Chciałam wierzyć, że żyje, ale miałam co do tego wątpliwości. Poważne wątpliwości. Wcześniej już nieraz wpadałam w tarapaty. Ale jeszcze nigdy nie czułam się tak osaczona i tak przerażona jak teraz. Wiedziałam, że po mnie przyjdą. I nie miałam pojęcia, ani jak, ani dokąd przed nimi uciekać.

Rozdział 11

W czwartek w porze lunchu Melissa szła razem z Emiko i Claudią z powrotem do ceglanego gmachu szkoły po wuefie. Dzisiaj ich klasa grała w piłkę nożną. Znowu. Ani Melissa, ani Emiko nie przepadały za tą grą, ale już lepsze to niż futbol z flagami. Claudia też twierdziła, że nie lubi piłki nożnej, ale grała z taką samą dziką energią, jaką wkładała w jazdę na nartach, taniec i gry wideo. Mimo to nawet ona przyznała, że bardziej będzie jej się podobało za kilka tygodni, kiedy wrócą pod dach i zaczną uprawiać gimnastykę.

– Chyba wszystkie rozumiemy, co to znaczy – stwierdziła nagle Claudia.

Melissa odwróciła się do przyjaciółki, która miała ziemię na rękach, ramionach i brodzie. Claudia szybko biegła, mocno kopała piłkę i zaliczyła dzisiaj kilka efektownych upadków. Melissa nie musiała pytać, co ma na myśli. Emiko też nie. Wszystkie trzy wiedziały, o co chodzi, ponieważ myślały o tym od rana, odkąd Melissa zapytała przyjaciółki, co według nich oznacza termin „niewolnica seksualna”.

– Przecież wiemy, co to jest niewolnictwo, i wiemy, co to jest seks – kontynuowała Claudia.

– A niewolnicy, którzy są mężczyznami? – zapytała Emiko. – Oni też mogą być niewolnikami seksualnymi?

– Pewnie tak. Ale ja myślę, że to głównie dotyczy dziewczyn. To takie określenie. Niewolnica seksualna to ktoś, kogo się zmusza do seksu.

– Ale kto jest ich właścicielem? – odezwała się Melissa. – Niewolnicy zawsze mają właścicieli.

Weszły właśnie do sali gimnastycznej i przechodziły przez boisko do koszykówki. Melissa obniżyła głos, bo w środku odbijało się echo.

– Może twój wujek?

– Na pewno nie. Widziałam jego mieszkanie. Jest maleńkie. Gdzie miałyby trzymać niewolnicę? A tym bardziej dwie?

– To musieli być ci ludzie, którzy zostali zabici – wyjaśniła Emiko. – Oni byli właścicielami. To ma sens, prawda? Niewolnice zabiły swoich właścicieli.

Claudia wyraźnie chciała coś dodać, ale w tym momencie dziewczynki zobaczyły, że patrzy na nie nauczyciel wuefu i natychmiast ucichły. Melissa wbiła wzrok w swoje buty. Pomyślała, że jej ojciec pewnie chciałby mieć niewolnicę seksualną, i zrobiło się jej niedobrze.

*

Kiedy Dina Renzi spotkała się z Hugh Kirnem, od razu skojarzył się jej z nadąsanym dzieckiem. Ale każdy mężczyzna o tak niebieskich oczach – jego były kobaltowe – jest przyzwyczajony do tego, że zachowuje się jak dupek, a i tak zawsze stawia na swoim. Zawsze dostaje to, czego chce. Siedzieli teraz naprzeciwko siebie w jednej z mniejszych sal konferencyjnych w banku Franklin McCoy. Z okna rozciągał się imponujący widok na East River i Brooklyn.

– Wie pan, że jedyne wegetariańskie danie w Harry's to omlet z czterech jaj? – zagadnęła go zaraz po przyjściu, próbując już na wstępie nawiązać jakąś nić porozumienia. Restauracja Harry's mieściła się niedaleko siedziby banku na Water Street, a ona jadła tam lunch dwa tygodnie temu. Pomyślała, że żart na temat restauracji pomoże mu się trochę rozluźnić. – Z czterech jaj. Czy ktokolwiek, a już szczególnie ktoś, kto nie ma zamiaru zamawiać kanapki ze stekiem, naprawdę chciałby dostać omlet z czterech jaj?

– To restauracja ze stekami – odparł Kirn, nie podnosząc wzroku znad dużej szarej koperty, którą dopiero co stworzył. Miał włosy barwy cynamonu, a na nosie prostokątne okulary w drucianej oprawie nadające mu nieprzyjazny wygląd. W kopercie, oprócz akt Richarda Chapmana, Dina dostrzegła wycinki z gazet: artykuły dotyczące feralnego przyjęcia w domu jej klienta.

– Od razu po obiedzie można się zgłosić na angioplastykę – dodała.

– Richard Chapman – zaczął Kirn, zupełnie niezainteresowany jałowymi

pogaduszkami. – Szczerze mówiąc, moim zdaniem ten człowiek powinien być nam wdzięczny. Ciągłe dostaje wypłatę.

– Nie zgadzam się. Ten urlop to forma kary wymierzonej bez powodu. Nie złamał żadnych zasad obowiązujących w firmie. Nie jest oskarżony o żadne przestępstwo. I nie będzie.

– Gdyby było tak, jak pani mówi, zostałyby wysłany na dyscyplinarny urlop bezpłatny. To nic innego jak zwykły urlop.

– Przymusowy.

– Przerwa w pracy ma charakter obowiązkowy, tak. I nie zgadzam się, że nie ma powodu. Obecność pana Chapmana w naszej firmie oraz jego kontakty z klientami to dla nas problem wizerunkowy. Naprawdę nie chcemy teraz, żeby nasz bank kojarzył się z jego osobą. Chyba pani to rozumie. Uważamy, że jako firma musimy wysłać jasny komunikat i zdystansować się od zachowania, którego nie akceptujemy.

– On też jest ofiarą tej sytuacji.

– Tak, jasne.

– Pozwolił swojemu bratu urządzić u siebie w domu wieczór kawalerski. To wszystko. Nic więcej nie zrobił.

– I dwoje ludzi zostało zamordowanych.

– Dokładnie! Dwoje ludzi zostało zamordowanych. Wasz pracownik wyświadczył swojemu bratu przysługę, a skończyło się na tym, że był świadkiem okropnej zbrodni. Ale sam nie zrobił nic złego.

– Oboje wiemy, że to nieprawda. Wpuścił do swojego domu gangsterów i prostytutki. Według relacji mediów odbywała się tam orgia.

Dina zauważyła dwa gołębie siedzące na parapecie. Jeden miał wyjątkowo szeroką pierś. Jak bokser.

– Media lubią robić sensację wokół seksu – powiedziała asekuracyjnie, ponieważ wiedziała, że ta świnią Spencer Doherty ma jakieś nagranie. – To był wieczór kawalerski. Zaryzykuję stwierdzenie, że każdy mężczyzna wśród kadry kierowniczej Franklin McCoy najprawdopodobniej był kiedyś na podobnym przyjęciu. Wszyscy wiemy, co się na nich z reguły dzieje.

– Zapewniam panią, że ja nigdy nie uczestniczyłem w przyjęciu, podczas którego goście odbywali stosunek z prostytutkami.

– I Richarda Chapmana także nikt o to nie oskarżył.

– Dochodzenie jest wciąż w toku.

– Policja prowadzi dochodzenie w sprawie morderstwa. Nikt nie oskarżył waszego pracownika o uprawianie seksu z prostytutką – powiedziała z przekonaniem.

– Mam nadzieję. Dla jego dobra i dla dobra całej firmy.

– Kiedy może wrócić do pracy?

– Nie mogę na to odpowiedzieć.

– Zabraniając mu wstępu do biura, zniesławiacie jego dobre imię.

– Och, co za bzdury. Nie powiedzieliśmy ani nie napisaliśmy o nim ani słowa, które przedostałoby się do opinii publicznej.

– Jest pan pewien? Ma pan stuprocentową pewność, że nie istnieje ani jeden mail wymieniony pomiędzy kimkolwiek z waszego personelu a jednym z waszych klientów, który mógłby się okazać pod tym względem... niezręczny?

Kim odchylił się w krześle i skrzyżował ręce na piersi.

– Naprawdę chcę pani zagrywać taką kartę?

– Proszę posłuchać, sam fakt, że wysłaliście go na przymusowy urlop, można by uznać za formę zniesławienia.

– Więc co, zamierza nas pani pozwać? Poważnie? A potem oczekuje pani, że przyjmiemy go z powrotem z otwartymi ramionami?

– Nikt nie chce was pozywać. Z przyczyn, które są dla mnie niepojęte, on naprawdę was wszystkich lubi. I tęskni za swoją firmą. – Dina miała nadzieję, że jej ton nie zrobił się zbyt sarkastyczny. Sięgnęła do swojej torby i wyciągnęła własną kopię akt Richarda. – Poza tym, z tego co rozumiem, jest całkiem dobry w tym, co robi. W ocenach jego pracy widzę same wyrazy najwyższego uznania. Wygląda na to, że wszyscy go tu kochają.

– Jego obecność tutaj źle wpłynęłaby na nasz wizerunek.

– Dajcie spokój. Gwarantuję, że wasi klienci już o tym zapomnieli. Boże, jesteście bankiem inwestycyjnym. Jeżeli świat jest w stanie wybaczyć Eliotowi Spitzerowi i Hugh Grantowi, to na pewno wybaczy też Richardowi Chapmanowi.

Kirn przewrócił swoimi wspaniałymi niebieskimi oczami. Nie próbował nawet ukryć rozdrażnienia.

– Proszę mi powiedzieć jedno: co pani wie? Ma pani jakieś pojęcie, o czym będą pisać dziś wieczorem w internecie? Albo co będzie jutro w gazetach?

– Tak. Bliski Wschód. Jakiś reality show, gdzie wszyscy chodzą nago. Czarne skrzynki z wraków samolotów. Taylor Swift. To, co zwykle.

– Ale nic na temat naszego pracownika.

– Nic. Przynajmniej z tego, co wiem.

– Z tego, co pani wie – powtórzył.

– Zgadza się.

– Porozmawiajmy w poniedziałek.

– Porozmawiajmy jutro.

– Naprawdę nabija sobie pani godziny pracy, co?

– Dbam o interesy Richarda Chapmana. To, że płaci mi od godziny, to tylko dodatkowa korzyść – odparła, uważając, by jej uśmiech nie wydał się ani trochę nieszczerzy. Postanowiła, że kiedy będzie zdawać swojemu klientowi relację ze spotkania z Kirnem, musi także spytać, czy spłacił już Spencera Doherty’ego.

*

W czasie gdy zarówno jego żona, jak i córka przebywały w szkole, Richard upewnił się, że przed domem nie ma żadnych sępów – jak od niedawna nazywał wozy transmisyjne – i wyszedł na zewnątrz. Otworzył bagażnik swojego audi i spojrzał na udawanego Bierstadta, wciąż umazanego krwią zabitego rosyjskiego alfonsa. Naprawdę powinien się tym zająć. Nie

miał nic innego do roboty, a mimo to w dalszym ciągu nie zadzwonił do tej kobiety z Uniwersytetu Nowojorskiego, kuzynki detektyw Bryant. Było chyba nawet takie powiedzenie: im bardziej ktoś jest zajęty, tym większa szansa, że coś załatwi. Może gdyby udało mu się usunąć krew z obrazu...

Nieważne.

Przypomniawszy sobie jak w nocy przewracał się z boku na bok, żałując, że nie kupił tej strzelby myśliwskiej. Albo przynajmniej nie rozpoczął całego procesu. W niczym by mu to nie pomogło ze Spencerem – strzelby nie da się od niechcenia odsłonić, siadając przy barze, tak jak ukrytego za pasem pistoletu – ale byłby teraz w stanie z większym spokojem myśleć o Rosjanach. Rozsądek podpowiadał mu, że nie powinien się bać o bezpieczeństwo swojej rodziny. Zależało im przecież na dziewczynach, nie na nim. Przynajmniej tak sobie powtarzał teraz, w świetle dnia. Kilka godzin wcześniej, w środku nocy, każdy koszmar wydawał się realistyczny. A nawet prawdopodobny. W końcu jego brat powiedział, że nawet Spencer jest przerażony.

Cóż, może Spencer rzeczywiście powinien się bać. We Franklin McCoy pracował gość z Teksasu. Jednego razu powiedział o wrednym prezesie firmy, którą próbowali sprzedać: „Niektórzy zasługują, żeby ich odstrzelić”. Powiedział to z tym swoim akcentem, pojawiającym się tylko, gdy mówił coś, co szczególnie leżało mu na sercu. W oczach Rosjan Spencer pewnie też zasługiwał, żeby go odstrzelić. I dla nich to nie był żart.

Oczywiście Kristin dostałaby szau, gdyby przyniósł do domu strzelbę. Na pewno uznałaby, że teraz już naprawdę postradał zmysły. I może nawet miałaby rację. Wczorajszej nocy leżał ze wzrokiem wbitym w sufit, sparaliżowany irracjonalnym lękiem, że rezygnując z kupna broni, prowokował nieszczęście. Jego rodzina zostanie zabita, podczas gdy w sklepie z bronią w Yonkers w jakiejś skrzynce spokojnie będzie sobie leżała jego niedoszła strzelba.

Gdyby tylko...

Gdyby...

Pieprzyć to gdybanie.

Pieprzyć ten cholerny obraz.

Pieprzyć Spencera Doherty'ego.

Pieprzyć furgonetki, Rosjan i tych wszystkich dupków z Franklin McCoy, których uważał za swoich przyjaciół.

Złapał obraz za ramę jak wielką tacę i pomaszerował na koniec podjazdu. Stanął przed zabytkowym słupkiem z kutego żelaza, na którym wisiała skrzynka pocztowa, uniósł obraz nad głowę i spuścił go z całej siły na czarny metalowy pręt, przebijając go na wylot. Jakby nadziewał go na rożen. W płótnie powstała niewielka dziura, a kiedy uderzyło o skrzynkę, rozdarło się jeszcze bardziej. Richard chwycił obiema rękami zwisające luźno pasma materiału i zaczął drzeć go na strzępy, jakby patroszył kurczaka, przeklinając przy tym pod nosem. Kiedy wreszcie zdjął obraz ze słupa, poszarpane płótno przypominało wybebeszone wnętrze. Przez chwilę trzymał go w rękach, zastanawiając się, dlaczego nie jest w pełni usatysfakcjonowany swoim dziełem zniszczenia. I nagle go oświeciło. Z całą mocą uderzył ramą o asfalt. Drewno rozpadło się na kawałki, a łączenia w rogach całkiem puściły.

„Pieprzyć to”, wycedził przez zaciśnięte zęby. „Pieprzyć to”. Teraz wreszcie był z siebie zadowolony. Musiał przyznać, że kiedy wyrzucił zniszczony obraz do śmieci, poczuł się odrobinę lepiej. Nie, tak naprawdę poczuł się o niebo lepiej. Niemal żałował, że nie ma w pobliżu żadnego sępa, który zarejestrowałby ten obłąkańczy atak szału i pokazał go całemu światu.

Spojrzał na zegarek i pomyślał o tym, co by robił o tej porze, gdyby nie wysłali go na ten cholerny przymusowy urlop i gdyby nie musiał zabijać czasu, rozwalając dzieła sztuki. Zaczął liczyć, ile godzin upłynęło od wieczoru kawalerskiego. Ile minęło od chwili, gdy na imprezie pojawili się pierwsi goście. Ile godzin upłynęło od momentu, w którym zginęli dwaj Rosjanie. I znów przypomniał sobie tę biedną dziewczynę, która siedząc na łóżku, nawet nie sięgała stopami podłogi. Wciąż się gdzieś ukrywała. Tak przynajmniej pisali w gazetach. Albo leżała gdzieś martwa. Nie, tylko nie martwa. „Proszę, tylko nie martwa”, powtarzał w myślach. Obawiał się, że jej śmierć byłaby dla niego ostatecznym ciosem. Że w obliczu takiej tragedii to małe katharsis, jakiego przed chwilą doświadczył, niszcząc obraz, przypominałoby raczej relaksującą rundkę golfa.

Poczuł, że musi natychmiast wyrwać się z domu. Zatrzasnął bagażnik, pospiesznie się uczesał, wskoczył do audi i ruszył w kierunku szkoły. Zaparkował pod samym liceum i wysiadł z samochodu, żeby poczekać na żonę. Powietrze było rześkie, a jasne promienie jesiennego słońca przyjemnie grzały skórę. Około południa Kristin zawsze miała podwójną przerwę. W tym czasie zazwyczaj załatwiała różne sprawy na mieście albo wyskakiwała coś przekąsić. Postanowił, że zrobi jej niespodziankę i zabierze ją na lunch.

*

Philip Chapman stał obok Spencera Doherty'ego, opierając się plecami o jeden z czarnych marmurowych bloków, za którymi oszalałymi piękne młode kobiety – zawsze ubrane w obcisłe czarne sukienki i na wysokich obcasach, z ustami pomalowanymi szminką w tak intensywnym odcieniu czerwieni, że producent nazwał ten kolor „Prowokacja” – rejestrowały gości przybywających do hotelu Cravat. Nie słyszał, co powiedział przed chwilą jego przyjaciel, bo obserwował fragment swojego małego imperium. W tej chwili jego uwagę przykuła młoda kobieta w białej spódnicy i żakiecie w tym samym kolorze, która tuliła się do mężczyzny o pokolenie starszego od niej. Para przeszła przez lobby i wsiadła do windy. Facet był przystojny, a na sobie miał idealnie skrojony grafitowy garnitur w prążki od Brooks Brothers. Ewidentnie wpadli do hotelu na szybki numer w porze lunchu. Philip wyobrażał sobie, że pracują razem w jakimś banku inwestycyjnym, takim jak firma jego brata, ale mieszcącym się w Chicago czy Los Angeles, i przyjechali do miasta na serię spotkań z klientami. Ale przede wszystkim zastanawiał się, jaka bielizna może się kryć pod tą białą spódnicą i żakietem. Tłumaczył sobie, że teraz już wolno mu o tym myśleć, skoro Nicole go rzuciła. Zerwała zaręczyny. Podejrzewał jednak, że i tak wyobrażałby sobie majtki i stanik tej kobiety – na pewno nosi push-up – nawet gdyby jego ślub w przyszłym tygodniu był nadal aktualny.

– W każdym razie – podjął Spencer – mój prawnik uważa, że taki właśnie zaproponują nam układ.

– Brzmi nieźle – mruknął Philip, gdy drzwi windy bezgłośnie się zamknęły. – I jesteś z tego zadowolony?

– Nie słyszałeś ani słowa z tego, co powiedziałem, co?

– Coś tam słyszałem.

Spencer zerknął na zegarek.

– Boże, jesteś niemożliwy.

– Dobra, teraz będę słuchać, obiecuję.

– Straszili mnie oskarżeniem o napaść seksualną na osobę nieletnią. I o organizowanie seksturystyki, a nawet za to grozi ładnych kilka lat. Masz pojęcie, na jak długo trafiłbym za kratki, gdyby mnie skazali za seks z nieletnią? Moje życie totalnie ległoby w gruzach.

– Nie zostałeś skazany. Tylko wynająłeś striptizerki, które świadczyły dodatkowe usługi.

– Ale ja wiedziałem, że świadczą dodatkowe usługi. I uprawiałem seks z tą blondynką.

– Nie ty jeden.

– Tak czy owak, jeżeli chcesz wiedzieć, powiedziałem im wszystko. Naprawdę wszystko. I zgodziłem się zeznawać. Dlatego teraz nie grozi mi już nawet poważne wykroczenie, jakim jest ułatwianie prostytucji. Taki był na początku cel mojego prawnika. Obniżyć kwalifikację czynu do zwykłego wykroczenia. Ale dzięki temu, że będę zeznawał, w ogóle uniknę jakiegokolwiek kary.

– A ta awantura z Chuckiem i Brandonem?

– Widzę, że równie dobrze mogłem mówić do ściany.

– Wybacz.

Spencer ciężko westchnął.

– Żona Brandona nadal twierdzi, że jest tym wszystkim zdruzgotana, chociaż mój prawnik mówi, że to tylko normalny element negocjacji. Ale odszkodowanie, zakładając, że na tym się skończy, będzie dla mnie dotkliwie. Natomiast prawnik Chucka w ogóle gdzieś zniknął. Nie odpowiada na telefony ani na maile.

– Może to znaczy, że Chuck się opamiętał?

– Ha! To też tylko element negocjacji. Z którejkolwiek strony na to spojrzeć, nieważne jak, kiedy i czy w ogóle dojdzie do ugody, jestem bankrutem. Samo honorarium prawnika doprowadzi mnie do ruiny.

– To wszystko to teraz jedna wielka ruina. Każdy z nas dostał za swoje.

– Ale niektórzy wpadli w dużo głębsze bagno niż inni. Powiedz mi, czy...

Philip spojrział na Spencera i uniósł wyczekująco brwi. Spencer nie miał w zwyczaju przerywać w pół zdania.

– Tak?

– Powiedz mi... rozmawiałeś ostatnio z bratem?

– Kilka razy. A co? – Philip zauważył, że przyjaciel unika jego wzroku. Wydało mu się to dziwne. Co najmniej, jakby nagle dopadło go poczucie winy z powodu burzy, którą rozpętał.

– Tak tylko pytam z ciekawości.

– O Boże, Spencer, czyżby nagle ruszyło cię sumienie? – Philip klepnął go żartobliwie w ramię. – Wyrósł ci kręgosłup moralny? Jestem z ciebie dumny. Masz wyrzuty z powodu tej katastrofy, co?

– To twój brat. I jest inteligentny. Po prostu ciekawi mnie, co ci mówił.

– Głównie, że jest wkurzony na swoją firmę. I że jego dom jest w strasznym stanie.

– Ciekawe.

– Nic mu nie będzie. Masz rację, jest inteligentny. I do tego nadziany. Ma ładną żonę. Ma wszystko, czego ja nie mam.

Spencer pokiwał głową i nic nie odpowiedział, chociaż Philip miał nadzieję – wręcz oczekiwał – że jego przyjaciel przynajmniej nie zgodzi się z tym ostatnim stwierdzeniem.

Przez chwilę obaj stali w milczeniu.

– Mogę cię o coś zapytać – odezwał się w końcu Spencer.

– Jasne.

– Myślisz czasami o tych Rosjanach? Ja nie mogę zapomnieć chwili, kiedy zostali zabici. Biedni dranie. Ciągłe mam przed oczami nóż wystający z szyi tego gościa. Śniły mi się koszmary, że mnie też ktoś w ten sposób atakuje.

– Urocza wizja.

– Kilka razy obudziłem się zlany potem. Wiem, że to niedorzeczne... właściwie wcale tego nie wiem... Powtarzam sobie, że to niedorzeczne, ale chwilami naprawdę zaczynam się martwić. Zastanawiam się, czy rosyjscy gangsterzy przyjdą po mnie za to, że ich zakapowałem.

– Rozumiem.

– Na ich miejscu nie chciałbyś załatwić kogoś takiego jak ja?

– Nikogo nie zakapowałeś. Podałeś policji nazwę agencji, do której zadzwoniłeś.

– I czasem to właśnie wystarczy, żeby kogoś zabić, czy nie? Część tych koleś znowu jest na wolności. Zapłacili kaucję i wyszli. A ja teraz zgodziłem się zeznawać. To im się nie spodoba.

– Pamiętaj: tamci dwaj nikogo nie zabili. Pomyśl. To te dziewczyny są morderczyniami. A nie wydaje mi się, żeby mogły mieć cokolwiek do nas. – Wypowiadając te słowa, Philip przypomniał sobie, jak drapieżnie blondynka wbijała w niego palce i jak pięknie napinały się mięśnie jej szyi, gdy odchylała głowę do tyłu. Zastanawiał się potem, czy będzie umiał poprosić Nicole, żeby spróbowała złapać go w ten sam sposób. Żeby tak samo odrzuciła głowę. Niestety, teraz nie musiał się już o to martwić.

– Pewnie masz rację. Ale nie chciałbyś móc wymazać z pamięci obrazu tych dwóch facetów skąpanych we krwi?

– Szczerze? Właściwie prawie o tym nie myślę.

– Poważnie?

Philip wzruszył ramionami.

– Słuchaj, to oczywiste, że nigdy tego nie zapomnę. O mało co się nie posikałem w gacie, kiedy na to patrzyłem. Ale przede wszystkim skupiam się na tym, jakie te dziewczyny były niesamowite, zanim im odbiło.

– Cóż, dostałem nauczki. Naprawdę dostałem.

– Ja też – przyznał Philip. Ale zaraz potem nasza go jedna z tych rzadkich chwil autorefleksji. Znow pomyślał o kobiecie w bieli, która teraz pewnie była już w pokoju na górze. Wyobraził sobie, jak całkiem naga dosiada swojego starszego kochanka. I zrozumiał, że to nieprawda. W głębi duszy dobrze wiedział, że nie nauczył się niczego.

*

– Właściwie nie jestem głodna – stwierdziła Kristin i odłożyła menu na stół. Składało się z pojedynczej kartki, zapisanej ręcznie i następnie odbitej w wielu egzemplarzach, ponieważ oferta w małym bistro niedaleko szkoły zmieniała się każdego dnia. Dziś lokal wypełniały panie należące do pokolenia, które miało w zwyczaju umawiać się na lunch. Pokolenia jej matki. Z wyjątkiem starszego dżentelmena w muszce, który siedział przy stoliku w towarzystwie trzech kobiet, Richard był jedynym mężczyzną na sali.

– Naprawdę? Musisz coś zjeść – powiedział.

– Zjadłam. Na pierwszej przerwie kupiłam sobie zupę. Gdybym wiedziała, że przyjdiesz, poczekałabym. Przepraszam.

– Napij się chociaż kawy. Proszę. Nie chcę jeść sam.

– Dobrze.

– Pomyślałem, że zrobię ci miłą niespodziankę, zabierając cię na lunch.

– I zrobiłeś – zapewniła, biorąc go za rękę. – To naprawdę miło z twojej strony. Doceniam to. Podoba mi się, naprawdę.

– Szczerze mówiąc, trochę się bałem, że nie będziesz chciała się ze mną pokazywać publicznie. Że to będzie dla ciebie zbyt krępujące.

– Och, nic mi nie jest. Albo nic mi nie będzie. Sama nie wiem. W tej chwili chyba bardziej się martwię o ciebie.

Richard odwrócił się do stolika z czworgiem starszych osób, które ukradkiem zerkały w jego stronę. Pomachał im ręką i wszyscy natychmiast wbili wzrok w swoje talerze.

- Cóż, zasłużyłem sobie na to – powiedział do Kristin.
- Wiem. Ale wielu ludziom uchodzą na sucho znacznie gorsze rzeczy.
- Dziękuję.
- Nie ma za co.
- Ale nadal nie jesteś głodna.

Kristin pokręciła głową, chociaż w rzeczywistości umierała z głodu. Kłamała w kwestii zupy. Na śniadanie też nic nie jadła. Wciąż prześladowały ją dwa obrazy: widok, który ukazał się jej oczom, gdy przeglądała się w lustrze, oraz zrodzony w jej wyobraźni wizerunek prostytutki, która zaprowadziła jej męża na górę. Szybko wypila całą szklankę wody w nadziei, że w ten sposób zdoła oszukać ośrodek głodu w swoim mózgu.

– Pomyślałem, że rozejrzę się dzisiaj za nową tapetą do przedpokoju – powiedział Richard.

– Żartujesz? – Trudno jej było uwierzyć, że chce poświęcić czas na przeglądanie różnych wzorów tapet. Chociaż, z drugiej strony, nie dalej jak wczoraj wrócił do domu ze sklepu z meblami i miał w iPhone zdjęć kanap mogących zastąpić tę, której planowali się pozbyć w sobotę. Przyniósł też cały stos katalogów z salonu meblowego. Była zszokowana tym, że wykazuje się taką inicjatywą.

– Czemu nie? Może znajdę jakąś tapetę w klimacie łazienki w CBGB – powiedział.

Uśmiechnęła się. Często chodzili do tego klubu, gdzie słuchali muzyki, tańczyli i oddawali się namiętnym pocałunkom, zwłaszcza jednego, pamiętnego wieczora. Ale tamtejsze toalety zawsze były odrażające.

– Styl retro graffiti? Elegancja w sprayu?

– Dokładnie. Miałaś chwilę, żeby spojrzeć na te katalogi, które przyniosłem? Zastanowiłaś się, jaką byś chciała kanapę?

Kristin zabrała katalogi ze sobą na górę, ale najpierw czytały z Melissą książkę, potem poprawiała wypracowania uczniów, a kiedy skończyła, zgasiła światło i poszła spać. Przed zaśnięciem przez chwilę patrzyła jeszcze na córkę, która spała po drugiej stronie łóżka, na miejscu jej męża.

– Nie. Przepraszam – powiedziała. Czuła się trochę głupio.

– W porządku, nie musisz przeproszać. – Richard znowu popatrzył w menu. – Pamiętasz ten stary żart o facetach, którzy jedzą quiche?

– Pamiętam. Chcesz sobie zamówić?

– Tak.

– Nigdy nie uważałam, że mężczyzna jest mniej męski dlatego, że lubi quiche.

– Dzięki – odpowiedział z uśmiechem.

Kristin usiadła wygodniej i zaczęła się zastanawiać, dlaczego czuli się tak niezręcznie. Przecież ich małżeństwo trwało już prawie piętnaście lat, a byli ze sobą jeszcze dłużej. Dlaczego zwykła rozmowa sprawiała im tyle trudności? Jak to się stało, że ich związek przypominał niezbyt udaną pierwszą randkę? Nie mogła tego znieść. To wszystko wydawało się takie żałosne. Kiedyś ich uczucie miało w sobie coś bardziej dzikiego. Coś nieokiełzanego. Gdzie się podziały tamte szalone wieczory w takich miejscach jak CBGB? Dawniej nie mieli żadnego problemu z tym, żeby zostawić Melissę u koleżanki i pójść na kolację i do kina, a potem kochać się przez całą noc. Patrzyła, jak Richard szuka wzrokiem kelnera, i w tym momencie podjęła decyzję. To było całkiem spontaniczne, bo w tej chwili jedyne, czego pragnęła, to wrócić do punktu, w którym już kiedyś byli. Znowu stać się tymi samymi ludźmi, którymi już kiedyś byli.

– Nie zamawiaj jedzenia – powiedziała.

Spojrzał na nią.

– Mamy niecałą godzinę – wyjaśniła. – Pojedziemy do domu i pójdziemy prosto na górę. A tam porządnie mnie zerzniesz.

*

Następnego ranka, w piątek, Melissa stwierdziła, że nie jest już taka zła na ojca. W każdym razie nie aż tak jak wcześniej. W końcu mama zachowywała się, jakby mu wybaczyła. Wczorajszej nocy rodzice spali razem w swojej sypialni po raz pierwszy od wieczoru kawalerskiego wujka Philipa. Schodząc rano do kuchni, Melissa zobaczyła nawet, jak mama

pocałowała tatę w policzek. (Co ciekawe, tym razem to tata przygotowywał dla niej drugie śniadanie do szkoły. Próbowła sobie przypomnieć, czy kiedykolwiek wcześniej się to zdarzyło. Powstrzymała się jednak przed daniem mu jakichś wytycznych; musiała wierzyć, że mama powiedziała mu dokładnie, co ona lubi).

Nie potrafiła jednak przestać myśleć o tym, że na przyjęciu mógł zrobić coś naprawdę złego, i czuła się nieswojo w jego obecności. Nie dawało jej spokoju określenie „niewolnica seksualna”. Poza tym jej ojciec ciągle nie wrócił do pracy, więc jego kara wciąż trwała. A ich dom nadal był pełen mrozących krew w żyłach śladów piątkowego przyjęcia, na czele z tą straszną kanapą.

Do tego ślub wujka Philipa został odwołany, więc Melissa nie będzie już sypała kwiatów w kościele przed parą młodą. Naprawdę na to czekała. Bardzo podobała się jej kupiona na tę uroczystość sukienka, a teraz kto wie, czy jeszcze kiedykolwiek będzie miała okazję się w nią wystroić. To była sukienka z czerwonego aksamitu, z białym kołnierzykiem i perłowymi guziczkami. Gdzie indziej można się w czymś takim pokazać? Pewnie zanim znowu ktoś ją poprosi, żeby sypała kwiaty na jakimś ślubie, już dawno z niej wyrośnie.

Kiedy zadzwonił telefon wiszący na ścianie w kuchni, rodzice spojrzeli na niego z taką miną, jakby to był alarm przeciwpożarowy. A potem popatrzyli na siebie nawzajem. Tata odebrał, a mama oparła się o szafkę, ściskając obiema rękami kubek z kawą. Melissa przełknęła kawałek grzanki, który miała w ustach. Zamierzała słuchać uważnie. Ale tata zabrał słuchawkę ze sobą i przeszedł do salonu, więc nie usłyszała ani słowa z jego rozmowy.

– Kto dzwoni? – zapytała matkę.

– Nie wiem, kochanie.

– Wyglądasz na zmartwioną.

– Ależ nie.

Melissa wiedziała, że ma rację – mama wyraźnie się czymś martwiła – ale mogła jedynie siedzieć spokojnie na swoim krześle i czekać. Obie z mamą czekały.

Tata wrócił do kuchni po jakichś dwóch minutach.

– Muszę... muszę jednak dzisiaj pojechać do miasta – powiedział.

– Naprawdę? To był ktoś z Franklin McCoy? – zapytała mama. – Ten prawnik, którego nie cierpisz?

– Nie.

– Dina Renzi?

Tata ubrał się w niebieskie jeansy i czarną bluzę z kapturem. Teraz schował obie ręce do dużej przedniej kieszeni. Melissie wydawało się z początku, że wygląda na lekko zagubionego, ale już za chwilę zdała sobie sprawę, że jest raczej kompletnie oszołomiony.

– Nie, to nie ona.

– Nie trzymaj nas w niepewności – powiedziała mama. – Z kim rozmawiałeś?

– Z policją.

– Z detektyw Bryant?

– Z kimś innym. Z jakimś mężczyzną. Był właśnie w mieście i...

– Tak?

Tata spojrzał na nią.

– Melisso, mama i ja musimy porozmawiać w drugim pokoju. Nie ma żadnego powodu do niepokoju, zapewniam cię. Więc zjedz sobie spokojnie śniadanie, a ja potem dokończę ci przygotowywać lunch.

Melissa wskazała na swój talerz i miskę, w której została tylko resztką mleka i kilka płatków cheerios.

– Już zjadłam – oznajmiła, a spoglądając na małe kawałki grzanki na talerzu, dodała: – Nie jem skórki.

– Kochanie...

– Nie! – przerwała ojcu, a w głowie znów zaczęły jej huczeć te dwa obrzydliwe słowa, „niewolnice seksualne”, których nie była w stanie stłumić.

Zamierzała powiedzieć coś więcej, ale słowa uwięzły jej w gardle. Zamrużyła, ale już w jej oczach zaczęły się zbierać łzy. Rodzice wpatrywali się w nią ze zdumieniem, wyraźnie zaskoczeni tym, jak ich uciszyła tą jedną, kategorię sylabą.

– Dobrze, Melisso – powiedział ostrożnie jej ojciec. – Słuchamy.

– Chcę wiedzieć, czego chciała policja. Mam dość tego, że nikt mi nic nie mówi o tym przyjęciu i wszystkiego dowiaduję się w szkole albo z internetu.

I wtedy wszyscy zaczęli wariować. Jej ojciec pytał, z jakiej racji wyszukuje w internecie wiadomości na temat piątkowego przyjęcia. Matka dopytywała, co takiego opowiadają ludzie w szkole. Mówili jedno przez drugie, przekrzykując się wzajemnie, aż ich głosy zlewały się w jednostajny szum – przypominało to szmer widowni przed przedstawieniem, jak w tym teatrze, w którym były w zeszłym tygodniu. Niezrozumiały gwar, z którego nie da się wyłowić poszczególnych słów. Melissę ogarnął gniew. Nie rozumiała, dlaczego to ona ma odpowiadać na pytania. Ona nie ponosiła przecież żadnej winy. Nie zrobiła nic złego. Po prostu chciała, żeby wszystko było znowu jak dawniej.

Nagle zarówno tata, jak i mama klęczeli przy niej na podłodze, głaszcząc ją po rękach i plecach, ponieważ po twarzy popłynęły jej łzy. Próbowwała się opanować, kręciła głową i ocierała twarz serwetką, ale całkiem się już rozkleiła. Nie mogła nic na to poradzić.

W jednej chwili wszystkie pytania poszły w niepamięć.

– Już dobrze, już dobrze – powtarzał tata.

– Ćśśś... – szeptała mama.

Ale nie było dobrze, zupełnie nie, o czym najlepiej świadczyło to, że mama po chwili zapytała tatę: – Czego chciała policja? Dlaczego musisz jechać do miasta?

Melissa czuła, że tata znowu na nią patrzy. I cały czas gładząc ją po plecach, tym razem odpowiedział mamie.

– Jadę do kostnicy. Chcę, żebym zidentyfikował ciało osoby, która została... która zmarła. Myślę, że to może być jedna z dziewczyn, które były

na przyjęciu.

Kristin usiadła na podłodze jak małe dziecko.

– Nie – powiedziała cicho.

– To znaczy, że musisz jechać, żeby oglądać zwłoki? – upewniła się Melissa, pociągając nosem. Jej głos zabrzmiał wyjątkowo cienko i słabo.

Tata pokiwał głową.

– Tak. Jednej z tamtych dziewczyn.

Melissa przez dłuższą chwilę zastanawiała się nad tym, co usłyszała. Jedna z dziewczyn. Chwilę wcześniej jej ojciec mówił o „dziewczynach, które były na przyjęciu”. Powtarzała te słowa w myślach. Dziewczyny, które były na przyjęciu. Ale to nie były żadne dziewczyny, tylko niewolnice. I teraz wyglądało na to, że jedna z nich nie żyje.

CZEŚĆ
TRZECIA

Alexandra

Miałam przy sobie mnóstwo gotówki, ale nie wiedziałam, na jak długo mi jej starczy i ile właściwie będę mieć z tych pieniędzy pożytku. I nie chodziło wcale o to, że w Nowym Jorku znałam jedynie ceny takich rzeczy jak manicure, samoopalacz w sprayu czy kosmetyki w Sephorze. Nawet ja miałam świadomość, że biletów lotniczych nie można kupić za gotówkę. Do tego potrzebna jest karta kredytowa, której nie posiadałam. Przypomniałam sobie, co powiedziała mi Sonia, kiedy w Bronxville kupowałyśmy bilety na pociąg: za przejazdy autobusowe i kolejowe na krótkich trasach można płacić gotówką, ale nie wynajmiesz auta ani nie polecisz nigdzie samolotem, jeśli nie będziesz mieć karty. Poza tym nawet gdybym takową posiadała, zaraz dorwałaby mnie policja. I wylądowałabym w lochu na Rikers Island, bo wszyscy myśleli, że jestem morderczynią.

Wiedziałam, że muszę znaleźć kogoś, kto pomoże mi wyrobić fałszywy paszport i fałszywe karty kredytowe – kogoś takiego jak tamten koleś z Tbilisi. Nie miałam jednak pojęcia, od czego zacząć, więc na tym skończyło się moje planowanie. Zabrałam pieniądze i wyniosłam się z hotelu. Pod skórzaną kurtką ukryłam pistolet, który wcześniej załadowałam. Zabrałam też ubrania, które zdążyłam sobie kupić. Było tego niewiele, więc wszystko elegancko zmieściło się do plecaka, który razem z Sonią kupiłyśmy na Times Square. Dochodziła siódma wieczorem.

Kiedy znalazłam się na ulicy, wyrzuciłam telefon komórkowy do kosza na śmieci. Wiedziałam, że skoro Sonia nie odezwała się do tej pory, to znaczy, że już do mnie nie zadzwoni. Mój numer wpadł w ręce ludzi, którzy mieli teraz komórkę Sonii. Bałam się, że w jakiś sposób wykorzystają go, żeby mnie namierzyć.

W tej chwili miałam tylko jeden cel: jak najszybciej znaleźć się w innej dzielnicy. Nie wiedziałam, ile zdołali wyciągnąć od Sonii, zanim ją zabili,

skatowali czy wpakowali na pokład samolotu lecącego do Moskwy albo w jeszcze gorsze miejsce. Ale jednego byłam pewna: powinnam trzymać się z daleka od klubów ze striptizem, w których tańczyłam przez ostatnie dni, i od hotelu, w którym wynajmowałam pokój. Z daleka od Broadwayu i od East Village. Dlatego, choć nie do końca wiedziałam, dokąd iść, ruszyłam Dziesiątą Aleją, kierując się na północ. I właśnie wtedy, mijając jeden z ulicznych kiosków, zobaczyłam nagłówek w gazecie. Kilku spośród aresztowanych Rosjan wypuścili z więzienia. Za kaucją. Przez moment wpatrywałam się w ten nagłówek, aż zrobiło mi się trochę słabo. Ale już po chwili szłam dalej.

*

Może gdyby nie wyszli za kaucją, poszłabym na policję i spróbowałabym wyjaśnić, co się naprawdę wydarzyło. Ale wyszli, a to oznaczało, że Amerykanie prawdopodobnie są tak samo skorumpowani jak Rosjanie.

Może gdybym znała tego policjanta od Crystal albo wiedziała, gdzie go szukać, skierowałabym się do niego. Ale znalezienie go graniczyło z cudem, podobnie jak odszukanie kogoś, kto załatwiłby mi fałszywy paszport.

Poza tym dla policji byłam tylko zabójczynią Kiryła.

Dziwką, która zabiła swojego alfonsa.

A to na bank oznaczało amerykańskie więzienie.

*

Dzielnice Nowego Jorku zmieniają się jak w kalejdoskopie. Tak samo jak w Erywaniu. Tak samo jak w Moskwie. W jednej sekundzie mijasz kluby, w których dziewczyny w samych stringach i butach na obcasach siadają facetom na kolanach, a już po chwili idziesz ulicą, przy której wznoszą się luksusowe apartamentowce i piękne ceglane kamienice, jakby żywcem wyjęte z poprzedniej epoki. Widzisz matki wracające ze swoimi córkami do domu z wieczornych lekcji baletu. (Kiedy zobaczyłam te małe dziewczynki z przewieszonymi przez ramię torbami, przeszłam na drugą stronę ulicy. Czułam się, jakbym mogła je zarazić. Jakby samo przebywanie w mojej obecności mogło z nich zrobić prostytutki). W pewnej chwili ujrzałam ojca w garniturze i płaszczu przeciwdeszczowym, trzymającego za rękę swoją

córeczkę. Szli w moim kierunku. Dziewczynka miała najwyżej sześć lat i niosła lalkę Barbie w czerwonej sukni balowej. Pomyślałam o Richardzie i o jego dziecku. Wnioskując po zdjęciach, które wisiały u nich na ścianach, jego córka była starsza od tej dziewczynki, ale chyba niewiele. Wciąż miała swoje Barbie. Widziałam w jej sypialni plastikowe pudło pełne lalek. I prezerwatywę, którą koleś w szelkach zostawił na przykrywce, po tym jak przetrząnął Sonię.

Odniosłam wrażenie, że Richard jest dobrym ojcem. Dobrym mężem. Że dba o swoją rodzinę. Tak przynajmniej podpowiadała mi intuicja. (A takie dziewczyny jak ja muszą się nauczyć ufać swojej intuicji. Musimy potrafić rozpracować faceta już w pierwszych sekundach spotkania. Dzięki temu jesteśmy w stanie zarobić więcej kasy, a nieraz nawet i ocalić własne życie). Richard nie był oligarchą, ale miał bardzo ładny dom. Jeśli w tamtym plastikowym pudle jego córeczka trzymała tylko lalki Barbie, to znaczy, że musiała ich mieć równie dużo co ja w dzieciństwie. I mogę się założyć, że Richard zapłacił za każdą z nich. Nie to co mój ojciec. On przed śmiercią zostawił mi te wszystkie lalki, ale za żadną nie dał złamanego rubla. (To długa historia).

W każdym razie, kiedy tak rozmyślałam o Richardzie, przypominałam sobie, jak się przejął, że jest mi zimno, gdy siedziałam na łóżku w sypialni na piętrze. Nie chciał się ze mną pieprzyć, bo miał żonę. A swojej córce kupił całe pudło lalek Barbie. Był mężczyzną – i tu przyszło mi do głowy określenie, którego normalnie nie używałam, gdy myślałam o facetach – godnym zaufania. Nie pamiętałam, kiedy ostatni raz jakikolwiek mężczyzna wydał mi się godny zaufania. Większość z nich zachowywała się jak zwierzęta, dla których liczyło się tylko zaspokajanie własnych potrzeb. Nawet telewizyjny kawaler do wzięcia. Wszyscy kawalerowie. Marzyłam o romantycznej miłości. O mężczyźnie, który uklęknie przede mną i da mi różę, ale dziewczyny mojego pokroju takich nie spotykają. Nigdy. Nawet jeśli są ładne. Takie rzeczy zdarzają się tylko w filmach.

Poza tym nigdy w życiu nie oszalałam na punkcie żadnego faceta. Nigdy się w nikim nie zakochałam. W domu pod Moskwą miewałam stałych klientów, ale nie byłam aż tak głupia, żeby wierzyć, że któryś z nich mógłby mnie pokochać. Może gdyby Richard przetrząnął mnie tak jak wszyscy inni,

nie myślałabym o nim bez przerwy. Może gdyby mój ojciec nie umarł, kiedy byłam bardzo mała, traktowałabym Richarda tak jak pozostałych klientów. (Ludzie mówią, że dziewczyny takie jak ja mają kompleks tatusia. Może i tak. Ale nie zawsze. Nie każda niewolnica seksualna jest sierotą. Nie każda dziwka ma pretensje do ojca – niezależnie od tego, czy żyje, czy już odszedł z tego świata – że w dzieciństwie nie poświęcał jej ani krzty uwagi). Z jakiegoś bliżej nieokreślonego powodu jednak zaczęłam się zastanawiać, czy Richard mógłby mi pomóc. Czy zechciałby mi pomóc. To nie było normalne. Ani mądre. Ani rozsądne. Dlatego szybko wybiłam sobie z głowy ten pomysł.

Kiedy mijałam ojca prowadzącego za rękę dziewczynkę z Barbie w czerwonej sukni balowej, zauważyłam, że bardzo uważnie słucha swojej córeczki. Opowiadała mu coś o kotku. Pewnie o swoim. Jej długie faliste włosy były równie ciemne jak moje. Miała na sobie czerwony dwurzędowy płaszcz. Wyglądała jak postać z bajki. Przyszło mi na myśl, że może jest Ormianką. Co prawda nie spotkałam w Ameryce zbyt wielu Ormian, ale zanim Inga wróciła do Moskwy, powiedziała mi, że jest ich tu całkiem sporo. Większość z nich była potomkami ludzi ocalałych z ludobójstwa. Podczas pierwszych dni pobytu w Stanach widziałam nawet dwa ormiańskie kościoły: Katedrę Świętego Grzegorza Oświeciciela na Dwudziestej Siódmej ulicy i Katedrę Świętego Wardana przy Drugiej Alei, która wyglądała dokładnie tak samo jak świątynie widywane przeze mnie w dzieciństwie. Masywną, kanciastą bryłę wieńczyła kopuła. Budowla była naprawdę piękna. Razem z Ingą, Pawłem, Sonią i Crystal staliśmy pod katedrą przez dłuższą chwilę, nie mogąc oderwać od niej wzroku. Idealnie wpasowałyby się w architekturę Erywanii. „Chcecie wejść do środka?”, Inga spytała mnie i Sonię, ale Paweł powiedział, że nie mamy na to czasu. Poza tym czułabym się zbyt zawstydzona. W końcu byłam tym, kim byłam, a kościół to nie jest miejsce dla dziwki.

W którymś momencie – nawet nie wiem kiedy – Dziesiąta Aleja zmieniła się w Amsterdam Avenue, a ja wciąż szłam przed siebie. Gdy wychodziłam z hotelu, na zewnątrz panował już mrok, ale teraz boczne uliczki wydawały się jeszcze ciemniejsze. Dlatego nie zbaczałam z kursu. Pomyślałam, że może powinnam poszukać stacji metra, nie wiedziałam jednak, dokąd miałabym jechać. Zastanawiałam się, co by było, gdybym po prostu przez całą noc

jeździła metrem. Pewnie w końcu bym zasnęła i wtedy by mnie okradli. Tak by się to skończyło. Albo jakiś policjant czy maszynista zorientowałby się, kim jestem.

Dlatego kontynuowałam swój marsz, zatrzymując się tylko od czasu do czasu, żeby kupić sok w jakimś sklepie spożywczym albo kawałek pizzy. Głównie jednak szłam i paliłam. Paliłam i szłam. I pewnie bym tak szła, aż w końcu bym padła, gdyby mojego wzroku nie przykuł elegancki ceglany budynek przy Sto Trzeciej ulicy, który wyglądał, jak jakiś obiekt rządowy. Mieściło się w nim schronisko młodzieżowe. Brali niecałe pięćdziesiąt dolarów za noc. Co prawda nie mogłam wynająć całego pokoju tylko dla siebie, ale spanie w większym gronie właściwie wydawało mi się nawet bezpieczniejsze.

No i na pewno poczułabym się mniej samotna.

Postanowiłam, że zatrzymam się tu chociaż na tę jedną noc.

Rozdział 12

Richard żałował, że nie zapytał o kolor włosów tej dziewczyny. Martwej dziewczyny. Tej w kostnicy. Jechał właśnie do szpitala King's County na Brooklynie, pozwalając się prowadzić nawigacji w smartfonie. Aplikacja kazała mu kierować się na południe autostradą Major Deegan, potem zjechać na aleję FDR Drive i trzymać się jej aż do Mostu Brooklińskiego. Przyszło mu do głowy, że może powinien odbić w stronę Brooklyn Heights i zmusić swojego brata, żeby towarzyszył mu podczas tej makabrycznej wyprawy. Jeszcze odrobinę nim potrząsnąć, trochę bardziej go podręczyć. Ostatecznie jednak postanowił tego nie robić.

Philip często doprowadzał go do białej gorączki, wciąż znajdował nowe sposoby na wyprowadzenie go z równowagi, ale hierarchii wieku nie da się zmienić. Młodszy brat zawsze pozostanie młodszym bratem, a to oznacza między innymi, że nie ma sensu mu czegoś takiego fundować. Poza tym naprawdę wolał nie mieć przy sobie Philipa, jeśli miałyby się okazać, że dziewczyna na stole w kostnicy to Alexandra. Richard nie miał pojęcia, jak by na to zareagował, wiedział jednak, że jego brat zupełnie nie zrozumiałby, skąd w nim tyle smutku. Philip błędnie uznałby, że przyczyną tej żałoby jest po prostu zauroczenie, nadal utrzymująca się fascynacja młodą striptizerką. Ale ten ból byłby zakorzeniony w zupełnie innym sektorze jego serca – tym zarezerwowanym dla własnych dzieci. Dla jego własnej córki. Dziewczyna była młoda i piękna, a robiła to, co robiła, ponieważ nie miała wyboru. Zaslugiwała w życiu na coś lepszego niż ta egzystencjalna czarna dziura, która ją wessała.

Zastanawiał się, czy nie pomodlić się w duchu o to, aby ciało w kostnicy należało do tlenionej blondynki, ale uznał, że to co najmniej podłe prosić opatrność, by jedna dziewczyna przeżyła kosztem drugiej. Poza tym właściwie nie miał w zwyczaju się modlić. Chrześcijaninem bywał tylko w Wielkanoc i Boże Narodzenie. Gdyby teraz nagle zaczął wznosić modły,

byłoby to nieszczerze, zwłaszcza w takiej intencji. Ale zdawał sobie sprawę, czego by sobie życzył i na co po cichu liczył. Niestety, nie mógł się tego wyprzeć przed samym sobą.

Był wdzięczny losowi za wczorajszy dzień i starał się skupiać na tym, co ma. Nigdy w życiu nie czuł takiej ulgi, jak wczorajszego popołudnia, gdy jego głowa opadła na poduszkę obok Kristin. Odzyskał ją. Wiedział, że odbudowywanie zaufania może potrwać lata, lecz nie obawiał się już o przyszłość swojego małżeństwa. Teraz, jeśli tylko dokona odpowiednich wyborów, jeśli zachowa się jak trzeba, być może uda mu się również wrócić do łask swojej córki. Z tego, co zaobserwował, Melissa czuła w stosunku do niego coś pomiędzy złością a zażenowaniem. I miała do tego pełne prawo. Z bólem pomyślał o zburzonym moście, który jeszcze nie tak dawno łączył go z dzieckiem. Teraz trzeba go było jakoś odbudować, tylko jak tego dokonać? Jak wyjaśnić to, co zrobił – i to, co pragnął zrobić – dziewięcioletniej dziewczynce? Jego dziewięcioletniej dziewczynce? Zdawał sobie sprawę, że nieprędko odzyska jej zaufanie. Ale może kiedyś wreszcie mu wybaczy, a wtedy znów powróci normalność i radość płynąca ze zwykłej codzienności.

Nagle usłyszał klakson taksówki, która właśnie mijala go z prawej strony. Kierowca zniecierpliwiony jego żółtym tempem pokazał mu środkowy palec. Richard spojrział na licznik. Okazało się, że jechał ponad osiemdziesiąt na godzinę. Wcale nie tak wolno. Mimo to postanowił bardziej skupić się na krętej, zatłoczonej ulicy, co jednak nie było takie proste. Przed oczami wciąż stawały mu twarze znienawidzonych osób. Spencera. Hugh Kirna. Dwóch rosyjskich ochroniarzy, którzy przedstawili się jako Paweł i Kirył, choć żaden z policjantów, z którym dotychczas rozmawiał, nie wierzył, że to ich prawdziwe imiona.

Jednak najbardziej wyprowadzała go z równowagi gęba Spencera.

W tym momencie podjął decyzję. Nie zapłaci temu draniowi ani centa. Wręczenie mu łapówki oznaczałoby, że ma coś do ukrycia, a przecież nie miał. Poza tym jego życie już i tak stało się publicznym widowiskiem. Postanowił, że powie Kristin o tym nagraniu. Wyjaśni, że to, co zobaczy, może być dla niej bolesne – jeśli oczywiście w ogóle zechce to oglądać. Bo przecież znała już ogólny zarys tego godnego pożałowania incydentu, a film nagrany przez Spencera tylko wypełniłby niektóre luki. Richard wiedział, że

do końca życia będzie się starał zrekompensować jej tę chwilę słabości.

To samo dotyczyło jego córki. Pewnego dnia powie jej o tym filmiku. Co prawda nie wiedział jeszcze, jak to robi, ale był na to zdecydowany.

A jeśli chodzi o tych drani z Franklin McCoy, to mogą iść do diabła. Banda aroganckich, zadufanych w sobie dupków, którzy uważają się za nie wiadomo kogo. A prawda jest taka, że na samej Water Street znaleźliby się lepsi od nich. Richard doskonale znał swoją wartość. Był naprawdę dobry w swoim fachu. I jeśli rzeczywiście będzie musiał odejść z banku, Dina Renzi z pewnością załatwi mu odpowiednio wysoką odprawę.

Samochody zwolniły i nagle znalazł się tuż za taksówką, która na niego natrąbiła przed kilkoma minutami. Przez moment kusił go, żeby włączyć się swoim autem prosto w zderzak tego dupka, ale wiedział, że tego nie zrobi. Już i tak narobił sobie wystarczająco dużo kłopotów. I choć był skłonny przyznać, że ma pewne problemy ze sobą, agresja drogowa z pewnością do nich nie należała. Mimo to taka myśl zaświtała mu w głowie. Jakim prawem ten cholerny taksjarz pokazał mu środkowy palec? Jak on w ogóle śmiał? Czy on też się spieszył do kostnicy na Brooklynie? Nie. Czy jego też wysłali na przymusowy urlop, nie pozwalając wrócić do pracy, którą uwielbiał i za którą tęsknił? Nie. Czy on też miał w salonie kanapę, która wyglądała jak rekwizyt z planu *Żywych trupów*? Nie.

Na przemian wciskał gaz i hamulec, razem z resztą kierowców stojących w korku. Włączył radio i świadomie omijając stacje News Radio 88 i 1010 Wins – nie miał ochoty, żeby przypomniano mu teraz o innych katastrofach rozgrywających się na świecie – znalazł w końcu audycję o sporcie. Próbował słuchać dyskusji o tym, jak odbudować linię ofensywną New York Giants, ale nie udało się. Choć ze wszystkich sił starał się skupić na czymś innym, i tak nieustannie wracał myślami do bałaganu, którego narobił w swoim życiu, i co o wiele smutniejsze, do zwłok, które czekały na niego w szpitalu. I dlatego w końcu się poddał i pozwolił sobie na krótką modlitwę. Modlił się o to, aby dziewczyna z kruczoczarnymi włosami nadal żyła.

*

– Kiedy studiowałam w Smith College, nazywaliśmy to Dniem Natury – powiedziała Kristin do Melissy i jej przyjaciółki Claudii. Wszystkie trzy stały

na peronie stacji kolejowej w Bronxville, wśród ostatnich osób jadących tego dnia do pracy. Kristin postanowiła zrobić coś, co powinna była zrobić już cztery dni temu, w poniedziałek rano: urządzić sobie dzień wolny.

Spędzić go z córką i jej najlepszą przyjaciółką. Z jakiegoś powodu w podjęciu tej decyzji pomógł jej fakt, że Richard musiał dziś pojechać na Brooklyn, żeby zidentyfikować zwłoki. Stwierdziła, że ani ona, ani jej córka po prostu nie pójdą dzisiaj do szkoły. I już. Na wagary postanowiły zabrać również Claudię. Jesse, matka dziewczynki, tak jak przypuszczała Kristin, w pełni poparła ten pomysł. Nie miała absolutnie nic przeciwko temu, żeby jej córka im towarzyszyła.

– Któregoś jesiennego dnia budziliśmy się i słyszeliśmy dzwony – kontynuowała Kristin. – Dzwony były wszędzie, w głównym budynku i wokół dziedzińca, i w katedrze, jakby był co najmniej tysiąc dziewięćset osiemnasty rok i właśnie skończyła się wojna. To oznaczało, że tego dnia wszystkie zajęcia są odwołane. Zarówno studenci, jak i wykładowcy mieli dzień wolny i mogli robić, na co mieli ochotę. To taka tradycja, uczelnia robiła tak od zawsze. I dzisiaj właśnie, moje drogie, mamy swój własny Dzień Natury.

– Dlaczego na koniec wojny bili w dzwony? – zapytała Claudia.

– Żeby wszyscy wiedzieli, że się skończyła.

– Nie mogli tego ogłosić w telewizji?

– W tysiąc dziewięćset osiemnastym nie było telewizji.

– Ale były przecież gazety – zauważyła Claudia. – Gazeta to chyba lepszy sposób, żeby ogłosić koniec wojny, niż bicie w dzwony. Kiedy studenci w Smith College usłyszeli dzwony, to pomyśleli sobie, że to wojna się skończyła czy tylko, że nie mają dzisiaj szkoły?

– Nie bierz wszystkiego tak dosłownie – powiedziała Melissa, przewracając oczami.

– Co to znaczy?

– To znaczy... – zaczęła Melissa, ale urwała. Właściwie do końca nie wiedziała, co to tak naprawdę znaczy. Nie była pewna, co miała na myśli. Po

prostu wiedziała, że Claudia bierze wszystko... dosłownie. Czasami miała tego dość. Czasami wszyscy mieli już tego serdecznie dość.

– Masz rację, Claudio, w kwestii tych dzwonów i gazet – powiedziała Kristin. – Ludzie wiedzieli z gazet, że wojna się skończyła. I przeczytali w nich też, że rozlegną się dzwony, kiedy nastąpi zawieszenie broni. Kiedy zostanie zawarty pokój. Chodziło mi tylko o to, że w Dzień Natury w Smith College były wszystkie dzwony.

Przez dłuższą chwilę wszystkie trzy w milczeniu patrzyły na tory kolejowe. Poranek był chłodny, a temperatura nie miała dzisiaj przekroczyć siedmiu stopni. Przy każdym oddechu z ust Kristin wydobywał się obłoczek pary. Ale na niebieskim niebie jasno świeciło słońce. Planowała zabrać dziewczynki do Muzeum Historii Naturalnej, a potem do Muzeum Sztuki Nowoczesnej. Chciała odezwać się też do swojej matki i zapytać, czy ma ochotę zjeść z nimi lunch, chociaż wiedziała, że szanse są niewielkie; kalendarz towarzyski jej matki zawsze zapełniał się z dużym wyprzedzeniem. Zważywszy na to, jak bardzo obie dziewczynki uwielbiały zakupy, zakładała, że mogą trafić też do sklepów na Piątej Alei albo w Rockefeller Center. Może wpadną do Capezio po nowy trykot i rajstopy do tańca.

Żałowała, że dziewczynki nie są już w trzeciej klasie. Rok temu zabrałyby je po prostu do sklepu American Girl i miałyby je z głowy na kilka godzin. Ale Melissa praktycznie przestała się już bawić lalkami. Kristin nie była pewna, czy w ogóle wzięła którąś do ręki, odkąd we wrześniu zaczęła się szkoła. Wkrótce zostanie po nich tylko wspomnienie, tak samo jak po jej ukochanych pluszowych maskotkach z Ulicy Sezamowej – Zoe, Abby i Elmo – czy po kolekcji lalek Barbie.

Wzdrygnęła się na myśl o Barbie, ponieważ po raz kolejny przypomniała sobie zużytą prezerwatywę na pokrywie plastikowej skrzyni. Zastanawiała się, która z dwóch prostytutek była w pokoju Melissy. Czy ta, która później poszła z jej mężem do pokoju gościnnego? Czy też ta, która ukradła jej nóż z kuchni i – według relacji mediów, a nie Richarda – niemalże odcięła głowę Rosjaninowi z szyją grubą jak sekwoja? (Richard był bardziej powściągliwy; powiedział, że dziewczyna jedynie wbiła temu mężczyźnie ostrze w szyję). Kristin nigdy nie czuła się dobrze w emocjonalnym chaosie, ale dziś rano miała wrażenie, że jej równowaga psychiczna – tak krucha od czasu wieczoru

kawalerskiego – jest atakowana z wszystkich stron. Również z tego powodu postanowiła sobie zrobić wolne. Miała wyrzuty sumienia, że w ogóle może się zastanawiać, czy lepiej, żeby to ciało w kostnicy należało do tej od Richarda, czy tej od noża. Tej, która zaszlachtowała swojego ochroniarza. Czy też strażnika. Nieważne. Mimo to – choć mogła się do tego przyznać tylko przed samą sobą – wybór wydawał się jasny. Oczywiście, że tak. Tak naprawdę wolałaby, żeby żadna z dziewczyn nie zmarła. Nie została zamordowana. Ale bezsporny (acz niewypowiedziany) fakt był taki: Richard właśnie jechał dokonać identyfikacji jednej z nich i gdzieś w głębi duszy Kristin miała nadzieję, że ofiarą okaże się dziewczyna, przed którą jej mąż stał nagi. Dziewczyna, która zaprowadziła go na górę, gdzie...

Gdzie albo to zrobili, albo nie. Problem w tym, że Kristin nigdy nie będzie tego wiedziała na pewno.

– Jedzie pociąg – odezwała się Claudia. – Jest taki film o kobiecie, która rzuca się pod nadjeżdżający pociąg.

– Najpierw była książka – sprostowała Melissa.

– Nieważne. To chyba najgorszy sposób na samobójstwo, co? Totalna masakra. Z człowieka robi się... mięso mielone.

– Powinnaś zobaczyć naszą kanapę – stwierdziła Melissa i pokręciła głową.

– Zaraz, co? Waszą kanapę?

„Zaraz, co?” Pociąg zaczął zwalniać, a w głowie Kristin odbijały się echem te dwa krótkie słowa. Melissa popatrzyła na nią, wyraźnie niepewna, czy wolno jej opowiedzieć przyjaciółce o kanapie. Wzruszyła ramionami. Właściwie czemu nie. Drzwi się otworzyły i wprowadziła dziewczynki do wagonu. Pozostali ludzie czekający na peronie – zarówno kobiety, jak i mężczyźni – przepuścili je przodem. Jednym uchem słuchała, jak Melissa mówi o krwi na kanapie, a potem o krwi na ścianach, i że teraz jest puste miejsce tam, gdzie wcześniej wisiał słynny obraz.

– On nie jest słynny – poprawiła córkę Kristin.

– Nie?

– Nie bardzo.

„Zaraz, co?” Te słowa nadal rozbrzmiewały jej w uszach. To z jakiejś piosenki? Nie. Chodziło o coś innego. O kogoś innego. Cóż, to bez znaczenia. Cały ten ranek był jak streszczenie jej życia – a przynajmniej jego najnowszej historii.

*

– Tak, to ona – mruknął pod nosem Richard. – Mówiła, że nazywa się Sonia.

Patolog okazał się umięśnionym facetem, jakieś pięć, sześć lat młodszym od niego, w hipsterskich okularach z grubymi czarnymi oprawkami, przez które wyglądał, jakby raczej pracował w NASA przy programie „Apollo 11”. Miał zmierzwione czarne włosy i nos, który ewidentnie został przynajmniej raz złamany. Może dwa razy. Przedstawił się jako Harry Jakiśtam – Richardowi niemal natychmiast wyleciało z głowy jego nazwisko, ale facet chyba miał greckie korzenie. Kiedy odsłaniał zwłoki dziewczyny, ściągnął prześcieradło jedynie do wysokości podbródka.

Obok lekarza stał detektyw z policji nowojorskiej, który nieco przypominał Richardowi jego ojca – obaj mieli takie same ciemne wory pod oczami i taki sam wieniec z krótkich siwych włosów, biegnący od ucha do ucha z tyłu głowy. Ojciec Richarda kilka lat temu przeszedł na emeryturę, a policjant wyglądał, jakby też niedługo go to czekało. Był ubrany w tweedową marynarkę i białą koszulę oksfordzką bez krawata. Kojarzył się bardziej z nauczycielem angielskiego niż z gliniarzem.

– Jest pan absolutnie pewny? – zapytał detektyw.

– Tak.

– To znaczy, zważywszy na rozkład zwłok...

– To ona. Jestem pewien.

Ulżyło mu, gdy przekonał się, że to nie Alexandra. I natychmiast ogarnęły go wyrzuty sumienia. Poczul się z tym naprawdę podle. Nie był jednak w stanie dogłębnie przeanalizować własnej reakcji pośród zimnych ścian i sterylnych blatów kostnicy. Pośród gładkich kafli i błyszczących

chromowanej stali. Pośród proustowskiego wręcz zapachu laboratorium. Patolog Harry ostrzegł go, że fetor gnijących zwłok jest znacznie silniejszy od woni chemikaliów, lecz mimo to trupi odór nieprzyjemnie go zaskoczył. W pierwszej chwili niemal zwymiotował. Dziewczyna, z której została już tylko śmierdząca powłoka cielesna, cuchnęła rozkładem i brudną wodą. Richard cofnął się o krok i zatrzymał się w miejscu, gdzie czuć było przede wszystkim zapach środka odkażającego z domieszką wybielacza – dokładnie ten sam, który uderzył go w chwili, gdy przekroczył próg kostnicy. Zapach formaldehydu. Na szczęście szybko doszedł do siebie. Oddychając przez usta, znów pochylił się nad stołem. Innymi słowy – jak zwykle mawiał jego brat w sytuacjach, które wcale nie wymagały ani specjalnego heroizmu, ani silnego kręgosłupa, takich jak na przykład wychylenie szklanki wyjątkowo nędznej tequili czy rozegranie bladym świtem jeszcze jednej rundy kręgli w modnej kręgielni w Soho – pokazał, że ma jaja. Zwłoki znaleziono niedaleko starego doku, który znajdował się na terenie dawnej stoczni Brooklyn Navy Yard. Unosiły się na wodzie niczym boja, objając się o betonowe nabrzeże, jakby chciały się wydostać na brzeg.

– Skoro już ją macie, w sensie jej ciało, będziecie w stanie ustalić, kim naprawdę była? – zapytał detektywa.

– Może. Ale to mało prawdopodobne. I raczej nie na podstawie tego – dodał, przesuwając ręką ponad prześcieradłem. – Ci faceci, których zamknęliśmy na początku tygodnia, to oni wiedzą, kim ona jest. Skąd jest. Wiedzą, gdzie ich kumple ją znaleźli.

– Więc... to oni jej to zrobili.

– Tak. Oni. Tak przynajmniej podpowiada zdrowy rozsądek.

– Boże. To takie straszne. I takie smutne – wymamrotał Richard.

Rozejrzał się po pozbawionym okien pomieszczeniu, popatrzył na chłodnię, z której ciało zostało wyjęte w celu identyfikacji. Z sąsiedniego pokoju – z białymi ścianami, mocnym chirurgicznym oświetleniem i pochyłym stołem do sekcji zwłok, z systemem odprowadzania płynów ustrojowych, które wypływały z ciał, podczas gdy ich sekrety odkrywano przy użyciu nożyc, pił do kości i cienkich metalowych rurek do odciągania krwi – dobiegały dźwięki radia. Richard rozpoznał piosenkę: *My Way* Franka

Sinaty. Przypomni sobie, e na ich weselu Kristin taczya do niej ze swoim ojcem. Oczywicie na scenie nie sta Sinatra we wasnej osobie, ale wynajety zesp wykona naprawd pikn wersj. Richard zawsze mia nadziej, e pewnego dnia zataczy do tej piosenki z Meliss na jej weselu. Prbowa sobie wyobrazi swoj crk w wieku dwudziestu piciu lat, ale mu si to nie udao. Z jakiego powodu nie by w stanie.

– Ci gocie w wizieniu – odezwa si znowu Richard – zaczli zeznawa?

Detektyw pokrci gow.

– Kilku wyszo ju z powrotem na wolnoc. Wszyscy maj bardzo dobrych prawnikw.

– Ale zaczn? Prdziej czy pniej?

– Spiewa? Cisko stwierdzi.

– Wszyscy s tacy bezwzgldni?

– Niektrzy tak. Czc to po prostu biznesmeni. Ale ci kolesie, ci, ktrzy najprawdopodobniej s za to odpowiedzialni? Powiedziabym, e nie s wielkimi ordownikami witoci ludzkiego ycia. Czemu pan pyta?

– Bez powodu.

– Prosz mi powiedzie.

– Cz, to wszystko zaczo si w moim domu. Ludzie, ktrzy to zrobili... Oni o tym wiedz. Wiedz, gdzie mieszkam. I gdy widz, jak potraktowali t dziewczyn, jestem przeraony. Martwi si o swoj rodzin. Mam on. I dziewięcioletni crk.

Detektyw zastanawia si przez chwil, po czym unios brwi, a jego oczy dostay lekkiego wytrzeszczu.

– Instynkt podpowiada mi, e nie powinni si zbytnio interesowa panem ani pask rodzin. Wiadomo, e nie da si tego wykluczy. Jak sam pan zauway, niektrzy nie umiej sobie radzi z gniewem. I moe jeli bdzie si im wydawa, e pan chroni jedn z ich dziewczyn, przyjd po pana. Albo jeli uznaj, e jest pan wanym wiadkiem. Ale przecie ich dziewczyna nie ukrywa si u pana w pokoju gocinnym ani nie siedzi sobie w ogrodzie

zimowym.

– Nie. Nawet nie mam ogrodu zimowego.

– No właśnie.

Harry zaczął z powrotem zakrywać ciało prześcieradłem, ale Richard go powstrzymał.

– Wszystko w porządku?

– Tak. Po prostu pomyślałem, że powinienem jeszcze przez chwilę popatrzeć na jej twarz. Wie pan, uczcić jej pamięć. – Richard próbował odtworzyć w wyobraźni twarz jej ojca. Kogoś, kto chciałby poprowadzić ją do ołtarza i zatańczyć z nią na jej weselu.

– Dobrze.

Miała oczy otwarte i jeszcze bardziej niebieskie, niż pamiętał. Chabrowe. Blond włosy w kolorze alabastru. Skóra była nienaturalnie biała i niemal oślizgła. Galaretowata.

– Mógłby pan opuścić prześcieradło? – zapytał.

– Naprawdę? – odparł z niedowierzaniem patolog.

– Tylko do obojczyka. Chcę... chcę zobaczyć.

– Nie, nie chce pan – odezwał się detektyw. Richard podniósł na niego wzrok. Mężczyzna lekko kręcił głową.

– Czuję, że powinienem.

– Powinien pan?

– Tak, wiem, że to dziwnie brzmi. Ale ona gdzieś ma rodzinę. Albo miała.

Patolog zerknął na policjanta, a ten wzruszył ramionami. Harry opuścił prześcieradło prawie do piersi dziewczyny. W pierwszym odruchu Richard zadał sobie pytanie – może dlatego, że wcześniej powiedzieli mu, jak została zabita, a zatem wiedział mniej więcej, czego się spodziewać – jakim cudem jej głowa nadal była połączona z resztą ciała. Pomiedzy jej obojczykiem a żuchwą widać było jedynie kręgosłup i pojedyncze pasmo mięśni. Wyglądało

to jak upiorna dekoracja na Halloween.

– Tutaj są tylne mięśnie szyi – powiedział patolog, wskazując dwoma palcami. – Sprawcy przecięli tętnicę i żyłę szyjną, co w zupełności wystarczyło, żeby nastąpiła śmierć. Ale potem przecięli też całą krtań. I wbili się jeszcze głębiej. Normalnie zostałyby więcej tkanki, ale woda ją wypłukała.

– Czyli zabili ją tak samo, jak ona zabiła jednego z nich.

– Na to wygląda – przyznał detektyw. – Ale jeszcze dzisiaj zrobimy sekcję zwłok i potwierdzimy przyczynę zgonu. Zapewne nie znajdziemy nic innego. Nie ma śladów ran postrzałowych. Ale nasi ludzie to sprawdzą. Zrobią toksykologię. To, co zwykle.

Harry z powrotem zakrył ciało i oparł się o laminowany blat.

– Co potem się stanie z jej ciałem? – zapytał Richard.

Tym razem to policjant popatrzył na Harry'ego. Patolog podniósł rękę i kaszlnął w łokieć.

– Jesienna alergia – wyjaśnił przeprasającym tonem. – Myślałem, że przynajmniej tutaj powinienem być bezpieczny. – Po chwili dodał: – Potrzymamy ją jeszcze trochę w lodówce. Na wszelki wypadek.

– Na wypadek gdyby udało się znaleźć kogoś z rodziny?

– Zgadza się.

– Ale nikogo nie znajdziemy – stwierdził detektyw. – Trafi na Hart Island. Tam chowamy anonimowe ciała. To na Bronksie. Zajmie się tym kilku więźniów z Rikers.

– Jakies wieści na temat drugiej dziewczyny? – zapytał Richard.

– Tej drugiej z pańskiego przyjęcia?

– To nie było moje przyjęcie – odparł. Miał nadzieję, że nie zabrzmiało to tak, jakby próbował się czegoś wypierać.

– Proszę wybaczyć. Z przyjęcia w pańskim domu – poprawił się policjant. – Jeszcze jej nie znaleźliśmy. Przy odrobinie szczęścia jej ciało pewnie też wypłynie gdzieś w zatoce.

Od chwili, gdy Richard przekonał się, że dziewczyna na stole to Sonia, przestał brać pod uwagę możliwość, że Alexandra przecież też może już nie żyć. Poczucie ulgi całkiem wymazało mu tę ewentualność z głowy. Kiedy zapytał przed chwilą o brunetkę, chodziło mu o to, czy policja dowiedziała się czegoś na temat miejsca jej pobytu, czy ma jakieś poszlaki mogące pomóc w odnalezieniu jej kryjówki. Dlatego na myśl o tym, że w tej chwili jej ciało rozkłada się gdzieś w odmętach East River – co według detektywa było niemal pewne – poczuł, jakby dostał cios w twarz. Oczywiście. Oczywiście, że pływa gdzieś w East River. Najprawdopodobniej ją też zabili. Po raz drugi, odkąd wszedł do kostnicy, zrobiło mu się niedobrze i świat zawirował mu przed oczami. Z trudem przełknął kwaśną żółć podchodzącą mu do gardła.

– Chce pan wody?

Słyszając głos Harry’ego, Richard zamrugał i odetchnął. Zobaczył na swoim ramieniu rękę patologa, której wcześniej nawet nie poczuł.

Skoncentrował się na otoczeniu i próbował wziąć się w garść. Cały się lepił, czuł się okropnie. Ale przynajmniej nie groziło mu już, że zwymiotuje.

– Tak – powiedział. – Chętnie się napiję. Dziękuję.

– Bardzo pan zbladł – zauważył policjant. – Wszystko w porządku?

The record shows...

– Tak, tak... Nic mi nie jest – zapewnił. Gdzieś z daleka ponownie dobiegł go głos Sinatry.

I took the blows...

Harry podał mu papierowy kubek i Richard upił łyk wody.

And did it my way.

Jego wzrok natrafił na łokieć mężczyzny, którym wcześniej patolog zasłonił twarz, gdy kaszlał. Richard po raz kolejny przypomniał sobie tamtą chwilę na schodach w jego domu, kiedy Alexandra trzymała go za łokieć. Widział jej drobne, urocze palce. Widział jej oczy. W wyobraźni widział, jak tańczy w sukni ślubnej, ale nie umiał stwierdzić z kim. Nie był w stanie wyjaśnić, jak – i dlaczego – zmieniła się w jego oczach z niedoszłej kochanki

w córkę. Ale cieszył się z tego. Może to czyniło go mniej... godnym pogardy. Usłyszał instrumenty dęte. I skrzypce.

Nagle jednak nawiedziło go nieprzyjemne przeczucie, że jemu samemu nigdy nie będzie dane zatańczyć na weselu własnej córki. Próbował się pocieszać, że nie była to na szczęście wyraźna, wizualnie jednoznaczna wizja (zresztą i tak nie wierzył w takie rzeczy). Poza tym nie ma przecież czegoś takiego jak „męska intuicja”. Ale to przeczucie nie dawało mu spokoju, nawet gdy próbował je zagłuszyć radością z faktu, że udało mu się odzyskać żonę, oraz świadomością, że Alexandra – cokolwiek się z nią stanie – będzie żyła w jego pamięci jako dziecko, a nie dziwka.

Yes, it was my way, dokończył za ścianą Sinatra.

Alexandra

W schronisku młodzieżowym zostałam dwie noce.

Trzecią spędziłam w poczekalni na oddziale ratunkowym w szpitalu na Trzeciej ulicy.

A w piątek rano wsiadłam w pociąg i pojechałam do Bronxville.

*

W czwartek poszłam do szpitala na oddział ratunkowy, żeby się ukryć. To wszystko. Nikt mnie nie skrzywdził. Nie miałam żadnego wypadku. Co prawda raz niewiele brakowało, żebym została potrącona przez taksówkę, ale to była wyłącznie moja wina. Przechodziłam przez ulicę jak w jakimś lunatycznym transie. Taksówkarz w ostatniej chwili mnie ominął, więc nie zginęłam pod kołami tak jak moja babcia. Kierowca rzucił tylko kilka przekleństw pod moim adresem, krzycząc, żebym bardziej uważała.

No więc zaczęłam uważać. A im bardziej uważałam, tym silniejsze ogarniało mnie poczucie, że deptają mi po piętach. Policjanci. Ludzie Juliana. Jego łyse jak niemowlaki osiłki, które zabijały na jego rozkaz. Nawet w hostelu miałam wrażenie, jakby ściany się do mnie zbliżały, a pokój robił się coraz ciasniejszy. Przeleżałam dwie noce zwinięta w kłębek na dolnej części piętrowego łóżka, pod pościelą pachnącą mydłem. Trochę drzemałam, a kiedy się budziłam, otwierałam jedno oko i bacznie obserwowałam pokój. Spałam w wełnianej czapce na głowie, z pistoletem przy boku.

W końcu stwierdziłam, że czas się stamtąd wynieść.

Kilka moich współlokatorek próbowało się ze mną zaprzyjaźnić. Dziewczyny z Holandii, Anglii, Teksasu. Niektóre były młode i ładne, świetnie nadawałyby się na prostytutki. Ale one przyjechały do Nowego Jorku w celach turystycznych. Chciały zwiedzać miasto, chodzić do muzeów i na imprezy. Chciały zobaczyć Times Square, a potem tańczyć w klubach. A

jeśli robiły dobrze jakimś facetom – choć tego akurat nie wiem – to tylko dlatego, że miały na to ochotę.

Dwie dziewczyny martwiły się o mnie, bo spałam w czapce. Powiedziałam im, że jest mi zimno i chyba bierze mnie grypa. Koniecznie chciały dać mi syrop na przeziębienie, więc dla świętego spokoju wypiałam trochę. To właśnie wtedy zapadłam w głęboki sen – i nieźle się wystraszyłam. Wiem, że mocno spałam, bo śniły mi się różne dziwne rzeczy. Śniła mi się babcia, ale to może dlatego, że omal nie zginęłam tak jak ona. Śnił mi się jakiś facet, którego uznałam za swojego ojca. Opowiadał mi o miasteczku Cungus, gdzie wielu moich przodków zostało zamordowanych w 1915 roku, i o głębokiej rozpadlinie, która sięgała chyba do samego jądra ziemi. A mimo to Turcy i Kurdowie zdołali ją wypełnić ciałami zabitych – tak wielu Ormian zgładzili w tym miejscu. Co najmniej dziesięć tysięcy. Śnił mi się też dom w Bronxville i mężczyzna o imieniu Richard. Siedzieliśmy razem na brzegu łóżka, a on karmił mnie słodkimi mamoulami – ciasteczkami, które jada się na bliskim Wschodzie.

*

Szybko doszłam do wniosku, że bardzo łatwo ukryć się na oddziale ratunkowym szpitala. Przynajmniej na jeden dzień, może dwa. A odkryłam to całkiem przez przypadek.

W czwartek rano opuściłam schronisko. Zabrałam plecak, pieniądze, papierosy i ruszyłam w drogę. Słońce dopiero wyłaniało się zza horyzontu, pośród żółtawo-czerwonej poświaty.

Znów schowałam pistolet pod kurtkę i powędrowałam na wschód, przez Central Park. Nie miałam pojęcia, dokąd idę, ale nie mogłam beczynnie tkwić w jednym miejscu. Musiałam coś ze sobą zrobić. Musiałam być w ruchu. Nie miałam żadnego konkretnego celu. Wiedziałam tylko, że nie mogę ryzykować, zostając dłużej w tym hostelu. Ludzie zadawali zbyt wiele pytań. Prędzej czy później ktoś by się domyślił, kim jestem. Prędzej czy później tamci w końcu by mnie znaleźli i zabili.

Kiedy wychodziłam z parku na Piątą Aleję, nagle poczułam się nieswojo. Włosy na karku stanęły mi dęba. Miałam wrażenie, że ktoś mnie śledzi. Otworzyłam torebkę, wyciągnęłam puderniczkę i – zupełnie jak na filmach,

które oglądałyśmy w pokoju hotelowym w Moskwie – zerknęłam w lusterko, żeby sprawdzić, czy ktoś za mną idzie. Na chodniku, obok szpaleru drzew zobaczyłam policjanta. Po drugiej stronie ulicy, pod jednym z apartamentowców stał zaparkowany czarny cadillac escalade. Miał włączony silnik. Być może był to czysty zbieg okoliczności. Być może zupełnie nic mi nie groziło. A może wręcz przeciwnie. Kiedy skręcałam w Dziewięćdziesiątą Szóstą, policjant nadal stał tam, gdzie wcześniej, ale czarny samochód ruszył z miejsca i po chwili znalazł się na tej samej ulicy co ja. Może mnie śledził, może nie. Doszłam do rogu, skręciłam w lewo w Madison Avenue i ruszyłam na północ, co nie było zbyt mądrym posunięciem. Powinnam była pójść w prawo, wykorzystując fakt, że biegła tam jednokierunkowa ulica. Samochód nie mógłby dalej za mną jechać.

Ale to na szczęście nie miało większego znaczenia, bo zapaliło się czerwone światło i kierowca i tak musiał się zatrzymać. Przyspieszyłam kroku. Miałam wrażenie, że jeszcze chwila i zacznę biec. Kiedy przecięłam Dziewięćdziesiątą Ósmą, a samochody znów ruszyły na północ, spostrzegłam szpital. Nad wejściem widniała tablica z napisem „Mount Sinai”. Weszłam do środka pewnym krokiem, jakbym doskonale wiedziała, dokąd idę. Po szpitalnych korytarzach nauczyłam się poruszać wiele lat temu, gdy przez kilka tygodni czuwałam przy umierającej mamie. Zresztą babcię też nieraz odwiedzałam w szpitalu.

Jednak Mount Sinai był dużo większy od szpitala w Erywaniu. No i panował tam absolutny chaos, co akurat tego dnia było mi bardzo na rękę. Oddział ratunkowy przypominał istny labirynt: rzędy boksów z zasłonkami, długie słabo oświetlone korytarze i wnęki z krzesłami, na których zarówno pacjenci, jak i ich krewni mogli usiąść i poczekać. Wszędzie pełno personelu. Jedni biegali z aparatami do mierzenia ciśnienia, inni pchali sprzęt wyposażony w kable i monitory. A lekarze i pielęgniarki w pośpiechu przeglądali papiery albo wpatrywali się w ekrany tabletów.

W tym tłumie nie zabrakło też policjantów, ale nie okazywali mi najmniejszego zainteresowania. W ogóle nikt nie zwracał na mnie uwagi. Usiadłam na krześle w ciemnym kącie – tam były same ciemne kąty – i godzinami obserwowałam pijaków i staruszków. Widziałam nawet mężczyzną dźgniętego nożem w ramię. Patrzyłam na te wszystkie piękne,

młode pielęgniarki i lekarzy w kitlach, kursujących pomiędzy recepcją a łózkami chorych. Na nieustannie zmieniające się twarze członków rodzin. W jednym z boksów zmarł jakiś starszy pan. Czasami pacjenci po krótkiej wizycie w gabinecie byli odsyłani do domu, a czasami kładziono ich na nosze na kółkach i zabierano do sal na piętrze.

Krzesła były na tyle niewygodne, że nie dało się na nich zasnąć, ale kilka razy przymknęłam oczy. W automacie na korytarzu kupiłam sobie chipsy i coś do picia.

Co jakiś czas wychodziłam na zewnątrz, żeby zapalić i przy okazji sprawdzić, czy przypadkiem gdzieś w pobliżu nie stoi czarny escalade.

Żałowałam, że nie mam telefonu. A co, jeśli popełniłam błąd, wyrzucając go do kosza na śmieci? Co jeśli Sonia próbowała się ze mną skontaktować? W głębi duszy jednak wiedziałam, że dobrze zrobiłam – że tak było bezpieczniej. I wiedziałam, że Sonii już nie ma.

Czułam się naprawdę samotna.

Tak bardzo samotna, że zaczęłam się zastanawiać, czy nie powinnam sobie znaleźć jakiegoś faceta. Ale nie klienta, tylko przyjaciela. Szybko jednak doszłam do wniosku, że to szalony pomysł. Wiedziałam, że muszę się ukrywać, dopóki nie znajdę kogoś, kto mi pomoże.

W piątek rano musiałam wyglądać strasznie. Minęła prawie doba, odkąd opuściłam hostel. Od tego czasu ani nie spałam, ani się nie myłam. Moja skórzana kurtka pewnie nie prezentowała się najgorzej, ale brudna spódnica z pewnością robiła fatalne wrażenie. Stałam na rogu ulicy i paliłam papierosa, kiedy podszedł do mnie policjant. Był młody. Wyglądał na dwadzieścia pięć, może dwadzieścia sześć lat. Miał lekką nadwagę i oczy małego chłopca.

– Wszystko w porządku, młoda damo? – zapytał.

Opuściłam rękę, żeby nie musiał wdychać dymu. Serce waliło mi jak oszalałe. Bałam się, że mnie rozpoznał. Przemknęło mi przez myśl, żeby upuścić papierosa na ziemię, zgasić butem niedopałek i wyciągnąć broń. Nie zamierzałam jednak strzelać do tego faceta. Pistolet był przeznaczony wyłącznie dla Juliana i jego łysych zbirów.

– Tak – skłamałam. – Wszystko w porządku – to mówiąc, wskazałam

ręką wejście do szpitala. – Moja mama tu leży. Ma raka płuc. To była długa noc.

– Boże, przepraszam.

– Nic nie szkodzi.

– Po prostu wygląda pani trochę...

Posłałam mu uśmiech grzecznej dziewczynki.

– Wiem. Chyba jeszcze na chwilę do niej zajrzę, a potem wrócę do domu i wezmę prysznic.

Policjant odwzajemnił uśmiech i odszedł.

Nie mogłam się wiecznie ukrywać. Wiedziałam to od samego początku, ale dopiero te trzydzieści sekund rozmowy w pełni mi to uświadomiło. Potrzebowałam pomocy. Musiałam coś wymyślić. I to natychmiast.

I właśnie wtedy mnie olśniło. Tylko cud mógł mnie uratować i ten cud być może cały czas leżał gdzieś na łóżku albo na podłodze w pokoju tej małej dziewczynki w Bronxville. Cud w postaci opakowania po prezerwatywie z ukrytym w środku numerem telefonu. To mogła być moja jedyna szansa. Zdawałam sobie sprawę, że może to właśnie ten Gruzin wydał Sonię Julianowi. Nie jestem aż taka głupia. Ale z drugiej strony, po co miałyby to robić? Przecież nie pracował dla Juliana. A Sonia miała do niego interes. Więc może nawet się z nim nie spotkała. Może Julian wcześniej ją dorwał. I może Richard, jedyny klient, który mnie ani nie zerznął, ani nie pobił, ani nie wykorzystał, ani w ogóle niczego ode mnie nie chciał, mógłby mi pomóc poszukać tego małego skrawka papieru. Kto wie? Może nawet pomógłby mi znaleźć tego Gruzina.

To było ryzykowne posunięcie, ale przecież musiałam coś zrobić, prawda?

Tak więc postanowiłam, że wrócę do Bronxville. Do domu, w którym to wszystko się zaczęło.

Rozdział 13

Jeszcze przed wyjściem ze szpitala na Brooklynie Richard wysłał Spencerowi SMS-a. Napisał, że ma coś dla niego i zaproponował spotkanie w restauracji Rapiet, kilka przecznic od hotelu Cravat, o jedenastej trzydzieści. Spencer przysłał w odpowiedzi uśmiechniętą buźkę, co zapewne miało oznaczać, że są umówieni.

Była już za piętnaście dwunasta, a Spencer ciągle się nie pojawił. Richard zajął miejsce na końcu lśniącego mahoniowego baru, skąd dobrze widział drzwi wejściowe. Zmówił piwo, bardziej z uwagi na to, gdzie był wcześniej, a nie na to, co zamierzał za chwilę zrobić. Nie pamiętał, kiedy ostatni raz zdarzyło mu się pić przed południem. Chciał już ponownie napisać do Spencera, kiedy ujrzał go na chodniku przed lokalem. Spencer ostatni raz zaciągnął się papierosem i wyrzucił nadal żarzący się niedopałek na ziemię. Następnie przecisnął się przez szklane drzwi i obrzucił wzrokiem stoliki. Minęło dobrych dziesięć sekund, zanim dostrzegł Richarda przy barze i z uśmiechem ruszył w jego stronę.

– Przy barze, co? – powiedział, siadając na sąsiednim stołku. – Czasami też lubię jeść przy barze. To takie męskie.

– Nie będziemy nic jeść – odparł Richard w nadziei, że choć trochę utemperuje nieznośne samozadowolenie Spencera.

– Czyli lunch w płynie? To też bardzo krzepiące. – Zamachał na barmana ze swobodą godną starego pijaka i zamówił wódkę z tonikiem. – Dobrze cię widzieć, Richard. Chociaż nie wyglądasz raczej jak szychy z bankowości. Bluza z kapturem i jeansy? Co to ma być? Zainspirowałeś się stylem z *Breaking Bad*? Czy to tylko twój kostium gospodyni domowej i po prostu czekasz, aż Franklin McCoy przyjmie cię z powrotem?

– Dzisiaj mamy luźny piątek.

– Popieram to. I muszę przyznać, że bardzo się cieszę, że postanowiłeś być dobrym kumplem i wesprzeć mnie w trudnej chwili. Akurat kiedy sytuacja stawała się coraz gorsza, ty poszedłeś po rozum do głowy i teraz dzięki tobie wszystko odrobinę się poprawi.

– Myślę, że obaj w tym tygodniu sięgnęliśmy dna. Nie wiem, czy dla któregoś z nas sprawy mogą wyglądać jeszcze gorzej.

Spencer przewrócił oczami.

– Ależ mogą. Oczywiście, że mogą. Tylko poczekaj, aż któregoś dnia pójde zeznawać w sądzie. Ale to i tak lepsze od pudła. A dzięki tobie będę mógł spłacić prawnika, przynajmniej w części.

– Aż tak źle?

– O tak. I podejrzewam, że trzeba będzie wydać kolejną górę pieniędzy, żeby udobruchać tego dumia Chucka Alcotta oraz pomóc niezwykle kruchej pani Fisher wrócić do zdrowia.

– Straty moralne?

Barman przyniósł Spencerowi drinka, a on stuknął kieliszkiem o butelkę Richarda i wziął solidny łyk alkoholu.

– No właśnie.

– Ale pomyśl – powiedział Richard – to przyjęcie naprawdę mogło zrujnować małżeństwo Fisherów. Albo w jakiś sposób straumatyzować Chucka Alcotta. To kolejna rzecz, z którą musimy teraz żyć.

– Czy ja przyłożyłem Brandonowi pistolet do głowy i kazałem mu przelecieć tancerkę? A Chuck mógł w każdej chwili wyjść, jeżeli tak bardzo mu się nie podobało.

– Może nie chciał nikomu psuć zabawy. Może nie chciał oceniać Philipa na jego własnym wieczorze kawalerskim.

– To dlatego ty też zabrałeś jedną z nich na górę, żeby ją przetrząść w pokoju gościnnym?

– Nie przetrząłem jej, Spencer – odparł Richard, zniżając głos i mając nadzieję, że jego rozmówca zrobi to samo.

– W takim razie twoja strata.

– Byłem pijany.

– Wszyscy byliśmy.

Richard przez chwilę chciał dodać, że dla niego upojenie alkoholowe tłumaczy pewne rzeczy, ale ich nie usprawiedliwia. Nie widział jednak większego sensu. Dlatego postanowił zmienić temat i powiedział:

– W każdym razie, zważywszy na twoje problemy finansowe...

– Gdyby chodziło tylko o to. Cały czas oglądam się za siebie i spodziewam się zobaczyć jakiegoś łysego, nasterydowanego bandziora. Patrę na ulicę i wszędzie widzę czarne SUV-y.

– Z tym ci nie pomogę.

– Mój prawnik mówi, że niepotrzebnie się martwię.

– No widzisz.

– Ale mimo to...

– Mimo to. W każdym razie wydaje mi się, że moje trzydzieści tysięcy dolarów nie wpłynie znacząco na poprawę twojej sytuacji.

– Jak chcesz, możemy zwiększyć kwotę do trzydziestu pięciu.

– Skąd mogę wiedzieć, że i tak nie zażądasz więcej?

Spencer uśmiechnął się tajemniczo, popijając drinka.

– Nie możesz.

– W dawnych czasach zapłaciłbym ci. Zniżyłbym się do twojego poziomu pijawki, wytarzałbym się razem z tobą w tym błocie i...

– Wiesz, że jestem łąsy na pochlebstwa. Jeśli chcesz, mogę ci po prostu przesłać moje rachunki i wszelkie koszty „terapii” pani Fisher, którymi zostanę obciążony. Ty się możesz tym zająć.

– Zniżyłbym się do twojego poziomu i wręczyłbym ci czek na trzydzieści tysięcy – kontynuował Richard. – A ty w zamian oddałbyś mi negatywy i wszystkie odbitki. Ale w dzisiejszych czasach? Nie mam żadnych gwarancji.

Cyfrowe pliki można trzymać wszędzie. Równie dobrze to wszystko mogło już dawno znaleźć się w chmurze, razem z resztą twojej plugawej kolekcji.

– Dobrze, no więc przyniosłeś czek na trzydzieści tysięcy, od którego oczywiście chętnie cię uwolnię. A za jakiś czas, niedługo, mogę cię poprosić o więcej. Jeżeli ten dzień jednak nadejdzie, dam ci słowo, że skasowałem wszystkie kopie tych plików i nie masz absolutnie żadnego powodu do niepokoju. Słowo honorowego hulaki.

Richard dopił resztkę piwa.

– Nie jesteś żadnym hulaką, a na pewno nie honorowym.

– Cóż, staram się. Każdy musi sobie stawiać jakieś cele.

– Jesteś tylko żalonym, obmierzłym pasożytem. I do tego nieudacznikiem – powiedział Richard, wstając. – I postanowiłem, że nie dam ci ani centa. Wyślij zdjęcia mojej żonie. Pokaż nagranie wszystkim w mojej firmie. Jeśli chcesz, zrób to w tej chwili. Mam to gdzieś.

Spencer odwrócił się do niego i po raz pierwszy Richard poczuł, że w pełni zwrócił na siebie jego uwagę.

– Pożałujesz tego – wycedził wolno Spencer.

– Nie sądzę.

– Prześpij się z tym. Mogę poczekać do jutra.

– Zapewniam cię, że jestem pewny swojej decyzji. Właściwie całkiem dobrze się z nią czuję. Aha, i jeszcze jedno.

Spencer wbił w niego nienawistne spojrzenie i czekał.

– Dzisiaj ty stawiasz – oznajmił Richard, po czym odwrócił się i wyszedł z restauracji, po drodze przydeptując niedopałek Spencera leżący na chodniku przed wejściem.

*

Gdy jechał na północ po FDR Drive, zadzwonił jego telefon. Wyświetliło się nazwisko Diny Renzi. Wciąż był poruszony (choć całkiem zadowolony z siebie) po konfrontacji ze Spencerem Dohertym. Poza tym w dalszym ciągu nie doszedł jeszcze całkiem do siebie po wizycie w kostnicy. Teraz, kiedy

mógł już tylko czekać na chwilę, gdy Spencer zdecyduje się zrzucić bombę, wracały do niego obrazy zabitych. Człowiek wykrwawiający się w jego salonie. Drugi umierający w korytarzu. Kobieta, której niemal ucięto głowę. Dlatego czekał, aż telefon przestanie dzwonić i uruchomi się poczta głosowa. Dopiero wtedy wcisnął przycisk i z głośników w samochodzie popłynął głos Diny. Nie minęło chyba wystarczająco dużo czasu, żeby Spencer zdążył wysłać nagranie i zdjęcia do Franklin McCoy i żeby tam ktoś zdążył je obejrzeć, przetrawić i napisać pełen wściekłości list do jego prawniczki. Ale nigdy nic nie wiadomo.

Ze zdumieniem stwierdził jednak, że głos Diny brzmiał zaskakująco radośnie.

– Cześć Richard, mam nadzieję, że wyszedłeś z domu i robisz coś przyjemnego. Oddzwoń do mnie. Możliwe, że mam dobre wieści. Nie chcę ci niepotrzebnie robić nadziei, ale wygląda na to, że twoi przyjaciele z Franklin McCoy, tak, używam słowa „przyjaciele” z niewielką szczyptą ironii, chcą się spotkać w przyszłym tygodniu. Hugh i ja od czasu naszej rozmowy jesteśmy cały czas w kontakcie. I mam poczucie, że chcą znaleźć sposób, żeby wyjść z tego z twarzą, a jednocześnie pozwolić ci wrócić do pracy. To jeszcze nic pewnego, ale myślę, że, jak to się mówi, wszystko idzie w dobrym kierunku. Być może już niedługo znowu będziesz pomagał większym rekinom zjadać mniejsze rekiny, bo tym się przecież na co dzień zajmujesz, prawda? Oddzwoń, jak będziesz mógł. Pa.

Richard pomyślał o tym, że za tydzień albo dwa mógłby być z powrotem w swoim biurze. Naprawdę brakowało mu pracy. Przez chwilę zastanawiał się, czy popełnił błąd, ignorując radę Diny i każąc Spencerowi iść do diabła, ale przypomniał sobie, że podjął tę decyzję, ponieważ postanowił zachować się w zgodzie z własnym sumieniem. Nie będzie żałował tego, że postawił się śmieciowi, który udaje najlepszego przyjaciela jego durnego brata.

Wciągnął głęboko powietrze przez usta i starał się skupić na zderzaku i tylnych światłach rozklekotanej furgonetki ślusarza, jadącej bezpośrednio przed nim. Próbował poczuć się szczęśliwy, ale było to trudne, biorąc pod uwagę ogólny stan rzeczy w jego prywatnym świecie. Wciąż przypominał sobie martwą dziewczynę w kostnicy, przez co z kolei zaczynał myśleć o Alexandrze, która zapewne także już nie żyła.

Nie, szczęście na razie nie było osiągalne. Powinien obniżyć poprzeczkę i zaakceptować coś mniejszego. Znowu przyszło mu do głowy słowo „normalność”, tak jak kilka godzin wcześniej, kiedy jechał tą samą trasą w przeciwnym kierunku. Tęsknił za normalnością, ale nie wyobrażał sobie, co takiego musiałoby się stać, żeby jego życie po prostu wróciło na dawne tory.

*

„Zobaczysz, kiedyś Barbie przestanie ci się kojarzyć z gumą”.

To zdanie Kristin usłyszała od brata we wtorek wieczorem, kiedy po powrocie do domu znalazły z Melissą zużytą prezerwatywę na plastikowym pudle z lalkami Barbie. Natychmiast zatelefonowała do brata, bo nie była gotowa podzielić się tą sensacją z żadną ze swoich przyjaciółek, a czuła, że musi komuś opowiedzieć o swoim upokorzeniu. A on spokojnie jej wysłuchał, pomógł opędzić się od najczarniejszych myśli i zanim się rozłączył, zapewnił, że skojarzenia zmieniają się wraz z upływem czasu. Blakną pod wpływem kolejnych przeżyć i doświadczeń. Kiedyś, być może już za rok, a może dopiero za dziesięć lat, gdy pomyśli o lalkach swojej córki, znów wrócą do niej wspomnienia tych wszystkich godzin spędzonych z Melissą na podłodze, kiedy bawiły się Barbie, wymyślając najrozmaitsze historie. Z czułością pomyśli o wspólnych chwilach. O światach, które razem tworzyły. O ubrankach, o mebelkach, o samochodach. I o bucikach.

Teraz, kiedy stała z Melissą i Claudią przed długim, szerokim regałem z lalkami w sklepie FAO Schwarz przy Piątej Alei, doszła do wniosku, że jej brat być może wcale nie miał racji. Kto wie, o czym będzie myślała, zbliżając się do pięćdziesiątki? Albo gdy zostanie babcią w wieku, powiedzmy, sześćdziesięciu lat?

Zawędrowały na ten dział wcale nie dlatego, że dziewczynki nadal interesowały się Barbie. Po prostu zwiedzały sklep. Zajrzały tu po wizycie w drugim muzeum. Należało im się trochę niepoważnej rozrywki po sporej dawce kultury wysokiej. Najpierw odwiedziły mieszczący się obok salon Apple'a. Podziemny świat, który rozciągał się pod gigantycznym szklanym sześcianem przypominał raczej stację metra w godzinach szczytu. Żaden cud techniki nie był wart przeciskania się przez te dzikie tłumy. W sklepie z zabawkami było nieco luźniej, ale Kristin szybko stwierdziła, że dwie

czwartoklasistki przy jej boku już dawno wyrosły z jakichś dziewięćdziesięciu procent sprzedawanego tu asortymentu.

Westchnęła, słysząc, jak dziewczynki natrzęsają się z niektórych kolekcjonerskich serii. W tej chwili salwy śmiechu wywoływały lalki stylizowane na postaci ze *Zmierzchu* i *Niezgodnej*: Carlisle'a, Edwarda i Tris. Gdzie te czasy, kiedy wszystkie laki przedstawiające mężczyzn nazywały się Ken? No i gdzie się podziała Skipper?

Tuż obok znajdował się regał z lalkami Monster High, jeszcze bardziej anorektycznymi od zwykłych Barbie. Ich makabrycznie wychudzone ciała były zwieńczone wielkimi trupiobladyimi głowami, karykaturalnie przerośniętymi w stosunku do rąk i nóg. Miały czerwone wydęte usta i długie rzęsy modelek, minispódniczki i buty na wysokim obcasie. Nosiły mroczne i jednocześnie pełne podtekstów imiona, takie jak Honey Swamp, Draculaura czy Catty Noir.

Sąsiednią półkę zajmowała seria Fairy Tale High. Postaci z klasycznych baśni w wyzywającej odsłonie. Mała Syrenka w kabaretkach. Kopciuszek w legginsach i skąpym topie. Alicja w króciutkiej biało-niebieskiej sukience w prążki, ledwie zakrywającej tyłek.

– Emiko ma takie legginsy – powiedziała Melissa, wskazując na Kopciuszka.

– Mnie też się podobają – odpowiedziała Claudia. – Sama chciałabym takie mieć. Są naprawdę sexy.

Kristin nagle przyszło do głowy wyrażenie „ale z niej lala”. W wolnym tłumaczeniu: jest ładna i uległa.

Lala. Inaczej: laska, cizia, słodka idiotka.

Kilka godzin temu, jeszcze przed wizytą w pierwszym muzeum, Richard wysłał jej SMS-a. Napisał, że prostytutka, którą pojechał zidentyfikować w kostnicy, to Sonia, o ile dobrze zapamiętał jej imię. Tleniona blondynka. Kristin nie zapytała, co dalej. Co teraz. Nie zapytała, czy to znaczy, że dziewczyna, z którą poszedł na piętro, nadal żyje, czy może jednak ją też zabili, tyle że policja jeszcze nie odnalazła jej ciała. Spytała tylko, jak się czuje. Odpisał, że w porządku.

„W porządku”. Nie miała pojęcia, co to mogło oznaczać w kontekście wizyty w kostnicy.

– Podoba mi się jej sukienka – oznajmiła Melissa, wskazując na Alicję w Krainie Czarów. Zdzirowatą Alicję w Krainie Czarów.

– Ta też ma fajny strój – odparła Claudia, zachwycona kamizelką, która ledwie zakrywała biust Belli. Zdzirowatej Belli.

Kristin oczywiście zdawała sobie sprawę, że jej własne lalki też kiedyś zachowywały się nieprzyzwoicie. Często rozbierała swoje Barbie i swoich Kenów i pozwalała im zabawiać się ze sobą, rozkładając nogi dziewczynom tak szeroko, jak tylko się dało. Te wszystkie ekscesy odbywały się pod osłoną niebieskiego koca, narzuconego na stół w jadalni rodziców.

Dobry Boże, zaledwie dwa, może trzy lata temu razem z Richardem zaśmiewali się przy butelce wina, wspominając wszystkie perwersje, do jakich zachęcali lalki Melissy w chwilach, gdy ich córeczka odwracała głowę albo pochylała się nad plastikowym pudłem, żeby poszukać jakiejś konkretnej Barbie. Robili to – tak, każde z nich się do tego przyznało – żeby nie zwariować podczas długich godzin spędzanych na zabawie z Melissą.

A teraz to wszystko zmieniała ta przeklęta guma. To wszystko zostało zdominowane przez ten cholerny kondom.

Jednego była pewna: jeśli za dziesięć lat jej synapsy nie powiążą prezerwatywy z lalką Barbie, to chyba tylko z powodu Alzheimerera. Wczesnego stadium Alzheimerera. Albo urazowego uszkodzenia mózgu. Rozejrzała się dookoła. Wszystkie ściany w sklepie były różowe. Tak samo jak kwiatowe motywy na posadzce. Nawet światło miało lekko różowy odcień. Możliwe, że za dziesięć lat Barbie skojarzy jej się także z różem. Może też z plastikiem.

Jednak pierwszym i najważniejszym skojarzeniem, jakie przyjdzie jej do głowy już zawsze, będzie prezerwatywa.

Spojrzała na zegarek i uznała, że powinny się już kierować w stronę Grand Central, jeśli chciały zdążyć na pociąg do Bronxville.

Richard wiedział, że to ani wizja, ani sen, a jego pierwszą reakcją była chęć ucieczki. Powinien po prostu minąć swój podjazd i pojechać dalej. Zamiast hamować, powinien wcisnąć pedał gazu i ruszyć przed siebie wąską uliczką odchodzącą od Pondfield Road. Skręcić za róg i zrobić kółko. Powinien dać sobie chwilę, żeby się zastanowić, co ta dziewczyna sobie, do cholery, wyobraża. Ale nie zrobił tego. Tak mógłby zachować się jego brat, ale nie on. On po prostu wjechał na swój delikatnie nachylony podjazd i zatrzymał się tuż przed bramą garażu.

Dziewczyna siedziała na tarasie przed jego domem. Jedną ręką podpierała brodę, w drugiej trzymała papierosa. Na głowie miała wełnianą czapkę z logo New York Giants – jego drużyny, co można uznać albo za znak, albo za zwykły zbieg okoliczności – i okulary słoneczne, ale natychmiast ją rozpoznał. Dostatecznie dobrze widział jej twarz. Jej usta, jej sylwetkę. Pamiętał tę skórzaną kurtkę.

Ale rozpoznałby ją niezależnie od stroju. Nie potrzebował do tego żadnego szóstego zmysłu. Wystarczyło mu przelotne spojrzenie.

Nie poruszyła się, kiedy zgasił silnik i wyciągnął kluczyk ze stacyjki, ale widział, że go obserwuje. Miała na sobie krótką spódniczkę i ciężkie buty. W głowie zaświtała mu myśl tak niedorzeczna i nie na miejscu, że aż kąciki ust lekko mu się podniosły. Co sobie pomyślą sąsiedzi? Seksowna dziewczyna w mini paląca papierosa pod moimi drzwiami?

Cóż, niech sobie myślą, co chcą. I tak już nie mogą mieć o nim gorszego zdania. Zresztą on sam o sobie też nie.

Przede wszystkim jednak uśmiechał się, ponieważ Alexandra żyła. Tamten detektyw się mylił. Dzięki Bogu. (Czyżby wymamrotał te dwa słowa na głos w samochodzie? Tak mu się wydawało). Jej rozkładające się ciało nie zostało wyrzucone na brzeg gdzieś w Brooklynie czy na Staten Island ani nie obijało się godzinami o nabrzeże w nowojorskiej stoczni, zanim ktoś wyłowił je z wody albo zadzwonił na 911. Nie. Zamiast tego pojawiła się tutaj. W Westchester. Cała i zdrowa. Nie utonęła. Nikt jej nie obciął głowy. Richard czuł taką ulgę, że wysiadając z samochodu, cały lekko drżał. Dziewczyna wstała dopiero, gdy przeciął podjazd i wszedł po schodach na taras. Kiedy w końcu się podniosła, wyciągnęła w bok rękę z papierosem i położyła mu

głowę na klatce piersiowej. Poczul na szyi jej wełnianą czapkę, jej okulary wbijały mu się w obojczyk. Oparła się o niego całym ciężarem ciała.

– Na pewno nie spodziewałeś się zastać pod domem prostytutki – wymamrotała pod nosem.

Richard pogłaskał ją niepewnie po łopatkach. Czuł, że nie ma prawa jej dotykać, a jednocześnie ma moralny obowiązek to zrobić.

– Nie – przyznał. – Nie spodziewałem się. Ja...

Czekała.

– Bałem się, że stało ci się coś złego.

– Myślałeś, że nie żyję.

– To prawda.

Czuł, jak jej pierś z każdym oddechem wznosi się i opada.

– Ale nadal tu jestem.

– Tak się cieszę. Bałem się o ciebie. – Zastanawiał się, czy Alexandra wie, że jej koleżanka nie żyje. Sonia. Chciał jej powiedzieć, gdzie był dzisiaj rano, ale uznał, że to może poczekać. Powie jej w swoim czasie. Może.

– Nie miałam dokąd pójść – mruknęła.

– Cóż, na twoim miejscu zacząłbym od policji – powiedział i miał nadzieję, że mówi to bardziej z troski o jej bezpieczeństwo niż o własne.

Niespodziewanie odepchnęła go wolną ręką i zrobiła krok do tyłu.

– Nie. Nie pójdę do więzienia.

Żałował, że nie widzi jej oczu za okularami. Czy właśnie przyznała się do zabicia tego Rosjanina?

– Pokazali mi Rikers Island. Opowiadali o więzieniach w Ameryce – ciągnęła, a jej głos stał się nieco bardziej donośny, trochę bardziej nerwowy. – Wiem, co się tam dzieje. Wiem, co się tam naprawdę dzieje.

– Spokojnie – powiedział, podnosząc obie ręce. Nie był pewny, kim są „oni”, ale zakładał, że chodzi o tych samych ludzi, którzy przywieźli ją do

Ameryki, a potem najprawdopodobniej zmasakrowali jej przyjaciółkę. – Wejdźmy do środka. Porozmawiajmy, dobrze? Chcę wiedzieć, kim jesteś. Kim naprawdę jesteś. Chcę wiedzieć, czego ci trzeba i co mogę dla ciebie zrobić.

– Nie zadzwonisz na policję?

Pokręcił głową.

– Nie mogę obiecać, że nigdy tego nie zrobię. Ale na pewno nie teraz.

– Posłuchaj...

– Tak?

– Przyszłam dlatego, że Sonia chyba przypadkiem coś tutaj zostawiła. Coś ważnego. Muszę to znaleźć.

– Cokolwiek to było, na pewno już dawno tego nie ma. Policja siedziała w domu przez kilka dni. To, co zostawiła Sonia, pewnie leży teraz w szafce na dowody rzeczowe gdzieś na komisariacie. Mówię poważnie. Przeczesał cały parter.

– To było na górze.

Richard zastanowił się nad tym. Przypomniał sobie, co jego żona znalazła w pokoju ich córki.

– Piętro przeszukiwali dużo mniej starannie – przyznał. – Co to takiego?

– Kartka z numerem telefonu. Była schowana w opakowaniu po prezerwatywie. – Wydawała się niemal zawstydzona, kiedy to mówiła. – Sonia poszła na górę z jakimś facetem.

– Wiem. – Richard przez dłuższą chwilę patrzył na ulicę i na okoliczne domy. – Dobrze, wejdźmy do środka. Poszukamy. I spokojnie porozmawiamy.

– Przejmujesz się sąsiadami? – zapytała.

– Alexandro... dobrze pamiętam?

Skinęła głową bez przekonania. Nie umiał rozszyfrować tego gestu.

– Cóż, Alexandro, w tej chwili mam znacznie większe powody do

zmartwienia niż opinia moich sąsiadów. I założę się, że ty też.

*

Ale w pokoju nie było ani opakowania po prezerwatywie, ani skrawka papieru. Nie znaleźli nic w pościeli, ani za materacem. Przesunęli nawet łóżko i przeszukali stos ubrań, książek i płyt z gramami komputerowymi, które przez lata nagromadziły się pod skrzynią. Richard właściwie poczuł ulgę. Wiedział, że gdyby znalazł ten numer, przekazałby go policji. Na pewno nie pozwoliliby tej dziewczynie uciekać z fałszywym paszportem i podrobioną kartą kredytową.

Dopiero kiedy ponownie ścielił łóżko i wciskał prześcieradło pod materac, zdał sobie sprawę, co się stało. Kristin wyrzuciła całą pościel we wtorek wieczorem. Nie chciała niczego prac. Jej zdaniem na całym świecie nie było dostatecznie gorącej wody, żeby doczyścić pościel ich córeczki, po tym jak obcy mężczyzna i prostytutka uprawiali seks w jej łóżku. A śmieci wywieźli wczoraj rano. Jeśli ten numer kiedykolwiek był w tym pokoju, to już dawno zniknął.

– Przykro mi – pozwolił sobie na białe kłamstwo, które miało ją pocieszyć.

Stała oparta o szafkę z książkami Melissy.

– To była moja jedyna nadzieja – powiedziała głucho. – Już po mnie.

– Nie, wszystko będzie dobrze – zapewnił. – Nic ci się nie stanie.

Zaproponował, żeby zeszli na dół i napili się kawy, a on zastanowi się co dalej.

*

Siedzieli przy stole w kuchni, popijając kawę. Była dopiero druga trzydzieści po południu. Kristin i Melissa powinny wrócić najwcześniej za dwie godziny, więc Richard nie czuł, że czas go nagli. Zawsze mógł napisać do Kristin SMS-a i zapytać, co porabiają – a tym samym upewnić się, że nadal są gdzieś w centrum Manhattanu – ale wydawało mu się to dziwnie nieuczciwe. Zresztą później taki SMS mógłby tylko się na nim zemścić. Uznał, że albo zdąży odwieźć dziewczynę na policję przed powrotem Kristin,

albo oboje nadal będą siedzieli tutaj, gdy zjawi się w domu. Na pewno nie miał najmniejszego zamiaru ukrywać faktu, że Alexandra tu przyszła. Nie mógłby tego ukrywać i wcale nie chciał. Wiedział jednak, że czeka go trudna rozmowa z żoną.

Alexandra zdjęła okulary i czapkę, po czym przeczesła włosy białą plastikową szczotką wyciągniętą z plecaka. Teraz już bardziej przypominała dziewczynę, która siedziała naga na łóżku piętro wyżej niż tę wychudzoną uciekinierkę, która czekała na niego przed domem.

– A co gdyby moja żona wróciła do domu przede mną? Co gdyby tu była, kiedy zapukałaś do drzwi? – Richard miał nadzieję, że jego ton nie wyraża krytyki ani gniewu. Naprawdę chciał wiedzieć, co sobie wtedy myślała.

– Przywitałabym się. Zapytałabym, czy mogę poszukać na górze kawałka papieru.

– Mówię poważnie.

– Ja też. Przywitałabym się i poprosiłabym ją o pomoc. Tak samo jak ciebie.

– I naprawdę myślałaś, że ona może ci pomóc?

– Powiedziałeś jej, że uprawialiśmy seks?

– Nie. Ponieważ to prawda. Ale przyznałem się, że poszliśmy razem na górę i prawie uprawialiśmy seks.

– Serio? Nie spodziewałam się tego.

– Jesteśmy małżeństwem.

– Słuchaj, mam poważne kłopoty, a ty jesteś bardzo dobrym człowiekiem. Stwierdziłam, że na pewno masz też bardzo dobrą żonę.

– Mam bardzo dobrą żonę. Ale jest tylko człowiekiem. Nie jest święta. Właściwie może jest, bo nie postanowiła się ze mną rozwieść. Ale była naprawdę zła. Nie zdradzam jej. Nigdy nie miałem żadnego romansu. Ale ty... cóż, Alexandro, jesteś piękna. Jesteś piękna – powtórzył. – I siedziałaś na tym łóżku, i w tamtym momencie byłaś moja... Powiedz mi coś.

– Dobrze.

- Ile masz lat?
- Dziewiętnaście.
- Przysięgasz?
- Tak.
- Boże. To i tak absurdalnie mało.
- W tym biznesie zdarzają się jeszcze młodsze dziewczyny.

– I dlatego to wszystko jest cholernie przykre. W każdym razie w wieku dziewiętnastu lat nie jesteś tą inną kobietą. Chodzi mi o to, że moja żona nigdy nie widziałaby w tobie rywalki. Ale poszedłem z tobą na górę. Rozebrałem się. Oboje się rozebraliśmy. To nie powinno nigdy mieć miejsca. Dlatego to w pełni zrozumiałe, że moja żona jest, albo była, na mnie wściekła. Jeśli mam być szczerzy, Alexandro, nie jestem pewien, czy by ci pomogła.

– Rozumiem. Nie jestem, jak mówisz „inną kobietą”. Jestem tylko kurtyzaną. Zabawką.

Richard westchnął. Zarówno „kurtyzana”, jak i „zabawka” to eufemizmy, chociaż każdy przywoływał zupełnie inny obraz. Pierwsze słowo skojarzyło mu się z Wersalem. A drugie? Z zabawkowym samochodzikiem dla dzieci. Ale wiedział, co ma na myśli. Dokładnie wiedział.

- Gdzie ona teraz jest? – zapytała Alexandra.
- W mieście, z naszą córką.

Nagle, nie wiadomo skąd, pojawiła się Cassandra, która wskoczyła na stół, o włos omijając kubek i spodek Alexandry. Kotka spojrzała najpierw na nią, a potem na Richarda. Podniósł ją i przełożył sobie na kolana, ale bardziej interesowało ją wąchanie plecaka i butów dziewczyny, więc zeskoczyła z powrotem na podłogę.

– A jeśli twoja żona wróci do domu i mnie tu zobaczy? – zapytała Alexandra.

- Podejrzewam, że przynajmniej na początku odrobinę się wkurzy.
- W takim razie powinnam sobie pójść. – To było stwierdzenie, nie

pytanie.

– Nie, nie możesz wyjść. Nie wiesz, co dzisiaj zobaczyłem. Nie wiesz, gdzie dzisiaj byłem.

– Byłeś w pracy? Możesz się ubierać do pracy jak trener chłopięcej drużyny piłkarskiej? – zapytała z lekkim uśmiechem.

– Nie, nie w pracy. Chciałbym chodzić do pracy, ale nic z tego – powiedział. Napił się kawy i zebrał na odwagę. Musiał powiedzieć jej o przyjaciółce. Musiała wiedzieć. – Byłem na Brooklynie – podjął – w szpitalu King’s County. W kostnicy. Chcieli, żebym zidentyfikował zwłoki.

– Sonia – powiedziała. Jej uśmiech momentalnie wyparował, a głos zrobił się smutny. Wyjęła z kieszeni papierosa. Richard w pierwszym odruchu chciał ją powstrzymać, ale ostatecznie nic nie powiedział. Niech sobie zapali. Jeżeli papieros pomoże jej to przyjąć, to w porządku. Zdał sobie sprawę, że nie ma żadnego planu. Cały czas poruszał się po omacku, na bieżąco decydując, jak powinien się zachować.

– Tak, Sonia. Bardzo mi przykro. Naprawdę. Rozumiem, że wy dwie byłyście przyjaciółkami. – Patrzył, jak zapala papierosa tanią zapalniczką BIC, skupiając wzrok na jej palcach i lakierze do paznokci. Wstał i znalazł dla niej popielniczkę w szafce z zastawą, której nigdy nie używali.

– Byłyśmy przyjaciółkami – potwierdziła. – Ale ja wiedziałam. Wiedziałam, że ją zabili.

– Skąd?

Kiedy się zaciągała, koniec jej papierosa jarzył się jak konstelacja gwiazd w planetarium.

– Nie zadzwoniła do mnie wtedy, kiedy się umówiliśmy. Miała mi dać sygnał.

– Wiesz, kto ją zabił?

– Wiem. Goście, którzy pracują dla człowieka o imieniu Julian. Banda łysych karków.

– Dlaczego ciebie też nie zabili?

– Nie było mnie wtedy z nią. – Zaciągnęła się. – Może to i dobrze, że nie znaleźliśmy tego numeru. Skorzystałabym z niego, poszłabym do tego Gruzina i pewnie skończyłabym jak Sonia.

Nagle Richardowi przyszła do głowy myśl, która sprawiła, że aż się wyprostował na krześle. Dlaczego, na Boga, nie uświadomił sobie tego w chwili, gdy zobaczył ją na swoim tarasie? Przypomniawszy sobie, co powiedział mu tamten policjant dzisiaj rano w kostnicy: „Jeśli uznają, że jest pan ważnym świadkiem. Ale przecież ich dziewczyna nie ukrywa się u pana w pokoju gościnnym ani nie siedzi sobie w ogrodzie zimowym”.

– Tak – powiedział. – Na pewno teraz cię szukają.

– Oczywiście.

– Myślisz, że mogą trafić za tobą tutaj? Do mojego domu?

– Nie wydaje mi się, żeby ktoś mnie śledził. Może w mieście. Ale czekałam przed domem dość długo i nikt nie przyszedł mnie zabić.

– Ale mogą cię tutaj szukać.

Wzruszyła ramionami.

– Musiałam gdzieś pójść. – Nagle podniosła się z krzesła. – Muszę już iść. Przepraszam.

Richard szybko położył jej rękę na ramieniu i zatrzymał ją.

– Nie idź, proszę... Nie idź. Przyszłaś po pomoc. Pomogę ci. – Mimo to wiedział, że z jej obecności w tym domu nie wyniknie nic dobrego. Przed oczami przesunęła mu się cała galeria twarzy. Były wśród nich jego żona i córka. Byli ochroniarze Alexandry, obaj rzecz jasna martwi, ale po świecie chodziło przecież mnóstwo takich jak oni. Byli wreszcie policjanci, których poznał w ciągu ostatniego tygodnia, kobiety i mężczyźni, którzy tłumaczyli mu, że jego dom to miejsce zbrodni, albo dzielili się z nim sekretami kostnicy. Ale wiedział, że Alexandra to bardziej dziecko niż dziewczyna. Miała dziewiętnaście lat. Nie mógł jej tak po prostu wygonić na ten październikowy chłód, gdzie czekali na nią jedynie mężczyźni pokroju Spencera Doherty’ego, a potem co? Śmierć. Znów przyszła mu na myśl strzelba myśliwska, z której zakupu zrezygnował. Kule, które widział w pudełku. Ale zaraz potem

przypomniawszy sobie zwłoki Sonii i zrozumiał, że mógłby nawet kupić karabin szturmowy albo wyrzutnię rakiet, a i tak nie miałby żadnych szans przeciwko takim ludziom jak ci, którzy przywieźli Alexandrę do Ameryki.

– Nie zadzwonisz na policję? – zapytała.

– Jeszcze nie zadzwoniłem – odparł, gdy z powrotem usiadła. On zrobił to samo. – Ale jeśli mam ci pomóc, muszę się dowiedzieć kilku rzeczy.

– Na przykład?

– Na przykład jak masz naprawdę na imię. Bo gdybym miał obstawiać, powiedziałbym, że wcale nie nazywasz się Alexandra. Wcześniej przed domem powiedziałaś...

– Nie, nie nazywam się Alexandra.

– Dobrze. W takim razie jak masz naprawdę na imię?

– Anahit.

– Anahit – powtórzył. – Ładnie.

– To ormiańskie imię. Oznacza boginię.

– Czy Sonia również była z Armenii?

– Tak, ale ona dorastała w Wołgogradzie, a ja w Erywaniu. Miała niebieskie oczy, pamiętasz? To rzadkie u Ormianek. To dlatego, że jej babcia była po części Rosjanką.

– Od jak dawna jesteś w Ameryce?

– Od miesiąca.

– Więc byłeś w Stanach zaledwie trzy tygodnie, kiedy cię przywieźli na imprezę mojego brata.

Pokiwała głową i na chwilę oboje zamilkli, przypominając sobie ten wieczór, dokładnie tydzień temu, kiedy ich światy się ze sobą zderzyły – i eksplodowały.

– Dlaczego Sonia zabiła waszych ochroniarzy? Dlaczego zrobiła to akurat w tamten piątek?

– Naszych strażników – poprawiła Alexandra, unosząc brew. – Nie ochroniarzy.

– Przepraszam. Dlatego ich zabiła? Bo was... więzili?

– Bała się, że zabiją nas w drodze powrotnej do miasta. Była z nami jeszcze trzecia dziewczyna, której nie poznałeś. Crystal. Zabili ją wcześniej, ponieważ rozmawiała z policjantem.

Zgasiła papierosa w popielniczce, a on wpatrywał się w ślad jej szminki na filtrze.

– Z detektywem? – zapytał, starając się skoncentrować. – Rozmawiała z detektywem? Dla kogo pracował? Dla prokuratury okręgowej czy federalnej?

Spojrzała na niego niepewnie.

– Dla policji. Pracował dla policji.

– Rozumiem – odparł. Nie było sensu wdawać się w niuanse amerykańskiego systemu prawnego. – Czyli policja o was wie?

– Nie mam pojęcia, ile tak naprawdę wiedzą. Na pewno w tym tygodniu aresztowali jakichś koleś, ale zaraz potem większość wypuścili. Taka dziewczyna jak ja jest bezbronna. Nie mogę im ufać.

Richard pokręcił głową. Musiał to jakoś wyprostować. Wyjaśnić, że nie powinna się bać policji, ani się martwić, że pójdzie do więzienia. Nikt jej nie zrobi krzywdy. Może powinien ją poznać z Diną Renzi? Jej firma na pewno zgodziłaby się reprezentować ją pro bono. Poza tym tak naprawdę nie była przestępczynią. Była ofiarą, na miłość boską! A mimo to panicznie bała się więzienia, choć przecież jej to nie groziło. W myślach układał już sobie zdania, za pomocą których wytłumaczy jej, czym jest program ochrony świadków – o ile w ogóle w jej przypadku okaże się to konieczne, co wydawało mu się mało prawdopodobne. Musiał ją zapewnić, że wszystko będzie dobrze. Nic się jej nie stanie.

– Posłuchaj – zaczął – policja prowadzi już śledztwo w sprawie ludzi, którzy przywieźli cię do Ameryki. To oczywiste. Wiedzą, że robiłaś to wszystko wbrew swojej woli. Ale jedno musimy sobie wyjaśnić: to Sonia zabiła tych dwóch facetów na przyjęciu. Prawda? – zadał to pytanie, zanim

zdążył je odpowiednio ubrać w słowa. W głębi serca wierzył, że ta dziewczyna jest niezdolna do takiej przemocy, ale po tym wszystkim, co przeszła z życiu, nie mógł tego wiedzieć na pewno. Mimo to zamierzał zapytać o to w sposób, który sugerowałby odpowiedź, na wszelki wypadek, żeby nie powiedziała mu czegoś, czego nie powinien wiedzieć. Czegoś, czego nawet Dina Renzi wolałaby nie wiedzieć...

Ona jednak, zamiast odpowiedzieć, sięgnęła do kieszeni kurtki i wyciągnęła pistolet. Natychmiast zrobił się czujny. Nie bał się, nic z tych rzeczy. Ale bacznie ją obserwował. Był zaskoczony, choć na jakimś poziomie rozumiał, że nie powinien się dziwić. Oczywiście, że miała broń. To całkiem logiczne.

– Tak ci się wydaje? – zapytała.

Richard nic nie powiedział. Wpatrywał się w jej broń. Dopiero co sam bezskutecznie starał się coś takiego zdobyć, a tu nagle pistolet znikąd pojawił się w jego kuchni. Był w zasięgu ręki. W drobnych dłoniach tej dziewiętnastoletniej dziewczyny. Co dziwne, broń wydawała mu się na swój sposób piękna. Przypuszczał, że to rosyjska produkcja, chociaż nie umiałby wyjaśnić, skąd ten wniosek. Pistolet właściwie przypominał ten, który nosił kiedyś James Bond – stary James Bond, za czasów Seana Connery'ego. Kiedy Alexandra ze stukotem odłożyła broń na stół, jej spodek i kubek lekko się zatrzęśły.

– Dlaczego uważasz, że nie zabiłam Kiryła? – podjęła, nie doczekawszy się żadnej odpowiedzi. – Dlaczego uważasz, że nie zabiłam tego wielkiego, wrednego, łysiego drania?

– Ponieważ tak właśnie uważam – odparł w końcu. Odchylił się na krześle i skrzyżował ręce na piersi. – Ponieważ... Anahit... ty... tego... nie zrobiłaś. Rozumiesz?

Przyłożyła palec do rękojści pistoletu i zakręciła nim na blacie.

– W magazynku zostało sześć kul. Sześć. Nie znasz mnie. Nic o mnie nie wiesz.

– Więc powiedz mi coś o sobie – poprosił. – Powiedz mi coś, co powinienem wiedzieć.

Alexandra

Powiedziałam mu bardzo dużo. Powiedziałam mu o mojej mamie i o babci, i o rzeźbach na ulicach Erywania. Powiedziałam mu o Wasiliju. O domu pod Moskwą i o przyjeździe do Ameryki. Powiedziałam, że tak samo jak jego córeczka miałam kiedyś całą skrzynię amerykańskich lalek Barbie.

– Ale skąd? – zapytał. – Skąd, u licha, miałas całą skrzynię lalek? Od kogo je dostałaś?

W paczce zostały mi już tylko trzy papierosy. Pałac jednego za drugim, opowiedziałam mu. Opowiedziałam mu dokładnie tę samą historię, którą sama kiedyś usłyszałam.

*

W środę siódmego grudnia 1988 roku mój ojciec razem z dziadkiem mieli ukraść dwie skrzynie zegarków dla pewnego komunistycznego oficjela. Facet był w partii jakąś grubą rybą. Planował je rozdać gościom podczas przyjęcia w swojej luksusowej daczynie nad jeziorem Sewan. Zegarki zostały zapakowane do dwóch skrzyń razem z innymi towarami.

Ojciec i dziadek byli niezłymi cwaniakami. W tamtych czasach w Związku Radzieckim inaczej się nie dało. Ale nie zmienia to faktu, że byli też silnymi, mądrymi i życzliwymi ludźmi. Ojciec, o czym dowiedziałam się od matki, walczył o niepodległość Nagorno-Karabachskiego Obwodu Autonomicznego. Był prawdziwym bohaterem. Szkoda, że spędziłam z nim tylko osiemnaście miesięcy. Niestety, w ogóle go nie pamiętam. Nie miałam skończonych nawet dwóch lat, kiedy umarł. Opowiedziałam Richardowi o śmiertelnym wypadku w elektrowni wodnej.

Skrzynie z zegarkami przyleciały do Giumri – miasta w Armenii, o którym pewnie nigdy nie słyszeliście – ze wschodniego Berlina. W tamtym czasie Giumri wciąż nosiło nazwę Leninakan. Teraz macie pojęcie, jak

dawno temu się to działo. Zegarki miały trafić do sklepu z biżuterią w hotelu Alexandropol. Wiecie, takiego z eleganckimi barierkami, welurowymi wykładzinami i szklanymi gablotami z wmontowanym oświetleniem, dzięki któremu wystawione w nich brylanty błyszcząły jak dyskotekowe kule. Ale partyjny ważniak miał wobec nich inne plany. Ojciec i dziadek pracowali na lotnisku, więc „przekierowanie” przesyłki do piaskowożółtej łady dziadka nie stanowiło dla nich większego problemu. Jedną skrzynię położyli na tylnym siedzeniu, a drugą wpakowali do bagażnika. Ledwo się zmieściła, i to wcale nie dlatego, że była taka wielka – to bagażnik okazał się zbyt ciasny. Pamiętam, jak któregoś razu tańczyłam na imprezie dla grupy moskiewskich gangsterów. Bałam się, bo moskiewscy gangsterzy są całkowicie nieobliczalni; łyse osiłki Juliana wydają się przy nich potulnymi barankami. W każdym razie jeden z nich rzucił żart o pakowaniu zwłok do bagażnika łady, a wtedy drugi dodał, że to by musiały być bardzo drobne zwłoki. Śmiejąc się, wszyscy zgodnie stwierdzili, że nikt z obecnych by się nie zmieścił, nawet ja czy Sonia, która też tam wtedy ze mną była. To prawda. Nawet filigranowej tancerki, która w rzeczywistości jest nastoletnią sekszabawką, nie dałoby się upchnąć do bagażnika łady.

Ojciec i dziadek mieli dostarczyć zegarki prosto do rezydencji nad jeziorem, ale dziadek zapomniał kartki z adresem, która została na komodzie w jego mieszkaniu. No więc pojechali do niego do domu. Dziadkowie mieszkali w bloku. Pięć pięter, trzydzieści lokali, tony betonu i dziesiątki tysięcy pustaków. Konstrukcja zupełnie nieodporna na wstrząsy, zwłaszcza na trzęsienie ziemi o mocy sześć i osiem dziesiątych stopnia w skali Richtera, które jest w stanie zniszczyć całe miasto. Podobno radzieckie normy budowlane były takie same w Giumri, gdzie istniało duże zagrożenie sejsmiczne, jak i w Kijowie, gdzie prawdopodobieństwo trzęsienia ziemi było bardzo niskie.

Oczywiście Kijów w 1988 roku borykał się z całkiem innymi problemami. Miasto leży niedaleko Czarnobyli, a od 1986 roku minęły zaledwie dwa lata. Tak więc, jak to się mówi, wystarczy dodać dwa do dwóch.

Ojciec czekał w samochodzie, pałac kupionego na czarnym rynku papierosa, a dziadek pobiegł na górę. Jego mieszkanie znajdowało się na

czwartym pięttrze. Spieszył się, więc pewnie przeskakiwał po dwa stopnie naraz. Był bardzo energiczny. Babcia zawsze brała w ręce jego twarz i całowała go w usta, nazywając swoim Kozakiem.

Kiedy dziadek był w mieszkaniu, ojciec usłyszał ciche dudnienie. I od razu wiedział, co się święci.

W ciągu kilku sekund dudnienie przeszło w potężny huk. Gasząc papierosa, zauważył, jak ulica pod kołami samochodu marszczy się niczym zmacona tafla wody i asfalt pęka jak rozbita szyba. Już po chwili czarne rysy zmieniły się w gigantyczne rozpadliny, które zaczęły połykać całe auta. Ale nie ładę dziadka – ta, zamiast wylądować w wyrwie, uniosła się nad ziemię. Kable telefoniczne i linie wysokiego napięcia z trzaskiem zrywały się nad głowami, a transformatory na czubkach słupów zaczęły iskrzyć, przypominając zimne ognie, którymi dzieci bawią się w święta. Potem, jeden po drugim, eksplodowały.

Ojciec wy dostał się z samochodu. Chciał pobiec na górę, ratować swoich rodziców. Czyste szaleństwo, co? Ale był ich synem. I wtedy, dosłownie na jego oczach – które wkrótce wypełniły się taką ilością pyłu, że przez wiele godzin widział tylko na lewe oko – budynek się zawalił. Runął na ziemię w kłębach dymu i sadzy, który przysypał go niczym wulkaniczny pył. Ojciec miał dwadzieścia trzy lata. Większość budynków na tej ulicy się zawaliła, grzebiąc pod gruzami swoich mieszkańców. Okolica przypominała jedno wielkie rumowisko.

Ludzie mówili, że każda rodzina w Giumri straciła co najmniej jedną osobę podczas trzęsienia ziemi. Każda bez wyjątku.

Młode matki biegały po ulicach, jakby brały udział w jakimś wyścigu olimpijskim. Pędziły do szkół, bo usłyszały, że niewiele z nich zostało. I rzeczywiście, większość budynków złożyła się jak domki z kart. A najsmutniejsze jest to, że gdyby trzęsienie ziemi zaczęło się choćby pięć minut później, wielu uczniów nie zginęłoby pod gruzami, bo lekcje właśnie się kończyły. Wstrząsy zastałyby dzieci, kiedy odpoczywały na przerwie, jadły kanapki, bawiły się na boisku albo wracały do domu, a nie w salach lekcyjnych, gdzie były zamknięte jak w pułapce.

Ojciec, choć zupełnie nie widział na jedno oko, zaczął przekopywać się

przez górę cegieł, drewna i szkła, która jeszcze przed chwilą była domem jego rodziców. Zwisające wszędzie kable i przewody elektryczne przypominały włosy mitycznej Meduzy. Ale nie tylko mój tata kopał. Wszyscy, którzy przeżyli, kopali jak szaleni. W całym mieście. Kopali do późnej nocy. Kopali gołymi rękami tak długo, aż kości ich palców łamały się z trzaskiem, a skóra z dłoni została całkiem zdarta. Ludzkie dłonie jednak nie dawały rady przebić się przez ruiny cztero- i pięciopiętrowych bloków. W mieście nie starczało koparek i buldożerów do takiej ilości gruzu, poza tym większość pojazdów i tak nie była w stanie przejechać ulicami, ponieważ ogromne fragmenty powyrywanej nawierzchni sterczały pionowo w górę, a budynki, które zmiotło z powierzchni ziemi, stopiły się z asfaltem.

Gdy zapadł zmrok, mój ojciec stanął przed potwornym wyborem: zostać przy przywalonych gruzami rodzicach, nie mając pewności, czy jeszcze żyją, albo zostawić ich i wyruszyć na poszukiwania żony. Później opowiadał, jakie to było straszne. Wreszcie postanowił, że będzie kopał jeszcze przez pół godziny, a potem pójdzie szukać mojej mamy. I sprawdzić, ile zostało z ich mieszkania. Okazało się, że budynek nadal stał na swoim miejscu, ale większość okien była powybijana i jeszcze przez kilka miesięcy nie mieli ani prądu, ani wody, ani ogrzewania. W dodatku działo się to w grudniu. Rodzice przygarnęli wielu sąsiadów i wszyscy siadywali zbici w ciasną gromadkę, żeby się ogrzać. Niektóre spośród starszych osób porównywały to do Leningradu w 1942 roku. Wielu ocalałych zamieszkało w blaszakach zwanych domikami. Rząd wybudował je tamtej zimy. Ofiary trzęsienia ziemi miały w nich mieszkać najwyżej rok, ale większość została w nich na długie lata. Kiedy jako dwunastolatka pojechałam z mamą do Giumri, w mieście wciąż znajdowały się całe dzielnice domików. To był tak przygnębiający widok, że mama aż się rozpląkała.

W końcu ojciec się poddał. Wiedział, że pod gruzami ciągle są ludzie pogrzebani żywcem. Ale nie dziadkowie. Oni byli po prostu pogrzebani. Zewsząd dochodziło wołanie o pomoc. Ludzie krzyczeli. Błagali. A czasem już tylko jęczeli. W ciągu siedmiu godzin przedzierania się przez gruzy ojciec pomógł wyciągnąć zwłoki jedenastu osób, ale nie znalazł nikogo, kto jeszcze oddychał. Żeby wydobyć resztę ciał, potrzebna była koparka.

Mijając po drodze ogniska, lawirując wśród błysków latarek i świateł

karetek oraz wozów strażackich, ojciec z powrotem przedostał się do łady. Samochodowi nic się nie stało, ale nie mógł nim nigdzie pojechać. Pełne kraterów ulice przypominały powierzchnię księżyca. Na drogach piętrzyły się sterty cegieł z poniszczonych budynków. W tej sytuacji mógł zrobić tylko jedno: wyjął z auta obydwie skrzynie z zegarkami i dźwigając je przed sobą niczym cyrkowy clown, chwiejnym krokiem ruszył przez ruiny, które jeszcze kilka godzin temu były miastem. Zamierzał wymienić zegarki na jedzenie na czarnym rynku, który po trzęsieniu ziemi rozwinął się na gigantyczną wręcz skalę. To właśnie miałam na myśli, nazywając tatę cwaniakiem. Był zaradny i przedsiębiorczy. Potrafił zadbać o rodzinę. Niezawodny ojciec i mąż.

Tamtej nocy ze wszystkich stron otaczały go żywe trupy. Zdarzali się też bohaterowie, ale większość ludzi przypominała zombie. Ojciec widział dwóch nastoletnich chłopców niosących kobietę, która straciła nogę. Jeden z nich nie miał koszuli, ponieważ zrobił z niej opaskę uciskową i obwiązał nią krwawiący kikut. Materiał zabarwił się na czerwono, jakby ktoś go poplamiał winem z granatów. Widział przewrócony na bok zielono-biały autobus, z którego powybijanych okien wystawały zwłoki pasażerów. Widział całe rzędy pokiereszowanych, martwych ciał. Ludzie nawoływali się nawzajem, szlochali, wyli. To wyglądało jak jakiś biblijny kataklizm. Jak koniec świata.

Kiedy ojciec wreszcie dotarł do mieszkania, nie zastał w nim mamy. Okazało się, że poszła go szukać. Istna komedia omyłek, co? Otóż nie. Ten koszmar nie miał w sobie nic z komedii. To była jedna wielka tragedia. Zostawił więc pudła w salonie i wyszedł za nią na ulicę. Szukał jej całą noc. Tak samo jak ona jego. Miasto wyglądało upiornie. I nie chodziło tylko o zburzone budynki. Wszędzie leżały ciała. Ciała na popękanych chodnikach. Ciała na ciężarówkach. Ciała w wielkich szczelinach w ziemi. Poobrywane ręce zwisały z drzew. Nogi bez butów wystawały z roztrzaskanych witryn sklepowych, pośród odłamków szkła przypominających bożonarodzeniowe dekoracje. Oboje widzieli obcięte głowy z szeroko otwartymi ze zdumienia oczami, z ustami, na których zastygło pytanie: dlaczego? Oboje widzieli najgorsze, co można zobaczyć na tym świecie: zwłoki dzieci.

Wrócili do domu dopiero o wschodzie słońca. Tak samo jak wszyscy w mieście byli w głębokim szoku. Tata powiedział mamie, że wszystko będzie dobrze. Że wymienią zegarki na jedzenie. Że przetrwają.

Jak się jednak okazało, w pudłach wcale nie było zegarków. Były za to lalki Barbie. Mama opowiadała, że gdy otworzył skrzynię, przekrzywił głowę i uniósł brwi niczym zdezorientowany student – zawsze kiedy naśladowała jego minę, bardzo się śmiałam. Przez chwilę wpatrywał się w lalki, po czym oparł się o ścianę i zapalił papierosa. Mama, kuląc się z zimna, usiadła obok niego na podłodze. W mieszkaniu panował lodowaty chłód i para, którą wypuszczała przy każdym oddechu, mieszała się z dymem jego papierosa.

– Kiedyś – odezwał się wreszcie – będziemy mieli dużo córek i te córki będą się bawić naprawdę pięknymi lalkami.

Gdyby nie zmarł tak młodo, pewnie miałabym siostry. Przy takiej liczbie Barbie moi rodzice powinni byli mieć całe mnóstwo córek.

Ale tata umarł wcześniej i wszystkie lalki trafiły się mnie. Nie musiałam się nimi z nikim dzielić. Nie było takiej potrzeby. Dziesięć lat później, gdy z puciołowatego malucha przeistoczyłam się w małą, chudą dziewczynkę z patykowatymi nogami, wciąż tkwiły w swoich różowych opakowaniach. To właśnie wtedy mama dała mi pierwszą z nich, a potem co miesiąc, zawsze pierwszego, dostawałam kolejną lalkę. I tak prawie przez pięć lat. Nie mam pojęcia, gdzie trzymała te dwa pudła, z których każde mieściło po dwadzieścia osiem amerykańskich Barbie. Nasze mieszkanie nie było zbyt duże.

Gdzieś jednak zdołała je upchnąć. Była naprawdę niesamowitą kobietą.

*

Oczywiście mama też umarła młodo. Nie tak młodo jak ojciec, ale i tak jej śmierć nadeszła o wiele za wcześnie. Miała czterdzieści pięć lat. Ja, jak już wspominałam, miałam wtedy piętnaście.

– I jak tylko umarła, Wasilij od razu cię porwał? – spytał Richard ze smutkiem.

– Tak, po kilku tygodniach.

W tym momencie przed domem rozległ się odgłos zatraskiwanych drzwi samochodu, choć żadne z nas nie słyszało, jak parkował na podjeździe. Było mniej więcej wpół do piątej. Spojrzeliśmy w stronę korytarza, a potem na stół, na którym wciąż leżał mój makarow, tuż obok popielniczki pełnej

niedopałków i popiołu.

Rozdział 14

Alexandra złapała za pistolet, ściągnając go ze stołu z szybkością dzikiego kota, który z wysuniętymi pazurami chwyta mysz skrytą w sianie. Richardowi nawet nie przyszło do głowy, żeby samemu po niego sięgnąć, ani kiedy położyła go na stole, ani kiedy usłyszeli trzask zamykanych drzwi na podjeździe. Wstali jednocześnie, ale dał jej znak, żeby nie ruszała się z miejsca.

– To tylko moja rodzina – stwierdził.

– Skąd wiesz?

– To nie mógłby być nikt inny – powiedział w nadziei, że to ją uspokoi (choć dla jemu samemu daleko było do spokoju). W myślach planował już, co powie i w jaki sposób przedstawi Alexandrę Kristin i Melissie. Wiedział, że musi to perfekcyjnie rozegrać. Będzie miał tylko jedną, krótką szansę wytłumaczyć swojej żonie, że wprawdzie ta młoda kobieta może być dla niej najbardziej znienawidzoną osobą na świecie, ale z jakiegoś powodu w tej historii rola paladyna przypadła właśnie jemu – i teraz to on musi jej pomóc. Oboje muszą jej pomóc. Muszą wspólnymi siłami przekonać Alexandrę, że policja nie wtrąci jej w kajdanach do jakiegoś mrocznego lochu. Prawda jest taka, że czas naglił. Trzeba jak najszybciej zadzwonić na policję. Trzeba to zrobić, ponieważ w tej chwili jest to dla tej dziewczyny jedyna szansa na ratunek, niezależnie od tego, czy to ona zabiła drugiego Rosjanina, czy nie.

Wziął głęboki oddech i otworzył drzwi wejściowe. Przed domem rzeczywiście była jego żona i córka, które właśnie wchodziły na schody. Wyszedł na taras i zamknął za sobą drzwi.

– Cześć, tato – powiedziała Melissa.

– Cześć, skarbie – odpowiedział. Widział w oczach żony, że od razu nabrała podejrzeń.

– Co się dzieje? – zapytała Kristin.

– Ona tu jest. Dziewczyna z przyjęcia. Potrzebuje naszej pomocy.

Jego żona zaczęła kręcić głową i Richard naprawdę nie miał pojęcia, czy to oznacza, że jej nie pomogą – nie mogą jej pomóc – czy też Kristin po prostu nie może uwierzyć w to, co słyszy. Wyciągnął do niej rękę, a ona jej nie odtrąciła, co wziął za dobry znak.

– Nie wierzę – przyznała.

– Dziewczyna z przyjęcia? – powtórzyła Melissa. – Niewolnica seksualna?

– To tylko dziewczyna, Kris – powiedział, niezupełnie ignorując córkę, ale wiedział, że musi w pierwszej kolejności przełamać opór żony. – Cokolwiek się stało, to moja wina. To zawsze była wyłącznie moja wina. Ale...

– Dlaczego nie zadzwoniłeś na policję?

– Ona ma broń – odparł i wraz z tym krótkim zdaniem wszystko, co planował powiedzieć, wszystkie te idealnie dobrane słowa momentalnie się ulotniły, odrzucił jak puch dmuchawca na wietrze.

Kristin odepchnęła go i wzięła Melissę za rękę.

– Oszalałeś? – rzuciła w jego stronę, ciągnąc córkę z powrotem do samochodu. – Broń w naszym domu? Jedziemy stąd natychmiast. Zadzwonię na policję, jak tylko się oddalimy. Chodź, Melisso.

– Proszę, nie odchodź. Nie dzwoń na policję.

– Nie będę narażać naszego dziecka. Jedziemy!

– Ona nie jest niebezpieczna.

– Ma broń!

– Jest niebezpieczna tylko dla siebie. Tego się obawiam. Boję się, że ją zabiją.

– Richard, czyś ty zwariował? – zawołała i wyraźnie chciała powiedzieć coś jeszcze, ale nagle przerwała. Umilkła, ponieważ za jego plecami

otworzyły się drzwi i stanęła w nich Alexandra. Richard zobaczył, że Kristin chowa córkę za sobą, jakby próbowała ją chronić, jakby spodziewała się, że nieznajoma zaraz zacznie strzelać.

– Już idę – powiedziała dziewczyna, naciągając na uszy swoją wełnianą czapkę. – Już idę.

– Nie. Powinnaś zostać. Musisz zostać. Ale najpierw ustalmy to raz na zawsze: czy to ty zastrzełaś – zawahał się, bo nie był pewny, czy prawidłowo wymawia jego imię – Kiryła? Powiedz mi.

Wiedział, że go słyszała. Musiała go słyszeć. Ale nie odpowiedziała, ponieważ z Kristin wpatrywały się w siebie nawzajem. A dokładniej, to Kristin wpatrywała się w nią. A Alexandra? Z nieprzeniknionym wyrazem twarzy patrzyła jednocześnie na jego żonę i na córkę. Melissa wyglądała zza pleców matki, jakby ta była drzewem, a ona bawiła się w chowanego.

– Powiedz mi!

Odwróciła nieznacznie głowę w jego stronę, chociaż myślami nadal była gdzie indziej. Oprócz widoku jego żony i córki jej uwagę absorbowowało coś jeszcze.

– Sam się zastrzelił – odezwała się w końcu.

– Co?

– Chciał zastrzelić Sonię. Za to, że zabiła Pawła. Miał zamiar ją zabić na oczach wszystkich, w twoim pięknym salonie. Ale to nieważne. Muszę iść.

– Daj mi pistolet – powiedział Richard. – Oddaj mi broń i wracaj do środka. My wszyscy też wejdziemy. – Odwrócił się i spojrzał w oczy Kristin. Przez chwilę nie był w stanie nic z nich wyczytać, ale zaraz potem leciutko skinęła głową.

– Obiecuję ci – powiedział do Alexandry – że będziesz bezpieczna. Ktoś rozmawiał z Crystal. To oznacza, że ktoś wie o tym, co ci ludzie z wami robią. Do czego was zmuszają. Ktoś już jest na ich tropie. To nie ty jesteś tutaj przestępcą.

– Nie uwierzą, że nie zabiłam Kiryła.

– Wejdźmy do środka. Opowiesz mi dokładnie, jak to się stało. Ale

najpierw oddaj mi broń.

Czuł na sobie wzrok żony i córki. Udało mu się odzyskać Kristin i nie chciał już nigdy więcej jej stracić. Wiedział jednak, jak krucha, jak delikatna jest ta nowa więź. Nie chciał też, żeby córka patrzyła na niego z dezaprobatą czy z odrazą. Może zdawała sobie sprawę, że jest trochę niezdarny, ale niech to będzie w jej oczach jego największą wadą. Chyba każdy ojciec wzięłby to w ciemno. Richard marzył po prostu o tym, żeby jego życie znów wyglądało tak samo jak jeszcze siedem dni temu. Boże, siedem dni. Tydzień. Jak to się stało, że wszystko, co uważał za oczywiste, nagle wyparowało, spłonęło w ogniu roznieconym przez dziki wieczór kawalerski. Ale znał odpowiedź. Wystarczyło rzucić okiem na tę młodą Ormiankę, żeby sobie przypomnieć. Teraz chciał już jedynie naprawić wyrządzone krzywdy. Załatać wyrwę w sercu swojej rodziny. Dopilnować, żeby udręczona dusza tej dziewczyny zaznała wreszcie ukojenia. (A po tym, jak dziś rano zobaczył tamte zwłoki na stole w kostnicy, nigdy więcej nie będzie już kwestionował istnienia duszy jako czegoś realnego i niemalże namacalnego, ponieważ widział na własne oczy, że bez niej jesteśmy tylko bryłą gnijącego mięsa).

– To jak będzie? – zapytał, wyciągając do Alexandry otwartą dłoń.

– Dobrze – powiedziała, wpatrując się gdzieś w dal. – Ale to i tak nie ma znaczenia. Oni będą się śmiali ostatni.

Podążył za jej wzrokiem. Nie patrzyła już na jego żonę i córkę, ani nawet na samochód, tylko na coś położonego znacznie dalej. Wpatrywała się w róg, gdzie ich mała uliczka łączyła się z Pondfield Road. Tam na skrzyżowaniu, przez które Richard i Kristin przejeżdżali praktycznie każdego dnia, skrzyżowaniu, na które jednego razu niczym samochód widmo stoczyło się tyłem jego audi pozbawione kierowcy, znajdował się czarny cadillac escalade. Dokładnie taki sam jak ten, który przywiózł tu Alexandrę tego wieczora, kiedy Richard zobaczył ją po raz pierwszy. Samochód wyłonił się z podjazdu przy pustym domu, w którym dawniej mieszkali ich sąsiedzi, Habeggerowie, gdzie najwyraźniej zaparkował jakiś czas temu. Czekał. Stał na straży. Nie było go tam, kiedy Richard wracał do domu, na pewno by go zauważył. Musiał więc pojawić się w ciągu ostatnich dwóch godzin. Ale to nieważne, to wszystko bez znaczenia. Liczyło się tylko to, że teraz czarny samochód ruszył i zbliżał się nieubłaganie w ich stronę, niemalże w

zwolnionym tempie mijając biało-niebieski szyld z napisem „Na sprzedaż”, ustawiony na trawniku przed domem Habeggerów.

– Uciekajcie! – krzyknął do Kristin i Melissy, pokazując na drzewa rosnące przy ich domu, całkiem огоłocone z liści, i stojące dalej domy. W pierwszej chwili się nie poruszyły. Nie rozumiały, co zobaczył i dlaczego zaczął krzyczeć. Ale po chwili, albo dlatego, że wrzasnął jeszcze raz, albo dlatego, że Kristin sama dostrzegła samochód i zrozumiała, że ma on coś wspólnego z dziewczyną i z zabitymi, którzy już na zawsze stali się częścią historii ich rodziny – dwaj martwi mężczyźni i jedna martwa dziewczyna – szarpnęła córkę za rękę, jakby była małym psem na smyczy, i rzuciła się do ucieczki.

I wtedy, niemal w tej samej sekundzie, kiedy Richard po raz kolejny pomyślał, że powinien był kupić sobie strzelbę, przez głowę przeleciały mu słowa, jak napisy u dołu ekranu w zagranicznym filmie. „Boże. A więc tak to się kończy. Tak właśnie będzie wyglądała moja śmierć”.

W tym momencie Alexandra otworzyła szklane drzwi tarasowe i obiema rękami wepchnęła go do domu z taką siłą, że wpadł na stojący w korytarzu kolonialny stolik i razem z nim przewrócił się na ziemię. Obok niego rozbiła się ceramiczna misa z pachnącym jesiennym potpourri, a fragmenty ziół, skrawki liści i igieł oraz sztuczne kawałki dyni rozsypały się po podłodze jak konfetti. Dziewczyna zatrzęsnęła drewniane drzwi wejściowe i została sama na werandzie. Richard właśnie się podnosił, żeby po nią pójść, żeby też ją wciągnąć do środka, kiedy nagle świat eksplodował mu przed oczami, uszy wypełnił huk strzału, a drzwi rozsypały się w drzazgi.

Alexandra

Richard wrzasnął jak wariat do swojej żony i córeczki, żeby uciekały. Pewnie dlatego, że nie zasługiwał na śmierć – żadne z nich nie zasługiwało na śmierć; żadne z nich nie było niczemu winne – popchnęłam go z całej siły do środka i zatrzasnęłam drzwi. W ogóle nie powinnam była wracać do jego domu. Zachowałam się jak ostatnia egoistka.

Zobaczyłam, jak jego żona i córka puściły się pędem i zniknęły za rogiem. Na twarzy tej biednej, zdezorientowanej dziewczynki malował się wyraz absolutnego przerażenia. Wcześniej przez drzwi słyszałam, jak nazwała mnie niewolnicą seksualną. Patrzyłam na nią i jej mamę, więc pewnie dlatego nie zauważyłam broni. Na moment odwróciłam wzrok od escalade'a i to wystarczyło. Dlatego tylko usłyszałam strzał.

Dziwne, jak wybiórczo działa ludzka pamięć. Co człowiek zapamiętuje, a czego nie.

„Dziewczyna z przyjęcia?” „Niewolnica seksualna?”

*

Kirył nosił kaburę na ramieniu. Paweł przymocowywał swoją do paska, jak amerykański kowboj albo policjant. Czasami, kiedy nie miał na sobie czarnej marynarki, nie wkładał koszuli w spodnie, tylko nosił ją na wierzchu, żeby ukryć broń. Lubił ten styl. Uważał, że wygląda fajnie. Cóż, o gustach nie należy dyskutować. W każdym razie to, gdzie trzymali pistolety, oznaczało, że inaczej po nie sięgali, mimo że obaj byli praworęczni. Paweł miał broń po prawej stronie. Kirył musiał zatoczyć ramieniem łuk, żeby prawą ręką wydobyć swojego makarowa z kabury opierającej się o żebra po lewej stronie klatki piersiowej. Wyciągał go niemal spod pachy.

Tamtej nocy podczas wieczoru kawalerskiego stałam w drzwiach między salonem a korytarzem, w chwili gdy Sonia rzuciła się z nożem na Pawła.

Patrzyłam na to w totalnym osłupieniu. Domyśliłam się, że bierze odwet za Crystal, ale nie wiedziałam nic więcej. Jeszcze nie. Sonia o niczym mi wcześniej nie powiedziała. W tym momencie Kirył wyszedł z łazienki na parterze. Gdy zapinał rozporek, usłyszał hałas dobiegający z salonu. Mały stolik przewrócony przez jednego z gości, który odskoczył od Sonii i Pawła, z łoskotem upadł na podłogę. Do tego dochodziły wrzaski mężczyzn, wykrzykujących rzeczy w stylu: „Co tu się, kurwa, dzieje?!” albo „O nie!”, i dźwięki wydawane przez dławiącego się Pawła, który wymachiwał rękami, usiłując zrzucić z pleców Sonię, zanim w końcu runął na kanapę. Całe to piekło rozpętało się dosłownie w kilka sekund. Wszystko działo się niemal jednocześnie. Kirył nie wiedział, co się stało, ale odruchowo sięgnął po broń, jeszcze zanim wszedł do salonu. I właśnie wtedy, bez chwili namysłu, rzuciłam się na niego. Nie wiem, co sobie myślałam. To był potężny facet, jak zresztą oni wszyscy. Po prostu zareagowałam instynktownie. Skoczyłam na niego w chwili, gdy wyciągał pistolet z kabury na ramieniu. Dokładnie w momencie, gdy kciukiem odbezpieczał broń.

Kiedy na nim wylądowałam, niechcący nacisnął spust.

I sam się postrzelił. Pistolet znajdował się dwa centymetry od jego klatki piersiowej, może nawet jej dotykał. Oboje upadliśmy na ziemię. Leżałam na nim, a między nami był jego makarow. W pierwszej chwili myślałam, że to ja jestem ranna. Wszędzie miałam krew: na brzuchu, na cyckach, na szyi. Kirył tak mocno wbił mi pięść w żebra, że miałam wrażenie, jakby przebiła mnie kula z pistoletu. Strzał nastąpił tak blisko, że dzwoniło mi w uszach i nic nie słyszałam. Gdy w końcu jednak podniosłam się na kolana, zorientowałam się, że to jego krew. Zobaczyłam, jak jego biała koszula robi się czarna. Jak Kirył pluje krwią i zaczyna się dławić, dokładnie tak samo jak Paweł.

I wtedy na korytarzu pojawiła się Sonia, całkiem naga, tak jak ja. Widziałam, że porusza ustami, ale nie słyszałam, co mówi. Podała mi rękę i pomogła mi wstać. Przez cały czas coś do mnie mówiła, a ja wciąż jej nie słyszałam. Pistolet Kiryła nadal tkwił w jego ręce, więc schyliła się i mu go zabrała. Strzeliła draniowi prosto w tę jego łysą pałę, po czym wręczyła mi broń. Sama pewnie zamierzała zabrać pistolet Pawła.

– Musimy się ubrać – powiedziała.

Tym razem, może dlatego, że krzyczała, wreszcie ją usłyszałam. Co prawda jej głos brzmiał tak, jakbym była pod wodą, lecz mimo to ją zrozumiałam.

Wzięłam z łazienki ręcznik, żeby zetrzeć krew z brzucha i piersi. A Sonia? Odwróciła się i splunęła na zwłoki Kiryła.

*

Gdyby było na odwrót, gdyby to Kirył nosił makarowa przy pasku, a Paweł w kaburze na ramieniu, to ja zginęłabym wtedy na tym korytarzu. Pomyślcie tylko, jaki ruch wykonuje facet dobywający broń. Kirył wyciągnąłby pistolet z kabury na prawym biodrze, nie musiałby sięgać ręką pod lewą pachę. Strzeliłby mi prosto w udo, w biodro albo w brzuch.

Zanim wróciłyśmy do salonu z pistoletem łysego drania, Sonia wzięła ode mnie ręcznik i delikatnie wytarła mi z żeber plamy krwi Kiryła, które sama przeoczyłam.

*

Tamten policjant. Gdyby tylko...

Gdyby tylko Crystal nic mu nie powiedziała. Albo...

Gdyby tylko jej nie przyłapali. Albo...

Gdyby tylko nie opowiedziała o wszystkim Sonii. Albo...

Gdyby tylko Sonia nie zabiła Pawła. Albo...

Gdyby tylko udało się jej spotkać z tamtym Gruzinem, zanim ją dorwali. Albo...

Gdybym tylko odnalazła tego policjanta od Crystal. Albo...

Albo można też na to spojrzeć z innej strony.

Gdyby mój tata nie miał tego strasznego wypadku. Albo...

Gdyby moja mama nie zachorowała na tego przeklętego raka. Albo...

Gdybym nie miała tego głupiego marzenia o balecie...

Nie wiem.

I nigdy się nie dowiem, ile jest w tym mojej winy, a ile ich. Ale tego nikt nie wie, prawda?

Rozdział 15

Kiedy mijały garaż, Kristin usłyszała strzał. Natychmiast pchnęła córkę na wilgotną ziemię – w tym miejscu teren opadał lekko w dół i zawsze pozostawał w cieniu rzucanym przez dom i skupisko iglastych drzew – i nakryła ją własnym ciałem. W chwili gdy znalazła się na ziemi, uderzył ją intensywny fetor jesiennego rozkładu: próchnicy tworzącej się pod warstwą gnijących roślin i mokrych liści. Czuła oddech córki przez materiał swojego granatowego dwurzędowego płaszcza. I czekała na...

Sama nie wiedziała na co. Na drugi strzał? Na odgłos pospiesznych kroków? Warkot silnika? Wycie syreny?

– Óóó... Nie ruszaj się, kochanie, tylko się nie ruszaj – szepnęła Melissie do ucha.

Postanowiła, że policzy do dziesięciu, a potem przewróci się na plecy i rozejrzy dokoła. Jeśli nikt nie będzie zmierzał w ich stronę, podniesie córkę z ziemi i popędzi z nią do sąsiedniego domu. Do Sullivanów.

A jeśli ta kula dosięgła Richarda? Boże, tylko nie to! Proszę, tylko nie to. Ta niepewność była nie do zniesienia, ale nie mogła ryzykować życia córki i wrócić do domu. Poza tym jak, na miłość Boską, mogłaby mu pomóc? Nie. Musiała chronić Melissę. Richard na pewno też by tego chciał. Kazał im uciekać i rzeczywiście w tej sytuacji tylko to można było zrobić.

A jeżeli strzelali do tej dziewczyny?

Była taka... drobna. Kristin wcześniej ani razu nie przyszło do głowy, że może wyglądać jak dziecko, a nie jak... prostytutka. Nie. Ta dziewczyna nie była prostytutką. Została porwana. Przecież już nawet Melissa знаła to określenie: „niewolnica seksualna”.

– Mamo, nie mogę oddychać – wyszeptała jej córka.

Na ułamek sekundy serce Kristin zamarło. Przeraziła się, że to jej dziecko zostało postrzelone, a ona, wykonując te wszystkie mentalne akrobacje, zupełnie tego nie zauważyła. Szybko jednak się zorientowała, co się dzieje. Tak desperacko pragnęła ochronić swoją córeczkę, że niechcący sama ją przydusiła. Podniosła się na łokciu i spojrzała przez ramię. Escalade wciąż stał na ulicy z włączonym silnikiem – czy ktoś w ogóle z niego wysiadł? – ale wyglądało na to, że nikt ich nie ściga. Czy w ogóle było je widać z okien samochodu? Z punktu widzenia tych ludzi równie dobrze mogłyby już być w sąsiednim domu. W którymkolwiek domu.

Sięgnęła do tylnej kieszeni spodni, wyciągnęła telefon i kciukiem wystukała numer 911.

*

Przez szparę w drzwiach frontowych Richard widział skrawek nieba, które w zapadającym zmierzchu przybrało lekko fioletowy odcień. Całą twarz i ręce miał poranione odłamkami szkła z roztrzaskanych drzwi tarasowych. Czuł się jak tchórz i było to uczucie znacznie gorsze niż przekonanie, że jest się złym mężem czy nawet kiepskim ojcem. Dlatego podniósł się z ziemi. Co dziwne, tak naprawdę w ogóle się nie bał. Być może było to spowodowane tym, co się wydarzyło w jego domu dokładnie tydzień temu. A może tym, co zobaczył dzisiejszego ranka w kostnicy. Ale to już nie miało żadnego znaczenia. Strzepał szkło z rąk (co tylko wywołało kolejną falę bólu) i wstał. Zakładał, że dziewczyna nie żyje, ale musiał się upewnić. Musiał się upewnić, że Kristin i Melissa zdołały uciec. Wiedział, że Rosjanie mogą go zabić. Ale jeśli wcześniej zdąży dopilnować, by jego żona i córka uciekły, i jeśli zdąży sprawdzić, czy leżąca na schodach dziewczyna jeszcze oddycha, to nie będzie to taki najgorszy koniec. Gdyby udało mu się wciągnąć ją do środka – gdyby jakimś cudem okazało się, że przeżyła – zadzwoni po policję.

Otworzył więc to, co zostało z drzwi, i wyszedł na zewnątrz. „A więc tak to się kończy”, znów przeszło mu przez myśl. „Tak właśnie będzie wyglądała moja śmierć”. Tym razem jednak w ogóle się nie przejął. Miał to gdzieś. Będzie, co ma być.

Zobaczył przed sobą bezwładne ciało dziewczyny, przypominające

marionetkę z odciętymi sznurkami. Jej lewa ręka zwisała z werandy, udo dotykało starej bańki na mleko, która służyła za donicę dla usychającej czerwonej cynii. Alexandra leżała na boku i krwawiła – a może raczej: wykrawiała się? – z rany znajdującej się gdzieś na brzuchu albo na klatce piersiowej. Nie widział dokładnie, w którym miejscu jest rana, ale płynący z niej strumień krwi utworzył już sporą kałużę na koralowych płytach tarasu. Kiedy przyjrzał się bliżej, stwierdził, że musiała zostać postrzelona gdzieś w okolicy brzucha. Uklęknął obok niej, ułożył zwisającą rękę wzdłuż ciała i ostrożnie przewrócił dziewczynę na plecy. Myślał, że jest nieprzytomna, ale w momencie, gdy ją odwracał, otworzyła oczy.

– Gdybym nie miała tego głupiego marzenia o balecie... – wymamrotała tak cicho, że nie był pewien, czy dobrze ją zrozumiał. Miała rozpiętą kurtkę i kiedy zobaczył plamę na jej bluzce – nie, to nie była bluzka, tylko T-shirt kupiony w sklepie z pamiątkami na Times Square – przypomniały mu się piąte albo szóste urodziny Melissy, kiedy jej przyjaciółka Emiko wylała niechcący owocowy poncz na swoją białą sukienkę. Materiał oczywiście natychmiast zabarwił się na różowo. Richard mimowolnie pokręcił głową, zdumiony tym, jak działa ludzki umysł, który jest w stanie skojarzyć coś tak potwornego jak rana postrzałowa z przyjęciem urodzinowym małej dziewczynki. Alexandra, która prawdopodobnie zauważyła jego minę, próbowała powtórzyć wypowiedziane wcześniej zdanie, skracając je do zaledwie dwóch słów.

– Głupie marzenie... – wydusiła z siebie, wykrzywiając twarz w grymasie.

– Ćśśś – szepnął Richard, jakby uciszał małe dziecko. Próbował się przy tym uśmiechnąć, lecz łyzy same cisnęły mu się do oczu.

Podniósł rękę, żeby otworzyć szklane drzwi.

I w tym momencie usłyszał drugi strzał. Coś uderzyło w jego głowę z niewyobrażalną siłą. Zdążył tylko pomyśleć „wypadek samochodowy”, jakby wyobrażał sobie, że jego czaszka właśnie zderzyła się z przednią szybą, a potem...

Potem nie było już nic.

*

Sanitariusz dowodzący zespołem pogotowia ratunkowego – mężczyzna uzależniony od adrenaliny (do czego sam się chętnie przyznawał), z czarnymi włosami wysmarowanymi żelem, który jego dziewczyna przynosiła ze swojego salonu fryzjerskiego, i ze zdeformowanymi przez niezliczone ilości kolczyków uszami, które namiętnie przekłuwał w młodości – wiedział, że gdyby kula przeszła serce, ta seksowna małolata byłaby już martwa. A gdyby przebiła płuco, we krwi byłoby pełno pęcherzyków. Odma opłucnowa. Powstająca na skutek przebicia ściany klatki piersiowej. Nieraz widywał takie obrażenia w Yonkers czy Mount Vernon, ale jeszcze nigdy w Bronxville. Brak interwencji medycznej w przypadku takiej rany prowadzi do hipoksji i wstrząsu, po których następuje śmierć. Jeśli jednak się ją odpowiednio opatry, szanse na przeżycie znacznie wzrastają. Wystarczy założyć opatrunek okluzyjny. Czasem trzeba dodatkowo przeprowadzić dekompresję przy użyciu igły wielkości stalówki, a następnie wprowadzić dren, żeby wypuścić powietrze z klatki piersiowej.

Ale ta dziewczyna została postrzelona niżej, a we krwi nie było żadnych pęcherzyków.

Sanitariusz miał na imię Charles. Lubił, kiedy się tak do niego zwracano, bo choć jego zdaniem to imię zupełnie do niego nie pasowało, już lepsze to niż zdrobnienia w stylu Charlie albo Chuck. Ktoś taki jak on nie mógł sobie wymarzyć lepszego wezwania. Wiedział, że długo o nim nie zapomni, jeśli uda im się uratować tę pannę – o ile jej niedoszli zabójcy, kimkolwiek są, jego też przy okazji nie załatwią. Kiedy przyjechał na miejsce, okazało się, że są dwie ofiary. Wszędzie roило się od gliniarzy, a antyterrorysty byli już w drodze. Trwał pościg za jakimś czarnym cadillakiem. Małą dziewczynkę – w niemal katatonicznym stanie – odciągały na bok dwie mamuski jakby żywcem wyjęte z telewizyjnej reklamy proszku do prania. Lepiej być nie mogło.

Kiedy podszedł do nastolatki leżącej na tarasie, jakaś kobieta – w pierwszej chwili pomyślał, że to pewnie jej matka i dopiero później jeden z policjantów wyprowadził go z błędu – udzielała jej pierwszej pomocy. Jeszcze przed przyjazdem karetki zdjęła płaszcz i okryła nim dziewczynę, żeby ją ogrzać. Bardzo mądrze, pomyślał Charles. Był pod wrażeniem. Gdy wbiegł na werandę z drugim sanitariuszem Ianem, zauważył, że kobieta z

całej siły przyciska do rany ofiary złożony ręcznik. Kiedy podnieśli płaszcz, okazało się, że wszystkie warstwy puszystego jasnoniebieskiego materiału ozdobionego haftem w kształcie litery C są przesiąknięte krwią. Z każdą chwilą puls dziewczyny przyspieszał, a ciśnienie rosło – jej organizm próbował w ten sposób zrekompensować utratę krwi. Rana brzucha, na przykład odniesiona na polu walki, wcale nie musiała oznaczać śmierci. Niektórzy żyli potem długo i szczęśliwie, choć w dawnych czasach może nie aż tak bardzo szczęśliwie. Patrząc na ranę wlotową, nie był w stanie jednak określić, czy kula utkwiała w żołądku, wątrobie czy może w jelitach. Biorąc pod uwagę ilość krwi, obstawiał wątrobę. Natychmiast założył jej maskę tlenową, żeby dotlenić wykrwawiający się organizm.

No i jeszcze jedno: nie da się wykluczyć, że kula uszkodziła kręgosłup i nawet jeśli dziewczyna przeżyje, do końca życia będzie sparaliżowana.

Tak czy inaczej, całe szczęście, że ta kobieta nie dopuściła do wywieżenia ofiary i poświęciła dobry ręcznik.

W czasie gdy on zajmował się dziewczyną, Ian podszedł do faceta, który leżał w otwartych drzwiach z wybitą szybą. Z tarasu widać było tylko nogi, bo reszta ciała znajdowała się wewnątrz domu. Już po chwili jednak Ian pomagał mu przy zakrwawionej pannie, bo mężczyzna leżący w progu dawno nie żył. Biedak musiał zginąć na miejscu. Odstrzelili mu pół głowy. A oni nie zajmowali się trupami, więc to już nie ich zmartwienie. Nawet transportowanie zwłok nie należało do ich obowiązków.

Dlatego skupili się tylko na dziewczynie. Trzeba było jak najszybciej ustabilizować jej stan i odwieźć ją do szpitala.

Natychmiast się do tego zabrali. Charles nie potrzebował dużo czasu, żeby ocenić jej szanse. Był pewien, że przeżyje. Co prawda miała przyspieszony puls, jej skóra kleiła się od potu, do tego straciła cholernie dużo krwi, ale widział już dużo gorsze przypadki.

Kiedy ruszyli z nią do karetki – dwóch policjantów pomagało im nieść nosze, kropłówkę i butlę z tlenem – po drodze minęli tę drugą kobietę.

– Wygląda na to, że ocalała jej pani życie – powiedział Charles. – Dobra robota.

Kobieta skinęła głową. Była blada jak ściana. I nic dziwnego. Każdy by był, gdyby swoim ręcznikiem z wyhaftowanym monogramem musiał zatamować krwotok z rany postrzałowej, z której na początku pewnie tryskało jak z fontanny. Kiedy dotarli do karetki i kobieta znalazła się poza zasięgiem ich głosów, Ian wyszeptał:

– Stary, tam na progu leżał jej mąż. Facet nie miał połowy czaszki.

Charles zamyślił się na moment. Ta kobieta musiała bardzo kochać dziewczynę, którą wieźli do szpitala. Może tamten gliniarz się pomylił, twierdząc, że nie jest jej matką. To na pewno była jej matka. Na pewno. Klęczała przy niej, podtrzymując ją przy życiu, podczas gdy ciało jej męża leżało obok. Tak właśnie wygląda miłość. Prawdziwa miłość.

Alexandra

Kiedy obudziłam się po raz pierwszy, od razu wiedziałam, że jestem w szpitalu. Przyszło mi do głowy, że to może szpital więzienny, ale nic na to nie wskazywało. Było tam zbyt ładnie, a ja nie miałam na sobie kajdanek. W pobliżu nie widziałam też żadnych policjantów. Zgadywałam, że jest wczesny ranek. Za oknem niebo robiło się coraz jaśniejsze. W ręce miałam wbite plastikowe rurki i czułam straszny ból w boku. Pomyślałam o swojej mamie i babci, i o szpitalu w Erywanii, w którym spędziłam tak wiele godzin. Potem znów zapadłam w sen. Nie pamiętam, żeby w tamtych dniach cokolwiek mi się przyśniło.

*

Dopiero kiedy obudziłam się po raz trzeci albo czwarty, przyszli do mnie ludzie z policji, żeby zadać mi kilka pytań. Nie ufałam im, ale przestałam już walczyć. I nie było mowy o ucieczce. Zresztą i tak nie miałabym dokąd pójść. Pytałam o Richarda, ale nie chcieli mi nic powiedzieć. Za każdym razem zmieniali temat.

Powiedzieli, że przeżyję, i że Julian i Konstatin są w więzieniu. Nie byli pewni, gdzie są ci kolesie, którzy przyjechali mnie zabić, co niespecjalnie dodało mi otuchy. Ale zapewnili, że ich znajdą, o ile tamci nie wyjechali już z kraju. Tak czy inaczej, jestem bezpieczna. Może. Byłam tak zmęczona, że powiedziałam im wszystko. Zrobiłabym to pewnie nawet, gdyby Julian i Konstantin nie byli w więzieniu. Powiedziałam im wszystko to, co opowiedziałam wam. Jeden z policjantów wyglądał jak dziadek. Miał mnóstwo zmarszczek i wory pod oczami. Była z nim kobieta o ładnych oczach. Mówiła, że mogę do niej mówić Patricia. Zadawali mi masę pytań. Chcieli, żebym opowiedziała swoją historię w sądzie. Tłumaczyli, że to najlepsze, co mogę zrobić dla Crystal i Sonii, i innych dziewczyn takich jak my. Więc się zgodziłam.

Ten stary obiecał mi, że nie pójdę do więzienia, że tylko mnie tak straszili.

Mimo to, kiedy zapytałam, co się ze mną stanie po wyjściu ze szpitala, nie umiał odpowiedzieć. Nie był pewny. Wiedział tylko, że nie trafię do więzienia. Patricia stwierdziła, że sprowadzą dla mnie terapeutkę – kobietę, z którą będę mogła porozmawiać. Ona powinna znać odpowiedzi na moje pytania.

W końcu, kiedy raz po raz dopytywałam o Richarda, Patricia powiedziała mi prawdę. Wzięła mnie za rękę i opowiedziała całą historię. Wyjaśniła mi, że przeżyłam głównie dzięki żonie Richarda.

I dopiero wtedy się rozpłakałam.

*

Płakałam cały dzień. Tak mi się przynajmniej wydawało. W którymś momencie odłączyli mi rurki z lewej strony i wyjęli cewnik, więc została mi tylko kroplówka w prawej ręce. Naciągnęłam sobie wtedy koc na głowę, zwinęłam się w kłębek i włożyłam sobie róg poduszki do ust, jakbym była niemowlakiem ssącym smoczek. Szlochałam tak samo jak wiele lat temu w moskiewskim hotelu. To był ten rodzaj płaczu, który wstrząsa całym ciałem i pozbawia człowieka tchu. Pielęgniarka chciała mi jakoś pomóc, ale prosiłam ją, żeby dała mi spokój. Próbowałam wytłumaczyć, dlaczego tak się zachowuję, ale nie starczyło mi powietrza w płucach, żeby wydusić z siebie jakiegokolwiek dłuższe słowa.

Przeszło mi przez myśl, że mogłabym utopić się we własnych łzach. Pamiętacie tamto słowo, *noyade*? Egzekucja przez utopienie.

Ale tym razem, inaczej niż w Moskwie, nie płakałam nad sobą.

Płakałam za moją matką, za babcią. Za małą Crystal i moją kochaną Sonią. Płakałam, bo myślałam o Richardzie i jego żonie, i ich dziecku. Jego małej córeczce. Dziewczynce takiej jak ja, która kiedyś bawiła się lalkami Barbie, a teraz straciła ojca. Płakałam, ponieważ na świecie jest tak dużo przemocy, tak dużo śmierci.

*

Kiedy przyprowadzili do mnie tę terapeutkę, zapytałam, czy to dlatego, że jestem nienormalna. Jak wariatka. Odparła, że nikt mnie nie uważa za wariatkę. Chodziło raczej o to wszystko, przez co przeszłam. Ta kobieta – nazywała się Eve – tłumaczyła mi, że ludzie powinni uprawiać seks wtedy, kiedy kogoś kochają, i to było coś, czego nie wiedziałam.

Była bardzo elegancka i wyrażała się w dystyngowany sposób. Miała ze czterdzieści lat i powiedziała, że sama też kiedyś była prostytutką.

Postanowiłam, że polubię Eve, gdy przyniosła mi gruby płaszcz i buty, po czym zaprowadziła mnie na skraj parkingu pod szpitalem i wręczyła mi papierosa. Nie byłam już podłączona do żadnych rurek, nawet do kroplówki, ale wszystko mnie bolało i musiałam iść małymi kroczkami. Z przyjemnością założyłam na siebie coś więcej niż tylko szpitalną koszulę i kapcie. Eve powiedziała, że nie pochwała palenia, ale robiłam się już naprawdę zręczliwa, a chciała, żebym była w stanie „rozważyć wszystkie możliwości i dokonać jakiegoś wyboru”. Na dworze było zimno, z ust leciała jej para.

Zabrała mnie na róg parkingu, gdzie nie było żadnych dziennikarzy. Mówiła, że chcą ze mną pogadać ludzie z gazet i z telewizji, ale nie muszę się na to godzić i pewnie nawet nie powinnam, dopóki nie spotkam się z jakąś prawniczką, która z nią współpracowała.

Powiedziała, że od teraz moje życie należy tylko do mnie.

*

Wybór. Co za słowo. Co za koncept. Bardzo trudno jest zrozumieć, że nagle ma się wybór, kiedy nigdy wcześniej się go nie miało.

Uznałam, że kiedy wyjdę ze szpitala, zrealizuję plan Sonii i pojedę do Los Angeles. Znajdę kawalera do wzięcia. Znajdę Kim. Wiedziałam, że nie mogę wrócić do domu, do Erywania, dopóki tam jest Wasilij i jego łyse pały. Ale wtedy Eve powiedziała mi, że jeśli chcę, mogę pójść do ośrodka przejściowego. Powiedziałam jej o swoich pieniądzach. (Nikt ich nie ukradł, a to chyba jeszcze większy cud niż to, że udało mi się przeżyć). Ale zdaniem Eve powinnam na jakiś czas zatrzymać się z innymi dziewczynami na Brooklynie. Kiedy zapytałam, czym jest ośrodek przejściowy, wyjaśniła, że to miejsce, gdzie mogę pomieszkać z innymi osobami takimi jak ja i nauczyć się, jak znowu być normalną dziewczyną. Jeśli zechcę, mogę nawet znowu

zacząć tańczyć.

– Minęło już zbyt wiele lat – wymamrotałam. – Nie da się wrócić po takiej przerwie i nagle zostać Aksamitnym Ptakiem.

– Nie mówię, że od razu masz iść na przesłuchanie do New York City Ballet. Po prostu mogłabyś wrócić do tańca. Wiesz, dla przyjemności.

Kiedy powiedziała, że zamieszkałabym z innymi dziewczynami, zrobiłam się podejrzliwa. Może ta cała Eve to następna Inga czy Catherine? Jest dla mnie miła przez kilka dni, bo chce zdobyć moje zaufanie, jak Wasilij. Nigdy nie zapomnę, że to właśnie od tańca wszystko się zaczęło. To przez taniec trafiłam do niewoli.

– Więc mam mieszkać z innymi dziewczynami jak prostytutka? – zapytałam. – Myślałam, że nie chcesz, żebym dalej to robiła. Myślałam, że mam teraz wybór.

Ale Eve zapewniła, że zupełnie nie o to chodziło. Ośrodek jest dla dziewczyn takich jak ja, które nie chcą już być niewolnicami i dziwkami. Następnego ranka przyprowadziła do mnie jedną z aktualnie mieszkających tam dziewczyn. Pochodziła z Kijowa. Ona też kiedyś tańczyła. Teraz znowu zaczęła chodzić na lekcje do studia tańca. Opowiadała, że zbliża się pełnia księżyca, a ona będzie tańczyć w małym przedstawieniu na Brooklynie. Jej zespół zbudował scenę przy oknach w starej fabryce, żeby balet odbywał się na tle prawdziwego księżyca w pełni.

Pytałam ją o ten ośrodek. To, co mówiła, brzmiało całkiem nieźle. Nie idealnie, ale to miejsce przynajmniej nie wydawało się groźne. A dokądś musiałam przecież pójść.

*

A potem przeczytałam w gazecie o pogrzebie Richarda i zobaczyłam, co ludzie w telewizji mówią o mnie. Poprosiłam Eve, żeby przekazała żonie Richarda wiadomość: wiem, że to wszystko moja wina i bardzo, bardzo przepraszam. Poprosiłam, żeby podziękowała jej z całego serca za uratowanie mi życia. A Eve zaproponowała:

– Może sama powinnaś jej podziękować? Chciałabyś? – Pewnie znowu chciała mi w ten sposób uświadomić, że mam wybór.

Okno w moim pokoju wychodziło na drzewa i wąską rzeczkę. Szpital mieścił się może ze trzy kilometry od domu Richarda. Zdaje się, że do cmentarza też było całkiem blisko.

Dzień po pogrzebie Eve zaczęła wykonywać telefony. Powiedziała, że jeśli żona Richarda przyjdzie do szpitala, to będzie nasz sekret. Policja nie musi o tym wiedzieć. Nawet nie może się o tym dowiedzieć. Zrozumiałam, że łamię zasady, żeby wyświadczyć mi wielką przysługę, ale nie przejmowałam się tym. W końcu całe życie łamałam jakieś zasady. Chciałam chociaż raz zrobić coś przyzwoitego: powiedzieć wdowie, że jej mąż był dobrym człowiekiem, a ona jest tak samo dobra jak on.

Eve kilka razy rozmawiała z kimś przez telefon na korytarzu pod moim pokojem. A któregoś razu weszła i oznajmiła:

– Właśnie tu jedzie. Jest już w drodze. Będzie z córką.

*

Chciałam sobie zrobić jakiś makijaż, ale nie miałam żadnych kosmetyków, a Eve nie zgodziła się pożyczyć mi swoich. Tłumaczyła, że nie ma znaczenia, jak wyglądam. Musiałam się tym zadręczać jak szalona, bo powtarzała – może kłamała – że wyglądam dobrze.

I nagle je ujrzałam. Były w moim pokoju szpitalnym. Matka i jej córka. Wdowa, tak samo jak moja mama. Dziewczyna bez ojca. Tak jak ja.

– Jestem Kristin – przedstawiła się, a głos lekko jej drżał. – A to jest Melissa.

Dziewczynka patrzyła na mnie szeroko otwartymi oczami, ale nic nie powiedziała. Stała u boku matki przy moim łóżku. Miała na sobie różową puchową kurtkę. Bardzo puszystą. Kristin była ubrana w ten sam granatowy płaszcz, co tego dnia, kiedy widziałyśmy się po raz pierwszy. Kiedy zostałam ranna, a Richard zginął. Była blada i wydawała się bardzo zmęczona. Nawet jakby chora.

– Jestem Alexandra.

Eve spojrzała na mnie i powiedziała:

– Możesz im powiedzieć, jak naprawdę się nazywasz. Jeśli chcesz.

– Jestem Anahit.

– To ormiańskie imię, prawda? – upewniła się żona Richarda. Mówiła bardzo cicho. Musiałam wyęczać słuch, żeby ją zrozumieć.

Pokiwałam głową. A potem powiedziałam:

– Uratowała mi pani życie. Dziękuję.

– Nie ma za co.

– Na pewno większość kobiet pozwoliłaby mi umrzeć.

– Nie. Wierzę, że to nieprawda. – Po chwili dodała: – Nie wiem, jak dużo mój mąż ci o nas opowiedział. Melissa ma dziewięć lat. – Dziewczynka skinęła głową. Na nogach miała niesamowicie kolorowe pończochy. Wzór przypominał deszcz książek. – Ona też chciała przyjść.

– Cześć – wybąkała dziewczynka i nieśmiało zamachała do mnie jedną ręką. Myślę, że trochę się mnie bała. Tego, czym jestem.

– Cześć – odpowiedziałam. – Podobają mi się twoje pończochy.

– To rajstopy – poprawiła żona Richarda. – Nie pończochy. Rajstopy.

– Dziękuję – powiedziała dziewczynka.

– Richard opowiadał mi o was. Bardzo was kochał. Wiem to na pewno. Kochał was nad życie.

– Może usiądziecie? – zaproponowała Eve, wskazując na sąsiednie łóżko, które było puste, i na brzydkie pomarańczowe krzesło. – Przynieść wam kawę albo jakiś sok?

– Nie, przyszyliśmy tylko na chwilę – odparła żona Richarda. Dobrze, że nie poprosiła o nic do picia. Wolałam, żeby Eve nie zostawiała nas samych. Mimo to Kristin usiadła na krześle, a Melissa podeszła do drugiego łóżka i wskoczyła na materac. Rozpięła kurtkę, ale jej nie zdjęła. Miałam wrażenie, że bardzo długo siedzieliśmy w milczeniu, chociaż pewnie nie minęło wcale aż tak dużo czasu. Chciałam powiedzieć tej małej dziewczynce, że bycie pięknym jest przereklamowane. Że bycie czarującym jest przereklamowane. Że nie warto starać się być gwiazdą skąpaną w świetle reflektorów. Ale nie wiedziałam, od czego zacząć.

– Bardzo boli? – odezwała się w końcu żona Richarda.

– Nie – odparłam, po czym dodałam: – To nic w porównaniu z waszym bólem.

– To zupełnie co innego.

Miała rację, ale nic więcej nie powiedziałam. Największa różnica jest taka, że ja wyzdrowieję, ale ona nie odzyska męża, a mała – ojca. Mam nadzieję, że to dziecko nie zostanie dziwką tak jak ja. Chyba jej to nie grozi. W końcu ciągle ma matkę. Ciągle ma piękny dom. Ale nigdy nic nie wiadomo. Może postanowią się wyprowadzić z tego domu. Może powinny się z niego wyprowadzić.

Kristin wzięła głęboki oddech i westchnęła.

– Po pogrzebie brat Richarda, Philip, to był jego wieczór kawalerski, poradził mi, żebym trzymała się z dala od człowieka imieniem Spencer. Żebym po prostu go ignorowała, nieważne, co się stanie. Mam poczucie, że wiesz, dlaczego tak powiedział.

Pokręciłam głową.

– On nas wynajął. Był na przyjęciu. To on... – Ugryzłam się w język. To on poszedł z Sonią na górę, do pokoju małej. Ale nie chciałam tego mówić przy Melissie.

– Cóż, według mojego szwagra ten Spencer ma zdjęcia, na których jesteś z moim mężem. Takie, które mogą – przerwała na chwilę i rzuciła okiem na swoją córkę – mogą sprawić mi przykrość. Spencer powiedział o nich Philipowi przed pogrzebem. Chciał, żeby mój szwagier pomógł mu ze mną... negocjować. Ale Philip poszedł od razu na policję. Mój szwagier jest dupkiem, ale kochał swojego brata. W każdym razie uznałam, że powinnaś o tym wiedzieć. Te zdjęcia nie mogą mnie zranić. Już nie. Ale pewnego dnia, jeśli Spencer postanowi je komuś pokazać, mogą zranić ciebie. Czułam, że powinnam cię ostrzec.

– Mnie też nic podobnego nie może już zaboлеć.

– W porządku.

– W porządku – powtórzyłam.

Rozejrzała się po pokoju.

– Mogłam przynieść ci jakieś kwiaty. Boże, w domu mam stosy kwiatów.

– Nikt mi nigdy nie dał kwiatów. Nie wiedziałabym, co z nimi zrobić.

– Coś byś wymyśliła. Najczęściej po prostu wstawia się je do wody.

– Dziękuję.

– Wiesz, co jest w tym najdziwniejsze? Kiedy postanowiłam tu przyjechać, kiedy Eve do mnie zadzwoniła, myślałam, że przyjdę, żeby ci wybaczyć. Naprawdę zamierzałam tu wejść i ci to zakomunikować. – Zamilkła, a ja czekałam na dalszy ciąg. Eve też czekała. Kristin próbowała ubrać swoje myśli w odpowiednie słowa. W jak najlepsze słowa. Znam to uczucie. – Ale byłam w błędzie. Bo ty nie potrzebujesz mojego przebaczenia. Nie zrobiłaś nic złego.

– Zrobiłam wiele złych rzeczy – poprawiłam ją.

– Może i tak. Ale nie zabiłaś mojego męża.

– Nie powinnam była wracać do waszego domu. Nie przypuszczałam, że łyse pały okażą się takie sprytne.

Kristin uniosła brwi, a Eve wyjaśniła jej, co miałam na myśli.

– Handlarze ludźmi – powiedziała. – Ten konkretny rosyjski gang. Anahit nazywa ich tak, bo wszyscy mają ogolone głowy.

– Rozumiem. Ale nie mogłaś tego przewidzieć. Nie miałaś dokąd pójść.

Pokręciłam głową i znowu zaczęłam mówić, jak wiele ogromnych błędów popełniłam. Chciałam jej powiedzieć o karteczce z numerem telefonu Gruzina, ale słowa uwięzły mi w gardle i nagle znowu zaczęłam płakać. Zakryłam twarz rękami i odtrąciłam dłoń Eve, która próbowała mnie dotknąć, bo nie chciałam, żeby ktokolwiek mnie dotykał, nie chciałam, żeby ktokolwiek mi wybaczał. Chciałam jedynie móc przestać płakać. Ale nie mogłam. Nie potrafiłam się opanować, a trzęsłam się tak, że bolał mnie cały bok, przez co płakałam jeszcze mocniej. W którymś momencie usłyszałam – i miałam wrażenie, że ten dźwięk dobiega do mnie z bardzo daleka – jak dziewczynka zeskakuje z łóżka, a następnie Eve wyprowadza ją i jej matkę z pokoju. Usłyszałam, jak zamykają się za nimi drzwi.

Potem leżałam sama, aż zrobiło się ciemno. Leżałam, aż zapadłam w głęboki sen i tym razem coś mi się przyśniło. Śnił mi się dom pod Moskwą, ale tym razem ja i wszystkie inne dziewczyny byłyśmy księżniczkami i nie widywałyśmy żadnych innych mężczyzn oprócz naszych ojców. Były z nami nasze matki, które karmiły nas ptasim mleczkiem i słodką pastylą, a chociaż wszystkie spałyśmy w jednym wielkim pokoju, każdego wieczora nasze matki przychodziły nas opatulić i pocałować na dobranoc.

Obudziłam się nad ranem. Spojrzałam na księżyc za oknem, okrągły, pełny i niewiarygodnie biały na tle ciemnoniebieskiej płachty nieba. Pomyślałam o tancerce z Kijowa. O jej przedstawieniu. Z korytarza dobiegały rozbawione głosy dwóch pielęgniarek. „Naprawdę ci to kupił? Na urodziny?” Wyciągnęłam ręce spod kołdry i przewróciłam się na bok. „Nie oceniaj go!” Obie się roześmiały. „I nie oceniaj mnie!”

Próbowałam sobie wyobrazić, jak może wyglądać taki ośrodek przejściowy. Ale właściwie się domyślałam.

Wpatrywałam się w księżyc i zrozumiałam, że to jeszcze nie koniec. To nawet nie jest jeszcze środek historii. Ludzie wciąż tańczą. Ludzie wciąż się śmieją. Zaraz wstanie dzień, a ja mam dopiero dziewiętnaście lat i jakimś cudem, wbrew wszystkiemu i wszystkim, nadal żyję. Usiadłam na łóżku i napiłam się soku jabłkowego z kubka stojącego na stoliku. Zmierzwiłam sobie włosy. Miałam nadzieję, że Eve niedługo znowu do mnie przyjdzie.

Podziękowania

Podziękowania jak zwykle zamieszczam w porządku alfabetycznym. Od wszystkich tych osób nauczyłem się bardzo wiele, ale każdej z nich jestem szczególnie wdzięczny za fachową wiedzę w następujących dziedzinach:

Lauren Bowerman – prawo i postępowanie karne (Laura już po raz czwarty pojawia się w moich podziękowaniach. To swego rodzaju rekord);

Mark Flowers i James Yeaton – maski tlenowe, rany klatki piersiowej, odma opłucnowa i praca sanitariuszy pogotowia ratunkowego (James pojawia się po raz drugi);

Haig Kaprielian – system CODIS, badanie miejsca zbrodni i kostnice;

Noelia Mann – handel nieletnimi dziewczynami i prostytutka;

Khatchig Mouradian – historia Armenii i ormiańskie nazwy własne (Khatchig pojawia się po raz drugi);

Steven Sonet – prawo cywilne (i prowadzenie negocjacji);

Anna Stevens – praca striptizerek;

Marc Tischler – badanie zwłok (Marc pojawia się po raz trzeci);

Ani Tchaghlasian – bankowość inwestycyjna;

Jacob Tomsky, autor książki *Heads in Beds*, który wyjaśnił mi różnicę pomiędzy kierownikiem recepcji a menadżerem odpowiedzialnym za pokoje w hotelu;

oraz Scot Villeneuve – pistolet Makarowa.

Chcę również podziękować pisarzowi Stephenowi Kiernanowi, który co prawda nie czytał wczesnej wersji powieści, ale był bardzo wdzięcznym słuchaczem i udzielał mi wielu cennych rad, gdy dyskutowaliśmy o tej

historii podczas wspólnych wycieczek rowerowych.

Spośród książek, które przeczytałem, najbardziej utkwiły mi w pamięci trzy tytuły: *Girls Like Us* autorstwa Rachel Lloyd, *Jak być kobietą* Caitlin Moran i *Desert Nights* Edika Baghdasaryana i Ary Manoogian. Ogromne wrażenie wywarła na mnie także twórczość Vahana Zanooyana. Jego dwie powieści o ormiańskiej dziewczynie porwanej i wrzuconej w świat niewolnictwa seksualnego w Rosji i na Bliskim Wschodzie, *A Place Far Away* i *The Doves of Ohanavank*, to niezwykle poruszająca lektura.

Jestem wdzięczny również moim pierwszym czytelnikom: mojej kochanej żonie Victorii Blewer, naszej bystrej córce Grace Experience, mojej utalentowanej redaktorce Jenny Jackson, i mojej wspaniałej agentce Jane Gelfman.

Na koniec chciałbym wyrazić swoje uznanie dla organizacji Coalition to Abolish Slavery & Trafficking. CAST jest jedną z wielu ważnych organizacji udzielających pomocy ofiarom handlu żywym towarem, zmuszanym do niewolniczej pracy, świadczenia usług seksualnych oraz innych czynności podpadających pod łamanie praw człowieka. Adres internetowy CAST to www.castla.org. Dziękuję także organizacji Girls Education and Mentoring Services, założonej przez wspomnianą wyżej autorkę książki *Girls Like Us*, Rachel Lloyd, za działalność na rzecz młodych kobiet wykorzystywanych seksualnie w celach komercyjnych. Więcej informacji na temat GEMS można znaleźć na stronie internetowej www.gems-girls.org.